

Lidia LISZEWSKA
Robert KORNACKI



Zaczekaj na mnie

Istnieją miłości, z którymi nie potrafimy się pożegnać. Te najprawdziwsze, na które warto czekać. Wbrew wszystkiemu... Piękna, refleksyjna opowieść, która na długo pozostaje w pamięci.

JANUSZ LEON WIŚNIEWSKI



Lidia **LISZEWSKA**
Robert **KORNACKI**

Zaczekaj na mnie



Copyright © Robert Kornacki i Lidia Liszewska, 2018

Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2018

Redaktor prowadząca: Adriana Biernacka Redakcja: Karolina Borowiec Korekta: Maria Moczko / panbook.pl Projekt okładki: Anna Damasiewicz Fotografie na okładce: © phenphayom, © Teerapun Fuangtong, © Christian Mueller, © Evgeniy Zakharov, © Phenphayom Chamlaor / Depositphotos.com

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

ISBN 978-83-7976-045-9

CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.

ul. Fredry 8, 61-701 Poznań tel.: 61 853-99-10

fax: 61 853-80-75

redakcja@czwartastrona.pl www.czwartastrona.pl

DZIEŃ PIERWSZY

Dwa pogrzeby bliskich osób w jednym roku to zdecydowanie za dużo. Dla każdego, nie tylko dla drobnej dwudziestolatki. Nawet jeśli wiernie asystuje jej najmądrzejszy na świecie wilczarz irlandzki.

Michalina tak właśnie to czuła.

Było przed południem; słońce grzało już niemiłosiernie, kiedy wolno, z pochyloną głową szła wzdłuż cmentarnego muru. Helmut starał się nie przeszkadzać, choć nowe zapachy drażniły psi nos i kusiły, by odwrócić łeb i zgubić tempo. Jednak odkąd zwierzę na dobre trafiło pod opiekę dziewczyny, zaakceptowało jej zwyczaje. Jednym z nich od niedawna były regularne spacerunki na cmentarz na Dołach. Historia tej bodaj największej nekropolii w Łodzi sięgała końca XIX wieku. Z początku grzebano na niej jedynie luteranów i katolików. Później, jak to w mieście wielu kultur, kres ziemskiej podróży znajdowali tu także prawosławni osadnicy, nieliczni muzułmanie, a nawet przybyli głównie z okolic Płocka mariawici. Rzecz jasna Helmuta to wcale nie obchodziło. Zgodnie z przepisami i tak nie mógł wchodzić za bramę cmentarza; po prostu cieszył się spacerem i starał się nie myśleć o bezsensownym przepisie zabraniającym czworonogom wstępu na teren nekropolii. Momentami się burzył, jakby głośnym szczekaniem chciał podnieść argument, że dla wielu spoczywających tu osób psy i koty były najbliższymi stworzeniami. Dlaczego więc nie mogły wpaść z wizytą? Z czasem pogodził się i grzecznie czekał przy jednej z wielu budek z wiązankami.

– Pani Krysio, zostawię Helmuta, w porządku? – zapytała Michalina,

zaglądając w głąb straganu.

– Jasne, dziecko! Będzie mi weselej – odpowiedziała sprzedawczyni o spracowanych dłoniach i smutnym spojrzeniu. Jak większość kobiet w tym mieście mogła mieć sześćdziesiąt lat albo czterdzieści, trudno było zgadnąć. Zresztą metryka nie miała tu żadnego znaczenia, i tak na pierwszy rzut oka widać było, że warunki pracy i bezrobotny mąż zabrały jej najlepsze lata.

– Poproszę wiązankę, o tę, z tyłu – Michalina wskazała ręką – i znicze, te co zawsze.

– Musiał być dla ciebie bardzo ważny? – Kobieta nazwana wcześniej panią Krysią spojrzała na nią bacznie i ostrożnie spakowała zakupy do foliowej torebki. – Przychodzisz tu tak często...

Michalina uśmiechnęła się w odpowiedzi, jeśli oczywiście za uśmiech zgodzimy się przyjąć ten grymas, który pojawił się na jej twarzy. Nie była gotowa, by o tym mówić. Niemal rok wcześniej pochowała swojego narzeczonego, Jaromira. Przegrał nierówną walkę z glejakiem. Choroba zabrała go w kilka tygodni. Z tym odejściem zdążyła się już oswoić, za to ze stratą sprzed dwóch miesięcy jeszcze nie. Traciła najważniejszych dla siebie mężczyzn i była tym faktem przerażona. Najpierw Jaromir, teraz...

– Dziękuję pani, wrócę niedługo. Gdyby przeszkadzał, proszę podrapać go za uchem, będzie wtedy potulny jak baranek. – Wskazała Helmuta i zniknęła w alejce.

Cmentarz zaprojektował architekt Ignacy Stebelski, który choć zarabiał niebagatelne 450 rubli rocznie, zmarł niedługo po czterdziestce na nowotwór gardła. Nie mogła uwierzyć, że podobna choroba niemal w tym samym wieku dopadła jej ojca. Rak krtani, paskudna sprawa.

Szła szerokimi alejami części komunalnej, na której spoczywały osoby najbardziej zasłużone dla miasta. Żydowską arystokrację i biedotę

pochowano solidarnie – macewa przy macewie – na odległym o niecałe dwa kilometry cmentarzu przy Brackiej. Tutaj z kolei natknąć się można było na mogiły baptystów, zielonoświątkowców, katolików i prawosławnych. Lubiła to miejsce, jego spokój, ciszę i atmosferę zadumy. Na chwilę przystanęła przy nagrobku Kiejstuta Bacewicza – patrona swojej uczelni. Wieloletni rektor łódzkiej Akademii Muzycznej był postacią wyjątkową, a historia jego rodziny była niezwykle barwna, jedyna w swoim rodzaju. Jeden z braci i ojciec uważali się za Litwinów i pozostali przy nazwisku Bacevičius. Sam Kiejstut z siostrami, Grażyną i Wandą, opowiedział się narodowościowo po stronie matki, Polki. Rodzeństwo Grażyna i Kiejstut patronowali łódzkiej akademii, w której Michalina kończyła właśnie studia. Już wkrótce miała zostać dyrygentem, od dawna się na to cieszyła. Do momentu, kiedy...

Ta śmierć, pogrzeb i cholerna pustka później odbierały jej całą radość.

Zostawiła znicz przy grobie Kiejstuta Bacewicza i ruszyła dalej, mijając po drodze zadbane mogiły reżysera Wojciecha Jerzego Hasa, poety Jacka Bierezina, trenera Leszka Jezierskiego, piosenkarza Bogusława Meca, malarza Józefa Wasiołka i aktora Ludwika Benoit. Przy grobie tego ostatniego krzątała się jakaś blondynka; Michalina rozpoznała w niej córkę aktora. Zapamiętała twarz kobiety ze zdjęć zrobionych na radiowych imprezach ojca. Uśmiechnęła się i skręciła w alejkę prowadzącą do świeżych kwater. Przychodziła tu co tydzień, jakby chciała zadać te wszystkie pytania, których nie zdążyła. Nie liczyła na odpowiedzi, potrzebowała czasu, by oswoić tę sytuację. Kiedy zmarł Jaromir, wiedziała, że byli bezsilni; choroba okazała się potężniejsza niż ich zaklęcia. Wszystko potoczyło się tak szybko, że na dobrą sprawę nie miała okazji, by pojąć całą grozę i nieuchronność losu. Z tą drugą śmiercią było inaczej – o tym, że idzie po swoje żniwo, dowiedziała się z wyprzedzeniem. Miała czas, by się

przygotować. Ale to nie znaczy, że nie bolało...

– Dzień dobry, profesorze – przywitała się cicho, kładąc wiązanekę na płycie i zgarniając wypalone znicze.

Nie była jedyną studentką, która przychodziła na grób profesora Macieja Radwana. Ukochany przez młodzież pedagog, promotor Michaliny, cieszył się ogromną miłością żaków, dla których był jak ojciec i najlepszy przyjaciel. Mimo sporej różnicy wieku nie trzymał dystansu, dzieląc swój czas między nich i dwa psy, znajdy z łódzkiego schroniska. Dorosłe dzieci już dawno rozjechały się po świecie, a żona zmarła dobre dziesięć lat wcześniej. Maciej Radwan praktycznie nie miał rodziny poza swoimi studentami. I poświęcił im się bez wahania, a oni odpłacali mu szacunkiem, sympatią i talentem. Do czasu. Udar mózgu okazał się na tyle silny, że stare ciało profesora nie poradziło sobie z walką o jeszcze jeden rok spokojnego życia. Profesor zmarł, a szacowna łódzka uczelnia pogrzyżyła się w żałobie. Michalina bardzo przeżyła śmierć swojego promotora, dlatego pojawiała się na Dołach regularnie. Tylko tak mogła oswoić się ze śmiercią. Tym bardziej, że ze względu na chorobę ojca spodziewała się kolejnej.

A przy okazji, pomyślała, gdzie on teraz jest?

Tego dnia Matylda umarła po raz drugi.

Znała tę drogę na pamięć, ale wciąż nie zdążyła się nią znudzić. Najpierw skrajem łąki, trochę pod górę, potem północnym brzegiem jeziora w cieniu olszyn i brzoź, kawałek piaszczystą drogą oddzielającą zagony kapusty od pola bladofioletowych kwiatów, o których nazwę pytała już kilkakrotnie i jakoś nie potrafiła jej zapamiętać. Za ogromną lipą i przydrożnym krzyżem w lewo, lekko w dół... Stąd już stodoła i sad były widoczne jak na dłoni. Kiedy nikt nie widział, a zwykle nikt nie patrzył, zbiegała w dół, wdychając szybko powietrze, każdego dnia pachnące

inaczej. Zatrzymywała się dopiero przy samej furtce, zdyszana i uśmiechnięta.

Ale tak było tylko do dnia, w którym umarła po raz pierwszy.

Dziś szła wolno, właściwie coraz wolniej. W nocy musiało padać. Południe już dawno minęło, ale w cieniu drzew trawa była mokra, w nasłonecznionych miejscach lśniła jeszcze żywą zielenią wilgotnych źdźbeł. Ich chłód czuła na odkrytych stopach. Brzeg długiej białej sukienki, przyklejając się do jej kostek, już w połowie spaceru potęgował wrażenie zimna. Nie próbowała jej unosić. Pozwoliła, żeby cienka tkanina chłoneła wilgoć w swoim tempie. W końcu jakie to miało dzisiaj znaczenie, czy otworzy kluczem drzwi w suchej, czy w mokrej sukience?

Zatrzymała się na chwilę na wzniesieniu. Przed domem nie było jeszcze nikogo. Dotarła grubo przed czasem. Właściwie sama nie wiedziała, dlaczego chciała być pierwsza. Decyzję o sprzedaży tego miejsca podjęła już dawno.

Dawno? Przecież to wszystko było jakby wczoraj. Dopiero co trzymał ją w objęciach, kiedy oboje patrzyli na wtedy jeszcze zupełną ruderę, i tak niedawno jeszcze nie wierzyła, że człowiek może być do tego stopnia szczęśliwy. Powinna nie wierzyć do końca...

– Dobrze się pani czuje? Małecki, byliśmy umówieni na dzisiaj. Mogę pani w czymś pomóc?

Słońce błysnęło mocno przez gałęzie drzew. Zamrugła oczami, jakby dopiero teraz zaczęła się budzić. Patrzyła z dołu na twarz obcego mężczyzny. Zadawał jej pytania, które rozumiała, ale nie wiedziała, jak na nie zareagować, tak jak nie mogła zrozumieć, dlaczego w rysach przyglądającego jej się z niepokojem człowieka nie ma nic znajomego. „Pomóc... byliśmy umówieni na dzisiaj...”; bardzo powoli sens usłyszanych przed chwilą słów zbiegał się z odpowiedzią, która – choć jeszcze

niewyartykułowana – już miała pewność, że dostanie swoje pięć minut.

– Tak... Tak... – Siedziała w kucki oparta plecami o płot. Podnosząc się wolno, wygładziła przód sukienki, na której oprócz mokrych plam zauważyła zielone ślady od trawy. Wciąż oddychała szybko i płytko. Mrużąc oczy przed słońcem, pozwoliła pomóc sobie wstać.

Wirówka z pytaniami, które w kosmicznym pędzie bombardowały jej mózg, nie dawała się przełączyć na opcję *stand by*. Z największym wysiłkiem zmusiła się do udzielenia wyjaśnień facetowi, który sam zaczął zdradzać niepokój.

– Byliśmy... Byliśmy umówieni – powiedziała wolno, ale ze zrozumieniem.

– Pani Witecka? Nawigacja...

– To tu. Dobrze państwo trafili. – Udało jej się złapać jeden głęboki oddech.

– Mam wodę w samochodzie. – Czysta biel koszuli nieznajomego, który wciąż uważnie się w nią wpatrywał, nie wiedzieć czemu uspokoiła ją na tyle, że dalej mogła mówić już bez wysiłku.

– Nie trzeba. – Uśmiechnęła się słabo, uwalniając dłoń z ręki mężczyzny. – Zdarza mi się to czasami, kiedy tak wieje... – Wypuściła powietrze wąskim strumieniem, zamykając na chwilę oczy.

– Na pewno?

– Tak. – Matylda podniosła prawą rękę, wskazując otwartą dłonią furtkę. – Proszę, pokażę państwu dom.

Mężczyzna puścił przodem ją i swoją towarzyszkę. Matylda w milczeniu próbowała otworzyć kluczem drzwi wejściowe. Robiła to tyle razy przez ostatni rok, ale nigdy tak bezmyślnie jak dzisiaj. Przekręcała klucz w przeciwną stronę, chociaż powinna robić to już automatycznie.

– Może ja pomogę? – Właściciel białej koszuli wyjął jej delikatnie klucze

z rąk. Chwilę później drzwi ustąpiły bez problemu.

– Proszę wybaczyć... – Matylda wciągnęła przez nos maksymalnie dużo powietrza, jakby miała zanurkować na Bóg wie ile. – Rozejrzyjcie się państwo. I – dokończyła, zauważywszy pytający wzrok mężczyzny – już mi lepiej.

– Mieszka pani na końcu świata – zagadnęła milcząca dotychczas kobieta.

– Proszę mi wierzyć, urok tych miejsc rekompensuje wiele... – Matylda dochodziła do siebie, stając z boku od wejścia i pozwalając nieznamym parze wkroczyć swobodnie do salonu z widokiem na sad. Dopiero teraz poczuła chropowatość zmiętej w kulkę koperty, którą ciągle trzymała w zaciśniętej dłoni. Wpatrywała się w plecy gestykulującego faceta i grubego warkocz kobiety stojącej obok niego, ale widziała tylko obraz sprzed roku, którego od tamtej pory nie była w stanie wyprzeć z pamięci.

Kosma... Jej Kosma obejmujący jakąś kobietę i uśmiechnięty kilkulatek z lodem w małych rączkach, mówiący coś z wypiekami na twarzy do obojga. Teraz zobaczyła tę scenę jeszcze raz. Inaczej, jasno i pod właściwym kątem.

I dostrzegła w niej coś, czego wcześniej widzieć nie mogła. Że jego obecność tam nie oznaczała tego, co oznaczała; że uśmiech tamtej kobiety, choć skierowany do niego, tak naprawdę przeznaczony był... dla niej. Dotarł wreszcie do niej sens tej sceny i wszystkie pytania, które zadawała sobie przez cały ostatni rok, ułożyły się w jeden równy szereg, tworząc słowo – odpowiedź.

Ktoś podał jej rękę, żeby mogła zrobić ostatni krok na szczyt, i zaraz potem ta sama ręka pchnęła ją w przepaść; bez ostrzeżenia, bez modlitwy, bez zgody...

– Kiedy skończylicie państwo remont? Jakich materiałów użyto do

wykonania instalacji sanitarnej? Jak przedstawia się sprawa z ogrzewaniem? Zima tutaj przecież...

Matylda wybiegła przed dom. Minęła furtkę i zawieszoną na niej żółtą skrzynkę na listy. Rozejrzała się chaotycznie wokół i po chwili zrobiła kilka kroków w tym samym kierunku co wiatr. Nie było potrzeby szukać zawartości wyblakłej koperty. Treść wiadomości mogłaby odtworzyć z pamięci. Każde słowo tworzyło jej nowy dekalog, było jak nowo odkryte działanie w skomplikowanej życiowej tabliczce mnożenia. Jakby chciał ją tym listem nauczyć liczyć. Liczyć tylko na siebie.

Nie dałem Ci szansy, bo i ja nie dostałem jej dla siebie. Dla nas. Los nie był łaskawy dla tej miłości, a dla mnie okazał się prawdziwym sukinsynem.

Nie oczekuję, że mi wybaczysz, chcę tylko prosić o odrobinę zrozumienia.

Nie mogłem inaczej, uwierz. Nie jest łatwo ścigać się z czasem. Jeszcze trudniej wyrzec się Ciebie.

Świadomość tego, że się umiera, jest obezwładniająca, Matyldo. Kiedy masz już taką wiedzę, wszystko blednie i traci znaczenie. Wszystko oprócz tego, co czuję do Ciebie.

Dlatego zrobiłem to, co zrobiłem.

Jeszcze mówię, ale lekarze twierdzą, że to kwestia czasu. Wytną mi połowę gardła, wiesz? Umieram na raka krtani. Chciałbym, żebyś zapamiętała mój głos z lepszych czasów. Jeśli cokolwiek z tego będziesz chciała kiedyś wspominać, to może właśnie to, jak mówiłem do Ciebie...

Przepraszam.

Kosma

Para pożegnana godzinę temu była ostatnią, której pokazała dom po tym, jak ogłoszenie o jego sprzedaży niespełna trzy tygodnie wcześniej trafiło do internetu. Od tamtej pory odbierała codziennie co najmniej kilka telefonów w tej sprawie. Nie była zdziwiona zainteresowaniem, jakie

wzbudziła jej oferta. Tego właśnie oczekiwała po tym, jak uczciwie wyceniła całą nieruchomość i fachowo sfotografowała każdy kąt domu. Ten dzień był ostatnim, w którym witała i zegnała potencjalnych nabywców stodoły. Jej i jego... Czy już tylko jej...

Dom urządziła pod klucz. Tak, jak sama chciałyby mieszkać. Chociaż od paru miesięcy dekorowała go, wiedząc, że i tak pójdzie pod młotek, do samego końca i ostatniego detalu konsekwentnie wybierała tylko to, co podobało się jej samej. Tylko te przedmioty, w których obecności czułaby się swobodnie i bezpiecznie. Wnętrze miało intrygować, nie krzyczeć; inspirować, uspokajać, bawić i cieszyć. I takie było w najdrobniejszych szczegółach kolorów, faktur i rozmieszczenia sprzętów w zaplanowanej z rozmysłem przestrzeni.

Stare pędy dzikiego wina kazała na jesieni ostrożnie przenieść na ażurowy stelaż, który po bokach domu od strony sadu tworzył teraz zielone przewiewne zadaszenie dla mebli ogrodowych. Sama była zdziwiona, że ta operacja nie zaszkodziła roślinie. Krzew musiał mieć zahartowane korzenie i wielką wolę przetrwania. Gdyby wieloletnie wina gwarantowały takową, traciłaby majątek, upijając się do nieprzytomności.

Wzięła poduchę z kanapy, położyła ją na drewnianym podeście niskiego tarasu i usiadła przy zielonej ścianie z liści. Dojmująca cisza w domu była chłodna i niegościnna. Na zewnątrz wiatr się nieco uspokoił i znowu ustąpił miejsca rozwrzeszczanej ptasiej komitywie. Niesione przez wiatr baldachy przekwitłych mleczy turlały się na całej połaci ogrodu, zbijając się pod oknami i murem w cichą puszystość.

Słyszałam to już tyle razy: dajesz tyle, ile potrafimy unieść. Skąd wiesz, ile ja potrafię wytrzymać, przepłakać, wykrzyczeć? Ach, zapomniałam; przecież Ty wszystko wiesz. Więc i moją granicę znasz. Jeśli znasz, to nie mów. Nie chcę wiedzieć. Lepiej nie...

Na więcej już nie mam siły. Jeśli dotychczas tego nie robiłeś, to zrób to teraz. Zrób ze mną, co chcesz. Jeśli to ma być kara, to ta miłość musiała być fałszywa. A jeśli taka była, to jak niepojęta musi być ta prawdziwa? Czyja to była mistyfikacja? Jego czy Twoja? Nie, nie zgubiłam się i nie pogubiłam. Wierz mi, ktoś inny zrobił błąd. Tym razem – nie ja. Nie przez przypadek postawiłeś go na mojej drodze. Ty przecież nie masz na to czasu, prawda? Pozwoliłeś, żeby ulepił mnie od nowa; po coś... Jeszcze nie wiem, po co, i wybaczyć, ale nie rozumiem. Kiedyś zrozumieć – i to zdanie też słyszałam już nie raz. A kiedy w końcu zrozumieć – ile czasu mi zostanie, ile czasu mi dasz? I na co?

Nigdy nie mówiłam do Ciebie tak dużo. Kto inny chciałby tego słuchać. Słuchasz mnie? Może właśnie tego chcesz. Żeby nie zapominała, że jesteś. Szczerze umiem się modlić tylko o miłość i o śmierć. Chcesz mnie taką?

Nie wiedziała, co ma zrobić z pustą kopertą i z życiem, w którym chyba już nie miała na kogo czekać.

Pozostało jej tylko pożegnać się z Xenią i jej mężem. Już wcześniej zabrała z siedliska wszystkie swoje rzeczy. Zostawiła tylko jeden kubek, tak na dobrą wróżbę. Bardziej dla siebie niż dla kogoś innego. Żeby ktoś jeszcze kiedyś na nią czekał. Tu lub gdziekolwiek indziej. Obydwie bały się tego pożegnania. Matylda – na pewno. Nie chciała go przedłużyć. Klucz od stodoły zostawiła na kuchennym parapecie. Nie patrzyła we wsteczne lustro tak długo, jak długo wiedziała, że jeszcze widać w nim siedlisko. Przeplakała większość trasy do Warszawy. Częściej wycierała oczy rękawem, niż włączała migacz.

Bezsens ostatnich miesięcy i bezskuteczne próby wytłumaczenia samej sobie, że przecież coś jeszcze dalej musi być, że życie nie może już zawsze wyglądać tak, jak teraz, wylały się z niej strumieniem zbyt długo

tłumionego, oszukiwanego żalu na zabranie jej tej jednej szansy, o której wykorzystaniu zdecydował ktoś inny.

Gdyby do tej pory jeszcze żył, byłby to cud, o który nie śmiałyby nawet prosić. Nie po tym, czego musiała doświadczyć przez ostatni rok. Widać limit jej szczęścia wyczerpał się nagle i niespodziewanie. Nie uprzedzono jej o tym ani mailem, ani listem poleconym. Jak bardzo się myliła, myśląc, że nie można już być bardziej samotnym!

Zatrzymała się na poboczu w szczerym polu. Musiała wysiąść z auta, bo czuła, że się dusi. Od strony pól wiatr przyniósł zapach wybujałych zbóż i wplecionych w nie polnych kwiatów. Falujące łąny wibrowały w gorącym popołudniowym powietrzu czerwienią, kobaltem i bielą. Momentami kwiatów było więcej niż zboża. I tyle samo było w niej rozpaczy, przed którą nie miała już dokąd uciekać.

Nie pożegnała się z nim... Nie zamknęła otwartej książki; przerwała czytanie w pół zdania. Nie miała pojęcia, w jaki sposób ma ją teraz zamknąć.

Stary autobus PKS trząsł się niemiłosiernie, jakby właśnie przyszedł czas na ostatnie podrygi i za chwilę miał skonać. Solidnie zionęło swojską kiełbasą, mokrą, znoszoną odzieżą i czymś jeszcze. Było to jednak tak trudne do zidentyfikowania, że Kosma poddał się po jakimś czasie i uchylił szerzej lufcik. Nie pomogło. Przez moment pomyślał, że rozsądniej byłoby przenieść się na tył, ale koniec autobusu okupowała hałaśliwa grupka wyrostków. Pili piwo i grali w karty. W sumie to nawet im zazdrościł, ale nie miał ochoty zawierać nowych znajomości. Rozłożył się wygodniej na swoim siedzeniu, przynajmniej na tyle, na ile pozwalał sąsiad. Kosma miał już niemal pewność, że ta nieokreślona woń panosząca się w przestrzeni zdezelowanego pojazdu pochodziła ze sfatygowanego, gumowego obuwia mężczyzny.

Podlasie... Podlasze, Pod Lachami... Za oknem migały mu drewniane chatki, cerkwie i leśne ostępy. Kompletnie inny świat. Podróż przez pół Polski minęła bez przygód, za to na miejscu zderzył się z tym, co jednych urzeka, innych odtrąca na długo. Rzeczywistość małych miasteczek i wsi, inne zapachy, kolory, język i zwyczaje. Odkąd zostawił swoje auto córce, przywykł korzystać ze środków komunikacji publicznej. Planując podróż do Czeremchy, mógł oczywiście pożyczyć volvo od Michaliny, ale wiązałyby się to z tłumaczeniem, dokąd jedzie, po co i kiedy wróci. Nie chciał się tłumaczyć, a już na pewno nie miał zamiaru mówić jej nieprawdy. Ani prawdy. A ta była taka, że jechał do szeptuchy.

– Tonący chwytą się brzytwy... – powiedział do swego odbicia w lustrze, kiedy zbierał się do wyjścia z domu. Powtórzył to jeszcze, wysiadając z pociągu w Białymstoku, wsłuchując się we wschodni zaśpiew w głosach mijających go ludzi. Dziewięćdziesiąt kilometrów na południe była wieś, w której miał nadzieję znaleźć remedium na swój ginący głos. Był na to gotowy, nawet jeśli miałyby to skutkować przejęciem takiego zaśpiewu.

Od kilku miesięcy żył z wyrokiem. Co prawda wielu celebrytów w kolorowej prasie przekonywało, że rak to nie wyrok, ale Kosma wiedział swoje. Kiedy diagnoza postawiona przez laryngologa zmieniła mu życiowe priorytety i pogrzebała plany na przyszłość, zapadł się w sobie i zmałał. Jakby codziennie ubywało go po kawałku. Odczuwał to fizycznie; spodnie z każdym tygodniem spinał coraz mocniej paskiem, twarz zrobiła mu się bardziej pociągła, a kołnierzyki obcisłych do niedawna koszul zapinał teraz bez wysiłku. Ubywało mu kilogramów, tak jak dni, skrupulatnie wyliczonych przez profesora Klejmana. Szanowany łódzki lekarz namawiał go na operację, bez której Kosma – co do tego medyk nie pozostawiał żadnych wątpliwości – nie będzie miał zbyt wiele czasu. Miesiące, w najlepszym wypadku rok.

– Chcę więcej! – Gwałtowność w głosie Kosmy, choć niemiła dla ucha, była dla lekarza całkiem zrozumiała.

– Więcej? Proszę położyć się na oddziale i zaakceptować propozycję leczenia. Wtedy zrobimy wszystko, by miał pan szansę na więcej – tłumaczył cierpliwie profesor.

– Pokroicie mnie i zaimplementujecie rurę. To jest ta propozycja leczenia?

– To jedyne wyjście, żeby mógł pan żyć.

– Życ? – Kosma wstał z krzesła i skierował się do wyjścia z gabinetu. – Chyba raczej wegetować...

W zasadzie mógłby do Czeremchy dojechać wygodniej pociągiem, ale nie chciało mu się czekać na korzystne połączenie. Wybrał autobus; zjeździł takimi setki kilometrów w czasie studenckich praktyk, a i wcześniej – jeszcze w podstawówce – żółtymi autosanami podróżował do dziadków, na wieś. Dziadek Zygmunt prowadził nawet przez lata punkt sprzedaży biletów. Kosma pamiętał czarną, skórzaną aktówkę, a w niej rozłożone w równych rzędach żółtawe bloczki o rozmaitych nominałach. Do Milicza za siedem pięćdziesiąt, do Trzebnicy, Żmigrodu, a nawet Rawicza. Wtedy były to wyprawy na koniec świata, a skórzana aktówka stanowiła obiekt westchnień. Te wszystkie kieszonki i skrytki, i stalowe szczęki, mocno ściskające papierowe zwitki...

Pomysł z szeptuchą był jak błaganie o ostatnią szansę, jak próba wytargowania od losu czegoś jeszcze.

– Jak trwoga, to do Boga! – podsumowała była żona, Kaśka. Rozwiedli się kilka miesięcy przed postawieniem diagnozy i choć żyli osobno, to czuła się w jakiś sposób odpowiedzialna za to, co dzieje się w życiu ojca jej jedynej córki. – Mam jechać z tobą?

– Nie, nie trzeba. Muszę to zrobić sam, tylko wtedy ma to sens.

– Nie rozumiem. Dlaczego? Pojedziemy w trójkę, z Michaliną.

– Szeptucha to nie znachorka, co sygnie zielem i przyłoży opatrunek z cudowną maścią z ziół z Czarnej Łąki. To ktoś z darem od Boga, kto leczy modlitwą. Chcę to przeżyć w skupieniu. – Spojrzał na nią, jakby podejrzewał, że zaraz wybuchnie śmiechem. Ale w tej rodzinie od dawna już nikomu nie było do śmiechu. – Rozumiesz?

– Nie do końca, ale skoro tak wolisz...

Naprawdę tak wolał. Czuł, że kończy mu się czas i musi zrobić wszystko, by go nie zmarnować. Nie zostało mu zbyt wiele. Ruszył do Czeremchy jak po przeznaczenie.

W zasadzie najbardziej znaną uzdrowicielką z Podlasia była chyba pani Wala z Orli, w której rodzinie szeptano już od kilku pokoleń, ale Kosma zdecydował się na babcię Paraskiewę z małej osady w środku lasu. Spodobało mu się jej imię, poza tym polecił mu ją ktoś, do kogo miał pełne zaufanie. Musiał się jednak spieszyć, także dlatego, że kobieta była już bardzo leciwa i w zasadzie nie przyjmowała potrzebujących. Szykowała się w swoją ostatnią podróż. Miał nadzieję, że dla niego zrobi wyjątek: zaprosi go do izby, posadzi przy kuchennym stole i uczyni wszystko, co w jej mocy. Albo w mocy Tego, od Kogo ją otrzymała.

Z tamtych pierwszych kilku dni niewiele pamiętała.

– Ten skurwysyn cię zostawił, tak?! Matylda? – Wiktor potrząsał nią za ramiona, kiedy opuchniętymi od płaczu oczami patrzyła gdzieś na przestrztał. Nie pamięta, w jaki sposób dotarła do ich mieszkania. Auto zostawiła gdzieś na chodniku; nie była w stanie prowadzić. Wiktor po trzech dniach zastał ją tam w prawie zupełnie pustej już sypialni, skuloną na łóżku w ciuchach, których w ogóle nie zmieniła, odkąd tam przyszła. Zmatowione, potargane włosy potęgowały okropne wrażenie. Nigdy jeszcze nie widział jej w takim stanie. Nagły przestrach, który targnął nim w

pierwszym momencie, kiedy zobaczył ją nieruchomą na łóżku, prawie natychmiast ustąpił miejsca wściekłości. Nie mógł jej opanować, od kiedy zorientował się, że milczenie byłej żony oznacza jego cholerną rację. Jej tępe i puste spojrzenie sprawiło, że przeszedł go dreszcz.

– Wyjdź, Wiktor... – Matylda poczuła, jak fala mdłości przybliżyła się i oddala, kiedy próbowała coś mówić, zmuszając przeponę do wysiłku. Jadła byle co przez te kilka dni; nie miała siły gotować ani gdziekolwiek wyjść. Ściśnięty żołądek buntował się za każdym razem, kiedy próbowała coś przełknąć.

– Mam cię zostawić jak ten gnój?! – Zwolnił uścisk rąk na jej ramionach; trzymał ją tak mocno, że przecież musiało ją to boleć. Odgarnął delikatnie dłonią włosy, które przykleiły się do jej spoconego policzka.

– Proszę cię, wyjdź... – Brzuch zaczął ją boleć na nowo. Teraz, kiedy poczuła ciepło rąk Wiktora, zaczęło jej się zbierać na płacz.

Przestał nią w końcu potrząsać; poprawił jej niesforne ramiączko biustonosza i pozwolił, żeby przytuliła się do niego jak dziecko.. Zaczęła cicho szlochać. Zupełnie się nie hamowała. Obnażyła tym płaczem cały swój wstyd i poniżenie; przed nim i przed sobą. Było jej wszystko jedno, co myślał o niej w tej chwili. Chciała tylko, żeby przestało boleć. Wpijała palce w jego przedramiona; twarzą wtuliła się w jego tors i czuła, jak koszula robi mu się coraz bardziej mokra od jej łez. Miała wrażenie, że dostaje gorączki od upału w mieszkaniu i ciepła jego skóry. Nie pytał już o nic więcej. Nie musiał. Okazało się, że jednak są chwile, kiedy rozumieją się bez słów.

Zamierzał tego dnia spakować resztę swoich rzeczy, których nie zdążył zabrać jeszcze z mieszkania. Po to właściwie przypadkiem się tu zjawił. Teraz zrezygnował z tego planu. Wyciągnął jakiś koc z dna szafy w przedpokoju i nieobleczoną poduszkę. Zreflektował się po chwili, że przy

takiej temperaturze koc to jednak nie najlepszy pomysł. Zwinął go w mały rulonik w nogach łózka.

Leżał obok niej, póki nie zasnęła. Matylda w półśnie czuła, jak układa się ostrożnie za jej plecami. Prawie jej nie dotykał – być może ze strachu, żeby znów nie zaczęła płakać, ale sama jego obecność w tym pustym mieszkaniu sprawiła, że zaczęła oddychać trochę swobodniej. Zasnęła, nim obeschły jej policzki.

Kiedy rano weszła do kuchni, zastała Wiktora nakrywającego do stołu. Pachniało kawą i świeżym pieczywem.

– Dżem... – Wzięła do ręki mały słoiczek z pachnącą zawartością. Otwarty słoiczek uwalniał przyjemną woń słodkich owoców.

– Nie miałaś w lodówce. – Położył pół kostki masła obok talerzyka z bułkami. – Zjedz coś! – Przed nią postawił kubek herbaty. Chciał jeszcze dodać, że za dwa tygodnie przekazuje klucze do mieszkania nowemu właścicielowi, ale uwolnił powietrze bez słowa. Zdąży jej to jeszcze zakomunikować. Nie to było teraz najważniejsze.

– Muszę iść do pracy. Zasiedziałem się. – Nie kłamał, ale na wszelki wypadek zapowiedział w firmie, że tego dnia może w ogóle się nie pojawić.

– Dziękuję. – Nie wiedziała, co ma jeszcze powiedzieć. Wyczytał z niej wszystko jak z otwartej książki. – Dobre bułki... – Unikała jego wzroku, skubiąc chrupiący brzeg przekrojonej na pół kajzerki.

– Lubisz te.

– Lubię. – Wolno rozsmarowała odrobinę masła. Świeże produkty pobudziły w końcu jej apetyt, a zapach śniadania podziałał uspokajająco. A może było to poczucie bezpieczeństwa, złudnie się z nim łączącego... Różnica między nocą, która – jak się bała – nigdy się nie skończy, a tym porankiem była kolosalna. Przez jedną krótką chwilę miała wrażenie, że to, co zobaczyła trzy dni temu, było tylko okropnym snem. Zaraz jednak

gwałtowne uklucie gdzieś w okolicy mostka przypomniało jej, że dzisiejszy poranek jest piękny, ale nie dla niej.

Przez otwarte okna wlewało się do mieszkania z każdą chwilą cieplejsze powietrze. Ktoś piętro niżej podkręcił Trójkę. Jakiś letni rytm przebijał się przez szum i klaksony aut.

– Przyjdę wieczorem. Nie myśl za dużo!

Rada była jej potrzebna jak umarłemu kadzidło, ale nic innego nie przyszło mu do głowy, żeby przerwać nieznośną ciszę.

– Po co to robisz...?

– Nie atakuj mnie. Martwię się. Ot co.

– Poradzę sobie. – Ton jej głosu mówił dokładnie coś innego.

– Jesteś pewna?

Zamilkła. Jej milczenie go nie dziwiło, ale tym razem był zły na siebie, że je przewidział.

– Jestem w mieście. Po prostu dzwoń. – Podniósł się powoli, chociaż nie miał ochoty jeszcze wychodzić. Pragnął zostać, ale nie wiedział, czy ona tego chce. I nie wiedział, czy sam chce się łudzić, że mogłaby o tym pomyśleć. Zdusił w sobie to pytanie, zmył naczynia i wytarł dłonie w kuchenną ściereczkę. – Musisz się pozbierać – powiedział, kiedy odprowadziła go do drzwi i pocałowała w policzek.

– Obiecuję! – Skrzyżowała przedramiona na brzuchu. – Dzięki za śniadanie i zakupy.

– Nie ma za co. – Patrzył na nią jeszcze przez chwilę smutnymi oczami.

– Musisz! – powtórzył.

Wiedziała, że musi, chociażby dlatego, że od pewnych decyzji odwrotu już nie było. I tym jednym słowem jej to przypomniał.

Musiła jeszcze z innego powodu...

Wysiadł z wyraźną ulgą. Przystanek w samym środku Czeremchy tonął

w promieniach popołudniowego słońca. Jak na każdej polskiej wsi, tak i tu nie działo się nic, co wykraczało poza utarte i bezpieczne schematy. Kilka psów leniwie wylegiwało się przed skromnymi domkami. Nieco dalej grupka dzieci ganiała po ulicy za piłką, za nic mając ruch samochodów. Zresztą stare skody i wartburgi przejeżdżały tędy od wielkiego dzwonu, a kierowca, zazwyczaj trąbiąc już z daleka, dawał maluchom czas na rozbiegnięcie się w popłochu.

– „Knajpa, kościół, widok z mostu”¹... – zanucił pod nosem i ruszył w stronę pobliskiego sklepiku. Zwykle w takich miejscach koncentrowało się życie towarzyskie, a skoro tak, to będzie mógł tam zasięgnąć języka. Jako obcy element musiał się liczyć z nieufnością. I nie pomylił się. Przed budynkiem kilku miejscowych popijało tanie wina; przyglądali mu się uważnie, zanim zniknął w środku.

W sklepie była tylko ekspedientka. Mocny makijaż, a zwłaszcza czerwień jej warg, nie pozwalały mu się skupić, więc milczał przez chwilę.

– No i co on tak zaniemówił, kochanieńki? – przerwała ciszę kobieta za ladą. – Czego mu trzeba? Niech się nie wstydzi!

Kosma rozważał w myślach ten w gruncie rzeczy prosty komunikat i doszedł do wniosku, że skoro są tu tylko we dwoje, to mimo użycia trzeciej osoby pytanie zostało zadane właśnie jemu.

– Dzień dobry, którędy dojdę do Paraskiewy? – Przyjął za pewnik, że szeptunkę musi tu znać każdy mieszkaniec. Znów trafił w dziesiątkę.

– Do naszej szeptuchy? Toć ona już nie przyjmuje. A na co on choruje? – Czerwonousta ekspedientka wciąż mówiła do niego w trzeciej osobie.

Postanowił nie oponować.

– Zakochałem się... – odpowiedział krótko.

– Tylko tyle?

– I mam raka – dokończył z wahaniem.

– To on dobrze trafił. Z chorobą Paraskiewa sobie poradzi! Ale z tym zakochaniem, to sama nie wiem, może lepiej do popa iść?

– Spróbuję u szeptuchy.

– Pójdzie tak, jak droga prowadzi, pod las. A później duktem do samej chatki, trzeba głośno stukać, bo babcia niedosłyszająca już. Zrozumiał?

– Co miał nie zrozumieć? Podziękował serdecznie! – Kosma mimowolnie przeszedł na tryb ekspedientki, co przyszło mu nad wyraz łatwo. – Z Bogiem!

– Z Bogiem, z Bogiem, tylko niech starej nie męczy. – Uśmiechnęła się na pożegnanie. – A może co kupi na drogę?

– Pani da czekoladę i coś do picia. A resztę kupi, jak będzie wracał. Miłej pracy!

Ruszył rażno przed siebie. Jeśli miał wrócić przed zmierzchem do cywilizacji, to powinien się spieszyć. Ostatni autobus do miasta odchodził koło dwudziestej pierwszej, nie uśmiechało mu się szukanie noclegu po wsi ani spędzenie nocy na stacji kolejowej. Nie był nawet pewien, czy jest tam jakiś budynek, w którym mógłby przekimać na ławce do rana. Nie rozpracował logistycznie tej wyprawy, wszystko odbywało się na wariackich papierach.

Jak zawsze, pomyślał i przyspieszył kroku.

Droga wiodła przez las, potężny, zielony i tajemniczy. Słyszał bzyczenie dzikich pszczoł, nawoływania ptaków i trzask łamanych gałęzi, zupełnie jakby ktoś szedł za nim. Rozejrzał się na boki, ale nie zauważył niczego podejrzanego. Mały plecak zaczął mu ciążyć, ucieszył się więc, widząc najpierw komin, a później dach i zmurszałe ściany drewnianej chatki.

– Jak w pieprzonej bajce! – Nie mógł się powstrzymać od komentarza i już po chwili zdał sobie sprawę z niestosowności użytych słów. Tu nie wypadało być wulgarnym. Miejsce było wyjątkowe; świadczyły o tym

dziesiątki świętych obrazków i krzyżyków przymocowanych do drzew. Dopiero teraz zadarł głowę i zauważył, jak wiele tych pamiątek i śladów ludzkiej wdzięczności przegapił wcześniej. Na dobrą sprawę nie sposób było zabłądzić – drogę do szeptuchy wyznaczały kapliczki na pniach. Dobrze wiedział, że ozdobionym nimi drzewom nic nie grozi i nikt nie odważy się ich ściąć. Każdego drwala czy pilarza, który tknąłby swym narzędziem drzewo z wotywną deską, czekało nieszczęście. Choroba albo śmierć w rodzinie. Tak wierzono tu od wieków, a i dziś wiara ta najwyraźniej miała się całkiem dobrze. Nie zdziwiło go to; ludzie w tym regionie żyli bliżej natury. Pełniej i piękniej, jakby wiedzieli więcej. Dlatego tu przyjechał. To była jego ostatnia deska ratunku. Jego deska wotywna.

Kilkadziesiąt żyjących jeszcze szeptunek każdego dnia szeptało słowa modlitwy, pochylając się nad takimi jak on. Ludźmi bez nadziei, dla których zabrakło racjonalnych rozwiązań. Na wsi dawniej wszystko było poukładane – jak bolał ząb, szło się do kowala. Jak w okolicy był znachor czy zielarz, można było go poprosić o mieszankę na wszystkie dolegliwości. Jeśli zmartwienia nie przechodziły, konieczna była wizyta u szeptuchy. Idź do tej, co się modli – mówiono wtedy, godząc się na ostateczną Boską interwencję. Bo w rzeczy samej wierzono, że szeptuchy swój dar otrzymały właśnie od Boga, i dlatego mogą pomóc w sprawach beznadziejnych. To była ich powinność – obdzielać posiadany darem potrzebujących. Dziś z ich usług korzystali nie tylko najbliżsi sąsiedzi, ale przede wszystkim zabiegani mieszkańcy wielkich miast. Tylko tu, przyparci do muru przez chorobę, znajdowali chwilę dla siebie. Jakby wkraczając na posesję tej czy innej starowinki, zrywali krępujący ich gorset uprzedzeń, nawyków i konwenansów. Nawet jeśli drogę w takie miejsca znaleźli w Google.

Tak właśnie poczuł się Kosma, uchylając furtkę prowadzącą na małe

podwórko. Obowiązkowa grusza, lipa i jabłoń skłaniały swe wiekowe gałęzie, a pilnujące porządku w obejściu psy podbiegły, machając przyjaźnie ogonami. Z daleka było widać, że są przyzwyczajone do wizyt obcych i oczekują od nich nie tylko zainteresowania, ale i smakołyków. Nie przewidział tego, ale jako właściciel wilczarza irlandzkiego, który też nie stronił od psich przysmaków, w plecaku miał jakiś zapas. Obdzielił nim sprawiedliwie parę kundelków i podrapał je po grzbietach. Na razie szło mu jak z płatka. Pełen nadziei podniósł się i ruszył w stronę drzwi.

Za Radzyminem zaczęło nieśmiało zmierzchać. Ostre jeszcze słońce wisiało nisko nad horyzontem i coraz częściej znikało za kępami drzew. Przez Marki i centrum przejechała bez problemu. Jakiś kilometr przed domem rodziców zatrzymała się na chwilę na stacji benzynowej. Kupiła opakowanie ibupromu; nie była pewna, czy w domowej apteczce coś znajdzie. Bała się, że bez pigułki przeciwbólowej jej codzienne leki nie wystarczą, żeby przespać chociaż parę godzin. Jechała powoli pustoszejącymi uliczkami, coraz dalej od serca miasta.

Teraz dopiero zaczynała pojmować niezrozumiałą niezgodę na to wypchnięcie jej na głębinę bez chwili na ostatni oddech. Tłumaczyła ją sobie na wszelkie możliwe sposoby przez te wszystkie miesiące. I za każdym razem wspomnienie łagodnego uśmiechu Kosmy, jego szczerych oczu i słów o nich, o ich przyszłości, którymi karmił ją jak ciastem wyjętym prosto z pieca, było jak nagły niespodziewany krzyk wśród tysięcy myśli przychodzących jej do głowy zawsze wtedy, kiedy próbowała nakazać swojemu wewnętrznemu wzrokowi zajrzeć mu za plecy i zobaczyć jego drugą twarz. Nagle okazało się, że tej twarzy nie było. Że był tylko jego strach przed jej drugą twarzą, którą bał się zobaczyć po tym, kiedy powie Matyldzie prawdę. Jak bardzo ten strach odsunął go od ich świata, w którym już nic nie miało być twardsze od fundamentu szczerości? Tego

fundamentu, którego nowe znaczenie poznawali właściwie po raz pierwszy...? Czuła nieznany posmak wymykającej się rozumowi ulgi, że jednak ta niezgoda potrafiła wytrwać w niej aż do teraz i w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku odejść gdzieś, gdzie być może okaże się bardziej potrzebna. Na jej miejscu mościła się już bez skrupowania bezradność wobec czegoś, na co Matylda nie miała wpływu – niechcianych prezentów od losu, który zostawiał je pod drzwiami bez pokwitowania i możliwości zwrotu.

Bał się dzielić z nią ten lęk. I w końcu każde zostało samo ze swoim.

Kiedy podjeżdżała pod dom, paliło się już tylko światło w kuchennym oknie. Ojciec, jeśli jeszcze nie spał, czytał coś pewnie w łóżku przy nocnej lampce, ale z podjazdu nie mogła tego zobaczyć.

Pani Radecka musiała usłyszeć szum silnika, bo kiedy Matylda otwierała niezamknięte jeszcze na klucz drzwi, stanęła w korytarzu z bawełnianą ściereczką w dłoni.

– Już miałam dzwonić... Długo cię nie było, dziecko – powiedziała cicho i poprawiła spadający na czoło kosmyk włosów. Matylda wyraźnie zauważyła, że matka jest zmęczona i że widok córki całej i zdrowej przyniósł jej ogromną ulgę.

– Jestem. Jak dzieci? – Zdejmowała szybko sandaalki, patrząc cały czas uważnie na twarz matki.

– Śpią od jakiejś godziny.

– Mocno płakały? – Pocałowała ją szybko w policzek i minęła, kierując się w głąb mieszkania.

– Prawie wcale, aniołki...

– Ostatni raz zostawiłam je na tak długo – powiedziała cicho bardziej do siebie niż do matki.

Spory pokój nie był zupełnie ciemny. Oświetlały go dwie małe lampki

dające ciepły, słaby blask. Matylda podeszła do dwóch łóżeczek postawionych obok siebie. Dziewczynki spały spokojnie, obie na tym samym boku z rączkami uniesionymi do góry. Patrzyła z czułością na córki i dotykała ich maleńkich, chłodnych paluszków, gładząc delikatnie dołki ich dłoni opuszkami palca. Czy on czułby tę bezbrzeżną, niezwykłą miłość, jak ona teraz?

Siedziała przy oknie, jakby czekała specjalnie na niego. Zza szyby widział, jak mruży oczy wodnistej barwy, a poprzecinana zmarszczkami twarz krzywi się w uśmiechu. Paraskiewa lubiła gości, nawet takich niezapowiedzianych.

W środku było jak w chatce Baby Jagi. Ciemno, duszno i... jakoś tak tajemniczo. Rozejrzał się dyskretnie. Brakowało tylko kota i zwisającego spod sufitu nietoperza. Zamiast niego na powale dostrzegł okopcony woskową świecą krzyż, na ścianach wisiało wiele świętych obrazków. Przeważały ikony, niektóre zapewne starsze od gospodyni. Zwyczajne, wystrugane w kawałku drewna krucyfiksy, jakieś rodzinne pamiątki, pęczki ziół. Dokładnie tak to sobie wyobrażał, na dobrą sprawę niczym go to miejsce nie zaskoczyło. Pełno religijnych akcentów. Złe nie miało tu wstępu.

– Witajcie, matko – pozdrowił starą po przestąpieniu progu, jakby w odpowiedzi na jej zapraszający gest ręką. – Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

– Na wieki wieków! – Kobieta skinęła głową i dalej wpatrywała się w niego uważnie.

– Pomocy mnie waszej potrzeba, każą mi się na tamten świat szykować...

– Ja znaju, znaju, za czym ty prichodisz. – Paraskiewa mówiła z typowymi dla tego regionu wschodnimi naleciałościami. – Tylko ja stara

już, sił u mnie mało.

– A skąd wiecie, matko, co mnie do was sprowadza? – zapytał zaskoczony. Kobieta w odpowiedzi tylko wzniosła oczy ku górze i bezdźwięcznie wyszeptała kilka zdań modlitwy.

Szeptucha. Był u szeptuchy!

– Gardło u ciebie chore, ja to czuję. I niespokojny ty jeszcze z innych powodów.

– Proszę o modlitwę, to dla mnie ostatnia szansa.

– Słabam, ale pomocy odmówić nie mogę. Siądzie tam w kuchni przy stole i poczeka.

Czuł się w tym miejscu bezpiecznie, jakby bywał tu już wcześniej. Prawosławne krzyże, pięknie napisane ikony, miodowy zapach woskowych świec, które gospodyni rozstawiła w każdym kącie – wszystko to lekko go onieśmiało i sprawiło, że poddał się Paraskiewie bez wahania.

– Wo Imia Otca i Syna, i Swiataho Ducha. Amiń. – Stara stanęła przy nim i przeżegnała się. Powtórzył gest i czekał na ciąg dalszy.

– Sława Tobie, Boże nasz, sława Tobie... – Szeptunka mówiła coraz ciszej, jej głos zamierał i momentami prawie nie wydawała z siebie dźwięków. Płonącą świecę podniosła nad głowę Kosmy i kilkakrotnie uczyniła nią znak krzyża.

– Cariu Niebiesnyj, Utieszytielu, Dusze Istiny... – Słowa cichej modlitwy działały na niego kojąco. Bez sprzeciwu patrzył, jak kobieta w kawałek chusty przesypuje z paleniska sporą garść popiołu, zawiązuje w supeł i przykłada do jego szyi, klatki piersiowej, głowy i karku.

– Swiatyj Boże, Swiatyj Krepkij, Swiatyj Bezsmertnyj, pomiluj nas... – powtarzał jej słowa jak mantrę, prosząc o to zmiłowanie, jak o nic nigdy wcześniej nie prosił. Paraskiewa wciąż starała się zetrzeć z niego przy pomocy popiołu z uświęconych ziół wszelkie dolegliwości, jakby ścierała

gumką myszką błędy na zapisanej kartce.

– Hospodi, pomiłuj...

Resztę wizyty Kosma pamięta jak przez mgłę. Siedział odurzony woskowymi świecami i obserwował, jak szeptunka okadza go dymem z wielkiego narecza suszonych ziół. Zapachy mieszały się z sobą, kiedy wsunęła mu świecę w ściśnięte dłonie i okrężała go, wymachując dymiącym wiechciem. Wciąż szeptała modlitwy, których już nawet nie starał się zrozumieć. Na głowie rozłożyła mu białą chustę, a na niej umieściła włosie – długie, jakby z końskiego ogona. Przyłożyła świecę, spłonęło w okamgnieniu.

– Będzie dobrze, wszystko się ułoży. – Jej głos wyrwał go z letargu. Odruchowo zerknął na zegarek. Minęły niemal dwie godziny, odkąd wszedł do chaty szeptunki. Przysięgłby, że dopiero przed chwilą wysiadł z autobusu.

– Bóg zapłać, Paraskiewo. – Stał nadal przy stole, przestępując z nogi na nogę i nie wiedząc, co powinien teraz zrobić. Jasne było, że kobieta nie przyjmie zapłaty za wizytę i okazaną pomoc. Jak każda szeptunka uważała, że darem od Boga musi dzielić się z innymi z potrzeby serca, nie dla zysku. Najbezpieczniej było zostawić kilka złotych, za które przy okazji nabożeństwa kupi w cerkwi świece. Tak zrobił; wysypał na stół kilka piątek, na co gospodyni pokiwała z aprobatą głową.

– Pójdę ja do cerkwi, jak Bóg da zdrowie, i zapalę jeszcze za ciebie świecę. A teraz idź, mnie odpocząć trzeba.

– Nie wiem, jak się odwdzięczyć. Może drewna narąbię albo wody przyniosę? – Chciał się na coś przydać. Wydawało mu się, że te pięciozłotówki za nadzieję, którą mu dała, to zdecydowanie za mało.

– Gdyby ty miał jakiej słodkiej czykulady... – Paraskiewa urwała z nadzieją w głosie.

Kosma sięgnął do plecaka i bezbłędnie wymacał palcami tabliczkę mlecznego wedla, dziękując w duchu czerwonoustej ekspedientce z przydrożnego sklepiku. Słodczyce miał zjeść w drodze powrotnej, ale bez żalu podał czekoladę kobiecie.

– Gdybym wiedział, kupiłbym więcej!

– Jeszcze będzie okazja! Z Bogiem!

Uczepił się tej myśli i ruszył drogą przez las. Jeszcze będzie okazja! Jeszcze ma szansę!

Czuła, że ta niepotrzebna wyprawa do Blanes była jedną wielką historyczną mobilizacją, niemającą nic wspólnego z metodycznym działaniem, które pozwoliłoby jej osiągnąć zamierzony cel. Nie widziała go jeszcze przed sobą. Wiedziała tylko, że musi go sobie znaleźć szybko. Jak najszybciej.

Zrozumiała to zaraz po starcie, kiedy rozejrzała się po obcych twarzach w samolocie. Tłum, któremu nie miała nic do powiedzenia. W Marimurtrze spędziła tylko kilka godzin. Nie potrafiła ani się nią cieszyć, ani nawet spacerować pachnącymi alejkami. Zapachy południa, które zawsze wprawiały ją w lepszy nastrój, tym razem przepływały przez nią, najpewniej obrażone jej zupełnym brakiem zainteresowania.

Była niemożliwie senna i osłabiona. Ten stan utrzymywał się już od dobrych kilkunastu dni. Z początku nie zwróciła na to uwagi, składając to na karb najpierw przeżyć, a potem zmiany klimatu. Szybko jednak w dwójnasób zakręciło jej się w głowie na myśl, która otworzyła jej szeroko oczy – dosłownie i w przenośni. Przeliczyła dni, używając palców obu dłoni. Okres spóźnił jej się zaledwie kilka razy w życiu; kiedy długo chorowała na jakieś uporczywe infekcje i kiedy była w ciąży... Pokręciła głową, jakby zaprzeczała komuś niewidzialnemu, i oparła się całymi plecami o ławkę. Kończyła się sjesta. Prawie zupełnie pusty do tej pory ogród powoli zaczęli

zapełniać zwiedzający. Ciepło suchego powietrza i intensywny zapach nieznanych kwiatów potęgowały nierealność tej chwili, a myśli o przyszłości tworzyły korowód, który zdawał się bardziej rzeczywisty niż wibrujące wciąż otoczenie.

Nie mogła się mylić. Zresztą w tej kwestii nie pomyliła się nigdy. Nadmierna sennaś, zawroty głowy i mdłości; znała to aż za dobrze. Pierwszy raz przyszło jej to do głowy jeszcze w siedlisku, kiedy na wszelki wypadek odmówiła wina do kolacji. Wtedy nieznośne zmęczenie kojarzyła tylko z szybkim remontem stodoły, w którym uczestniczyła z ogromnym zapalem. I wtedy jeszcze był Kosma...

Wczorajszego wieczoru zrobiła to wyjątkowo świadomie.

A jednak pytanie Co teraz? mogła już zadać tylko sobie.

Nierzadko rozmawiali z Wiktorem, co by było, gdyby zdarzyło się jeszcze raz... Tu byli zgodni. Nie chcieli już dodatkowych trudów rodzicielstwa. Nie mogła sobie wyobrazić, żeby kolejny raz na własne życzenie narzucać sobie ograniczenia tak naprawdę w każdej dziedzinie życia. Tak myślała wtedy. Stała na tym stanowisku przez całe lata, nosząc w sobie niezachwianą pewność argumentów za nim przemawiających. Do teraz.

Miała wystarczająco dużo czasu na przemyślenia. Nie miała za to wpływu na druzgocącą dla niej decyzję Kosmy. Ale jeśli kiedykolwiek będzie umiała się z nią pogodzić, to stanie się to tylko wtedy, kiedy kolejnych nie będzie uzależniać od emocji noszonych od tamtego dnia jak druga skóra.

Wybrała klinikę, z której korzystały prawie wszystkie jej warszawskie klientki.

Lekarz podał Matyldzie rękę i pomógł jej zejść z wysokiego fotela. Naciągnęła dzinsy i nie zapinając ich, przeszła na leżankę.

Nie była zdziwiona, kiedy podczas standardowego badania mówił o zmianach w jej ciele zwiastujących ciążę. Nie komentowała. Milcząc,

trzymała ręce na brzuchu, patrzyła za okno i cierpliwie czekała na koniec badania.

– Ile ma pani lat?

Doskonale wiedziała, jak wygląda zwykłe badanie USG ciąży bez powikłań. Ciąży mnogiej również. Dyskretnie przyglądała się twarzy położnika od momentu, kiedy na ekranie monitora pojawiły się zbiory kropek i ciemnych plam, zmieniających szybko swoje kształty w miarę przesuwania głowicy aparatu po jej nażelowanym brzuchu.

W którymś momencie lekarz poprawił się nerwowo na krześle i przekręcił głowę na bok. Przez kilka długich minut słyszała tylko jednostajny szum urządzenia. Miała wrażenie, że doktor wraca głowicą aparatu do miejsc, które już obejrzał. Nie myliła się.

– Czy w pani rodzinie były przypadki ciąży mnogiej? – Drugie pytanie zabrzmiało zaraz po pierwszym z tym rodzajem stanowczości w głosie, który wymuszał na pytanym mówienie prawdy i tylko prawdy. Na moment wstrzymała oddech.

– Tak... – Rozjaśniające się z wolna oblicze ginekologa sprawiło, że zrobiło jej się gorąco. Spodziewała się tego pytania od dłuższego czasu. Gdyby nie padło, byłaby chyba nie mniej zaskoczona.

– W bliskiej rodzinie?

– Jestem mamą dorosłych bliźniąt – odpowiedziała, nie spuszczając oka z lekarza. Już wiedziała.

Mężczyzna oderwał na chwilę wzrok od migającego ekranu i spojrzał na Matyldę, unosząc brwi nad spokojnymi oczami, w których nie dostrzegła niczego, co mogłoby ją zaniepokoić.

– Pani Matyldo. – Lekarz wytarł lewą dłoń o nieskazitelnie biały fartuch. – Wygląda na to, że szczęście po raz drugi uśmiecha się do pani.

– To trzecia ciąża, więc... – Jeszcze nie mogła uwierzyć, że to się właśnie

dzieje.

– Jest pani w bliźniaczej ciąży, pani Matylldo. Albo w dwojacznej; w tej chwili jest jeszcze za wcześnie, żeby stwierdzić dokładnie jej rodzaj. Proszę spojrzeć! – odwrócił monitor w ten sposób, żeby mogła patrzeć swobodnie na ekran razem z nim. – Tu jest pierwszy maluszek, a tu... – Przekręcił zimną głowicę raz w lewo, raz w prawo. – A tu drugi. – Przesunął palec wskazujący lewej ręki na nieczytelną jeszcze dla niej drugą plamkę.

Matyllda w cieniach, kropkach i łukach próbowała dopatrzeć się swojego szczęścia; swoich dwóch szczęść...

– Na aparacie dopplerowskim obejrzymy sobie dzieci jeszcze raz dokładnie, ale dzisiejsze badanie nie wykazuje nic niepokojącego – mówił, wycierając delikatnie papierowym ręcznikiem brzuch Matylldy z nieprzyjemnej lepkości. – Z gratulacjami wstrzymujemy się zawsze do porodu; ciąża mnoga jest zawsze ciążą wysokiego ryzyka. Zapewne pani to wszystko już wie... A muszę dodać, że pani wiek w tym przypadku nie będzie naszym sprzymierzeńcem.

Matyllda usilnie starała się skupić na tym, co spokojnie tłumaczył jej położnik.

– To zrozumiałe; oczywiście. Dlatego nie planowałam ciąży. Zwyczajnie zawiodła mnie antykoncepcja. – Westchnęła. – Jak widać, los postanowił mnie w przewrotny sposób uszczęśliwić – mówiła poważnie z cieniem uśmiechu na twarzy.

Zapięła ostatni guzik cienkiej koszuli i usiadła na krześle naprzeciw lekarza. Próbowała panować nad gestami i głosem; gdyby ją znał, zauważyłby napięcie, jakie towarzyszyło każdemu jego słowu. Wszystko, co mówił od tego momentu, docierało do niej z małym opóźnieniem; część informacji ulatywała gdzieś w przestrzeń jak niewidzialne powietrze z jej przyspieszonych oddechów. Skonstatowała, że w jakiś dziwny sposób nie

czuje się zdruzgotana, mając w perspektywie samotne macierzyństwo z całym dobrodziejstwem inwentarza. Ale przez jeden krótki moment nie chciała być dorosła. Czekala ją powtórka, a ściagi będzie musiała napisać sama.

Życie za życie? Zadośćuczynienie w rozmiarze XL... Masz gest!

Panika szybko wzięła górę nad złością i w błyskawicznym tempie zaczęła przejmować kontrolę nad natłokiem wspomnień sprzed wielu lat. Matylda zaczerpnęła głośno powietrza i trochę za mocno powiedziała:

– Rozważam...

– Tak? – Lekarz podniósł wzrok znad pachnącej nowością książeczki przebiegu ciąży z radosnym bobasem na okładce i spojrzał na nią uważnie.

– Rozważam... – Patrzyła prosto w oczy położnika, jakby w kolorze ich tęczówek miała odczytać dalszą część zdania.

– Słucham, pani Matyldo. – Odłożył długopis na bok.

Słowa położnika rozmyły się w tym samym momencie, w którym dotarło do niej, że gdyby zgubiła te kilka kartek w kratkę ze słowami skreślonymi jego dłonią, gdyby ich nie było... Nawet bieliznę, z której ją ostatnio rozbierał, musiała wyrzucić, bo zniszczyła ją niechcący, wrzucając do białego prania szmaragdowy T-shirt... Nie miałyby, nie ma, nic więcej...

– Do końca pierwszego trymestru, podobnie zresztą jak i w pojedynczych ciążach, nic nie jest jeszcze pewne. Na pierwszym etapie co trzecia ciąża jest mnoga, jednak najczęściej jeden z płodów obumiera i rodzi się tylko jedno dziecko. – Kontynuował lekarz po dłuższej chwili milczenia. – Ale o tym też zapewne pani już wie. – Patrzył na nią badawczo.

– Tak, wiem. Pamiętam, czym jest resorpcja, znam też odpowiednie statystyki. I domyślam się, że szczęśliwy finał takich ciąż nie dotyczy zbyt wielu matek w wieku podobnym do mojego...

– Bądźmy dobrej myśli. – Położnik uśmiechnął się delikatnie do

Matyldy i pochylił nad kartką. – Dlatego skieruję panią do doktor Ryleckiej. To doskonały specjalista z wieloletnim doświadczeniem w prowadzeniu ciąży wielopłodowych. Powinna być pani w najlepszych rękach, tym bardziej teraz; stąd moja propozycja. Jeśli oczywiście zdecyduje się pani pozostać pacjentką naszej kliniki.

Dał jej tyle czasu na odpowiedź, ile potrzebowała.

– Rozumiem. I ufam pańskiemu rozeznaniu w tej kwestii.

– Doktor Rylecka to bardzo dobry wybór. – Machnął parafkę na ostatniej z recept. – Zleci też niezbędne badania i dokładnie ustali rodzaj ciąży; to dopiero siódmy tydzień, więc nie ma powodów do niepokoju, że coś w tej kwestii przeoczmy. Jeśli ciąża będzie rozwijać się prawidłowo, nie musi pani w jakiś szczególny sposób ograniczać swojej aktywności zawodowej czy ruchowej; w granicach zdrowego rozsądku oczywiście. Regularne wizyty i badania kontrolne wychwycą wszelkie nieprawidłowości, ale, miejmy nadzieję, w pani przypadku nie będzie to miało miejsca. Czy potrzebuje pani zwolnienia lekarskiego? – Uniósł wzrok znad gęsto zapisanej kartki.

– Nie... Jeszcze nie. – Zawahała się przez moment.

– W recepcji proszę ustalić datę następnej wizyty. Proszę też myśleć pozytywnie i dbać o siebie, rzecz jasna.

Wzięła z ręki ginekologa plik karteczek, a swoje czarno-białe szczęścia oddała na przechowanie bezzębnemu bobasowi z okładki.

Tak było lepiej... Tak było zdecydowanie lepiej...

Podobno miłość może się zacząć od jednego spojrzenia. W ich przypadku zaczęło się od listu. Przynajmniej u niego – wiedział o tym chwilę po sięgnięciu do koperty, którą upuściła w kawiarni. Ona potrzebowała więcej, chociaż tak naprawdę to musiał jedynie musnąć jej ucho swoim głosem. Umiał to robić jak mało kto. Przepadła. A później przepadło

wszystko.

Kosma siedział teraz w przedziale pociągu do Warszawy. Na białostockim dworcu zdążył tylko kupić kanapkę, którą jedynie kochająca matka sprzedawcy nazwałaby świeżą i pożywną. I tak nie miał ochoty na jedzenie. Za oknem było ciemno, w przedziale oprócz niego siedziały dwie dziewczyny, nieco dalej młody ksiądz. Kosma rozmyślał nad tym, co działo się w jego życiu przez ostatni rok. Miał świadomość, że były to miesiące skradzione losowi, że szczęście może go opuścić w każdej chwili. Nigdy się nie złamał, nie pojechał na Mazury, nie szukał jej. Takie spotkanie nie wchodziło w rachubę. Z rozmysłem strzaskał jej serce – cóż mógłby jej teraz powiedzieć? Że sam się dziwi, ale jeszcze żyje? I co z tego? To jakies wytłumaczenie?

Przez chwilę przyglądał się dziewczynom; jedną z nich miał dokładnie po przekątnej. Obcięta na zapałkę, najwyraźniej stylizowała się na chłopczycę, ale było w niej tyle seksapilu, że nawet wysokie, męskie buciory nie pozbawiały jej uroku. Tym bardziej, że opalony odcinek pomiędzy cholewką a nogawką obciętych krótko dżinsów zdawał się nie mieć końca. Skóra jej ud przypomniała mu o tabliczce mlecznej czekolady, którą zostawił na kuchennym stole w Czeremsze. Uśmiechnął się; dziewczyna zauważyła to i chyba błędnie zinterpretowała, bo teraz ona zaczęła przyglądać mu się ukradkiem. Mimochodem poprawiła białą bluzkę, pod którą dostrzegł kontury biustonosza. Push-up? Nie był pewien. Chyba nie! Ten rodzaj stanika, jak i wiele innych eksponujących kobiece dekolty, wymyślono w Kanadzie, w firmie Wonderbra. Powinien podzielić się tą wiedzą z posiadaczką najpiękniejszych nóg w przedziale?

Może gdyby była sama...

Może gdyby nie umierał. I gdyby gdzieś tam nie było kobiety, którą kochał.

Odwrócił głowę, co dziewczyna po chwili skwitowała cichym prychnięciem. Zamknął oczy i zatopił się w myślach. Prawie usypiał, kiedy w kieszeni odezwał się jego telefon. Umyślnie pozwolił, by niezawodna nokia zagrała niemal całą melodię. Voo Voo – od wielu tygodni jej nie zmieniał, i dziś wyjątkowo pasowała do jego sytuacji.

Jestem jak pijany, płaczę i cierpię

Jeżeli wiem – mówię, przedstawiam to sobie

Jestem jak pijany

Tam, gdzie nie ma śmierci,

Tam, gdzie się triumfuje – podążam

Jestem jak pijany

Obym nigdy nie zmarł, obym nigdy nie zginął...²

Odebrał, kiedy ktoś po drugiej stronie pewnie tracił już nadzieję na połączenie. Zdążył zerknąć jeszcze na wyświetlacz; zobaczył na nim policyjne kajdanki. Nie zdziwiło go to, w zasadzie mógł się spodziewać tego telefonu. Ewie Lorenz należała się relacja z wypadu na Podlasie.

– Co ty sobie myślisz? Że nie musisz się już meldować? – Podkomisarz zaczęła jak zwykle czule, później było już tylko lepiej. – Miałeś zadzwonić! Jaja ci pourywać to mało!

– Obudzisz syna, jeśli będziesz tak krzyczeć... – Zakrył słuchawkę dłonią, bo wydawało mu się, że jej donośny głos dociera do najdalszych siedzeń w przedziale. Młody ksiądz podniósł się z fotela, jakby chciał do niego podejść, ale zobaczywszy, że Kosma rozmawia, opadł z powrotem na siedzenie.

– To się zachowuj, jak trzeba! Gdzie jesteś? – Ewa zniżyła głos tylko trochę. Wciąż była zła, wiedział o tym.

– Już w pociągu. Wracam.

– Załatwiłeś coś? Jakies ślady ruskiej mafii? Coś, co może mi się przydać? – Najwyraźniej humor jej się poprawiał.

– Nie, mam za to trop do kryjówki ostatniego z żołnierzy zmokniętych, czy jakoś tak...

– Nie rób żartów z poważnych tematów!

– Rozkaz. Wpadnę, jak dojadę do Warszawy. Śpij dobrze! – Rozłączył się, nie dając jej szans na dalsze połajanki. Pracownica Komendy Stołecznej Policji Ewa Lorenz była jedną z niewielu osób, którym ufał i z którymi czuł się dobrze. Krótka chwila namiętności, jaka połączyła ich rok temu, błyskawicznie przerodziła się w prawdziwą przyjaźń. To ona

pomogła mu wcielić w życie plan wymyślony, by rozstanie z Matyldą przebiegło bez scen. I to ona pomagała mu przetrwać najcięższe tygodnie po tym, jak już stracił wszystko, co kochał. Nigdy nie wykorzystwała sytuacji, by się do niego zbliżyć. Pomieszkiwał u niej stanowczo zbyt często, ale na dobrą sprawę, odkąd jego przyjaciel Hub na dobre zaszył się na Mazurach, była jedyną osobą w stolicy, do której mógł się zwrócić o każdej porze dnia i nocy. No i jej syn, Piotruś, cieszył się z każdej wizyty wujka.

Schował telefon do kieszeni i odwrócił się do okna. W ciemnej tafli szkła odbijało się wnętrze przedziału. Dziewczyny zajęły się rozmową, za to ksiądz najwyraźniej miał do niego jakąś sprawę. Kosma dostrzegł, że młody duchowny podchodzi wolno, jakby nie był pewny, czy nie będzie przeszkadzał.

– Mogę się przysiąc na chwilę? – zapytał z nadzieją w głosie.

– Jasne, coś się stało?

– Ta piosenka z telefonu... Nigdy jej nie słyszałem.

– Zainteresowała księdza? To Voo Voo ze ścieżki dźwiękowej do filmu Krzysztofa Bukowskiego. Ksiądz jest młody, ale w zasadzie mógł to już słyszeć. Tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty pierwszy rok.

– Nie słyszałem. Jaki to film?

– Spodobałby się księdzu. *Zaćmienie Piątego Słońca*. Dużo w nim o azteckich wierzeniach, o końcu świata, o niespotykanej religijności w Meksyku, o ścieraniu się kultur.

– Jest coś czystego w tych słowach, w tej piosence...

– To jest chyba najciekawsze w tej historii. To wiersz indiańskiego poety, który z języka nahuatl przełożył Edward Stachura. Może dlatego tak do księdza trafia?

– Stachura? Nie wierzę...

– Szczerze mówiąc, żaden to dla mnie autorytet. – Kosma powoli się rozkręcał. Brakowało mu radiowego mikrofonu, więc skoro trafił się słuchacz, postanowił wykorzystać sytuację. – Niezbyt szanuję go za postawę życiową, ale nie mnie go oceniać. Warto jednak pamiętać, że miał dryg do języka hiszpańskiego, z którego dość swobodnie tłumaczył na polski.

– Nie wiedziałem...

– Luis Borges, Octavio Paz... I indiańskie podania. Takie jak to z piosenki. Rząd meksykański ufundował mu nawet roczne stypendium, które wykorzystał na poznanie kultury Majów.

– Ciekawe...

– Dziesięć lat później powiesił się w swoim pokoju. Indiański poeta niewiele mu pomógł. – Urwał, po czym się zamyślił. Do końca podróży nie odezwali się już słowem, każdy z nich myślał o czymś innym. A może o tym samym?

Duchowny wysiadł gdzieś po drodze, dziewczyny zebrały się zaraz po nim. Gdy Kosma stanął na peronie warszawskiego dworca, było już lekko po północy. Zbyt późno, żeby dzwonić po Ewę, pomyślał. Na pewno śpi obok Piotrusia. Najchętniej złapałby najbliższy pociąg do Łodzi i zaszył się w swoim pokoju. Chciał to wszystko przetrwać i oswoić, chciał się też porządnie wyspać. Nie czuł się za dobrze, gardło dawało się we znaki. Uporczywe pieczenie i drapanie doprowadzało go momentami do szału. Ale obiecał Ewie, że się odezwie, i nie chciał łamać danego słowa. Zrezygnowany poszedł w stronę postoju taksówek. Jechali w milczeniu. Kierowca musiał mieć niewielki staż w zawodzie, bo w przeciwieństwie do swoich doświadczonych kolegów nawet nie próbował zagadywać pasażera. Kosma był mu za to wdzięczny, co wyraził odpowiednim napiwkami.

Światła w nowym bloku były w większości wygaszone. Kosma miał do

wyboru albo zadzwonić domofonem i poderwać na równe nogi wszystkich w mieszkaniu, albo spróbować esemesem dać znać Ewie, że jest już na miejscu. Wybrał drugą opcję. Nie minęło więcej niż piętnaście sekund, kiedy jego telefon znów zagrał starą piosenkę Waglewskiego. Tym razem odebrał zdecydowanie szybciej.

– Tak?

– Nie ma obaw, że kogoś zbudzisz. Piotrusia nie ma, śpi dziś u kolegi. Wchodź, czekałam na ciebie. – Wbrew temu, co mówiła Ewa Lorenz, jej głos brzmiał, jakby dopiero się obudziła.

Na górze wziął prysznic i przebrał się w dyżurny dres, który zostawił na Sadybie specjalnie na takie okazje.

– Kiedyś zaprosisz tu kogoś i ten męski ciuch będzie, jak by to ująć, dowodem w sprawie! – zaśmiał się, wychodząc odświeżony z łazienki.

– Walić to! Moje mieszkanie i moje prawa. Jesteś głodny?

Nie był, ale nie wypadało mu nie skosztować przygotowanej przez policjantkę kolacji. Uśmiechnął się więc potakująco i usiadł przy oknie w kuchni. Zawsze rywalizowali o to miejsce, swobodnie mieściło tylko jedną osobę. Przy Piotrusiu zachowywali dystans, ale kiedy byli sami, po prostu siadała mu na kolanach. Dziś z trudem się przed tym powstrzymała.

– Musisz być zmęczony. Może nie siedźmy za długo?

– Dobrze, że cię mam...

– Chciałbyś! – Postawiła przed nim dzbanek z herbatą. Zdążyła się już nauczyć, że jedna szklanka mu nie wystarcza, potrzebował ich zwykle więcej.

– Byłem u tej szeptunki, wiesz?

– Wiem, wiem... Lepiej ci teraz?

– Powiedziała, że będzie dobrze. Myślisz, że... – Dalsza część pytania zawisa gdzieś między nimi, niewypowiedziana. Ewa milczała przez chwilę,

zbierając myśli. Stanęła za nim, opierając łokcie na jego ramionach, i pochyliła się, przysuwając jednocześnie usta do ucha mężczyzny.

– Posłuchaj, nie znam się na tym – wyszeptała. – Ale wiem, że zasługujesz na kilka szans, nie tylko na jedną. Więc tak, myślę, że będzie dobrze. O to chciałeś zapytać, prawda?

Odsunęła się od niego. Włosy Kosmy pachniały teraz jej szamponem, wcześniej wyczuwała słaby, miodowy zapach świec. Chciała o to zapytać, ale zrezygnowała. Mają sporo czasu, a jeśli nawet usną, to jutro też jest dzień.

– Pościeliłam ci u Piotrusia, ale myślę, że możesz dziś wyjątkowo przyjść do mnie i zdać relację z całej wyprawy.

– Daj spokój, mam co prawda chore gardło, ale inne narządy całkiem sprawne. Zacznieś mnie molestować, ja się będę coraz słabiej opierać i... hmmm, z opowieści nici.

– Głupek! Idę umyć zęby i czekam na ciebie.

– Normalnie potraktowałbym to jako zapowiedź udanego seksu. A ty każesz mi mówić o starej babie z Podlasia!

– Taka karma. Każdy ma taką babę, na jaką zasłużył.

Każdy ma to, na co zasłużył, powtórzył w myślach i dolał sobie herbaty. Pił tylko earl grey, czasem dorzucając mały plaster cytryny. Po dobrą mieszankę był gotów zjechać pół miasta. To była jedna z jego kilku małych przyjemności. Wstał od stołu i schował resztki kolacji do lodówki, opłukał talerze i wpakował je do zmywarki. Słyszał, jak Ewa wychodzi z łazienki i znika w swojej sypialni. Kiedy do niej wszedł, spała już w najlepsze. Noc była ciepła. Pod cienkim prześcieradłem, którego używała zamiast kołdry, widział zarys jej piersi. Spod materiału wystawało udo; zgasił lampkę i delikatnie poprawił okrycie. Po cichu wycofał się do pokoju obok i położył się na przygotowanym materacu. Łóżko chłopca było dla niego za małe,

musiał podkulić nogi. Wiedział, że jeszcze nie zaśnie, był za bardzo zmęczony i przegapił punkt krytyczny. Pstryknął radio w dziecięcym budziku i przez chwilę szukał właściwej stacji. Znalazł taką, w której prowadzący nocny program nie narzucał się słuchaczowi. Leżał nieruchomo, rozmyślając.

Sięgnął wreszcie po telefon. Miał w aparacie kilka zdjęć Matyldy. Jedno z Łodzi, kiedy przyjechała do niego pierwszy raz, z parku Ocalałych. Całowali się wtedy w samochodzie. I kilka z mazurskich ostępów, głównie z posiadłości, którą dla nich kupiła. Wymyślił sobie, że ze starej stodoły zrobią budynek mieszkalny, a w miejscu dotychczasowego domu stanie jej pracownia.

– Co teraz robisz, kochana? – zapytał szeptem. Radio damsko-męskim duetem natychmiast dośpiewało resztę.

*Przyjdź pomilczeć ze mną dziś,
tak jak ja, bliźniaczo jesteś bezsenna.
Przyjdź, przetrwajmy razem noc
aż po świt, blady poranek, tu bądź...³*

Leżała z szeroko otwartymi oczami. W pokoju unosił się delikatny zapach maleńkich ciałek, którego nie dało się pomylić z żadnym innym. Dzieci spały cicho i spokojnie. Co jakiś czas któreś śmiesznie posapywało. Mogłaby przysiąc, że na ten dźwięk sama strzyże uszami jak czujny zając pod miedzą. Płytkiego snu nie pozbyła się chyba nigdy, odkąd została matką. I tak nie mogła zasnąć. Była pobudzona wewnętrznie, gotowa do skoku...

Przekręciła się na łóżku w taki sposób, żeby widzieć łóżeczka. Za kilka dni znikną z tego pomieszczenia. A może rodzice po jej wyjeździe nic nie zmienią...? Tu, w tym pokoju z szerokim oknem wychodzącym na ogród,

czuła się naprawdę bezpiecznie. Zajmowała go, będąc jeszcze dzieckiem, a potem grzeczną nastolatką. Pokój z mamą za ścianą, jej najlepszym przyjacielem, i ojcem, który może nie zawsze akceptował jej wybory, ale wspierał we wszystkim, co sobie wymyśliła. Tu mogła oddychać spokojnie. Miała świadomość, że zawsze ma gdzie wracać. Gdzieś, gdzie oczekuje się jej z niecierpliwością i z jej ulubionym jabłecznikiem na stole...

Jeśli kiedykolwiek zastanawiała się nad słusznością decyzji podjętej kilka miesięcy wcześniej, to teraz miała już pewność, że to właśnie chce zrobić. Wszystko jedno, gdzie będzie, musi nauczyć się żyć bez niego i w końcu przestać uciekać. Wreszcie zdała sobie sprawę, że przed wspomnieniami i przed tą miłością, która tkwiła w niej jak wysokiej jakości bypass, nie było sensu uciekać. Jeśli los pozwolił płynąć jej krwi w tak niezwykle sposób udrożnioną arterią, to zachowa się jak wzorowy, odważny pacjent – zrobi wszystko, żeby nie zmarnować wysiłku włożonego w bądź co bądź nowe życie. I tak do tego podeszła; życie zamiast śmierci, której zbyt długo pozwalała zaglądać do okien...

– Moja droga, wiem, o co cię proszę: żebyś zostawiła miejsce, w którym czujesz się bezpieczna. I wiem też, że dla sukcesu zawodowego nie zapomnisz o tym, co jest w życiu najważniejsze. – Głos Violi był słyszalny w słuchawce tak dobrze, jakby ta stała gdzieś obok, a nie była oddalona od swojej rozmówczyni o parę tysięcy kilometrów.

– Nie poświęcę się teraz pracy w stu procentach, Violu. – Matylda zareagowała zdecydowanie.

– I nie tego od ciebie oczekuję. Chcę, żebyś patrząc mi na rękę, weszła w tryby tej maszyny w swoim tempie; zdrowym dla ciebie i dla dzieci. Mój organizm coraz częściej mi przypomina, że nie mam już dwudziestu lat. Ba! Trzydziestu nawet. Zdarza mi się omijać z tego powodu pracownię, rezygnować z intratnych zleceń i nie pojawiać się tam, gdzie zwyczajnie

powinnam być.

– Przecież możesz zwolnić tempo. Masz silną pozycję na rynku, jakość! Masz wyrobioną markę, Violu.

– Wszystko się zgadza. – Gdzieś w tle rozmowy Matylda słyszała jakiś nieznaną jej śpiew ptaka. – Brakuje mi tylko jednego.

– Tak?

– Następcy.

W słuchawce dało się słyszeć długie westchnienie, a potem chwilę zupełnej ciszy.

– Nie mam komu powierzyć tego, co tworzyłam przez lata. Brak mi kogoś, kto będzie w stanie docenić ten wysiłek. Docenić, dodać coś niezwykłego od siebie i pozwolić mi uwierzyć, że nie zmarnowałam czasu.

W słuchawce znowu zapadło milczenie. Matylda pozwoliła sobie potowarzyszyć malarce.

– A jeśli mnie przeceniasz? – zagadnęła w końcu.

– Zapominasz o moim doświadczeniu. Potrafię wyłuskać talenty tak samo dobrze jak oddzielić ziarna od plew. A twoje wykiełkowało już dawno. Wiem, że to rozumiesz.

– Rozumiem – odpowiedziała spokojnie Matylda. – Potrafisz zaskakiwać jak mało kto.

– Nie: kto, ale kogo. Najzdolniejszych – podchwyciła Viola. – W moim domu jest dużo kolorów, ale coraz mniej życia.

– Dobrze to przemyślałaś?

Pytanie na moment zawisło w powietrzu.

– Oddałabym ci klucz do serca światowej mody. Ty musiałabyś go tylko przekręcić. Z moją niewielką pomocą.

– Wiesz, że skończyłby ci się święty spokój?

– A wyglądam na kogoś, kto potrzebuje go w nadmiarze? – Malarka

zaśmiała się serdecznie. – Posłuchaj... – zniżyła głos. – Chcę mieć kogoś na stare lata, kogoś, kto patrzy w tę samą stronę. A że byłoby trochę głośniejsze...?

– Podwójna moc decybeli – weszła jej w słowo Matylda, uśmiechając się do siebie.

– Zagłuszyłyby kroki starości. I samotności...

Propozycja Violi z początku wydawała jej się absurdalna i w pierwszym momencie odrzuciła ją zupełnie. Ale zmiany i perspektywy, nie tylko dla niej, ale i dla dzieci, nie dawały jej spokoju. Nie miała nic do stracenia – oprócz samotnych nocy i dni podobnych do siebie jak dwie krople wody. Chciała żyć, nie tylko oddychać. Jeśli nie podejmując wyzwania, zgodzi się tylko podtrzymywać funkcje życiowe, to równie dobrze mogłaby wyrazić zgodę na odłączenie aparatury już dziś... Nie zgodziła się.

Zanim dowiedziała się, że po raz kolejny zostanie mamą, od dobrych paru miesięcy realizowała w zaciszu mazurskiej pracowni swojej wieloletniej przyjaciółki, Xeni, projekt, dzięki któremu mogła pozwolić sobie na tworzenie własnego miejsca na ziemi. Przez prawie rok przygotowała dziesiątki metrów tkaniny malowanej czasochłonną, ale niezwykle efektowną techniką batikowania dla włoskiej pracowni artystycznej ze słonecznej Lombardii. Miała zaszczyt być mocnym ogniwem międzynarodowego zespołu uznanej włoskiej malarki polskiego pochodzenia. Pani Mancini nauczyła ich starej jawajskiej metody barwienia i zdobienia jedwabiu. Stworzone z tak przygotowanej tkaniny kostiumy miały grać jedną z głównych ról w musicalu wystawianym na scenie mediolańskiego Arcimboldi. Sztuka już na etapie doboru artystów, reżyserów i scenografów wywołała niemałe poruszenie w kulturalnym świecie nie tylko samych Włoch.

Długo oczekiwana premiera przedstawienia odbyła się wiosną tego

roku. Jej sukces przeszedł najsmielsze oczekiwania producentów przedsięwzięcia, a pracownia Violi Mancini, chociaż rozpoznawalna od wielu lat, w świecie europejskiej mody zyskała dodatkowy rozgłos, klientelę, a co za tym idzie, masę nowych zamówień. Chociaż Viola już dawno przekroczyła sześćdziesiątkę, musiała po raz kolejny stanąć na wysokości zadania i wyjść naprzeciw potrzebom artystycznego rynku w szerokim znaczeniu tego słowa. Ożywił model swojej pracowni w taki sposób, żeby szła ona z duchem czasu, jak robiła to z powodzeniem do tej pory. Wtedy właśnie w pełni stało się jasne, że signora Mancini potrzebuje kogoś młodszego, zdolnego i zaangażowanego artystycznie równie mocno, jak ona sama. Kogoś, dla kogo pędzle i farby były czymś więcej niż tylko kawałkami drewnianych patyczków czy flakonikami kolorowej cieczy, którą z trudem zmywa się ze ścian, podłogi i rąk. Potrzebowała kogoś zakochanego w kolorach i sztuce.

Matylda oprócz tych dwóch miłości i talentu miała jeszcze słabość do Południa. Od zawsze. Kiedy więc początkowe wątpliwości zdążyły nieco osłabnąć, dostrzegła w tej propozycji szansę dla siebie.

Odnaleziony dzisiaj list od Kosmy zdjął z niej ciężar oczekiwania na obiecujące jutro. Przed sobą miała dziś, a z wczoraj spakowała tylko to, co najlepsze. Oczyszczył jej serce z oskarżeń, które uparcie próbowały zawłaszczyć sobie miejsce w jej świadomości. I podświadomości usilnie ściągającej ją na tory działań, co do których słuszności nie była przekonana. Był jak dodatkowy bilet, na którym wreszcie dopisano miejsce siedzące.

Ten prawdziwy leżał teraz spokojnie w szufladzie razem z paszportami jej i dziewczynek. Lot do Mediolanu wyznaczony był na niedzielę. Dokładnie za tydzień.

– Kosma... – szepnęła w noc. Dźwięk jego imienia wciąż wywoływał w

niej czułe drżenie, nawet jeśli wypowiadała je tylko w myślach. – Kosma...

Spojrzała za okno. Ciemne, bezgwiazdne niebo i nic poza nim. Usnęła zmęczona.

¹ Andrzej Zaucha, *C'est la vie – Paryż z pocztówki* (sł. Jacek Cygan).

² Voo Voo, *Jestem jak pijany* (sł. Edward Stachura).

³ Krzysztof Krawczyk, Katarzyna Nosowska, *Bezsenni* (sł. Katarzyna Nosowska).

DZIEŃ DRUGI

Właściwie nie miał się dokąd spieszyć. Co prawda obiecał sobie i lekarzowi, że zgłosi się do ośrodka w ciągu kilku dni, ale był na tyle przezorny, by nie ustalać szczegółów. Zresztą profesor nie nalegał. Przez ostatnie miesiące kilka razy dał się już Kosmie oszukać, więc przy ostatniej wizycie na jego „Będę niebawem” skinął po prostu głową i wrócił do swoich zajęć. Gdyby nie znajomość z teściami pacjenta, dawno straciłby do niego cierpliwość i machnął nań ręką.

Kosma z nudów chciał podjechać do NTV, wykorzystując fakt, że Ewa zbierała się do pracy i mogła go podrzucić do miasta. W połowie drogi rozmyślił się; nie miał w Warszawie za wiele czystych ciuchów na przebranie, a nie wypadało pokazywać się w budynku czołowej stacji telewizyjnej w kraju we wczorajszej garderobie. Stary dres i kilka koszul na zmianę w mieszkaniu policjantki to zdecydowanie za mało. Był flagowym głosem tej stacji; doskonale zdawał sobie sprawę, że jego przedłużająca się absencja w połączeniu z niezbyt świeżym wyglądem mogłaby stać się pożywką dla plotek. Nie było mu to potrzebne, jeśli miał wiązać z tym miejscem jeszcze jakieś nadzieje.

Miał? Sam bił się z myślami.

– Wysadź mnie tu, proszę. – Wskazał ręką na niewielki parking przy starym domu handlowym.

– Nie jedziemy do telewizji? – Ewa zwolniła i wrzuciła kierunkowskaz, posłusznie zjeżdżając na bok. – Nie mam za dużo czasu na wycieczki po mieście.

– Przepraszam, rozmyśliłem się. Sprawdzę coś jeszcze i chyba będę wracał do Łodzi.

– Coś się stało? Jesteś dziś lekko nieobecny. Może za dużo się nawdychałeś u szeptuchy?

– Chcę trochę pomieszkać w domu. Ciągłe mnie gdzieś nosi.

– Niech cię zanieś do szpitala, Kosma. Nie chciałam tego mówić wprost, ale schudłeś, wyglądasz źle, mówisz z coraz większym trudem. Boję się o ciebie.

– Ja też, naprawdę. To nie jest tak, że o tym nie myślę. Ale ona powiedziała, że jeszcze się spotkamy...

– Jaka ona?

– Szeptucha, wczoraj.

– Ocipiałeś? To stara baba żyjąca bez prądu. Namruczała ci jakichś zaklęć i teraz będziesz się tego trzymał?

– Nie mów tak! To jedyne, co mam. Ta nadzieja. Nie rozumiesz tego? – Spojrzał na nią jak zbity pies.

– Nie do końca. Jesteś pod opieką dobrego lekarza, są procedury medyczne, masz wokół siebie ludzi, na których możesz polegać. A ty wyskakujesz ze starą Parasolką?

– Paraskiewą! – poprawił ją odruchowo.

– Spieprzaj. Jeśli nie będziesz się ratował, nie chcemy cię więcej widzieć. Ani ja, ani mój syn, rozumiesz?

Wysiadł bez słowa, a ledwie zdążył sięgnąć po plecak, Ewa ruszyła z piskiem opon. Drzwi trzasnęły głucho, jakby zamykał się jakiś etap ich relacji. Co chciała mu tym powiedzieć? Że to wszystko zabrnęło za daleko? Że będzie musiał określić, jaką rolę odgrywa w życiu jej i Piotrusia? Że ona potrzebuje czegoś więcej niż przyjaźni? Dlaczego właśnie teraz? Czyżby coś przeoczył? Nie było sensu mnożyć pytań; nawet jeśli na część z nich

domyślał się odpowiedzi, miał teraz co innego na głowie.

Ruszył w stronę Żółtej Cizemki, miejsca, w którym los połączył jego i Matyldę wiele miesięcy temu. Zgubiła tam list, on go odnalazł i odpisał, wierząc, że jego autorka poczuje ukłucie podobne do tego, jakie przeszło jego serce, kiedy trzymał w dłoniach kopertę. Nie pomylił się; odpowiedziała, a później mogli już snuć razem plany na przyszłość. Jak w bajce, z tym tylko zastrzeżeniem, że zapomnieli o złym wilku. Ale wilk wkrótce przypomniał sobie o nim.

Wszedł do lokalu, w którym nie był przez ostatnie pół roku. Niewiele się tu zmieniło: przytulne wnętrze zapewniało przyjemny chłód i sugerowało miejsce idealne na małą kawę w środku dnia. Miał nadzieję, że spotka za barem Izę. Dziewczyna odegrała niemałą rolę w tej historii, stając się po trosze jego powiernikiem, posłańcem i... Tak, spali ze sobą raz czy dwa, bo taki już był. Brał to, co dostawał od życia. A jak chciał więcej, to po to sięgał. Iza była inteligentną i czytaną młodą kobietą, dla której faceci w jego wieku gotowi byli tracić głowę i wszystko, co tam jeszcze mieli. Jej spodobał się jego urok, połączenie dojrzałości i chłopięcego pierwiastka, który sprawiał, że czuła się przy nim jednocześnie bezpieczna i szczęśliwa. Choć to szczęście mierzyła tylko w chwilach. Poszła z nim do łóżka bez zastanowienia, jakby znali się dłużej niż te kilka tygodni, odkąd trafił do niej przypadkiem. Ufała mu i podobał jej się jego głos. Czego chcieć więcej?

Kosma usiadł przy stoliku i rozejrzał się po lokalu. Przy barze stała nieznana mu brunetka, która widząc nowego klienta, sięgnęła po kartę i podeszła z uśmiechem na twarzy.

– Dzień dobry!

– Dzień dobry. Poproszę o herbatę. I coś na słodko.

– Tarta z wiśniami?

– Kiedyś już to tutaj słyszałem... – Uśmiechnął się pod nosem i dodał: – Tak, poproszę. Czy Iza będzie dziś w pracy?

– Iza? – Dziewczyna powtórzyła imię po cichu. – Ona już tu nie pracuje, proszę pana.

– O, nie wiedziałem. Coś się stało?

– Niestety, nie mogę powiedzieć nic więcej. Proszę wybaczyć, to jej sprawy osobiste. – Zabrała kartę i zniknęła za barem. Kosma siedział, wsłuchując się w szum maszyny przygotowującej wrzątek i stukanie obcasów kelnerki, która układała na tacy filiżankę i talerzyk z ciastem. Na pewno jest nowa, jeszcze nie wie, że w obcasach nie wytrzyma długo.

Stracił ochotę na jedzenie. Kontakt z Izą nie miał od dawna, w zasadzie odkąd poznał diagnozę, widzieli się tylko raz, kiedy trafił tu pijany. A dziś chciał ją za to przeprosić.

I za wszystko inne też.

Pił z przerwami od tygodnia, a tego dnia od paru godzin, najpierw w parku z jakąś grupką młodzieży, później w popularnym miejscu, gdzie serwowano czystą na kieliszki z grubo rżniętego szkła. Przegryzał z rzadka byle czym, więc alkohol szybko zrobił swoje. Wtedy miał jeszcze cichą nadzieję, że z każdą porcją, jaką wlewa w siebie, kolejny fragment jego gardła przestaje funkcjonować. Że po kawałku wypala nie tylko chorobę, ale i czas, jaki mu pozostał. Nie widział dla siebie ratunku, było mu wszystko jedno. Na dobrą sprawę nie pamiętał, jak dotarł na Bakaliową, a właściwie także po co – powinien już dawno kimać na leżance w mieszkaniu Huba. Póki jeszcze miał taką możliwość; stary kumpel coraz częściej wspominał o konieczności sprzedaży warszawskiego apartamentu. Odkąd przenieśli się z żoną na Mazury, ze stolicą łączyło ich coraz mniej. Kosma pomieszkował u nich okazjonalnie, podlewając kwiaty i odbierając pocztę. Niedługo jednak straci tę metę i będzie musiał pomyśleć o czymś

zastępczym.

– Niedługo? Jeśli dożyję do tego momentu – mruknął do siebie i wtoczył się do lokalu. To nie było miejsce na picie alkoholu, nawet w swoim własnym, sprawdzonym towarzystwie. Mieli dobre bajgle, serwowali świetną kawę i ciasta, można tu było pogadać o polityce, poplotkować... ale uchlać się? Nie tutaj.

Zobaczyła go z daleka i uśmiechnęła się z politowaniem.

– Nie mógłbyś przyjść jak normalny biały człowiek? Trzeźwy i pachnący?

– A co, Givenchy się ulotnił? – zapytał zaczepnie, pociągając nosem, choć przecież nie chciała wszczynać sprzeczki. Po prostu była zmęczona i miała zamiar w spokoju dokończyć pracę.

– Przestań, przyniosę ci coś do picia – powiedziała jakby na potwierdzenie. – Usiądź tam z tyłu, nie będziesz się rzucał w oczy.

– Kiedy ja właśnie chcę się rzucać w oczy. I w ogóle! – dokończył głośno, ale grzecznie pomaszerował do wskazanego stolika. Przyszła po chwili i postawiła przed nim wodę z cytryną oraz kubek z herbatą.

– Będziesz coś jadł? – zapytała, siadając obok i zdejmując buty. Poruszała palcami i włożyła obuwie z powrotem. Wyglądała na zmęczoną. – Rzadko tu przychodzisz, Kosma. Rzadko się odzywasz.

– To nie tak. O niczym nie wiesz...

– To mi powiedz. Ale nie teraz, kończę niedługo i wtedy pogadamy. Ja też chcę ci coś powiedzieć. Okej?

– Okej. Zmykaj do pracy – powiedział, nie patrząc jej w oczy. Podniosła się i wróciła za bar, przy którym robiło się już tłoczno. Kosma posiedział chwilę, wypił małymi łykami mineralną i wsunął banknot pod filiżankę z herbatą. Wyszedł, nie oglądając się za siebie, a jej wzrok wbity w jego plecy parzył go jeszcze z kwadrans. Po drodze zwymiotował w krzakach, brudząc

buty i spodnie. Miał dość; w mieszkaniu Huba zwałił się na kanapę i spał prawie do bę. Kiedy się ocknął, miał już pewność. Alkoholem nie załatwi tej sprawy. Ani tej, ani żadnej innej.

Pociąg do Łodzi włókł się niemiłosiernie i jak na złość dwa razy nieplanowanie stawał po drodze. Kiedy Kosma dotarł na Tymienieckiego, był już głodny, zmęczony i marzył tylko o długiej kąpieli. W kuchni zastał byłą żonę, córkę i psa; nie był pewien, czy ktokolwiek z tej trójki przyjął jego przybycie z radością. Kaśka wpatrywała się w niego pytająco, więc tylko kiwnął głową, że wszystko w porządku. Michalina cmoknęła go w policzek i wróciła do przerwanej opowieści, a Helmut ograniczył się do starannego obwąchania nogawek jego spodni. Był gościem we własnym domu; przez ostatnie miesiące odizolował się tak bardzo, że nawet kiedy chwycił za smycz, Helmut zamiast jak dawniej poderwać się ochoczo, w pierwszym odruchu szukał wzrokiem Michaliny – jakby chciał zapytać, czy wypada iść z tym panem...

– Dobrze, że was widzę razem – zaczął, siadając przy stole. – Jesteście takie piękne i kochane. Kocham was wszystkich. Ciebie trochę mniej... – zwrócił się do Kaśki. – Za to ciebie bezwarunkowo! – Tu złapał za ucho psa.

– Paliłeś coś? – Nagły przypływ dobroci ze strony byłego męża wydał się Kaśce podejrzany. – Wiesz, że nie możesz?

– Nie paliłem, nie piłem, nie używałem! Nie wdychałem niczego prócz dymu z miodowych świec. Musimy sobie takie kupić do domu!

– Gdzie byłeś? – weszła mu w słowo Michalina. – Mógłbyś z uwagi na swój stan informować mnie, że znikasz na dłużej?

– Jasne, teraz znikam w łazience, potrzebuję długiej kąpieli. Mogę?

– Nie rób jaj, tatuś. Wiesz, o czym mówię. Nie udawaj kozaka, bo większe kozaki widziałam u Lasockiego. Mam dosyć obchodzenia się z tobą jak z jajkiem! – Ostatnie zdanie musiała wykrzyknąć, bo zniknął w łazience

i odkręcił wodę.

– Nie denerwuj się – powiedziała cicho Kaśka. – Nie chciał ci mówić, ale pojechał na Podlasie, do jakiejś znachorki czy co...

– Do znachorki? – Michalina spojrzała na matkę jak na wariatkę. – Wiedziałaś o tym i go nie powstrzymałaś?

– Najpierw chciałam jechać z nim, później prosiłam, żebyśmy pojechali w trójkę, ale uparł się, że musi sam.

– Stary osioł.

– To jakaś szeptunka, modli się i takie tam.

– Profesor wie?

– Oszalałaś? Nie tylko nie wie, ale też nie może się dowiedzieć, i tak traci cierpliwość. Jeśli stracimy jego pomoc, ojcu nie zostanie już nic.

– Chyba że Kaszpirowski... – podsumowała z przekąsem Michalina.

– Boję się o tym myśleć. – Kaśka odpaliła papierosa i zaciągnęła się głęboko, nie rejestrując nawet, że sama wprowadziła przed laty zakaz palenia w mieszkaniu. Od tego mieli taras.

Nie wariujcie! – warknął przez sen Helmut. Już tam stara Paraskiewa wie, co robi. Mówię wam, będzie dobrze!

– Nie martw się, mamo! – Michalina jakby rozumiała, co pod nosem wymruczał ich mądry irlandzki wilczarz.

– Tak, córeczko, nie będę się martwić.

Od razu lepiej, pomyślał Helmut i machnął ogonem. Może kiedyś tu będzie jeszcze po staremu?

Zamykała pewien rozdział w swoim życiu. Tak przynajmniej zwykło się mówić w takich przypadkach. Tylko że to nie był pierwszy lepszy rozdział; ale dotychczas najważniejszy. I najtrudniejszy. Być może dlatego, że był jednocześnie początkiem i końcem; z dniami, kiedy z niecierpliwością czekała na noc, i z nocami, kiedy modliła się o świt. Z chwilami, o których

wcześniej nie śmiałyby marzyć i o których marzyła, żeby jeszcze kiedyś stały się jej udziałem.

Obudziła się przed dziewczynkami. Jej instynkt działał lepiej niż szwajcarski zegarek, regulowany niezmiennie od pół roku z podwójną systematycznością.

Za kilka dni nie będzie za ścianą matki stukającej w kuchni rondelkami i porcelaną oraz ojca szurającego kapciami po parkiecie pamiętającym parę politycznych przemian. Nie czuła się komfortowo z tą myślą. Bezpieczniej byłoby poprosić chłopców o zrobienie od czasu do czasu większych zakupów, samej dopilnować SenSualu; mieć ich wszystkich na wyciągnięcie ręki, chociażby tylko po to, żeby razem pomilczeć.

Nie mogła wiedzieć, co będzie dobre dla niej i dla dziewczynek. Tego nikt nie mógł wiedzieć. Mogła jedynie przeczuwać. A czuła, że tam, w Mantui, w wygodnej willi pani Mancini na włoskiej prowincji, czeka na nią coś obiecującego. Artystycznie – na pewno. O spełnieniu w uczuciach marzyła już tylko ukradkiem, czasami i w taki sposób, żeby przewrotność losu nie miała do tych marzeń dostępu.

W cieplej ciszy na bosy podeszła do łóżeczek. Dzieci nie przejawiały jeszcze oznak wilczego głodu, ale Matylda wiedziała, że to tylko chwilowy wczesnoporanny bezruch. Otworzyła szeroko drzwi balkonowe i wsunawszy stopy w dyżurne japonki, zeszła do ogrodu po dwóch szerokich stopniach. Stare wiązy, jabłoń i wieloletnie krzewy jaśminu tworzyły zieloną enklawę, odgradzając dom i jego mieszkańców od codziennego zgiełku stolicy. Przyjemny poranny chłód ogrodu studził jej rozgrzane snem ramiona i piersi. Zapewne jeszcze przez wiele tygodni będzie tęsknić za jego świeżymi zapachami i za poranną rosą pod stopami, na którą na południu Europy jak dotąd nigdy nie udało jej się trafić. Kiedy była małą dziewczynką, krzewy musiały być mniejsze, a drzewa mniej rozłożyste. A

jednak pamiętała ten ogród jak nieodgadnioną przestrzeń, której długo nie udawało jej się odrzeć z tajemnicy. Teraz wystarczyło zrobić kilka kroków, żeby dojść w jego najdalszą część. Nie znajdowała w nim nic niepokojącego, nic nadzwyczajnego; był przedłużeniem domu, bezpiecznego dzieciństwa, które z ufnością pozwoliło jej wejść w dorosłość. Zamarzyła, żeby kiedyś dziewczynki mogły poczuć to, co ona w tej chwili.

Przytrzymała ręką konar przysadzistej jabłoni. Niegdyś stale się na nim bujała i żeby go dosięgnąć, musiała wysoko podskoczyć. Teraz schylała pod nim głowę. Gdyby nie kwilenie dochodzące zza drzwi balkonowych, pewnie sprawdziłaby, czy stara gałąź utrzyma jeszcze jej ciężar. Dziś zabierała bliźnięta ze sobą do miasta. Logistyczna organizacja takiej wyprawy była dużo trudniejsza niż bujanie się na gałęzi...

– Nie odpowie mu pani? – zapytała okrągła jak księżyc w pełni młoda kobieta znad drobno zapisanej kartki tak, żeby pani Radecka, która zabawiała właśnie grzechotkami gaworzące niemowlęta w zacisznej części sklepu, nie mogła usłyszeć pytania skierowanego do jej córki. – To już trzeci bukiet w tym miesiącu.

– Nie... – odpowiedziała równie konspiracyjnym szeptem Matylda, bardziej rozbawiona rozmarzoną miną swojej pracownicy niż wystraszona tym, że matka może wziąć na poważnie ich wymianę zdań na temat nowych mężczyzn pojawiających się w życiu ukochanej jedynaczki.

– Musi być bardzo romantyczny! – ciągnęła dziewczyna, zatrzymując wzrok na bukietach wielkich kremowych róż, które swoją wonią przyćmiły aromat kominków zapachowych ustawionych dyskretnie w kilku miejscach salonu.

– Mhmm... – Matylda nie podejmowała wątku pewnego ewidentnie nią zauroczonego dyrektora spalarni odpadów medycznych w dawno zapomnianych już przez nią Dobroszkach, który od jej pamiętnego

wywiadu w telewizji śniadaniowej z uporem maniaka próbował ją przekonać, że jest dla niej jedynym kandydatem na towarzysza podróży w drodze do szczęścia. – Jeśli będzie następny, odeślij.

– Nigdy nie dostałam tylu kwiatów naraz. – Usta Niny ułożyły się w podkówkę.

– Jeśli jeszcze dotychczas nic nie zrozumiał – Matylda miała na myśli swój brak reakcji na niecodzienne przesyłki zalotnika – to, moja kochana, i tu rada na przyszłość, facet już niewiele zrozumie, teraz i później, że o wyciąganiu wniosków nie wspomnę. Więc? – Uniosła brwi i spojrzała na dziewczynę z błakającym się w kąciku ust słabym uśmiechem.

– Odesłać...

– Tak jest! Komplet faktur za ostatni miesiąc. – Zmianą tematu Matylda zaznaczyła, że dziś miłość, jakakolwiek by była, musi trochę poczekać na swoją kolej.

– Przygotowane, sprawdzone. – Czarnobrewa Nina, która niedawno awansowała na ekspedientkę w sklepie Matyldy, błyskawicznym przestawieniem się na tok myślenia swojej chlebowdawczyni udowodniła po raz kolejny, że zatrudnienie jej było jednym z lepszych posunięć w prowadzeniu SenSualu.

– Ten temat zamykamy. Zamówienia. – Matylda klepnęła dłonią okładkę albumu z bielizną pościelową, nie otwierając katalogu. – Tak jak ustaliliśmy wcześniej, przygotowaną propozycję przeglądam w mailu.

Ewa, zaufana pracownica i prawa ręka w pościelowym biznesie Matyldy, podeszła do kontuaru, korzystając z chwili, kiedy w sklepie nie było nikogo.

– Przypominam tylko, żebyście uważnie słuchały, czego klientom u nas brakuje, o co pytają. Zalegający towar to nasze pieniądze, których nie możemy wydać, czytaj: zainwestować. À propos inwestycji. – Matylda znów

skierowała wzrok na młodą brunetkę. – Rozmawiałaś z mamą o mocach przerobowych jej pracowni?

– Na początek może wyjdziemy od dwóch, trzech kompletów tygodniowo. Jeśli będzie zainteresowanie, mama z chęcią dostosuje się do naszych potrzeb; to znaczy do potrzeb SenSualu... – Mówiąc to, Nina podała swojej szefowej plik kartek z rozliczeniem dotyczącym cen za uszycie kompletów sypialnianych zasłon z tkanin dobranych do pościeli oferowanej w sklepie.

Rozszerzenie oferty salonu o starannie wykonane zasłony do sypialni było jedną z kilku propozycji dotychczasowej stażystki. Dziewczyna była naelektryzowana świeżą energią, której Matylda sama nie miała już od dawna. Potrafiła wprawdzie dostrzegać i wykorzystywać kolejne szanse czy nadarzające się okazje, ale nie miała już w sobie tej niczym niezmaconej wiary w nieunikniony sukces. Od jakiegoś czasu uważnie patrzyła pod nogi w poszukiwaniu kamyczka, o który mogłaby się potknąć. W Ninie rozpoznawała siebie sprzed lat; przebojową dziewczynę z szerokim uśmiechem, niewykrzywionym jeszcze grymasem drugiej twarzy, do której noszenia, jak tarczy, coraz częściej się zmuszała. Uważała siebie za wyjątkowo energiczną, tak w życiu prywatnym, jak i wśród zawodowych obowiązków... Ale czas musiał naoliwić mechanizmy hamujące tę energię, bo dopiero kontakt z tak młodymi ludźmi jak Nina uzmysławiał Matyldzie, że tak się rzeczywiście dzieje. Efekty działania tych mechanizmów miały jednak i swoje plusy. Zaliczała do nich rozważniej podejmowane decyzje; chociaż jeszcze rok wcześniej musiałyby te prawidła włożyć między bajki. Miłość i pożądanie rządziły się swoimi prawami i za nic miały metrykalną prawdę...

Ninie zawdzięczała też pomysł wykorzystania siły mediów społecznościowych, które z mocą wodospadu wdzierały się w codziennie

życie Polaków; dla SenSualu oznaczał on szybującą słupki sprzedaży i zaistnienie tam, gdzie poczta pantoflowa nie dochodziła. Dziewczyna poruszała się w wirtualnym świecie sprawnie i z dużą przyjemnością, Matyldzie zaś prawdziwą przyjemność i nie mniejszą ulgę sprawiało oddanie sklepu w ręce obydwu pań. Tymczasowo swoje musiała wykorzystać, biorąc na ręce jedną z dziewczynek. Zabrała ze sobą do sklepu matkę i dzieci. W rozmowie z pracownikami nie chciała pominąć niczego przed tak długą nieobecnością; wolała kontynuować odprawę z maluchami na rękach niż patrzeć nerwowo na zegarek.

– Słuchajcie, Włochy to nie koniec świata – powiedziała spokojnym tonem, patrząc w zaszklone oczy Ewy, jakby ciągle mówiła do jednej z córek, którą kilka minut wcześniej skończyła karmić. – Liczę na was; wicie dlaczego.

– Możesz jechać spokojnie. – Ewa próbowała ukryć wzruszenie. Lata bezkonfliktowej relacji z szefową sprawiły, że Matylda była dla niej kimś więcej niż tylko zwykłym pracodawcą. – Patrząc na ciebie, uważam, że zgrzeszyłybyśmy obydwie, gdybyśmy się upierały, że zostawiasz nas z trudnym zadaniem.

– Telefony awaryjne macie, instalacje są skontrolowane; cóż... – Matylda rozejrzała się po przytulnym wnętrzu sklepu. Na dużej ścianie, obok turkusów i żółcieni, zakwitł czerwienią kraśnik sześciopłamek, malowany jej ręką obraz wyjątkowej urody motyla, który powieliła zaraz po sprzedaży jedyne egzemplarza córce Kosmy, kiedy ta przypadkiem trafiła tu z ojcem w swoich wędrówkach po stolicy. Zapatrzyła się na czarne plamki na skrzydłach owada i przypomniała sobie, jak Kosma zaskoczył ją potem niezapowiedzianą wizytą w SenSualu. Uśmiechnęła się mimochodem na to wspomnienie. W takich momentach jej tęsknota była chyba bardziej wyraźna niż szczegóły budowy motyli na portretach, które z

powodzeniem grały rolę nietuzinkowych dekoracji do wyszukanych wnętrz. – Będzie mi brakowało tego miejsca – dokończyła, czując, jakby miała rozstać się i z tymi wspomnieniami, a rozłąka z nimi była o niebo trudniejsza. Niebo było też w oczach jej córek i w tej chwili zrobiłaby wszystko, żeby pozostało tak pogodne, jak dziś.

Telefon w jej torebce zabrzączał sygnałem przychodzącej wiadomości. Chłopcy mieli zajrzeć do dziadków przed jej wylotem. Serce pękało jej na dwoje, kiedy myślała o swoich dorosłych synach. Wciąż jeszcze uczyła się widzieć w nich mężczyzn, na których można polegać. Dzieliła swoją miłość uczciwie, a jednak ciągle jakaś jej część czekała na swoją kolej...

– Córeczko, Wiktor już jest. – Pani Radecka zajrzała do pokoju, uchylając drzwi.

Matylda wstała od swojego sekretarzyka i już na stojąco kliknęła myszką jedną z ikonek, zamykając wiadomość, którą przed chwilą odczytała. Korzystała z chwili popołudniowej drzemki maluchów, żeby zajrzeć do poczty i odpowiedzieć na niecierpiące zwłoki maile. Skończyła notować coś jeszcze na małym kartoniku z samoprzylepnym fragmentem. Zdążyła przykleić karteluszek na brzegu monitora, kiedy wszedł jej były mąż.

Od dnia, kiedy zniknął Kosma, a dokładniej mówiąc: od momentu, kiedy zobaczyła Kosmę z inną kobietą, spotkała się z Wiktorem zaledwie czterokrotnie. Dwa razy spotkanie miało miejsce na sali sądowej, raz w biurze notarialnym; ten czwarty rozmawiali ze sobą jeszcze w ich wspólnym mieszkaniu przed jej ucieczką do Blanes. Zresztą nigdy tak naprawdę nie powiedziała mu, że poleciała właśnie tam. To nie miało już wtedy najmniejszego znaczenia. Wydzwaniał do niej wówczas całymi dniami. Bał się o nią, bo pamiętał, w jakim stanie zostawił ją w domu, zakładając, że to tylko na kilka godzin. Namawiał ją wtedy na wizytę u lekarza. Sama czuła,

że powinna poprosić kogoś o pomoc, ale w kompletnie rozdygotanej rozpaczycy racjonalne myślenie i zdroworozsądkowa troska o samą siebie chwilowo nie miały do niej dostępu. I to przez wiele długich tygodni. Zresztą i tak nie pozwoliłaby sobie czegoś podać, tak na wszelki wypadek...

Musiał być najpierw wściekły, a potem zdrowo przestraszony, kiedy obok kluczyków od auta zobaczył kartkę z kilkoma słowami. Widok kompletnie rozbitej i zapuchniętej od płaczu Matyldy razem ze skreślonym naprędcie Nie szukaj mnie musiał być dla niego dużym szokiem. Mogło przecież wydarzyć się wszystko... I w tamtym momencie, była pewna, nie miało to znaczenia, że to nie on był przyczyną stanu, w jakim ją znalazł.

Kiedy w końcu odebrała od niego telefon, powiedział do niej zduszonym głosem zaledwie kilka słów. Gdy upewnił się, że nic jej nie jest, zapytał tylko, czy odebrać ją z lotniska, i poprosił, żeby więcej tak nie robiła. Potem wysłała mu wiadomość już z Warszawy, że jest w kraju cała i zdrowa. Na więcej wtedy nie miała siły. Wiktor chyba też, bo spotkali się dopiero kilka tygodni później w biurze notarialnym, przy okazji sprzedaży ich warszawskich czterech kątów.

Czy przez te wszystkie dni chciała do niego zadzwonić? Nie. Nie potrzebowała rozmowy z nim. Cóż mogłaby mu powiedzieć i o czym? O tym, że ziemia usunęła jej się spod nóg, bo dała się zmanipulować po raz drugi? Że znów trafiła na kogoś takiego jak on? Nie przytakiwałby głową ze zrozumieniem. Więc milczała.

Wiktor przez ten czas kontaktował się z nią tylko w tych sprawach, które wymagały udziału ich obydwójga. Był milczący, smutny i zdystansowany, chłodny i niezwykle spokojny, ale nie było w nim widać pogodzenia i tej charakterystycznej energii gotowej na to, co miało przyjść nowego. Mówił i robił tylko to, co musiał; oszczędny w gestach i bardziej stanowczy niż kiedykolwiek, jakby godzinami ćwiczył przed lustrem. Czasami miała

wrażenie, że odgrywa przed nią sztukę, a widz siedzi prawie na scenie i w pewnym sensie w niej uczestniczy. Widz ma oglądać spektakl, przyglądać się uważnie scenom, wyciągać wnioski i reagować. Czuła, że pod maską chłodu i lakonicznych wypowiedzi jest gdzieś ukryte oczekiwanie na jej ruch; słowa, gest, cokolwiek... Ale nie była tego pewna. Wtedy niczego nie była pewna. Niezliczone kombinacje pojawiających się i znikających w jakimś szalonym tempie emocji i następujących po sobie pustych, dziwnie mijających dni tworzyły mozaikę, której elementy wydawały się kompletnie do siebie niepasujące, a tym samym bez szans na stworzenie jakiegokolwiek czytelnego obrazu.

Przypomniała sobie, jak podszedł do niej na chwilę przed rozprawą na sądowym korytarzu.

– Nie wiedziałem, że jesteś w ciąży...

– Dlaczego miałabym ci mówić?

Mogłaby przysiąc, że zanim mu odpowiedziała, przez twarz przemknął mu cień ciekawości pomieszanej z nadzieją. Chwilę później wyraz oczu był już taki sam jak wtedy, kiedy przyszedł do ich prawie pustego mieszkania ze świeżymi bułkami i dżemem truskawkowym.

Sędzia spóźniła się wtedy dobry kwadrans, może więcej. W ciągu tych kilkunastu ciężkich minut pytali się wzajemnie o zwykłe sprawy bez większego znaczenia. Jakby chcieli zabić czas nic nieznaczącą rozmową w oczekiwaniu na coś równie nudnego. Ona była jednak napięta jak struna. Z niego niewiele mogła wyczytać. To była jej pierwsza w życiu sprawa rozwodowa; w tamtym momencie nawet myślenie przychodziło jej z trudem. Klepała coś trzy po trzy pod wpływem narastającego stresu. Sama nie wiedziała, czego w tej chwili chce.

– Jesteście razem? Coś się w końcu wyjaśniło? – zapytał ją w pewnym momencie.

– Nic się nie wyjaśniło. Jestem sama. – Jakąś odpowiedź musiała mu dać. Chciała powiedzieć jeszcze, że sobie radzi, ale to nie byłaby zupełnie prawda, więc zrobiła tylko krótki wdech i z powrotem zamknęła usta. Nie powiedział wtedy, że jej pomoże, gdyby czegoś potrzebowała, chociaż była pewna, że jeśli go o to poprosiła, nie odmówiłby. Ulga, którą poczuła w chwilę po wyczytaniu ich nazwiska na myśl, że przestanie jej wreszcie zadawać kłopotliwe pytania, błyskawicznie ustąpiła miejsca lękowi przed nowymi. Zniknęły natychmiast, kiedy przekraczała próg sali sądowej z kompletną pustką w głowie.

Kiedy wyszedł z łazienki, w mieszkaniu była już tylko Kaśka. Przewiązany ręcznikiem w pasie, odświeżony i pachnący, czuł się dużo gorzej, niż wyglądał. Zauważyła, że pod maską luzu próbuje chować swoje troski. Znała go na wylot, wiedziała, kiedy coś jest nie tak.

– Co tam ukrywasz? – zapytała, kiedy tak stał, milcząc. Pewnie zastanawiał się, co ona tu jeszcze robi.

– Jakbyś nie wiedziała... – Rozsunął nieco ręcznik, zerkając pod materiał. – Mam tu prawdziwy skarb.

– Też mi coś! – Prychnęła i przewróciła oczami. – Pytam, co cię gryzie. Twój skarb, a w zasadzie skarbuś, zupełnie mnie nie interesuje.

– Aha, więc to tak! – udał złość i mocniej zawiązał ręcznik. – Nie przeszkadzało ci, kiedy ten skarb chowałem do twojego... sejf.

– Nie pajacuj! Widzę, że coś jest nie tak. Lepiej się pośpiesz, bo Michalina wyszła z Helmutem tylko na szybkie siku.

– Chodzi o to, że... – Urwał w połowie zdania. Kaśka nie poganiała go, nie chciała zepsuć tej chwili, jednej z nielicznych, kiedy miała wrażenie, że wciąż są sobie bliscy. Tak przynajmniej to odbierała: jakby zależało mu na jej opinii, na tym, żeby była tuż obok.

– Chodzi o to, że słabnę – dokończył cicho.

– To normalne, Kosma. Czasem to organizm podpowiada rozwiązania. Musisz iść do szpitala. Może to jest właśnie ta podpowiedź?

– Wiesz, że to będzie mój koniec? – odpowiedział pytaniem na pytanie.

– Nie gadaj bzdur!

– Miałem sporo czasu na udzielenie sobie odpowiedzi na pytanie, czy tego chcę. Czy chcę żyć z rurką w gardle, z dziurą w przełyku. No i nie chcę.

– A ja nie chcę tego słuchać. Jeśli nie masz zamiaru zrobić tego dla siebie, pomyśl o mnie...

– O tobie?

– Dobrze, to o córce! – Nie dała się zbić z tropu. – Byłoby świetnie, gdybyś z pieprzonego egoisty zmienił się choć na chwilę w dobrego ojca. Jesteś nam to winien. Jej! – poprawiła się odruchowo.

– Nie szantażuj mnie w ten sposób.

Nerwowym ruchem poprawił włosy i spojrzał na nią ze złością. Albo z rezygnacją – nie była pewna.

– Jestem chory i równie dobrze mogę umrzeć tu, za chwilę. Za miesiąc. Dzień po operacji albo nawet w trakcie. Czy wtedy będziecie spokojniejsze?

– Nie rozumiem...

– Nie uczą was tego na tych medycznych uczelniach? Zawsze trzeba leczyć za wszelką cenę?

– Dalej nie rozumiem, o co ci teraz chodzi!

– O to, że czuję się, jakbym musiał iść do szpitala, żeby w razie czego zdjąć z was poczucie winy. Że nie dałyście rady mnie przekonać.

– To niesprawiedliwe!

Kaśka podniosła głos, choć wcześniej obiecywała sobie, że nie da się wyprowadzić z równowagi. Ale on był w tym mistrzem. I najwyraźniej dopiero się rozkręcał...

– Nic tu nie jest sprawiedliwe! Nie jest sprawiedliwe to, że rak dopadł właśnie mnie. Właśnie teraz, kiedy się szczęśliwie zakochałem. W momencie, kiedy zacząłem budować nowy dom.

– Wiesz co? Pierdol się! Tyle mam ci do powiedzenia.

– I twoja matka też! – zakończył kłótnię w zwyczajowy, od lat stosowany sposób. Ale wcale nie poczuł się lepiej.

Wstała od stołu i spojrzała na niego z mieszaniną nienawiści i lęku. Działo się z nim coś złego. Najwyraźniej nie był w stanie poradzić sobie z tymi emocjami. Nie wiedziała, jak mu pomóc. Ale była pewna, że on tej pomocy bardzo potrzebuje.

– Jutro mam się skontaktować z Klejmannem, zostawił mi wiadomość na sekretarce – rzuciła przez ramię, wychodząc z kuchni.

– Może potrzebuje viagry i liczy na rabat?

– Nie poznaję cię, Kosma. To nie są żarty faceta, którego zazdrościły mi koleżanki.

– Poczekaj trochę, wsadzą mi do przetyku takie coś, to koleżanki znów ci będą zazdrościć! Faceta z dwiema rurami!!

Wyszła, nie siląc się nawet na trzaśnięcie drzwiami. Za to on trzasnął pięścią w ścianę i syknął z bólu. Dlaczego to robi? Dlaczego pali za sobą najbardziej sprawdzone mosty? Przecież kąpiel zrelaksowała go na tyle, że chciał je nawet zabrać na spacer, po drodze kupić lody u Granowskiej. A tymczasem niewinna rozmowa przerodziła się w kłótnię. Nie mógł zapanować nad wahaniami nastroju. Depresja? Jeśli tak dalej pójdzie, konieczne będą leki.

– Mamy już nie ma? – zapytała Michalina, zdejmując Helmutowi obrożę w przedpokoju. Przynajmniej pies wyglądał na szczęśliwego, jakby spacer był remedium na wszelkie zmartwienia.

– Pokłóciliśmy się – przyznał się Kosma i wzruszył ramionami. –

Jestem do niczego.

Fakt, westchnął Helmut, jesteś jak rzep na tyłku. Michalina nie skomentowała. Przyzwyczała się już do tego, że klótnie rodziców, choć niezbyt częste, wymagają jej prób pojednawczych, tyle tylko, że nie od razu. Za dwa, trzy dni będzie mogła wkroczyć do akcji i przeprowadzić misję pokojową.

Ciszę w mieszkaniu przerwał telefon Kosmy. Jeź na wyświetlaczu z daleka zdradzał, kto dzwoni. Ewelina; nie rozmawiał z nią od kilku tygodni. Nawet się ucieszył.

– Gdzie jesteś? – zapytała, kiedy tylko odebrał.

– W domu, w Łodzi.

– Spotkamy się? – Kolejne pytanie wyrzucone z prędkością karabinu.

– Jasne, coś się stało?

– Nie wiem, po prostu pomyślałam o tobie i sięgnęłam po telefon. A stało się coś?

– Wszyscy się o mnie martwią, to się robi męczące.

– Przyjedź na Młynek, chcę trochę pobiegać. Pa! – Rozłączyła się, a Kosma ruszył do sypialni. Skoro miała w planach jogging, to marynarka odpada. Sięgnął po błękitną koszulę i sprane dżinsy. Rozsądne połączenie, pomyślał, uzupełniając garderobę klasyczną certiną w kolorze różowego złota.

Po raz pierwszy spotkali się właśnie na Młynku. Odnowiony park ze sporym zbiornikiem wodnym to popularne miejsce wśród łódzkich miłośników spacerów i wszelkiej aktywności fizycznej. Szerokie ścieżki prowadzące wokół stawu każdego dnia zapełniają się młodymi mamami pchającymi wózki, starszymi małżeństwami machającymi rażno kijkami do nordic walkingu lub miłośnikami psów, leniwie podążającymi za swymi pupilami. Tego dnia Kosma nie wziął ze sobą Helmuta, co wilczarz

irlandzki nie omieszkał skwitować wymownym spojrzeniem. Jeszcze się złapiemy – zdawały się mówić psie oczy. Przecież dopiero co wróciłeś – odpowiedział i trzasnął drzwiami.

Ewelina czekała już obok ławki, przy której poznali się ponad rok temu. Jego pies wystraszył wtedy jeża, choć Kosma przysięgłby, że to Helmutowi mocniej biło serce z trwogi. Od słowa do słowa, polubili się wtedy, a wkrótce później Kosma pomógł jej z pracą. Ewelina była zdolną charakteryzatorką. Jej talent szybko docenili w NTV, gdzie pracowała z Kosmą przy kilku produkcjach. Od tamtego czasu regularnie kursowała między Łodzią a Warszawą, wielokrotnie w towarzystwie Kosmy. Była jedną z nielicznych kobiet w jego otoczeniu, z którą nie łączyło go nic poza sympatią. I choć były momenty, kiedy oboje czuli, że w zasadzie nic nie stałoby na przeszkodzie, to żadne z nich nie zrobiło nigdy pierwszego kroku. Z czasem uznali, że ta relacja będzie wyjątkowa właśnie z tego powodu. Wtedy każde z nich odetchnęło z ulgą. I poczuli się jeszcze lepiej.

– Długo czekasz? – zapytał, siadając obok niej.

– Czy to ważne? Coś licho wyglądasz...

– Ja też się cieszę, że cię widzę! – Kosma naprawdę się cieszył. A później opowiedział jej wszystko. O tym, co zrobił Matyldzie, jak uciekał przed operacją, o swoim lęku i poczuciu beznadziei. I o tym, że bardziej niż śmierć przeraża go, że będzie ciężarem dla innych.

– Rozumiesz mnie trochę? – zapytał na końcu.

– Absolutnie nie! Nie dałeś jej prawa do decyzji. Jesteś głupim ciulem. – Nie trzeba było wykrzyknika na końcu, żeby zrozumieć, jak bardzo ją zenerwowała ta historia i co myśli o jej bohaterze. – To okrutne i złe.

– Podjąłem decyzję za nią, za nas. Oszczędziłem jej bólu.

– A może ona chciałaby być z tobą właśnie w tym czasie?

– I dlatego nie mogłem na to pozwolić. Dlatego, że ją kochałem.

Kocham.

Siedzieli przez chwilę w milczeniu. Żadne z nich nie wiedziało, co powiedzieć. Zresztą niewiele trzeba było mówić, rozumieli się doskonale. I choć Ewelina nie akceptowała w pełni postępowania Kosmy, dostrzegała jego racje. Była wdzięczna losowi, że nie musiała sama podejmować takich decyzji, a przede wszystkim współczuła Matyldzie, którą też znała od dawna, dłużej niż samego Kosmę.

– Tak naprawdę zadzwoniłam, bo teraz ja mam dla ciebie robotę – odezwała się, kładąc mu rękę na kolanie.

– Robotę? – zapytał, nie dowierzając. – Nie wiem, jak długo będę w stanie pracować głosem.

– Chodzi o podłożenie lektorki pod grę komputerową. Nie znam szczegółów, ale obiecałam, że ci o tym wspomnę.

– Dziękuję. Zastanowię się, do jutra dam ci znać. Nie pracowałem nigdy przy grach. A ta ekipa to jacyś twoi znajomi?

– Tacy tam, znajomi znajomych. Chcą konkretnie ciebie, więc stawka będzie sympatyczna.

Ruszyli w stronę samochodów.

– Dziękuję! – powiedział, całując ją w policzek na pożegnanie. – Może to mi dobrze zrobi? Póki jeszcze mogę mówić...

– Ogarnij się! Masz jeszcze wiele do zrobienia!

Naprawdę chciała, żeby zabrzmiało to wiarygodnie. Patrząc na jego przygarbione plecy, nie była jednak pewna, czy udało jej się podnieść go na duchu. Nie pozostało nic innego, jak czekać na telefon.

Zanim Wiktor usiadł z nią w ogrodzie, zerknął na zegarek, myśląc, że tego nie zauważyła, kiedy kręciła się wokół łózek. Zrobił to po raz drugi, kiedy przyniosła im coś chłodnego do picia.

– Spieszysz się. Nie zajmę ci dużo czasu.

– Gdybym go dla ciebie nie miał, poinformowałbym cię o tym – odpowiedział trochę wymijająco. – Nigdy nie podejrzewałbym cię o taki krok – dokończył po krótkiej chwili milczenia.

– Sama siebie też bym nie podejrzewała. Ale widać człowiek robi różne rzeczy, żeby nie oszaleć. Zresztą... zawsze mogę wrócić. Tego się trzymam.

– Nie znałem cię z tej strony. Ryzykujesz.

– Nie mniej niż tutaj. Wiem, o czym myślisz. Nie mogę eksploatować mamy w nieskończoność. Kiedy dochodziłam do siebie po cesarce, była przy mnie dzień i noc. Ona się nie przyzna, ale wolałaby zająć się tylko ojcem.

Nie przerywał jej, obracając w dłoniach naczynie z zimnym napojem.

– To było tymczasowe rozwiązanie – ciągnęła. – Jestem jej wdzięczna za obecność w tych pierwszych chwilach, ale teraz już naprawdę powinni mieć spokój. Dobrze, że rozmawiamy o nich, bo właśnie dlatego chciałam, żebyś przyszedł. Nie chcę prosić o dużo... – Spojrzała w głąb mieszkania na dźwięk płaczu jednej z dziewczynek. – No i koniec spokojnej konwersacji. – Wstała z westchnieniem, przeszła do ich pokoju i szybko wzięła córeczkę na ręce, mając nadzieję, że drugi maluch jeszcze pośpi. Przytuliła ją do siebie i patrząc, jak dziecko przymyka jeszcze oczy, wyszła do niego i zapytała: – Zrobisz mleko? Butelka w niebieskim podgrzewaczu, pięć płaskich miarek; mleko stoi obok – dokończyła szeptem.

Wszedł do mieszkania. Zrobił szybko i sprawnie, o co go poprosiła. Mała zupełnie się uspokoiła, kiedy smoczek zniknął w maleńkich ustach. Wiktor patrzył na byłą żonę uśmiechającą się do córki. Zauważył, że była spokojna, chociaż dużo szczuplejsza niż wtedy, kiedy widział ją ostatnio. Delikatne cienie pod oczami świadczyły o nocach za krótkich na sen. Ale zaangażowanie, z jakim zajmowała się dziećmi, dodawało jej dziewczęcej świeżości, ujmowało lat i wzbogacało o dyskretnie przyciągający urok.

– Chłopcy będą tu zaglądać regularnie i robić duże zakupy. Obiecali to

mnie i dziadkom. Mają wykupiony zapas leków i na razie niczego szczególnego im nie potrzeba.

Telefon Wiktora zadzwonił nieznaną jej melodyjką. Dzwonek też zmienił, pomyślała. Odrzucił połączenie i mówiąc: „przepraszam”, odłożył telefon na stolik.

– Proszę cię tylko o to – kontynuowała, zerkając na małą – żebyś w razie jakichś większych kłopotów z rodzicami zajął się nimi, póki nie wrócę. Wolałabym, żeby chłopcy mieli świadomość, że nie będą wtedy zdani zupełnie na siebie. Rodzice teraz świetnie sobie radzą – ciągnęła, chodząc po pokoju i kołysząc dziecko. – I mam nadzieję, że tak zostanie jeszcze długo, ale byłabym ci wdzięczna, gdybyś był ich aniołem stróżem w podbramkowych sytuacjach.

– Da się zrobić.

– Będę często dzwonić. Marcel ma zamiary na mnie. To tylko dwie godziny lotu. – Pocałowała śpiącą córeczkę i odłożyła pustą butelkę na stolik.

– Dogadamy się. Zresztą odkąd... – zrobił krótką pauzę, jakby szukał słowa. – Odkąd zmieniłem mieszkanie, widuję chłopaków częściej i czasami nawet wyskoczmy razem do pubu – wybrnął.

– Wiem. Cieszę się. To dla mnie ważne.

– Dla mnie też.

Przez chwilę ciszę wypełniał tylko jednostajny szum wiatów za oknami.

– Jesteś...

Płacz drugiej dziewczynki nie pozwolił mu dokończyć zdania.

– Matylda, jak sobie dajesz radę?

– A ty? – odpowiedziała pytaniem, patrząc mu uważnie w oczy.

– Ja nie najgorzej...

– Ja też. – W jej głosie nie było cienia niepewności. – To mój wybór. –

Skierowała głowę i wzrok w stronę, z której dochodził hałas. – I teraz nie wyobrażam sobie, żebym mogła zrobić inaczej.

– Nie zapomniałem jeszcze, daj! – Wziął od Matyldy niemowlę, żeby mogła swobodnie wyjąć drugie z łóeczka.

– Nie zatrzymuję cię...

– Nie zatrzymujesz – powiedział bez zastanowienia. – Chciałbym, żeby ci się udało, Matylda.

Nie odpowiedziała mu, tylko przytuliła małą do siebie mocniej

– Gdybyś widział, że jestem tu niezbędna, daj mi znać. – Wolała poruszać się w temacie, który dostarczał jej emocji innego rodzaju.

– Tyle mogę dla ciebie zrobić – dokończył.

– Dziękuję. – Na jej odpowiedź nałożył się dzwonek jego komórki. Ktoś po drugiej stronie po raz kolejny dawał o sobie znać.

Przyglądała się zza firanki jego sylwetce, kiedy wsiadał do samochodu z telefonem przy uchu. To nie było spotkanie służbowe; nie o tej porze.

Marudzenie bliźniąt oderwało jej myśli od byłego męża. Najwyższa pora na przewijanie, a potem odkurzanie walizek... To też musiała zrobić sama.

„Temat do ogarnięcia”. Między jedną a drugą pieluszką przeczytała wiadomość od Eweliny.

„Zadzwoń za jakąś godzinę, opowiesz mi o szczegółach”.

Położyła ostrożnie komórkę na biurku, a następnie obydwie dziewczynki na dywanie w małych bujaczkach z kolorowymi grzechotkami. Zaciekawione dosięgały i tręcały rączkami hałasujące zabawki. Z laptopem na kolanach usiadła obok nich. Zawahała się tylko na moment i wpisała szybko w wyszukiwarkę hasło: „rak krtani – rokowania”. Nad klawiszem z napisem „Enter” trzymała palec chwilę dłużej. Potem już nerwowo przeskakiwała wzrokiem po fachowych określeniach, nazwach leków i poszczególnych stadiów choroby. Skóra cierpła jej tym mocniej, im więcej

informacji udawało jej się znaleźć.

W najgorszym przypadku i po podjęciu leczenia w ośrodku z dużym doświadczeniem wciąż miałyby od trzydziestu do czterdziestu procent szans. Miałyby...

„Skuteczność przezustnych zabiegów laserowych wczesnego raka krtani i gardła sięga nawet od 80 do 100 procent” – czytała. Stopnie zaawansowania nowotworu określane zupełnie obcymi jej terminami T3 i T4 miały najgorsze rokowania, nawet jeśli nie pojawiły się przerzuty do płuc... „Odsetek wyleczeń miejscowych po otwartej laryngektomii częściowej w przypadku wczesnego raka krtani wynosi od 84 do 96 procent”.

Kosma kasłał tak długo... Dopiero teraz przypomniała sobie, że ciągle łykał jakieś pastylki, chrząkał i próbował normalnie mówić. Uśpił jej czujność. Odbierała go jakimś szóstym zmysłem, nawet jeśli był daleko, a tego nie potrafiła dostrzec. W żaden sposób!

Po plecach przeszedł ją dreszcz chłodu, choć w pokoju temperatura nie spadła nawet o stopień. Gdyby coś zauważyła, gdyby zmusiła go, wpłynęła jakoś na niego! T3, T4, wczesne wykrycie...

Nie wiem nawet, gdzie go pochowali. Ta nagła myśl wywołała atak silnej paniki, choć myślała, że dawno się już od niej uwolniła. Rozpłakała się.

Kiedy upadał na podłogę w łazience pierwszy raz, myślał tylko o jednym: czy przekręcił zamek w drzwiach. Bo jeśli nie, to Michalina będzie mogła go znaleźć w miarę szybko i w efekcie pomoc dotrze na czas. Naprawdę o tym pomyślał, a chwilę po leżał już na podłodze i nie dawał znaku życia. Czuł przez jakiś czas przeszywający całe ciało ból, później była już tylko ciemność. Stracił przytomność. Jeśli liczył na pomoc córki, to był w błędzie. Drzwi co prawda pozostawił otwarte, ale dziewczyna nie

zamierzała szybko wracać do domu. Nie po porannej kłótni. A właściwie to po tym, co mu wygarnęła, tyle tylko, że sprawy szybko wymknęły się spod kontroli i po chwili wrzeszczeli na siebie oboje.

– Nie zamierzam na to patrzeć! Co ci strzeliło do głowy? – stała nad nim, jakby to ona pełniła od dziś funkcję rodzica niesfornego nastolatka.

– Jak się odzywasz do tatusia? – Na zmianę pił i trzeźwiał od kilku dni, więc język mu się plątał, ale z tą prostą kwestią poradził sobie bez zarzutu. Później było już tylko gorzej. – Kace, kade, kategorycznie... kategorycznie sobie tego nie życzę!

Leżał rozłożony na dywanie w salonie, oparty o regał z książkami. Mebel niebezpiecznie kołysał się pod naporem jego ciała, kilka książek z górnej półki z hukiem wylądowało obok niego. Helmut przezornie przeniósł się do pokoju Michaliny, ona sama również wyniosła się do siebie. Zasnął i spał tak kilka godzin, mówiąc coś niespokojnie przez sen. Obudził się z poczuciem winy, jeszcze bardziej zmęczony i zrezygnowany. Michaliny nie było, pies obserwował go spod okna.

– Chodź do mnie, Helmutku – zaskrzypiał, łypiąc na niego jednym okiem.

Spieprzaj, dziadu! – Wilczarz odmachnął ogonem i przeniósł się do kuchni. Jego misja się zakończyła. Skoro Kosma się ocknął, nie trzeba już mu asystować.

I wtedy właśnie Makarski upadł pierwszy raz, w łazience. Później zdarzyło się to jeszcze kilkakrotnie. Raz na tarasie, ale było po deszczu, więc wyłgał się, że się poślizgnął na mokrej podłodze. Dwa tygodnie później znów łazienka, nie było nikogo, więc przeleżał i sam jakoś dowlókł się do sypialni. Sprawa wyszła na jaw 13 czerwca, kiedy zasłabł w osiedlowym sklepie. Sprzedawca dobrze znał całą rodzinę, więc gdy Kosma ocknął się po kilku sekundach, zrezygnował z telefonu po pogotowie i ograniczył się

do domofonu.

– Halo? Pan Kosma leży u mnie w piekarni, podejdzie pani? – Nie rozpoznał, czy słuchawkę podniosła córka, czy żona.

– Już biegniemy! – krzyknęła mu prosto do ucha Michalina. Usłyszał jeszcze trzask zamykanych drzwi i po chwili w wejściu do holu pojawiły się obydwie panie Makarskie.

– Co się stało? – zapytała starsza.

– Nie wiem, może zasłabł? Moja żona z nim została. To chyba nic poważnego, ale nie chciałem, żeby wracał sam.

– Dziękujemy, on jest poważnie chory. Bardzo panu dziękujemy! – powtórzyła Michalina.

W domu zrobiły mu wykład i wymusiły szybką wizytę u Klejmana. Kaśka była gotowa wieść go na pogotowie natychmiast, ale postawił się i zagroził, że ucieknie przy pierwszej okazji i więcej go nie zobaczą.

– Nic nie rozumiecie! – wrzeszczał słabym głosem, kiedy już jako tako doszedł do siebie. – Mnie już nie zależy. Nie mam już ani siły, ani ochoty.

– Nie pieść się ze sobą, tatuś! – Michalina pierwsza przeżuła jego słowa i wypluła równie sympatyczną odpowiedź. – Skoro ci nie zależy, to otwórz okno i skacz.

– Tylko zrób to porządnie, nie tak jak wszystko inne – dodała Kaśka, po czym spojrzała na niego oskarżycielsko. – Od kiedy masz te omdlenia?

– Od jakiegoś czasu. To nic wielkiego.

– Nic wielkiego? Ty chory pojebie...

Co im miał powiedzieć? Że kilka lat temu, właśnie tego dnia, na chorobę, która dopadła i jego, zmarł Jacek Skubikowski? I że on, Kosma Makarski przechodzi przez to samo? Że coraz mocniej dociera do niego, że wkrótce też będzie miał swój 13 czerwca? Kiedy upadał w sklepie był pewien, że to dziś. Miał im opowiadać, że czuje lęk, który paraliżuje go i

zabiera mu siły? Same powinny o tym wiedzieć.

Ta historia z Jackiem Skubikowskim nie pojawiła się w jego głowie przypadkowo, w tym wypadku zadziałał kalendarz. Muzyk w ostatnim roku swego życia zdążył nawet obronić doktorat z prawa autorskiego i się ożenić. Zarówno odpowiedzi na pytania uczelnianej komisji, jak i słowa przysięgi wypowiadał jednak za niego przyjaciel; Skubikowski nie był już w stanie wydobyć głosu z gardła zajętego przez chorobę. Kosma pamiętał też dramatyczny wywiad, w którym autor *Zawsze tam, gdzie ty* prosił i przekonywał: „Chcę żyć”. Nie przypuszczał wtedy, że po kilku latach on sam będzie prosił o to samo. Chciał żyć jak dawniej.

W piekarni, kiedy czekał na swoją kolej, zerknął na wyświetlacz, by sprawdzić godzinę. Widniejąca obok data była jak uderzenie pięścią w splot słoneczny przez naprawdę wyćwiczonego przeciwnika. Upadł bez sił i woli, zwinął się w kłębek i przez kilka sekund błagał w duchu: jeszcze nie teraz, jeszcze nie dziś.

Ledwo dojechała do siedliska. Nawet gdyby przez całą drogę od Warszawy jadła tylko czerstwe bułki, nie miałyby to żadnego znaczenia. Zawsze tak miała w pierwszym trymestrze ciąży. Nie znasz dnia ani godziny...

Zaparkowała na podwórku byle jak i dowlokła się do łóżka, mijając kuchnię i małżeństwo przyjaciół ze słabym do jutra, niedbale rzuciła przepocone ciuchy na ziemię i wsunęła się pod kołdrę, która jeszcze dobre pół godziny kołysała ją jak jej auto na mazurskich wybojach. Nie znośła być w takim stanie. Taką cenę płaciła za każdą ciążę. Ta, jak się okazało, nie była wyjątkiem. Zanim Xenia z troską w głosie zdążyła ją zapytać, czy czegoś nie potrzebuje, zasnęła jak kamień.

Kolejne dni okazały się o tyle lepsze, że na szczęście mdłości uspokoiły się nieco. Głodówka, choćby przymusowa, nie była najlepszym

rozwiązaniem w pierwszych tygodniach ciąży; podwójnej – tym bardziej. Jadła małe porcje kaszek dla niemowląt, przegryzając je sucharkami, i powolutku porządkowała sobie zaniedbane przez jakiś czas włosy do batikowania i cały włoski projekt. Zbierała siły, żeby wrócić do przerwanej pracy; dla siebie i w nie mniejszym stopniu dla maluchów. Czasu nie miała tak dużo, jak by się mogło wydawać. Cięża mnoga rządziła się swoimi prawami; kto jak kto, ale ona wiedziała o tym doskonale. A koniec pierwszego trymestru w ogóle nie zapowiadał początku przyjemnego oczekiwania na podwójny cud. Próbowwała więc po swojemu uzbroić się w cierpliwość i zaprzyjaźnić z zawrotami głowy, sennością i zmianami nastroju, dla których jak dotąd kompletnie nie miały znaczenia pory dnia ani nocy. I chyba tę huśtawkę znosiła najgorzej. Jedyłą pociechą stanowił fakt, że będzie musiała to znosić nie dłużej niż osiem miesięcy. Za sobą miała cały jeden; prześlakany, przespany i przechodzony z kąta w kąt. Czasami śmiała się, kiedy zdarzyło jej się spojrzeć na przyjaciółkę, której wzrok był przepętniony niepokojem z domieszką dziwnego strachu.

– Aż tak źle? – pytała wtedy Xenię z grymasem, który rozładowywał atmosferę.

– Patrzyłaś w lustro?

– Nie.

– Może to i lepiej... Herbaty? – Była niezastąpiona w takie poranki.

– Potrójne kakao, masz?

– Ba!

Pani Witoldowa przynosiła sernik, a Grześ nie zapominał o torebce krówek tylko dla niej. Życie nie umierać...

Radosna nowina dotarła też do Lombardii, tuż po tym, jak Matylda wyliczyła, że intratne zamówienie na gotową do barwienia tkaninę dla pracowni Violi, które miała skończyć przy pomyślnych wiatrach w

okolicach października, nie dotrze tam na czas. Gdyby nie ciąża, skończyłaby zamówienie przed terminem. Październik był najprawdopodobniej ostatnim miesiącem, kiedy jej brzuszek będzie się mieścić między nią a stołem... Nie to jednak przy tym zajęciu było największym problemem. W najlepszym razie była w stanie pracować maksymalnie połowę czasu, który sobie zaplanowała. Osłabienie i uciążliwa senność, które towarzyszyły jej stale, jak kiedyś Helmut, spowalniały ją na tyle, że musiała się posiłkować dodatkowymi rękami do pracy. Viola wprawdzie była gotowa sama dokończyć jej działkę, ale Matyllda zaproponowała, żeby pozwoliła jej dobrać z nią do końca w swoim tempie, bezpiecznym i dla dzieci, i dla niej samej. Umówiły się, że natychmiast ma dać znać, kiedy nie będzie już w stanie pracować; wtedy jej część przejmie ktoś, kogo zapobiegliwa Włoszka trzymała w odwodzie. W ten sposób zapewniła przyszłej mamie komfort niespiesznej i ciągle jeszcze dobrze płatnej pracy, co teraz dla Matylldy miało nomen omen podwójne znaczenie.

– A gdybyśmy to razem pociągnęły, zdążyłabyś? – zapytała Xenia, kiedy przy którejś z porannych kaw układały plan dnia.

Boże, jak dobrze, że ją mam, pomyślała wtedy Matyllda. Nie chciała narażać ani siebie, ani dzieci, pracując ponad siły, ale nie miała odwagi zapytać przyjaciółki, czy byłaby w stanie i miałyby ochotę pomóc jej we włoskim projekcie. I już prawie pogodziła się z tym, że będzie zmuszona zrezygnować i odesłać czyste tkaniny do Włoch.

– Nie będę ukrywać, że myślałam o tym, ale kiedy widziałam, ile masz roboty i tu, i w Gdańsku...

– Zyski pół na pół i do końca roku przeniosę się do siedliska. Co ty na to?

– Sześćdziesiąt procent dla ciebie. Nie zapominaj, że to dzięki tobie

poznałam Violę i dostałam tę propozycję – przypomniała Xenia o konsekwencjach jej fatalnego upadku z drabiny, który skończył się dla przyjaciółki unieruchomieniem na długie tygodnie, a Matyldzie pozwolił wykorzystać miejsce na obleganych warsztatach malarskich w pracowni pani Mancini, zwolnione w tak feralny sposób przez Xenię. – Ale zdarza mi się zasypiać w pracowni... – dodała szybko.

– Zgoda, jeśli nie chrapiesz za głośno.

– Chrapię...

– No, nie wiem... – Xenia śmiesznie udawała, że się namyśla. –

Sześćdziesiąt procent dla mnie i zatyczki do uszu na twój koszt. Umowa stoi?

– Cudnie! Czym to uczcimy?

– Ja pigwówką pana Witolda, a ty kakao, rzecz jasna.

– Xenia...

– Mhmmm?

– Sucharki mi się kończą. – Matylda ułożyła usta w zabawną podkówkę.

– Kupię ci cały tir po pierwszej włoskiej wypłacie, okej? A teraz zrób coś z włosami, bo straszysz warsztatowiczów.

Xenia nigdy jej nie zapytała, dlaczego zdecydowała się zostać samotną matką dwójki dzieci. Matylda była jej za to wdzięczna, bo nawet wytłumaczenie tego samej sobie wykraczało poza jej możliwości. Nosila je pod sercem jak cząstkę najcenniejszej rzeczy, której mogła w swoim życiu dotknąć czy doświadczyć. Odrzucając ją, niszcząc, zgodziłaby się zniszczyć i część siebie, a może i całą Matyldę... Decyzję podjęła instynktownie, czując, że nie będzie to tylko element przetrwania, ale coś, a dokładniej ktoś, kto pozwoli jej po prostu na nowo żyć. Bo chociaż czasami nie mogła tego zrozumieć, wciąż trzymała się życia; nie z musu, ale dzięki temu, co w nim dostrzegła, kiedy patrzyła na nie oczami Kosmy.

Xenia po prostu przy niej była; nie oceniając, nie krytykując i nie próbując pokazać, co byłoby dla niej najlepsze. Trwała przy niej, kiedy Matylda chodziła nocą po domu półżywa, kiedy nie była w stanie zrobić sobie herbaty i kiedy całymi dniami potrafiła milczeć, a spojrzeniem zaszczycać tylko woskowany batik.

I któregoś dnia, zupełnie jak w lustrze, Matylda zobaczyła w oczach przyjaciółki, co się z nią stało; że ktoś się o nią martwi, że jej ból potrafi położyć się cieniem na czyjeś codzienności. To właśnie dlatego nie uciekała z siedliska, od Xeni, od ludzi, i właśnie dlatego udało jej się zebrać siły, żeby ten cień i ze swojego, i z czyjegoś życia przegnać. A to, że miała obok siebie kogoś takiego jak Xenia, tylko odkrywało na nowo pokłady tych sił.

Xenia okazała się nie tylko przyjaciółką, ale i zdolną uczennicą. Różnica w woskowych liniach jej i Matyldy dla niewprawnego oka była niezauważalna. A jeśli wziąć pod uwagę, że przeznaczeniem barwionych później tkanin miały być stroje, a nie obrazy, ich wymyślona naprędce współpraca mogła przynieść wymierne korzyści każdej z nich. I obu dostarczyć przyjemności.

Wstawiły do pracowni wygodny plażowy leżak, w którym Matylda teraz często przysypiała, kiedy czuła, że nogi odmawiają jej posłuszeństwa, a woskowe wzory zlewają się w jedno. Budziła się potem z apetytem na sucharki. Istniały spore szanse, że nawet mimo żółtawego tempa pracy długo jej chęci na nie nie zabraknie...

Podtrzymywany przez Michalinę i Kaśkę, szedł do mieszkania, wiedząc, że zdecydowanie za dużo czasu poświęca na szukanie analogii, na wynajdowanie historii z nowotworami w roli głównej. To powoli stawało się jego obsesją, drugą chorobą. Chyba nawet gorszą od tej właściwej, bo te poszukiwania wywracały mu psychikę z dużo większą siłą. Już teraz z obawą myślał o 9 sierpnia – to przecież za niecałe dwa miesiące. Tego dnia

w swoim domu zmarł na raka krtani doktor Shirō Ishii, czarny charakter medycyny japońskiej. Kosma dobrze znał jego historię. Przez ostatnie miesiące poznał wiele biografii zmarłych, daty ich śmierci tworzyły mu nowy antykalendarz.

Shirō Ishii był wyjątkowym sukinsynem. Sprawował funkcję dowódcy Jednostki 731 Cesarskiej Armii Japońskiej. Coś jakby połączenia obozu w Auschwitz z laboratorium broni biologicznej; rolę doświadczalnych królików grali więźniowie, zwykle jeńcy wojenni. Shirō Ishii był szczególnie zakręcony na punkcie badań nad odpornością na mróz. Wystawiał nagich więźniów na dwór przy minusowych temperaturach, po czym wkładał ich zamrożone kończyny do wody, a tę stopniowo podgrzewał. Wrzątek powodował, że mięso odchodziło od kości, natomiast poddawany procesowi badawczemu więzień cały czas zachowywał przytomność i obserwował, co się dzieje z jego ciałem. Ishii lubił też zamieniać miejscami organy wewnętrzne albo wieszać ludzi głową w dół, by później określić czas, w jakim nastąpi zgon. Każdy taki eksperyment skrzętnie odnotowywał w swoim kajecie, był bowiem typem urodzonego naukowca, poszukiwacza i odkrywcy. Zmarł dziewięć lat po wojnie. Prawda o jego pracy i losie więźniów wyszła na jaw w 1989 roku, kiedy podczas prac budowlanych gdzieś w Tokio odnaleziono ciała.

Rak krtani to najłżejsza z kar, jaką mógł ponieść, myślał Kosma, mimowolnie odnotowując kolejną datę w swoim pokręconym kalendarzu. On na to zasłużył, ale ja? Ja chciałem tylko kobiecie mojego życia zaśpiewać: „Nie znam słów, co mają jakiś większy sens, jeśli tylko jedno, jedno tylko wiem – być tam, zawsze tam, gdzie ty...”⁴.

– A gdybym tak ja...? – wyszeptał, ale zaraz skarcił się w myślach. Co miałbym jej powiedzieć? Wyjdź za mnie, będziesz całkiem fajną wdową? Już lepiej niech myśli o mnie jak o japońskim doktorze Mengele. A ja po

prostu zdechnę jak on, samotnie, w swoim domu.

Na środku pokoju leżały dwie otwarte walizki, stosy krasnoludkowych ubranek i brudne butelki po mleku. Dzieci przysypiały i marudziły na zmianę. Za oknem nagle ściemniało; pomruki szybko zbliżającej się burzy były coraz mniej przyjemne. Dziś miała problemy z koordynacją zajęć przy maluchach; chociaż zajmowała się głównie nimi, niewiele udało jej się zrobić z tego, co sobie zaplanowała. Nie mogła się na niczym skupić i bezmyślnie wykonywała te same ruchy, które w przygotowaniach do wyjazdu nie popychały jej ani kroku naprzód. Siedziała na podłodze w samym środku tego rozgardiaszu i próbowała uczepić się chociaż jednej myśli z maratonu wirującego jej w głowie jak karuzela. Podciągnęła kolana pod brodę i objęła je rękami. Patrzyła w jeden punkt, mając przed oczami tylko nierówne i bałaganiarskie pismo Kosmy... Wspomnienia o nim uderzyły w nią z siłą powrotnej fali tsunami. Jeszcze raz poczuła pod palcami chropowatość papieru trzymanego pod strażą wiatru i deszczu przez tyle miesięcy.

Jeszcze wczoraj myślała, że poradziła sobie z tym szaleństwem ślepej bezsilności, które próbowało zawładnąć nią prawie każdego dnia, ilekroć budziła się rano, uświadamiając sobie, że ma przed sobą kolejny dzień bez niego. I że kolejny, a po nim jeszcze jeden i jeszcze jeden... będą takie same. Tylko że wtedy, razem ze swoją dumą, próbowały się trzymać mocno w objęciach, żeby nie złamać się pod naporem pustej samotności i bezcelowości codziennego porannego oddechu. Nie mogła sobie nawet pozwolić na luksus śmierci, nie obarczając nią nikogo więcej... Czasami wydawało jej się, że to ona właśnie, z przekory, a może i w swojej mądrości cierpliwego oczekiwania na to, co i tak kiedyś będzie jej własnością, wpłynęła na jej decyzję o zostaniu podwójną matką. Jakby wiedziała dużo wcześniej od Matyldy, że będzie potrzebowała pretekstu

usprawiedliwiającego jej brak odwagi...

Wtedy jednak jeszcze po części wciąż oddychała jego powietrzem, próbując pokazać mu swoim życiem – nieudolnie tłumacząc sobie, że robi to dla siebie – że zrobił błąd; że zasłużyła na więcej niż podnoszenie się z klęczek drugi raz.

W tej chwili dotarło do niej chyba tak naprawdę po raz pierwszy, że być może już nie ma komu czegokolwiek udowadniać, że naprawdę przyjdzie jej już żyć tylko dla siebie... i dla dziewczynek.

Bezbrzeżna otchłań zimnej pustki, w jaką nagle wtrąciła ją myśl, że Kosmy może już nie być wśród żywych, próbowała zamknąć ją w sobie tak mocno i szczelnie, że pociemniało jej przed oczami.

Czuła, jak dawno zapomniane zawroty głowy powracają, wylaniając się z każdego kąta, jakby długo czekały na ten moment. Zrobiło jej się zimno i słabo. Zabierz mnie, błagam Cię, zabierz mnie...

Kiedy pani Radecka, zaniepokojona płaczem wnuczek, weszła do pokoju córki, zastała niemowlęta z twarzyczkami mokrymi od łez, a Matyldę zwiniętą obok nich na dywanie, z głową schowaną w ramionach.

To był jeden z tych wakacyjnych dni w siedlisku, kiedy wszędzie było pełno warsztatowiczów. Wprawdzie pory zajęć były wyraźnie wyznaczone, ale tak naprawdę od rana do późnego wieczora można było ich spotkać w jadalni, ogrodzie, nad jeziorem i w pracowni malarza, ojca Xeni, po którym odziedziczyła to miejsce. Tę ostatnią, korzystając z uprzejmości przyjaciółki, okupowała Matylda. Nie przeszkadzały jej ciekawskie spojrzenia i dopytywanie o szczegóły jej pracy. Suche, przyjemne lato sprzyjało wyjściu ze sztuką bliżej natury, jak zwykła nazywać swoje zajęcia Matylda, otwierając wielkie okna pracowni na oścież i pozwalając przypatrywać się woskowaniu każdemu, kto miał na to ochotę. Życie, które w ten sposób próbowało przekonać ją do siebie, przychodziło do niej samo pod postacią

rozmów, serdecznego śmiechu i słów uznania dla jej talentu oraz determinacji, bo dość szybko dało się zauważyć, że przy sztalugach nie siedzi tak zupełnie sama...

Daleko przed końcem pierwszego trymestru ciąża była bardzo widoczna, a kiedy komuś udało się wyciągnąć od Matyldy, co naprawdę kryje się pod poplamionym fartuszkiem, nie tylko jej praca, ale i ona sama zaczęła budzić spore zainteresowanie.

Kiedy ktoś był obok niej, łatwiej jej było trawić to, co na zewnątrz próbowała jakoś ukryć. Coś oblepiało ją od środka, powodując ciągły niepokój, towarzyszący jej niezmiennie od tamtego dnia. Jak grypa, która nie przechodzi. Czuła, że zarówno jej organizm, jak i ona sama przestają się już przed nią bronić.

Para, której przyglądała się tamtego dnia, przyjechała do nich już drugi raz. Obydwoje byli nauczycielami plastyki jednego z nadmorskich gimnazjów. Pamiętała ich jeszcze z pierwszych wiosennych warsztatów. Zajęcia Xeni urzekły ich na tyle, że tym razem zdecydowali się przyjechać prywatnie na plener i dokładnie przyjrzeć się Mazurom, nie tylko malarskim okiem. Nie wyróżniali się zbytnio wśród uczestników kursu. Mówili niewiele, niezbyt głośno; nie rozpychali się łokciami ani ze swoimi przekonaniem, ani z umiejętnościami, których – jak zdążyła zauważyć Matylda – mieli niemało. Bardzo dojrzały, z pasmami siwych włosów na skroniach i siecią głębokich zmarszczek na twarzy. Skromni i niezwykle prawdziwi w swoich gestach i uśmiechach. Chyba najwięcej czasu poświęcali sobie, chociaż nie byli parą, która zna się od niedawna. Matylda była prawie pewna, że dzielą ze sobą dużą część życia. Często rozmawiali przyciszonym głosem, jakby w tym, co mieli sobie do powiedzenia, nie było niczego poza nimi. Sprawiali wrażenie zamkniętych w tym swoim świecie jak w bezpiecznym kokonie. Jedno drugiego rozśmieszało, przynosiło coś do

picia albo brało za rękę w taki sposób, że Matylda ten dotyk niemal czuła. Byli dla niej kwintesencją zwyczajnej codziennej harmonii, której jej wtedy w dwójnasób boleśnie brakowało. Im więcej widziała czułości w oczach tych dwojga, tym bardziej zapadała się w sobie, nie mając już siły i chyba nie potrafiąc czerpać nadziei z czegoś, co naturalnie powinno tę nadzieję podsycać.

W porze obiadowej opustoszały pracownia i podwórko. Matylda została sama przy swoim stole; jej dziwaczne pory posiłków rzadko kiedy pokrywały się z godzinami stałego harmonogramu śniadań, obiadów i kolacji. Małżeństwo zniknęło jej z oczu jakiś czas temu, ale wciąż widziała tę czułą szczerłość, którą jedno miało dla drugiego. Tego dnia takiej bliskości potrzebowała wyjątkowo mocno. Z tą samą częstotliwością co gorący wosk kapały na len jej łzy.

Stanęła w oknie pracowni i spojrzała na pole. Dzień był naprawdę piękny. Zbyt piękny, żeby oglądać go samemu. Wzrok Matyldy padł na wysoką donicę, jedną z dwóch, które Xenia kazała ustawić przy pracowni starego malarza. Sięgała jej daleko powyżej kolan i musiała być cholernie ciężka... Oparła się o okienną framugę i patrzyła na przedmiot jak zahipnotyzowana. Wystarczyło tylko podejść, unieść ją w górę i pozwolić działać sile grawitacji... Zimna myśl, która usiadła jej na karku jak coś wymiernie namacalnego, sprawiła, że chłód przeszedł ją od stóp do głów. To było takie proste. Nikt nie patrzył, nikt nie byłby świadkiem...

Myśl sączyła się lepkiem jadem w jej uszy z ust kogoś, kogo bała się słuchać. Wszystko byłoby prostsze; łatwiejsze. Przecież sama... Tak bardzo nie chciała być sama! Oczyma wyobraźni widziała siebie chwytającą oburącz potężną donicę. Zamknęła oczy i chyba tylko siłą woli wbiegła do pracowni, zamknęła za sobą wszystkie okna i oparła się o nie plecami. Przeraziłowe zimno ustępowało powoli miejsca gwałtownym rumieńcom,

które zaczęły jej palić policzki jak ogniem. Prawie nie poznała swojej twarzy w jednym z luster.

Podobno język łaciński ma ponad 170 określeń na różne formy samobójstwa. Najbardziej rozpowszechnione, *suicidium*, weszło do użytku w 1177 roku, ale wtedy nie zdobyło jeszcze uznania. Pochodzące od niego angielskie *suicide* też z trudem torowało sobie drogę; w literaturze i w mowie potocznej tamtego okresu częściej spotyka się chociażby niepozostawiające wiele wątpliwości *self-destruction*. Nasze swojskie samobójstwo pojawia się dopiero pod koniec XVIII wieku, choć bogata polszczyzna na określenie sprawcy czynu oferowała jeszcze takie perełki jak *samokatca* czy *siebiebój*. Zaświadcza o tym słownik Lindego; z tych dwóch wyrazów Kosma wybrałby pierwszy, brzmiał o niebo lepiej. Bardziej dostojnie. Siebiebój? Jakby bał się siebie, a przecież tak nie było. Lękał się jedynie choroby, która za rękę prowadziła go do nieuchronnej śmierci. Rocznie około miliona osób decyduje się na takie rozwiązanie, ale dla aż dwudziestu razy więcej próba samobójcza kończy się fiaskiem.

Zabawne, pomyślał, leżąc w ciemnej sypialni. Pozostanie przy życiu jako fiasko? On sam chciał tylko odejść, nie robiąc nikomu kłopotu. Gdyby mieszkał na Wyspach Trobrianda, gdzieś tam na Morzu Salomona, wioska wymusiłaby to na nim, zgodnie z odwiecznym zwyczajem. Ci, którzy naruszali normy społeczne, musieli targnąć się na życie, te sprawy załatwiano szybko i sprawnie. On tych norm naruszył przecież aż zbyt wiele. A starożytni Germanie? Kiedy dopadała ich refleksja, że wiek starczy nie niesie ze sobą zbyt wielu radości, po prostu rzucali się z urwiska. O czym myśli się w takiej chwili? Kosma nie wiedział, jego umysł błądził gdzieś bez ładu i składu. Przypominały mu się poznane jeszcze na studiach strzępki pracy Émile'a Durkheima, będącej podwalinami badań nad tym zjawiskiem. *Samobójstwo. Studium z socjologii* powstało nie bez

kozery; XIX wiek z uprzemysłowieniem i zmianami, jakie tym wywołał, skutkował falą samobójstw. Ludzie przestali rozumieć znany i bezpieczny porządek świata. Za to w ludowej kulturze od zawsze był to temat tabu. Takiego siebieójcy czy innego samokatcy, o ile czynu dokonał w domu, nie można było przenieść przez próg. Ciało trzeba było przełożyć przez specjalnie wydrążony otwór. Albo lepiej wyrzucić przez okno! To przynajmniej zapewniało ochronę przed piorunami. Zawsze to jakiś pożytek, skostatował Kosma, uśmiechając się pod nosem. Tylko jak ta biedna Michalina dźwignie mnie na parapet?

Pozostając w wisielczym nastroju, poszukał na telefonie piosenki Mieczysława Fogga. Domowe wi-fi działało dziś jakby wolniej, chyba znów wykorzystali miesięczny transfer za wcześniej. Jest, znalazł na liście znajomy tytuł. *To ostatnia niedziela!*

Dziś dla mnie jedno jest wyjście,

Ja nie znam innego,

Tym wyjściem jest, no, mniejsza z tem...⁵

Wystarczy. Wyłączył odtwarzacz w telefonie i zapalił światło. Michalina upierała się, że zostanie dziś w domu, ale obiecał jej, że wcześniej się położy i nie będzie szukał przygód. Po porannej katastrofie czuł się już lepiej, na tyle, że pożegnał ją uśmiechem i obietnicą, że nie będzie się przemęczał. I że na pewno nie sięgnie po alkohol.

Przez kilka tygodni pił prawie codziennie. Zaczęło się w lutym, w rocznicę śmierci Władysława Broniewskiego – jednego z najlepszych polskich poetów, choć dziś niemal całkowicie wyrugowanego z powszechnego obiegu. Kosma uwielbiał go za przejmującą momentami poezję i równie niebanalny życiorys, mogący służyć za kanwę ciekawego scenariusza filmowego. Nigdy nie podniósł się po zagadkowej śmierci swojej

córki, Joanny. Znalaziono ją w mieszkaniu zatrutą gazem wydobywającym się z zalanej przez kawę kuchenki. Samobójstwo? Nieszczęśliwy wypadek? Broniewski po tym fakcie zdołał napisać tylko kilkanaście wierszy, porównywanych do trenów Jana Kochanowskiego. Poddany przymusowemu leczeniu, zagroził głodówką, i dopiero wtedy pozwolono mu opuścić szpital. Pił jednak na umór. Zmarł osiem lat później, wyniszczony przez alkohol i przez... raka krtani.

Kosma nie mógł przejść obojętnie obok takiej biografii, a zwłaszcza takiego jej końca. Czy myślał o tym, żeby się zabić? Możliwe; nawet słabo zorientowany psycholog rozpoznałby w jego zachowaniu przynajmniej kilka syndromów zespołu presuicydalnego, z kumulowaniem agresji i napięcia na czele. Gdyby z nim wtedy ktoś pogadał, zadając odpowiednie pytania, pewnie mógłby z czystym sumieniem uznać, że targnięcie się na własne życie Kosma zaczyna uznawać za jedno z całkiem skutecznych rozwiązań swoich problemów. Najbardziej bał się uzależnienia od obcych ludzi, od personelu medycznego, od tego, że ktoś będzie musiał go podmyć, podetrzeć, ubrać i przewrócić na drugi bok. To nie tylko uzależnienie, to także nieustanne upokorzenie. Nie panujesz nad reakcjami organizmu, coś leje się z ciebie w najmniej spodziewanych momentach. I nic z tym nie możesz zrobić, jedyne, na co masz siłę, to wciśnięcie guzika i zaalarmowanie dyżurującej pielęgniarki. Albo kogoś z rodziny, jeśli ją masz. Kosma nie wiedział, czy ma kogoś, kogo mógłby tym obarczyć. Nikt z bliskich mu osób nie zasłużył na taki los.

A nade wszystko nie mógł się jeszcze pogodzić z przewrotnością losu, który jednego dnia pozwala ci brylować w mediach, czarować głosem, rwać dziewczyny jak świeże wiśnie, a drugiego czekać w kolejce przed wejściem na salę, by odebrać ciepłą breję składającą się na wyszukane szpitalne menu. Więc pił, mając nadzieję, że sytuacja sama się wyjaśni. Czy była to

forma powolnego samobójstwa? Pewnie tak, bo na bardziej radykalne rozwiązanie nie mógł się zdobyć. W głębi duszy chciał żyć. Przecież jego rak to nie pociąg ekspresowy, ale raczej powolna podmiejska ciuchcia, z której da się wyskoczyć, kiedy ta tylko na chwilę zwolni.

Po wizycie u szeptuchy uwierzył, że wszystko może się jeszcze odmienić.

Zapalił dodatkowe lampy, jakby tym nagłym i ostrym dopływem światła chciał rozpędzić czarne myśli. Czy naprawdę przyszło mu do głowy, żeby się zabić? Jak mógł być tak głupi? Sięgnął po telefon i wszedł w listę kontaktów. Numer do Matyldy był wciąż pierwszą pozycją w szybkim wybieraniu. Wodził po nim palcem, jakby tocząc wewnętrzną walkę. Gdyby teraz zadzwonił, co by jej powiedział? Ratuj mnie? Nie miał do tego najmniejszego prawa. Nie odezwała się do niego, nie odpowiedziała na pożegnalny list. Chyba naprawdę uznała, że był pożegnaniem. A przecież wołał w nim o zrozumienie, o litość, pamięć i uczucie. Nie miał prawa prosić jej o cokolwiek. Chcąc oszczędzić jej długiego cierpienia, przyjął całe uderzenie losu na siebie. Ona nigdy mu nie wybaczy, wiedział o tym. A skoro tak, nie ma sensu mieszać jej w głowie. Jedno pożegnanie wystarczy. Czy drugie coś zmieni?

Zrezygnowany wyjął z szafy porządną torbę turystyczną. Jeśli ma iść do szpitala, musi zrobić to jak należy. A gdybym jednak miał tam umrzeć, pomyślał, to kurwa, z fasonem.

– Nie śpisz...

– Pozwalam dopieszczać się szczęściu. – Mrużąc oczy, Matylda patrzyła, jak wschodzące słońce migocze na wodzie i wilgotnych liściach wielkich wiązów, przesłaniających prawie w całości widok jeziora.

– Zazdrosny jestem.

– O co? – zaśmiała się, głośno rzucając słowa w poranek jak wyzwanie złemu losowi, który w jej domu nic dla siebie nie znajdzie. – Musisz

zaakceptować ten trójkąt...

Słońce zapewne wzeszło ledwie chwilę temu. Stali w otwartym oknie swojej wiejskiej sypialni.

– Jak dobrze, że to był tylko sen...

– Jaki sen? – Usłyszała miękki głos Kosmy, bez szelestu chrypki i cienia niepokoju.

– W którym cię nie było... – Wypowiedziała te kilka słów tak cicho, żeby w tej ciszy ukryć cały strach, który się w nich mieścił. – Powiedz mi, że nigdy więcej nic takiego już mi się nie przyśni!

– Nigdy więcej.

Jego odpowiedź utonęła w jej przyspieszonym oddechu i szumie wiatru w tysiącach liści drgających świeżością wiosennej zieleni. Wiatr wirował z ich oddechami jak na karuzeli; tak samo mocno kręciło jej się w głowie z radości. Zamknęła oczy i pozwoliła wędrować po swoich nagich piersiach i brzuchu ciepłym promieniom słońca i niecierpliwym dłoniom Kosmy. Przyłgął swoim ciałem do jej chłodnych pleców i zamknął ją w ramionach, wypełniając jej skórą wszystkie zagłębienia swojej. Jakby w ten sposób chciał się upewnić, że wciąż należy do niego tak, jak tej nocy, której nieprzebrzmiałe jeszcze ciepło czuł w jej włosach, w idealnym łuku jej szyi i między udami... Pod stopami poczuła przyjemny chłód miękkiej trawy, która nagle wypełniła cały pokój i ich duże łóżko zieloną, pachnącą przyjemnością. Znowu poczuła, że pragnie go do granic możliwości, aż do przyjemnego bólu, który wewnątrz jej ciała tworzył niewidzialne kręgi – jak kamień rzucony do wody. Zapach świeżej trawy pod plecami spletał się z zapachem jego skóry, z każdą chwilą cieplejszej. Wbijał się w nią raz za razem niecierpliwie, zachłannie, ale z jakimś rodzajem delikatnej czułości. Wypełniał ją sobą, sprawiając, że oddychała głęboko aż po sam brzeg oddechu, chłonąc każdą komórką swojego ciała rytm jego pożądania i

urywanych szeptów. Razem z falą rozkoszy poczuła napływające pod powieki łzy. Zatapiając palce w jego włosach, zaczęła szybko szeptać coś w uniesieniu, ale sama nie mogła zrozumieć żadnego ze słów, które wydobywały się z jej rozpalonych ust. Nagły podmuch wiatru szarpnął źdźbłami trawy w jej włosach i strącił z hukiem wazon z kwiatami. Przez odgłos tłuczonego szkła przebił się płacz niemowlęcia.

– To dzieci... To dzieci, Kosma. – Wciąż jeszcze czuła na swoich ustach jego niespokojny, drżący oddech.

– Jakie dzieci, Matyllda?

Przyjemny chłód rozgrzanej ich ciałami trawy stał się nagle zimny i lepki.

– Nasze... Nie słyszysz? Kosma!

Do pokoju wdarły się wszystkie drzewa z ogrodu i zasłoniły sobą najmniejszą szczelinę światła. Nie mogła dostrzec już żadnego sprzętu, w narastającym mroku przestała też widzieć jego dłonie, błyszczącą skórę, a potem oczy. Czuła, jak wiatr szarpie jej włosy na spoconym czole; bezskutecznie zaczęła szukać jego ust.

Usiadła na łóżku i w zupełnej ciemności wyciągnęła przed siebie ręce. Znalazła tylko zimną pustkę i owładnęło nią dojmujące uczucie opuszczenia.

– Kosma! – Duszny od rozpaczy jęk z trudem wydobył się z zaciśniętej krtani. Przez długą chwilę nie wiedziała, gdzie jest. Wciąż wyczuwała delikatność jego palców we włosach, ciepło jego niecierpliwego języka na swoich piersiach i wilgoć pomiędzy udami, jakby ciągle jeszcze w niej był. Jakby wciąż był obok i tylko nie była w stanie go dostrzec.

– Nigdy więcej... – Już nie była pewna, czy słyszy cokolwiek, czy tylko sama mówi do siebie. Płacz jednej, a zaraz potem drugiej dziewczynki wyrwał ją ze snu tak gwałtownie, że wstając, musiała przytrzymać się

ściany, żeby zrozumieć, co naprawdę było snem. Wzięła dzieci z łóżeczek, ułożyła je na swoim i kładąc się obok, zagarnęła je do siebie, tuląc do ich chłodnych rączek rozgrzane policzki. Maluchy uspokoiły się na moment, czując obecność matki.

– Jak to możliwe... Jak to się stało, że cię tu nie ma? Jesteś częścią mnie, Kosma... – szeptała, patrząc w błyszczące oczka niemowląt. – Nie umiem się z tobą pożegnać. Nie umiem.

Nie była na to gotowa.

Pociągi do Łodzi odchodziły prawie co godzinę. Jeśli się postara, złapie jakiś wcześniej rano. Matce zostawi nakarmione dziewczynki i zapas mleka. Kilka godzin bez rodzicielki będzie dla nich czymś mniej stresującym niż podróż przez zatłoczone miasto, a potem nieznaną cmentarz, którego alejki mogą okazać się nie do przebycia dla ich dużej spacerówki. Pamiętała adres na Tymienieckiego i budynek z loftem na ostatnim piętrze. Może będzie miała szczęście i zastanie Michalinę albo byłą żonę Kosmy... Nie myślała o tym, co zobaczy w oczach tej kobiety; nie bała się dostrzec w nich wyrzutu czy jakichkolwiek oskarżeń. Obawiała się tylko tego, że nie będzie miała odwagi zadać tego jednego pytania, które być może da jej strzępek nadziei na odnalezienie siły, żeby zbudować przyszłość chociaż dla córek i zadbać o nie tak, jak Kosma dbał kiedyś o własną.

Nie będzie się musiała nawet pakować; wystarczą torebka z portfelem, parasol i bilet na metro, tak będzie szybciej. Nie chciała brać nic na sen. I tak na pewno nie zaśnie. Teraz już nie.

Czy wtedy na Bakaliowej odpisałaby mu, gdyby wiedziała, że będzie musiała przechodzić przez to wszystko, co teraz było jej udziałem? Tak, odpisałaby na ten list jeszcze raz, tak samo i tak samo szczerze – bo po raz pierwszy była ze sobą zupełnie szczerą. Bo wtedy zaczęła wszystko od

początku i w zgodzie z tym, czego naprawdę chciała.

Zignorowała trzy nieodebrane połączenia od Eweliny, sprawdziła zawczasu zawartość portfela i na wszelki wypadek nastawiła budzik na szóstą. Dziewczynki jak na złość marudziły jeszcze długi czas. Kiedy w końcu ucichły, przegrała z emocjami całego dnia i zasnęła głęboko zaraz po tym, jak przymknęła powieki. Już na granicy snu słyszała, jak jedno z dzieci kaszle i kicha przez sen. Pragnienie znalezienia się znów w zielonym pokoju było tak samo silne, jak lęk o córkę.

– Córko... – zaczął ostrożnie, kiedy tylko Michalina pojawiła się w drzwiach. Było grubo po północy; Kosma czekał na nią, siedząc na podłodze z psem. Michalina zerknęła na ojca badawczo, jakby chciała wysondować, czy nie złamał obietnicy. Niemal usłyszał, jak z ulgą wypuściła powietrze, przekonana już, że nie wypił ani kropli alkoholu.

– Kiedy tak mówisz, czuję się jak spóźniona do domu nastolatka! – powiedziała, siadając po drugiej stronie Helmuta. Ten był chyba w psim niebie; czochrały go aż cztery ręce, a łeb mógł układać to na lewą, to na prawą stronę. Dawno nie czuł się tak dobrze. Jego ogon leniwie sygnalizował pełnię szczęścia.

– Czekałem na ciebie, bo chcę, żebyśmy coś postanowili. – Kosma powrócił do przerwanej myśli. – Powinna tu być jeszcze mama, ale nie wiedziałem, o której wrócisz, i nie chciałem jej ciągać po nocy.

– Chyba nie ma nic lepszego do roboty, mogłaby przyjść nawet teraz!

– Rano musi być w aptece. Pewnie już śpi. – Kosma nie wydawał się przekonany. Poza tym chciał najpierw ustalić kilka rzeczy z córką.

– Może masz rację – zgodziła się młoda. – O czym chcesz porozmawiać? I jak się w ogóle czujesz?

– Jestem w pełni władz umysłowych, jeśli o to pytasz. Fizycznie czuję się tak sobie. Jestem słabszy niż miesiąc temu...

– Ale mimo tego piłeś i znikasz na całe dni! – przerwała mu z pretensją w głosie. Nie odpowiedział od razu; milczeli przez chwilę, wsłuchani w pomruki Helmuta.

– Nie oceniaj mnie, proszę – odezwał się cicho. – Mam nadzieję, że nie będziesz nigdy w takim położeniu. Nigdy!

– To nie chodzi o to, że ja cię oceniam. Po prostu się martwimy – wyjaśniła Michalina.

– Wiem i jestem wam obu za to wdzięczny, ale to niewiele zmienia w mojej sytuacji. Ty nie możesz mi pomóc, mama ma już swoje życie i też nie da mi tego, czego potrzebuję. Zresztą nie mogę od niej niczego wymagać. Rozstaliśmy się we względnej przyjaźni i nie mam zamiaru tego nadużywać.

– Do czego zmierzasz, tatku?

– Kiedy poznałem diagnozę, nie byliśmy już małżeństwem – dokończył. – Pamiętasz przecież, że jakiś czas przed tym poznałem kobietę, w której się zakochałem. Jak wiesz, planowaliśmy wspólne życie.

Michalina spojrzała na niego zaskoczona. Po raz pierwszy ojciec mówił o tym tak otwarcie. Przez te wszystkie miesiące unikał tematu, jakby wiązał się z czymś wyjątkowo dla niego bolesnym. Podejrzewała, że tak właśnie jest, dlatego nigdy nie nalegała na zwierzenia. Wcześniej nie mieli przed sobą zbyt wielu tajemnic – jeśli ojciec postanowił zachować tę część dla siebie, musiała to uszanować. Teraz jednak sam zaczął mówić, a jeśli tak, to nie zamierzała mu przeszkadzać. Słuchała...

– Zostawiłem ją. – Kosma odruchowo odwrócił głowę, unikając wzroku Michaliny. – I zrobiłem to w wyjątkowo perfidny sposób. Byłem przekonany, że tak ułatwię jej decyzję.

– Nie rozumiem. Jaki sposób i jaką decyzję? – zapytała cicho, i nawet Helmut nadstawił uszu, jakby ciekawy dalszego ciągu opowieści.

– Pomyślałem, że nie zasłużyła na to, by spędzić kilka miesięcy lub lat u boku zniedołężniałego, zgorzkniałego faceta, jakim się staję. I że kiedy tylko dowie się o chorobie, to nie opuści mnie do samego końca.

– To przecież zrozumiałe. Każda kochająca kobieta zrobiłaby to bez wahania. – Żar w oczach Michaliny dowodził, że mówi to z pełnym przekonaniem. Kilkanaście miesięcy wcześniej przeżyła przecież dokładnie to samo, kiedy umierał jej narzeczony.

– Nie mogłem dopuścić, żeby cierpiała jak ty... – odrzekł cicho, odczytując jej intencje.

– Co zrobiłeś? – Michalina niemal wwiercała się w niego wzrokiem.

– Sprowokowałem taką sytuację, z której mogła wywnioskować, że wcale jej nie kocham, prowadzę podwójne życie, mam inną kobietę i wychowuję z nią małe dziecko.

– Uwierzyła?

– Teraz zrobiłbym wszystko, żeby nie. Ale uwierzyła, nie odezwała się do mnie i ja też nie próbowałem się z nią skontaktować. Uznałem, że to krótkie cierpienie będzie dla niej lepsze niż opieka nade mną i pochowanie mnie, kiedy umrę.

– Nie umrzesz, tatuś – zapewniła z mocą. – Przynajmniej nie teraz...

– Czuję się słabo. I te omdlenia też mnie niepokoją.

– Stuhr sobie poradził, a walczył cztery lata! – Michalina była pewna, że walka z chorobą sprowadza się do odpowiedniego nastawienia.

– Byłem u szeptuchy. – Kosma zmienił temat, bo nie był pewien, czy przykład zmagania popularnego polskiego aktora to wystarczający argument. Fakt, pokonał chorobę, ale... cztery lata kuracji? On sam czuł, że może nie mieć już tyle czasu. – Powiedziała mi, że jeszcze się zobaczymy, że będzie dobrze.

– Sam widzisz! – Michalina przezornie pohamowała się przed bardziej

wnikliwym komentarzem. – Wszystko się ułoży.

– Jutro zgłoszę się do szpitala. Przejdę operację, niewykluczone, że wyjdę z niej bez sporej części gardła. Może też nie wyjdę z niej wcale...

Przeczytała o tej chorobie na tyle dużo, by wiedzieć, że jego słowa nie są dalekie od prawdy. Nie zamierzała jednak pozwolić, by pograżył się w czarnych myślach jeszcze bardziej.

– Ojciec, co ty pleciesz? Jeszcze dzieci będziesz bawił, zobaczysz!

– Dzieci? Poznałaś kogoś?

– Poznałam – przyznała – ale do dzieci jeszcze daleka droga, więc sam rozumiesz... Masz sporo czasu na rekonwalescencję! A może o swoje się jeszcze postarasz?

Przez jego twarz przebiegł grymas. Chciała wierzyć, że to cień uśmiechu. On był przekonany, że to po prostu cień. Nie miał przecież z czego się cieszyć.

– Taki był plan, ale Pan Bóg usłyszał i pokazał mi miejsce w szeregu. Tak czy inaczej, mam prośbę. Zostawię ci list do Matyldy. Gdyby coś mi się stało...

– Nie lubię, jak tak mówisz – powiedziała natychmiast, a Helmut warknął na potwierdzenie. On też nie przepadał za takim gadaniem.

– Pojedziesz do niej do Warszawy, do tego sklepu, z którego mamy obraz motyla. Powiesz, że ojciec myślał o niej do końca, i oddasz list.

– Sam do niej pojedziesz, i to bez listu! Prędeż z listą. Listą gości na wesele.

– Proszę, zrób to dla mnie. – Podniósł się i pocałował ją w czoło. Nie miał już siły na dalszą rozmowę, a musiał jeszcze pożegnać się z Matyldą. Tylko co napisać kobiecie, którą zranił tak mocno?

Kochana,

w myślach tych listów wysłałem do Ciebie setki. Jeden naprawdę.

Nie odpowiedziałaś...

Przez długi czas wierzyłem, że zaginał gdzieś po drodze, zniknął w mazurskich bezkresach. Później zrozumiałem, że nie odpowiesz, bo dla Ciebie mnie już nie ma.

Jeśli czytasz te słowa, to znaczy, że umarłem. Kilka miesięcy później, niż się spodziewałem, ale i tak dużo wcześniej, niż kiedyś planowaliśmy. Te nasze plany...

W umieraniu nie ma nic ciekawego, Matyldo. Umierania nie da się zaplanować.

Jedyne, o czym mogłem zawczasu pomyśleć, to jak ustrzec Cię przed patrzeniem, jak odchodzę.

Może kiedyś to zrozumiesz, może wtedy pomyślisz o mnie cieplej?

Naprawdę nie chciałem, żeby tak się to potoczyło.

Chciałbym przed śmiercią usłyszeć od Ciebie: kocham! Tak jak kiedyś...

Przepraszam, że to spieprzyłem.

Kosma

Złożył kartkę i dopiero po dłuższej chwili odetchnął pełną piersią. Powoli dochodził do siebie; poczuł się też spokojniejszy, jakby z szarej, nieprzyjemnej toni wyszedł na suchy ląd. I jakby rozdzieliły się dwa światy. Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów zamiast czarnej otchłani nad głową widział coraz wyraźniejszy błękit spokojnego nieba. Nie był przesądny, ale musiał się z nią pożegnać, nawet jeśli miało to być wyłącznie tych kilka słów. Musiał...

Spojrzał na list i po raz pierwszy od długich miesięcy uwierzył, że ma na czym budować przyszłość. Zasypiał, wiedząc, że nadchodzące dni zmienią wszystko. Nie miał tylko pojęcia, jak bardzo...

⁴ Lady Pank, *Zawsze tam, gdzie ty* (sł. Jacek Skubikowski).

⁵ Mieczysław Fogg, *To ostatnia niedziela* (sł. Zenon Friedwald).

DZIEŃ TRZECI

Przeciąg trzasnął drzwiami, kiedy wchodziła do domu. Stała w przedsionku i zdziwiona wyjrzała przez okno. Intensywność zieleni zdumiała ją, jakby dopiero teraz dostrzegła uroki przydomowego ogrodu, tak pieczołowicie pielęgnowanego przez matkę. Bujna roślinność niemal wdzierала się do środka, wykorzystując każdy element elewacji, każdą okazję, by wypuścić nowy, zielony kawałek życia. Dziwne, że zauważyła to akurat tego dnia. Przecież bogactwo flory nie zjawilo się zniénacka. A może? Odwróciła się na pięcie.

– Mamo, przyszykuj się, proszę. Pojedziemy jednak do tej przychodni.

– Przecież nie ma gorączki; trzy razy mierzyłaś...

– Na wszelki wypadek. – Matylda położyła torebkę na półce w przedpokoju, powiesiła parasol na wieszaku i szybko weszła do pokoju dziewczynek.

– A to spotkanie? Mówiłaś, że to ważne.

– Może poczekać. Przewinę je tylko i możemy ruszać. Dziś przyjmuje Wichrowiczowa, jutro ta młoda pyskata. Będę spokojniejsza, jeśli obejrzy ją ktoś z większym doświadczeniem i empatią.

– Dobrze, dziecko; tylko podam ojcu leki. Daj mi kwadrans.

Matylda miała wrażenie, że badanie trwa wyjątkowo długo. Stała obok wysokiego stoliczka, na którym lekarka osłuchiwała małą, i przyglądała się córce. Dziecko uśmiechało się szeroko do pediatry i łapało stetoskop małymi rączkami. Doktor Wichrowicz odwzajemniła uśmiech i delikatnie dotknęła małego noska.

– Dziecko jest zdrowe – zawyrokowała i wyciągnęła słuchawki stetoskopu z uszu. – Jest zupełnie czysto i nie ma najmniejszego śladu infekcji.

– A ten kaszel? – Matylda wolała się jeszcze upewnić.

– Być może powietrze w mieszkaniu jest zbyt suche. Proszę nawilżyć pomieszczenie mokrymi tkaninami rozwieszonymi w różnych miejscach albo nawilżaczem parowym. – Usiadła przy biurku i zaczęła notować coś w karcie pacjenta. – Oczywiście, jeśli cokolwiek panią zaniepokoi, proszę przyjechać jeszcze raz; z drugim dzieckiem również, rzecz jasna. Dziś jest wszystko w porządku, droga mamó! – dokończyła z naciskiem na „wszystko”.

– Więc to fałszywy alarm. – Matylda westchnęła z nieukrywaną ulgą, ubierając ciągle uśmiechniętego malucha.

– Bezobjawowe zapalenia płuc u niemowląt to niestety ciągle jeszcze nie rzadkość, chociaż my lekarze życzylibyśmy sobie, żeby było inaczej. Lepiej więc osłuchać trzy razy zdrowe dziecko niż zbagatelizować zwykły katar; u takich maleństw w kilka godzin potrafi przejść w groźne powikłania.

– Coś takiego zdarzyło mi się u obu synów lata temu... Takie rzeczy zapamiętuje się bardzo mocno.

– Tym bardziej chwali się pani zapobiegliwość. A dziś nawet witaminy ce pani nie dam, bo nie ma potrzeby. – Zamknęła kartę i spojrzała z uśmiechem na Matyldę. – Fantastyczne, zdrowe bliźnięta. Więcej takich pacjentów, a nie będę miała co robić.

– Pani doktor to nie grozi; i nie mówię o ilości zachorowań, proszę mi wierzyć.

– Dziękuję. – Lekarka odprowadziła Matyldę do drzwi i zaprosiła do środka kolejnego małego pacjenta. – Nie wyganiem was, ale chorzy

czekają...

Właśnie z myślą o takich dniach jak dzisiejszy zdecydowała się wrócić do stolicy, do codzienności, którą zmuszona była okiełznać i oswoić własnymi siłami.

Już zupełnie spokojna zamknęła za sobą drzwi gabinetu. Zanim zlokalizowała matkę spacerującą z drugą córką po długim korytarzu przychodni, jej wzrok padł na kilkuletniego chłopca, który z rumorem upuścił metalowy samochodzik na posadzkę.

– Uważaj, synku! – Do chłopczyka podbiegła natychmiast wysoka zgrabna brunetka, zanim malec zdążył się rozpłakać, widząc, jak kółka autka turlają się w różne strony korytarza. Matylda poznała ich od razu. Jedno z kółeczek potoczyło się jej pod nogi. Schyliła się i podniosła okrągły przedmiot.

– Dziękuję. – Dłoń kobiety w drodze po kółeczko zatrzymała się w powietrzu, kiedy ich spojrzenia się zetknęły. Matylda nie zdążyła przybrać maski obojętności, żeby ukryć to, co się w niej działo, kiedy patrzyła na tę dwójkę. Ta kobieta nie miała prawa dostrzec jej wtedy, ukrytej za przyciemnioną szybą samochodu na przybłokowym parkingu; nie mogła więc znać jej twarzy. Ale Matylda dostrzegła w jej spojrzeniu i w charakterystycznym zmarszczeniu brwi, że gorączkowo zastanawia się, czy powinna znać osobę, na której jej widok zrobił tak duże wrażenie. Odgadła, że matka chłopczyka uśmiechnęła się chyba na wszelki wypadek. Nie padło wprawdzie: „Czy my się przypadkiem znamy?”, ale przez długą chwilę to pytanie zawisło między nimi jak rodzaj jakiejś niewidzialnej bariery, która ani jednej, ani drugiej nie pozwoliła go zadać, by wyjaśnić dziwność tego spotkania.

– Mamooo... – Po policzkach chłopca spłynęły dwie duże łzy, a za nimi kolejne. – Zobacz!

Kobieta przeniosła szybko wzrok na syna, uklękła przy nim i zaczęła wycierać mu dłonią krople skapujące z małej bródki.

– Naprawimy to. Coś wymyślę, okej? – Przytuliła chłopca i wzięwszy go za rączkę, odwróciła się jeszcze na chwilę do Matyldy. Uśmiechnęła się, zatrzymując wzrok na dziecku w jej ramionach, trącym oczka małymi piąstkami. – Poprowadziła malca do długiej ławki pod ścianą, zbierając po drodze pozostałe fragmenty zabawki. Matylda nie widziała, że kiedy sadowiła dziewczynki w spacerówce, kobieta nadal jej się przyglądała z wyrazem głębokiego zastanowienia na twarzy; czuła jednak na sobie jej spojrzenie aż do momentu, kiedy zamknęła za sobą drzwi przychodni. Dopiero za nimi zdała sobie sprawę, jak drżą jej nogi. Tamta musiała dostrzec, że nie była dla Matyldy tylko przypadkowo spotkaną mamą małego rozrabiaki. Domyśliła się? Nawet gdyby tak było, jakie to miało znaczenie? Dlaczego miałyby się domyślić? Przecież Matylda mogła ją pomylić z kimkolwiek innym. To się przecież zdarza, po latach nie poznajemy nawet kolegów, z którymi kiedyś siedzieliśmy w jednej szkolnej ławce.

Gdyby zapytała o Kosmę, wszystko stałoby się jasne. Tylko po co? Żeby tu, na tym korytarzu, wśród płaczących dzieci i nieznanym jej innym matek usłyszeć, że Kosma nie żyje... albo żyje i milczy? Nie chciała, żeby ktokolwiek, ta obca kobieta również, widział w jej oczach to wszystko, co chciała zostawić tylko dla siebie. Żalobę po miłości, która ledwie rozwinęła skrzydła... Teraz Matylda zbierała ich strzępy w nadziei, że jeszcze mogą jej się przydać.

Nagle serce zalał jej niewysłowny żal, że być może właśnie tej kobiecie mówił o swoim strachu przed chorobą i bólem; być może płakał i w jej domu zostawiał swój strach przed umieraniem. Może była mu wtedy bliższa niż ktokolwiek inny, bo pozwalała mu w swoich czterech ścianach

ukryć niepokój i nieuchronność tego, co miało się stać, oszczędzając w ten sposób wszystkich, których próbował przed tym chronić?

Jej mózg nie był w stanie przetworzyć tej wizji na racjonalne wytłumaczenie, żeby w jakiś sposób mogła się uspokoić i pogodzić z myślą, że w takim momencie zajął jej miejsce ktoś, o kim nie wiedziała zupełnie nic... To przecież ona miała dzielić z nim wszystko; również to, czego obydwójce bali się najbardziej.

– Zbladłaś, dziecko... – Pani Radecka przypomniała jej nagle o swoim istnieniu. W głębokim zamyśleniu Matylda zupełnie zapomniała, że obserwuje ją ktoś jeszcze.

– Mało spałam. – Nie skłamała. – Jestem przeczulona...

– I zmęczona. Chodźmy, zaczynają marudzić. Prześpisz się razem z nimi, kiedy pójdą na drzemkę.

– Nie, mamó. Jeśli wszystko jest w porządku, załatwię i tę Łódź. Musiała wiedzieć.

„Kiedy o niej myślę, a myślę bez przerwy, to czuję, że nie jestem sam”. To zdanie padło z telewizora, kiedy Kosma oglądał rano stary polski film. To nic, że z ust księdza – on sam nie wymyśliłby trafniejszej definicji miłości, a i żadna ze znanych mu dotychczas nie oddawała dobitniej jego sytuacji. Po tym, jak już napisał krótki list do Matyldy, wreszcie spał spokojnie. Tak, myślał o niej nieustannie. Tak, to dzięki niej nie czuł się w swojej chorobie samotny. Były co prawda jeszcze Michalina i Kaśka, ale ich obecność – przyznawał to ze wstydem – zamieniłby na jedną chwilę z zupełnie inną kobietą.

Od godziny czekał na byłą żonę. Kaśka miała dla niego ważne wiadomości od profesora Klejmana, który opiekował się nim przez ostatni rok. Ta dwójka doskonale się rozumiała; on pozostawał trochę z boku. Leżał z psem na dywanie w salonie, *Historie miłosne* powoli dobiegały

końca, a on po raz kolejny zastanawiał się, dlaczego ten film nie dostał nominacji do Oscara. Dziś już nawet nie pamiętał, kto zgarnął wtedy nagrody, ale subtelny moralitet Stuhra bez wątpienia zasługiwał na uznanie. *Charakter!* Wreszcie przypomniał sobie oscarowego zwycięzcę w kategorii „film nieanglojęzyczny”. Tylko dlatego, że zdjęcia kręcono głównie we Wrocławiu. A Kosma tam się urodził...

Ożywienie Helmuta zwiastowało, że zaraz ktoś zadzwoni do drzwi. Podniósł się z podłogi i spojrział na zegarek.

– Najwyższa pora! – mruknął pod nosem, co pies skwitował niechętnym machnięciem ogona. Wciąż jeszcze traktował swego pana z dystansem.

Kosma otworzył drzwi Kaśce i wpuścił ją do środka. Przelotny buziak musiał obojgu wystarczyć za powitanie; nie silili się na wymuszoną czułość, choć po rozwodzie pozostawali w przyjaźni.

– Nie denerwuj się, nie ma powodu do pośpiechu! – zaczęła kobieta, widząc nerwowe błyski w oczach gospodarza.

– Jak to: nie ma powodu? Nagle nie muszę się spieszyć?

– Spokojnie, zaraz ci wytłumaczę, tylko się wysikam, bo po dwóch kawach pęcherz mi pęka. – Drobiąc, ruszyła w stronę łazienki. Kosma z Helmutem spojrzeli po sobie i pokiwali ze zrozumieniem głowami: kobiety!

– Klejmann ma zupełnie nową propozycję! – zawołała przez uchylone drzwi toalety. – Słyszysz?

– Słyszę ciebie... i wszystko inne też!

– Co żeś się taki wrażliwy nagle zrobił? – Kaśka stanęła w drzwiach kuchni, dopinając spodnie. – Zaraz mi, kuźwa, powiesz, żebym jeszcze rączki umyła. Rysiek z *Klanu* jesteś?

– No dobrze, co to za wieści? – Kosma nie miał zamiaru wdawać się w sprzeczki o higienie lub dobrych zwyczajach. – Co wymyśliliście, żeby mnie bardziej udręczyć?

– Klejmann nie mówił o tym wcześniej, bo sprawa jest świeża, pojawiła się przedwczoraj. Ale wygląda to obiecująco, musiałbyś się tylko zgodzić...

– Kasiu, do meritum, proszę! – przerwał jej, zanim zdążyła się rozkręcić na dobre. – Na co mam się zgodzić?

– Na eksperymentalną formę leczenia pod okiem specjalistów ze Szwajcarii.

– Zurych czy Berno? – zapytał Kosma, bo tylko te dwa miasta kojarzyły mu się ze Szwajcarią. Berno, bo uchodziło za stolicę kraju, choć formalnie Szwajcaria takiej nie miała, a Zurych... Bo to kolebka dadaizmu?

– Czy to teraz istotne? – Kaśka spojrzała na niego z przekąsem, ale dodała: – Genewa. Musiałbyś polecieć do Genewy.

– Przepraszam, po prostu chciałem poudawać światowca, już nie przerywam. – Kosma usiadł przy oknie i podparł się na łokciach. – Co to za terapia?

– Sama do końca nie wiem, Klejmann również nie zna zbyt wielu szczegółów. Jesteś do niego umówiony na wizytę na jutro, zresztą możesz zadzwonić w każdej chwili i dopytać. Choć nie, jest zajęty, dlatego spotkanie ustawiłam dopiero na kolejny dzień. Mówił, że to wielka rzecz, jakiś projekt badawczy nad nowym lekiem. Prowadzą to ludzie, którzy z nim współpracowali przy jakiejś okazji i mają dwa czy trzy miejsca dla jego pacjentów.

– Tak mnie lubi, że pomyślał o mnie?

– Myślę, że lubi mnie i moich rodziców.

– No tak, to jasne. Podziękuj staruszkom.

– Myślę, że sam mógłbyś to zrobić, jak już wrócisz znad Jeziora Genewskiego.

– Jeśli wrócę, chciałaś powiedzieć. Tak?

Wzruszyła ramionami. Nie miała siły grać w tę grę. Ani ochoty,

zwłaszcza kiedy pojawiły się nowe możliwości kuracji.

– Jesteś jednak debilem, wiesz? Gdzie nasza córka?

– Chyba w sklepie. Uparła się, że zrobi mi kanapki do szpitala.

– Jakiego szpitala? – spytała odruchowo, niepewna, czy dobrze usłyszała.

– Miałem się dziś zgłosić do Klejmana, myślałem nawet, że w tej sprawie do ciebie dzwonił.

– Naprawdę? – ucieszyła się. – Czyli trochę ci zależy? Będziesz się leczył?

– Powiedzmy, że tak.

– „Tak”, że ci zależy? Czy „tak”, że będziesz?

Uśmiechnęła się, doskonale wiedząc, że podziiała to na niego jak płachta na byka. Nie pomyliła się.

– Co to, kurwa, przesłuchanie? Miałem dziś pójść do szpitala, niech to na razie wystarczy.

– Ale chyba lepiej do takiego w Genewie?

– Nie wiem, nie widzę siebie w roli królika doświadczalnego. Co myślisz?

Naprawdę obchodziło go, co ona o tym sądzi. A może po prostu szukał jakiegoś potwierdzenia, znaku, nadziei, że ta kuracja ma jakiś sens?

– Myślę, że już więcej nic nie mogę zrobić. Moje możliwości się skończyły – odpowiedziała po chwili.

– Czyli to moja ostatnia szansa?

– Chyba że wolisz pojechać znów do szeptuchy... – Puściła do niego oko.

– Mówił ci ktoś, że jesteś czasami straszną jędzą?

– Zdawało mi się, że tak mnie nazywasz, kiedy myślisz, że nie słyszę?

W drzwiach stanęła Michalina, przyjrzała im się uważnie, a następnie położyła na blacie torbę z zakupami. Malinowe pomidory wypadły z siatki,

zapach świeżego pieczywa rozszedł się po kuchni.

– Coś mnie ominęło? – zapytała, całując matkę na powitanie.

– Tata leci do Genewy na badania. Klejmann załatwił mu miejsce w panelu badawczym nad nowym lekiem.

– Jeszcze nigdzie nie lecę! – zaproponował Kosma. – Nic nie wiem o tym badaniu, nie wiem, czy mam na to siłę i ochotę.

– Wolisz chodzić z rurą w gardle? – zdenerwowała się Kaśka.

– Nie wiem, dziewczęta. Pogadamy o tym jutro, po wizycie u profesora, okej?

– Nie spieprz tego, tato! – poprosiła Michalina. – Przynajmniej tego, dobrze?

Chciałbym, pomyślał Kosma. Naprawdę chciałbym tego nie popsuć.

Tylko Helmut zachował spokój, jakby swoim psim nosem wyczuwał, że nikt niczego tu już nie pogmatwa.

Nieważne, rozmowa i tak była zakończona. Kaśka posiedziała jeszcze chwilę, po czym zebrała się do pracy. Ktoś w tej rodzinie musiał przecież zarabiać. Genewa to nie jest tania rzecz...

Namalować to, co słyszała. To właśnie chciałyby zrobić. Jeśli obraz potrafi opowiedzieć jakąś historię, a słowa – dotykać? Namalować muzykę! Uśmiechnęła się sama do siebie na to pragnienie; dziwaczne, ale przecież nie niemożliwe do zrealizowania.

Szeptaly z Xenią coś do siebie w trakcie tego niecodziennego koncertu, ale tylko czasami. Chociaż pianista sprawiał wrażenie, że gra tylko dla siebie. Po raz pierwszy Matyllda słuchała Chopina w takiej scenerii. Prawie zapomniała, ile emocji i wyszukanych niuansów kryją nuty jego etiud i walców. W na pół dzikim letnim ogrodzie, który tonął w przekwitłej trawie i powietrzu przesyconym zapachami późnego lata, te znane jej kompozycje były jak brakujący element niezwyklej układanki. Ledwie okiełznana

przestrzeń wokół zgarbionych ze starości jabłoni gdzieś na końcu świata była wszystkim, czego potrzebowały te nuty, żeby wybrzmieć i w pełni stopić się z nią w idealną całość, aż do ostatniego akordu.

Nie tylko Matyllda uwielbiała te wyjątkowe koncerty, na początku tylko naprędce improwizowane na usilne prośby bywalców zajęć w siedlisku, a potem już wyczekiwane z taką samą niecierpliwością, jak barwny efekt wielu godzin pracy z pędzlami i stosami poplamionych tubek...

Nie pamiętała wielu takich dni, kiedy dom Xeni był zupełnie pusty. Grono wielbicieli świeżego sandacza albo ziemniaków pieczonych w ognisku poszerzało się tak naprawdę z tygodnia na tydzień. Większość przyjaciół gościnnego małżeństwa było muzykami, jak mąż Xeni – zdolny skrzypek Filharmonii Bałtyckiej. Albo byli to uczniowie, koledzy po fachu czy po prostu wielbiciele malarskiego talentu gospodyni, a potem już miłośnicy całej niezwyklej mazurskiej głuszy, która w takie wieczory z ciszą miała niewiele wspólnego.

To był jeden z tych pierwszych sierpniowych wieczorów, kiedy schyłek lata pozwalał sobie strącać pierwsze liście z drzew. W żadnej filharmonii nie można było otulić się ciepłym kocem. Matyllda wprawdzie delectowała się tylko świeżo wyciskany sokiem marchewkowym z domieszką dojrzałego mango, ale i tak nie zamieniłaby teraz tej scenerii na salę z kryształowymi żyrandolami i perfekcyjnym nagłośnieniem...

Xenia przedstawiła jej, a w zasadzie jej i Kosmie, Kostka podczas jednego z tych jeszcze wtedy przejaskrawionych szczęściem weekendów w mazurskim siedlisku. Matyllda prawie go z tamtych chwil nie pamiętała. Nie mogłaby nawet z całą pewnością powiedzieć, czy był wtedy sam, czy ktoś mu towarzyszył. Od tamtego razu przyjeżdżał prawie co weekend przez całe lato.

Od trzech lat miał stałą umowę w tej samej filharmonii, w której

pracował Grzegorz. Tam zresztą panowie się poznali kilkanaście lat wcześniej jako młodzi, zdolni i dobrze zapowiadający się muzycy.

Konstanty był już wtedy żonaty, miał dwoje dzieci i wkrótce okazało się, że po raz trzeci zostanie ojcem. Tworzyli wyjątkową rodzinę, która była wzorem dla Grzesia i Xeni i chyba tak naprawdę pozostała nim do dziś. Pozostałaby; bo w jednej chwili tej rodziny po prostu nie było.

Nad morzem nie stroni się od plaż. W upodobaniu do takiego spędzania wolnego czasu rodzina Kostka nie była wyjątkiem. Poszedł tylko po lody dla żony i dzieci. Sam wolał owoce. Kiedy wrócił z rękami pełnymi rozplływających się słodyczy, zobaczył zbiegowisko niedaleko miejsca ich obozowania. Utonęła cała czwórka... Gwałtowna fala wciągnęła maluchy, których matka pilnowała tuż obok. Nie zdawali sobie sprawy, że niefortunnie wybrali miejsce, gdzie siła powrotnej fali była największa. Kobieta próbowała w panice wyciągnąć z wody dwoje dzieci jednocześnie. W końcu nie zdołała uratować ani ich, ani siebie.

Z tej tragedii Kostek nigdy się nie otrząsnął. Wyjechał z kraju na wiele lat. Przesyłał tylko pocztówki z różnych europejskich stolic i teatrów. Wrócił trzy lata temu, tak po prostu. Spokojniejszy, w doskonałej formie muzycznej, z posiwiałymi skroniami. Sam. Inny, ale w przyjaźni jak zawsze niezastąpiony. Wyróżniał się wśród męskiej części kręgu bliskich znajomych Xeni i Grzegorza: stonowany, przystojny, zrównoważony i niezwykle zdolny. Nie mówił dużo, nie zdarzało mu się używać niepotrzebnych słów; nigdy nie słyszała, żeby ironizował czy był złośliwy. Słyszała za to, jak gra.

I słuchała go zawsze, kiedy tylko stwarzał im taką możliwość. Nigdy nie rozmawiali zbyt dużo. Najpierw była przecież zajęta Kosmą, potem... Potem niewiele twarzy pamiętała. Tym bardziej rozmów. Pamiętała jednak, że kiedy rozmawiała z Kostkiem, wszystko było... możliwe do przetrwania, prostsze.

Jeśli pianista wcześniej zerkał czasami na swoich słuchaczy, przy tym utworze przestał ich dostrzegać. On był gdzieś w sobie tylko znanym miejscu, słuchacze również odpływali każdy w swoją stronę. Melodia była inna niż wszystkie wcześniejsze, a Matylda była przekonana, że Chopina zna dość dobrze. Tak tkliwych i namacalnie tęsknych nut chyba jeszcze dotychczas nie słyszała. Od pierwszych taktów melodia omotała ją jak bajkowy lubczyk... Wystuchała jej na bezdechu od pierwszej do ostatniej nuty.

– Ten walc, który grałeś na końcu... – Musiała go o to później zapytać.

– Tak?

– Jest... pełen sprzeczności, choć kompletny, idealny, jeśli wiesz, co mam na myśli. – Ze zmarszczonym czołem próbowała opisać mu swoje wrażenie.

– Wiem. To Mariage d'Amour Richarda Claydermana. I wiem, dlaczego jest, jak mówisz, pełen sprzeczności. To zasługa tonacji i durowej, i molowej w tym samym utworze. Choć rzeczywiście rzadko się zdarza, żeby molowa tonacja miała tak wznoszący i optymistyczny wydźwięk. Wystyszałaś to! – Uśmiechnął się do niej. – Nie wiedziałem, że malarze mają takie ucho...

– Nie mnie oceniać wartość moich uszu, ale wołałabym nie stracić nigdy żadnego z nich. Tak jak okazji do posłuchania ciebie jeszcze kiedyś.

W ogrodzie zrobiło się chłodniej. Owinęła się szczelniej kocem i wtuliła w głęboki wiklinowy fotel. Ogród opustoszał, a całe towarzystwo oprócz ich dwojga przeniosło się do cieplejszej kuchni, w pobliże świeżego drożdżowca Xeni.

– To miejsce jest jak ty. Naprawdę chcesz stąd wyjechać? – Wpatrywał się w resztę wina w kieliszku, który trzymał w dłoni.

– Będę matką dwójki dzieci, Kostek. Jak pewnie wiesz od Xeni, samotną matką.

– Tak, wiem.

Tym razem patrzył na nią.

– I wiesz, ile kosztuje duża rodzina. – Zrobiła długą pauzę. – To miejsce jest dobre do życia, ale dla kobiety w mojej sytuacji to po prostu zbyt trudne... Ot co. Sprzedaż wykończonej stodoły pozwoli mi spokojnie poświęcić się dzieciom do momentu, w którym przestanę być dla nich całym światem. Staram się robić tylko to, co będzie dla nich najlepsze.

– A ty? Gdzie ty w tym wszystkim jesteś? – Czekał na jej odpowiedź, jakby zależało od niej coś szczególnego.

– Nie myślę o tym teraz, zresztą nie mam na to zbyt dużo czasu. Ani siły... – Uśmiechnęła się słabo.

Milczeli przez chwilę. Potem zapytała go jeszcze o planowane koncerty w sezonie jesiennym. On opowiedział jej coś ciekawego o swoich muzycznych inspiracjach i planach zawodowych na kolejne miesiące. Tego wieczoru nie wrócili już do trudnych pytań. Ani zbyt chętnie do rozbawionego towarzystwa w głębi domu. Dopiero kilka dni później Matylda dowiedziała się od Xeni, że tego walca zagrał wtedy po raz pierwszy od wypadku. I że to był ulubiony walc jego żony.

Na dobrą sprawę nie wiedział, czy rozpakować walizkę, czy zostawić wszystko w pogotowiu. Jeśli zdecyduje się na wyjazd, i tak będzie musiał dorzucić kilka rzeczy. Przecież na razie nie miał nawet wiedzy, ile dni spędzi w genewskiej klinice. Kosma, jak każda zodiakalna Panna, musiał mieć jednak porządek w najbliższym otoczeniu. Rozpiął więc suwak torby i porzkladał odzież w równych kupkach na łóżku. Sprany T-shirt z amerykańskiej trasy koncertowej Band of Horses odłożył na bok; co uszłoby w szpitalnej sali w Łodzi, z pewnością nie wypadało nosić nad Jeziorem Genewskim.

– Europa, inny świat – mruknął i w miejsce ulubionego podkoszulka wybrał raz tylko założony cienki dres z logo znanej firmy sportowej. Kupiła

mu go kiedyś Kaśka i do tej pory leżał zapomniany w szafie. Wszystko wskazywało na to, że teraz będzie z niego wreszcie pożytek. Co w ogóle bierze się do szpitala, jeśli nie musisz podczas kuracji leżeć przykuty do łóżka? Będę musiał zapytać profesora, pomyślał i dorzucił do rozłożonej odzieży jeszcze jedną koszulę. Koszul nigdy za dużo!

Krzątaninę w garderobie przerwał mu telefon.

– Posłuchaj! – zaczęła bez wstępu Ewelina. – Sprawa jest taka, że prace nad udźwiękowieniem tej gry mają ruszyć niebawem i jest prośba, żebyś pojawił się w Warszawie w tym tygodniu.

– Ja też się za tobą stęskniłem! – powiedział, kiedy tylko dopuściła go do głosu.

– Przepraszam, mam tylko krótką przerwę i muszę się streszczać.

– Co gracie?

– Dziś? Jakieś *Gwiazdy tańczą po wodzie* czy coś takiego. Pełno roboty, ledwo żyję.

– Posłuchaj, przyjadę do Warszawy, ale nie wiem, czy jutro, czy w kolejnych dniach. Mam dziś ważną wizytę u lekarza i od niej zależy mój rozkład na resztę tygodnia.

– Coś się dzieje? Niedobrego?

– Chciałabyś! Ale chyba dzieje się wręcz coś odmiennego.

– Okej, chłopaku, zadzwoń, jak ogarniesz temat. Lecę, bo już mnie szukają.

– Uciekaj, dziękuję!

Nie był przekonany, czy zdoła w czasie wszystko zgrać, więc najprawdopodobniej będzie musiał podziękować za propozycję. Niemniej, jeśli komuś tak bardzo zależało, żeby zaangażować do projektu właśnie jego, to wypadałoby za to podziękować osobiście. Pojedzie do Warszawy, przeprosi za zamieszanie i grzecznie się wymiksuje.

I jak zwykle przewinie się, naturalnie całkowicie przypadkowo, w okolicach SenSualu. Zawsze tak robił, licząc, że dostrzeże ją choć na mgnienie oka. Przecież Matylda musiała tam bywać, choćby sporadycznie. Do tej pory mu się nie udało; może teraz będzie miał więcej szczęścia. Dochodziła czternasta. Do spotkania z profesorem zostało już niewiele czasu.

– Pojedziesz ze starym do lekarza? – zapytał Michalinę, zaglądając do jej pokoju. – Nie chce mi się samemu...

– Jasne, już? – Podniosła się bez zwłoki.

– Spokojnie, zdążymy jeszcze wyjść z psem, bo nie wiem, ile nam tam zejdzie.

– Nie zapomniałeś o czymś?

– O czym? – Naprawdę nie pamiętał, czy miał jeszcze coś do zrobienia.

– List do Matyldy... – wyjaśniła mu córka.

– A, rzeczywiście, list. – Cofnął się o krok, jakby się nad czymś zastanawiał. – Wiesz co, zostawmy to na razie. Jeszcze nie teraz.

A nie mówiłem? Gdyby tylko Helmut mógł mówić, z pewnością zadałby takie pytanie. Ale nie mógł, więc tylko poderwał się z miejsca, gotów do wyjścia. Dobry spacer potrafi przecież rozwiązać połowę problemów.

Uwinęli się szybciej, niż zakładali, dlatego teraz mogli bez pośpiechu poszukać miejsca parkingowego. Przed budynkiem, w którym mieścił się gabinet profesora, jak zwykle było tłoczno. Kosma musiał objechać cały kwartał, zanim znalazł kilka wolnych metrów. Jego volvo 244 było pod tym względem wymagające; manewrowanie niemal pięciometrowym autem wymagało wprawy, a najlepiej wolnej przestrzeni. Samochód był pomyślany jako auto dla zwyczajnego Szweda, z uwzględnieniem ostrego klimatu i wcale nie sympatyczniejszych warunków na drodze. Było toporne, ale przez to piękne. Egzemplarz Kosmy, pochodzący z początku

lat dziewięćdziesiątych, a więc z końca produkcji modelu, za każdą wsadzoną w siebie złotówkę odpłacał się poczuciem bezpieczeństwa i niesamowitym komfortem jazdy.

– Jak ci się spisuje? – zapytał, wyciągając kluczyk ze stacyjki. – Nie wolisz czegoś bardziej... damskiego?

– Oszalałeś? Czuję się w nim jak na kanapie w salonie. Sam kup sobie coś damskiego!

– Może będę musiał – mruknął pod nosem, ale go nie usłyszała, bo uwaga pozostała bez komentarza. Z rozrzewnieniem wspominał autko Matyldy, bardziej nadające się do zakorkowanych i ciasnych uliczek warszawskiej starówki niż na Mazury, gdzie mieli budować swoją przyszłość. Ciągle łapał się na tym, że wszystko, o czym pomyśli, kojarzy mu się właśnie z nią, z tymi dniami, kiedy kradli wspólnie szczęście.

Pamiętał noc, kiedy gardło wyjątkowo dawało mu się we znaki, a Matylda domagała się uwagi jak małe, rozkapryszone dziecko. Błękitna bielizna, którą musiała kupić specjalnie na tę okazję, nie pozostawiała wątpliwości – oboje nie zasną dziś zbyt szybko. To była jedna z tych nocy, które wspomina się z błogim wyrazem twarzy. Długo rozmawiali przy przygaszonym świetle; przez uchylone okno wleciała ćma i szukała sobie teraz miejsca na odpoczynek. Obserwowali ją przez chwilę, dotykając się i całując leniwie. Zsunęła rękę w dół i objęła go dłonią. Był tak pobudzony, że doszedł po kilku ruchach.

– Przepraszam...

– Przepraszasz? Lepiej mnie całuj! – szepnęła, wycierając mu uda. – Po prostu całuj.

Nie miał zamiaru protestować. Zdecydowanym ruchem obrócił ją na brzuch i przykucnął obok. Mógł teraz kręcić językiem nie tylko ósemki, ale i bardziej skomplikowane wzory. Co zresztą zrobił, wkładając w to całą

miłość, jaką dla niej miał.

– Nie przestawaj... Jestem tak podniecona, że zaraz... sam wiesz! – powiedziała, gubiąc oddech.

Nie mógł nawet odpowiedzieć, jego język wbijał się raz delikatnie, innym razem bardziej gwałtownie w te miejsca, które podsuwała mu z rozkoszą. Kiedy poczuł, że Matylda zbliża się do orgazmu, przycisnął usta do jej warg i po prostu trwał w bezruchu. Usłyszał, jak dyszy, i spełniona przewraca się na bok.

– Zaraz wrócę – szepnął i zsunął się z łóżka. Wziął szybką kąpiel i wyszedł z łazienki przepasany ręcznikiem. Leżała na brzuchu bez ruchu, jakby spała. Wiedział, że to tylko gra. Wystarczył mu widok jej ponętnie wypiętej pupy, żeby znów osiągnąć gotowość.

– Ja cię kocham, a ty śpisz? – zapytał, zbliżając się do łóżka. Ręcznik opadł na podłogę, odstawiając jego sterczącą męskość. Nie odpowiedziała, uniosła tylko lekko pośladki w zachęcającym geście. Wszedł w nią, podpierając się na łokciach. Uwielbiał, kiedy wyginała się pod nim, wbijał się w nią wtedy, próbując zsynchronizować jej oddech ze swoim. Dziś im się udało; kiedy napierał na nią, ona oddawała mu te pchnięcia, potęgując doznania. Odchyliła głowę, co skrzętnie wykorzystał, całując ją w czoło i łapczywie szukając ust. Ich oddechy mieszały się ze sobą, a w jej oczach widział wszystkie odcienie zadowolenia.

– Mogę? – wyszeptał jej do ucha.

– Musisz! – odpowiedziała.

Skończyli jednocześnie, przynajmniej to pierwsze, nie – już drugie podejście. Zsunął się z niej i przyciągnął ją do siebie. Matylda jedną nogę oparła o wezglowie łóżka, drugą przerzuciła nad nim.

– Śpimy? – zapytała.

– Oszalałaś? Nie po to chyba kupiłaś tę błękitną bieliznę!

Przysunęła się jeszcze bliżej...

Z zamyślenia wyrwał go głos Michaliny. Dyskretnie zerknął w dół, ale na szczęście jego wspomnienia nie zakończyły się niepożądaną w tej chwili erekcją.

– Tato, czemu nie odpowiadasz?

– Już, już... – Z trudem dochodził do siebie. – O co pytałaś?

– Jak długo będziemy tu siedzieć? Dobrze się czujesz?

– Jasne, chodźmy. Mama jest już pewnie pod gabinetem.

Ruszyli w stronę zabudowań kompleksu medycznego. Z daleka machała im Kaśka. Weź się w garść, upomniał się w myślach, nie możesz ratować swego życia z permanentnym wzwodem!

Przedwyjazdowy maraton nabierał rozpędu. Zanim odpowiedziała na wszystkie nieodebrane tego ranka połączenia, zdążyła pomylić liczbę karmień niemowlaków i zapomnieć o własnej porze obiadowej. Na szczęście pani Radecka była czujna. Na wyprawę do Łodzi zrobiło się jednak po prostu za późno, tym bardziej że bliźniacy zapowiedzieli się godzinę wcześniej. Z jednej strony Matylda odetchnęła z ulgą, bo każdy pretekst był dobry, żeby odsunąć w czasie ten moment, z drugiej jednak... po prostu chciała już tam być, obok niego...

Marek miał dla matki jakąś niespodziankę. Matylda była ciekawa, co też przygotował, ale była zmuszona powściągnąć swą ciekawość co najmniej do osiemnastej. Musiała też zadzwonić wreszcie do Eweliny.

Jakiś czas temu Matylda dostała propozycję współpracy z ekskluzywnym butikiem w centrum stolicy. Można w nim było kupić odzież w pojedynczych egzemplarzach, uszytą z wysokiej jakości tkanin, w przewadze malowanych ręcznie. Mimo wszechobecnego zalewu atrakcyjnych cenowo sieciówek, sklep miał się dobrze. W jaki sposób jej numer telefonu trafił w ręce właścicielki, nie miała pojęcia. Ciekawsze było

jednak to, co jej zaproponowano. Jedwab, szykowny i zawsze modny, wracał do łask. Ozdabiany ręcznie, w intrygująco dobranych barwach, miał szczególne wzięcie, więc Matyldzie zaoferowano współpracę na doskonałych warunkach finansowych. Gdyby nie jej nowe podwójne zajęcie, przyjęłaby propozycję bez wahania. Tak jak robiła to, kiedy tylko miała szansę na artystyczny rozwój i przy okazji satysfakcjonujące wynagrodzenie za dawanie upustu swoim malarskim fantazjom.

Tym razem z wiadomych względów, a było to już po podjęciu decyzji o zmianie klimatu, powiedziała, że potrzebuje czasu do namysłu. Zastanawiała się gorączkowo, jak mimo wszystko mogłaby tę szansę wykorzystać.

Ewelinę poznała na jednych z malarskich warsztatów w Trójmieście, które Xenia organizowała w swojej miejskiej pracowni, zanim jeszcze odziedziczyła po zmarłym ojcu siedlisko. Dziewczyna była wtedy studentką drugiego roku warszawskiej ASP. Już w tamtym momencie wyróżniała się pomysłowością w łączeniu kolorów i faktur wymykającą się malarskim schematom. Miała nie tylko dużo artystycznej odwagi, ale i niebywałą zdolność zatrzymania odbiorcy na tym, co wychodziło spod jej pędzli. Różnica wieku między nią a Matyldą była wprawdzie spora, ale w ich relacji nie miało to najmniejszego znaczenia, bo dziewczyna odznaczała się nie tylko malarską dojrzałością. Matylda zapamiętała ją jako zdolną, przebojową osobę, która w sztuce jeszcze długo nie powie ostatniego słowa. Los zetknął je ponownie dopiero dobrych parę lat później, kiedy okazało się, że makijażystką przygotowującą Matyldę do telewizyjnego wywiadu w związku z udziałem pracowni artystycznej pani Mancini w produkcji włoskiego musicalu jest właśnie Ewelina. Spotkały się potem jeszcze kilka razy na babskie pogaduszki o życiu i sztuce. To właśnie wtedy Matylda dowiedziała się, że w połowie drugiego roku Ewelina zrezygnowała ze

studiów na ASP. Czuła się skrępowana schematami akademickiego nauczania jak za ciasnym gorsetem. Jej artystyczna krnąbrność i charakter, który nakazywał jej bronić swoich wizji do upadłego, nie przypadły do gustu kadrze pedagogicznej uczelni. Odeszła w końcu sama, żeby malować to, co chce i jak chce. Jako makijażystka miała zastąpić chorą koleżankę w telewizji. Nowe zajęcie wciągnęło ją na tyle mocno, że skończyła z najwyższą notą szkołę charakteryzacji u Dzewulskich, a pastelami z powodzeniem domalowywała sobie drugą pensję, nie mniejszą niż ta telewizyjna. Ostatnio ich kontakt przygasł, a teraz Matylda miała okazję się zrehabilitować. I to w sposób, który – miała nadzieję – spodoba się Ewelinie. Chciała zaproponować zdolnej koleżance wejście we współpracę z warszawskim butikiem, a właścicielce sklepu atrakcyjną malarsko zamianę; w przyszłości być może również ciekawą kooperację z mediolańskim butikiem Violi, który oferował wymagającym Włoszkom podobny asortyment.

Pomysł Matyldy spodobał się Ewelinie od razu. Długo rozmawiały o szczegółach, zakresie artystycznych szaleństw oraz finansowej stronie propozycji.

– Muszę ci powiedzieć, że lubię charakteryzację. Ale to, co mówisz, brzmi bardzo kusząco. – Ewelina zastanawiała się na głos.

– Mhmmm. – Matylda wiedziała, że nie musi jej zbyt mocno przekonywać. Wyobraźnia Eweliny sama podpowiadała najlepsze rozwiązanie.

– Musiałabym sprawdzić, czy dam radę połączyć jedno i drugie. Mam tu stałą umowę o pracę, więc w grę wchodzi tylko malowanie jako zajęcie dodatkowe.

– Pokaż jej swoje portfolio – pomagała jej w tych rozważaniach Matylda. – Niech cię sprawdzi i zobaczy, co potrafisz. Jeśli będzie jej

zależało, wtedy popertraktujesz.

– I tak trzeba do tego podejść! – zgodziła się Ewelina. – Nie zaryzykuję odejścia z TV, ale malarsko czuję, że mój czas dopiero nadejdzie.

– Więc... do dzieła! Powiedziałam tej kobiecie, że będę miała w razie czego kogoś zdolnego na moje miejsce. Elastyczna babka. I odważna, więc jest ciebie ciekawa. Nic nie ryzykujesz na początek.

– Muszę ci powiedzieć, że stęskniłam się trochę za tego rodzaju pędzlami.

– Powiem ci, że ja też...

– Ty? Wszystko, co namalujesz, idzie jak woda! – W głosie Eweliny słychać było szczerzy entuzjazm.

– Ostatnio nie mam ku temu zbyt wielu okazji. Dużo się pozmieniało...

Matylda zrobiła dłuższą pauzę, bo nie chciała rozwijać tego tematu. Na szczęście Ewelina taktownie nie ciągnęła jej za język.

– Na długo wyjeżdżasz? – zapytała w końcu.

– Na kilka lat, może dłużej... Nie wiem.

Pytanie o Kosmę nie mogło jej przejść przez gardło.

– Dużo się zmieniło. To nie jest rozmowa na telefon.

To rzeczywiście nie była rozmowa na telefon i Matylda nie była przekonana, czy o tych zmianach chce mówić z Eweliną, z którą łączyła ją przede wszystkim znajomość na gruncie sztuki.

– Rozumiem...

W słuchawce przez chwilę słychać było tylko rozmowy jakichś osób, które musiały się kręcić w pobliżu Eweliny.

– Ułożę sobie w głowie, jak mogłabym to wszystko pogodzić, przedstawię jej to jak najdokładniej i niech decyduje. Co myślisz? – Ewelina taktownie wycofała się z niewygodnych pytań.

– Myślę, że się dogadacie. To naprawdę oryginalne miejsce i prowadzi je

ktoś z dobrym smakiem. A kto wie... – W głosie Matyldy nutkę zachęty słychać było jeszcze mocniej. – Może jeszcze kiedyś otworzysz własne atelier i zamiast malować Kozuchowską, będziesz malować dla niej.

Przez jakiś czas rozmawiały jeszcze o rodzajach tkanin preferowanych przez butik i miejscach, gdzie można kupić do nich farby wysokiej jakości. Po tym morzu barw Matylda poruszała się dużo lepiej od Eweliny.

– Nie będziesz się musiała za mnie wstydzić.

– Nie wątpię... – Matylda uśmiechała się, czując, że przekonała koleżankę. – Ale bardziej jestem pewna, że tamta później nie będzie chciała wypuścić cię z rąk.

– Daj spokój... – W głosie dziewczyny nie było słychać fałszywej skromności. – Wyślij mi jej namiary.

– Zaanonsuję cię.

– Będę wdzięczna; skontaktuję się z nią pod koniec tygodnia, bo mam jeszcze spotkanie z... z ludźmi z takiego dziwnego projektu. Jestem pośrednikiem... – plątała się dziwnie. – Taka robota, rozumiesz...

Matylda zrewanżowała się grzecznym brakiem dociekliwości.

– Matylda?

– Tak?

– A... wiesz, że...

Matylda przez dobrą chwilę słyszała tylko szumy i nawoływania.

– Dziękuję, że zadzwoniłaś właśnie do mnie – dokończyła szybko.

Jeśli Ewelina chciała coś dodać, to nagle z tego zrezygnowała. Równie dobrze jednak Matyldzie mogło się tylko wydawać.

Pożegnanie makijażystki nałożyło się na jakieś hałasy i głośne rozmowy w tle. Hałaśliwie zrobiło się też w przedpokoju. Chłopcy witali się w progu z dziadkami. Matylda swoim wyostrzonym od pół roku zmysłem słuchu wyłowiła kobiecy głos, bynajmniej nie należący do pani Radeckiej. Czyżby

to miała być ta obiecana niespodzianka?

Propozycja profesora Klejmana, a w zasadzie jego szwajcarskich przyjaciół, była w gruncie rzeczy prosta. Jeden z koncernów farmaceutycznych, dla którego pracowali od lat, był w trakcie badań nad lekiem wspomagającym nieinwazyjne kuracje onkologiczne.

– To celowane badania, skierowane właśnie do chorych na raka krtani – usłyszał Kosma, kiedy już usiedli w gabinecie lekarza. – Nie mówiłem o tym wcześniej, bo nie chciałem robić panu nadziei, ale jestem w stałym kontakcie z nimi od kilku tygodni. Wysłałem pańskie wyniki badań, swoją opinię i mnóstwo innych dokumentów, które nie mają teraz dla nas znaczenia.

– Dziękuję, profesorze...

– Jeszcze nie ma za co. Mam nadzieję, że na takie uprzejmości będzie pan mógł sobie pozwolić po zakończeniu kuracji. Naprawdę w to wierzę.

– Przewiduje pan jakieś kłopoty? – Kosmie zdawało się, że w głosie Klejmana usłyszał coś niepokojącego, więc wolał wyjaśnić to od razu.

– Niestety, musiałem w swojej opinii wspomnieć o pana, jak by to rzec, niesubordynacji. Sprawa jest na tyle poważna, a badania wchodzą w taką fazę, że oni nie mogą sobie pozwolić na jakiegokolwiek perturbacje...

– A pan na utratę dobrego imienia? – dokończył Kosma.

– Dziękuję, że pan to rozumie – powiedział profesor. – Dlatego też, mimo że w zasadzie wstępną kwalifikację do wzięcia udziału w programie można przeprowadzić na podstawie samej dokumentacji medycznej, Szwajcarzy życzą sobie oprócz zwyczajowego powtórzenia niektórych testów również przebadania pana przez ich psychologa, tam na miejscu. Chcą się upewnić, że zależy panu na wzięciu udziału w programie i że podejdzie pan do niego z należytą starannością.

– Doskonale to rozumiem.

– Wyniki laboratoryjne z dotychczasowych badań nad lekiem są obiecujące. Nie, to za słabe określenie! Są powalające!

– Co to znaczy? – zapytał z nadzieją.

– Nie mówimy tu o całkowitym wyleczeniu, ale o takim storpedowaniu choroby i remisji objawów, że kuracja rozpoczęta odpowiednio wcześnie ochroni pacjenta przed leczeniem inwazyjnym.

– Koniec z rurami w gardłach?

– No, to spore uproszczenie, które przystoi jedynie laikowi... – Klejmann puścił oko do Kosmy. – Ale w zasadzie trafnie pan to scharakteryzował.

– Niech mi pan to wytłumaczy, panie profesorze... – Kosma mimowolnie sięgnął do kieszeni, w której dawniej nosił paczkę lucky strike'ów. Nie palił od dawna, a mimo to w stresujących sytuacjach ręka sama szukała papierosa. – Od wielu miesięcy szykuję się na drakońską zmianę w swoim życiu, nawet na śmierć. A tu pojawiają się goście ze Szwajcarii i wszystko ma zniknąć ot tak? – Pstryknął palcami i umilkł.

– Nie, to nie tak. Nadal jest pan poważnie chory. Nadal w odwodzie mamy zabieg inwazyjny, na który pana wcześniej namawiałem. Nie wiem, czy kuracja, jakiej zostanie pan poddany, odniesie jakikolwiek skutek. I jeszcze jedno... – Klejmann na moment zawiesił głos, co Kosma skrzętnie wykorzystał.

– Co takiego?

– Jest jeszcze taka możliwość, że znajdzie się pan w grupie, która zamiast badanego leku będzie przyjmować placebo.

Kosma potrzebował chwili, by to przetrwać. Ciszę w gabinecie lekarza mącił tylko miarowo pracujący mechanizm zabytkowego zegara. Makarski długo wpatrywał się we wskazówki na pożółkłym cyferblacie, po czym przeniósł wzrok na gospodarza.

– Czyli to trochę jak ruletka?

– Znów nie mogę odmówić panu trafności oceny sytuacji. Nikt oprócz kilku osób nie wie, który z pacjentów dostaje prawdziwy lek, a który jego imitację. Dlatego tak ważne jest, by uzmysłowił pan sobie wszystkie za i przeciw.

– Nie rozumiem...

– Kosma, mój drogi... – Profesor po raz pierwszy zwrócił się do niego po imieniu. – Nie musisz tam lecieć. Ja cię do tego namawiam, bo to wielka szansa na życie zbliżone do tego dawniej. Ale to może być tylko ułuda, po której wrócisz jeszcze bardziej rozbity.

– Wtedy zostanie mi tylko operacja krtani, ze wszystkimi jej konsekwencjami. O ile będzie jeszcze sens ją przeprowadzać, prawda? – zapytał retorycznie, bo doskonale wiedział, co może odpowiedzieć lekarz.

– Mam do dyspozycji dwa miejsca, jedno już zagospodarowałem, drugie jest pana. – Klejmann wrócił do oficjalnego tonu. – Proszę podjąć decyzję najpóźniej do jutra. Szwajcarzy chcą w przyszłym miesiącu zacząć program lekowy.

– Rozumiem. – Przynajmniej ta informacja nie budziła jego wątpliwości. Miał mało czasu na deklarację, jeszcze mniej na zastanowienie. – Proszę o kilka godzin.

– Jasna sprawa! – Klejmann podniósł się zza biurka i ucisnął rękę Kosmy na pożegnanie. – Teraz proszę wszystko przegadać z paniami, które pewnie umierają z niecierpliwości w poczekalni.

Rzeczywiście, Kaśka i Michalina siedziały jak na szpilkach; sofy rozstawione wzdłuż korytarza dziś okazały się wyjątkowo niewygodne. Dziewczyny na zmianę to siadały, to wstawały, wiercąc się przy tym i nerwowo kończąc po kilku zdaniach każdą próbę rozmowy. Widząc Kosmę wychodzącego z gabinetu, podbiegły do niego i zalały go potokiem pytań.

– Jedziesz tam? Kiedy? Jak to wszystko wygląda? – mówiły, przekrzykując się nawzajem.

W kilku zdaniach zrelacjonował im to, czego dowiedział się przed chwilą. Jest szansa, że wejdzie do programu lekowego. Może dzięki temu uniknie operacji; może nawet zachowa zdolność mówienia.

– O ile szwajcarski psycholog orzeknie, że nie popieprzyło mi się we łbie – zakończył opowieść.

– Co? – Kaśka nie kryła rozbawienia. – Przecież wszyscy wiedzą, że masz tam siano. Po co jechać aż do Genewy?

– Ło Jezu, ojciec... – dorzuciła Michalina. – Zostań tu, ja skoczę po walizkę i od razu kładź się u Klejmana. Szkoda czasu!

To był jeden z niewielu razy, kiedy nie bawiły go ich żarty. Tym bardziej że – jak podejrzewał – tylko nadrabiały minami. Cała trójka doskonale zdawała sobie sprawę, że Kosma nie jest w najlepszej kondycji psychicznej. Zważywszy na to, czego doświadczył w ostatnim czasie, miał do tego pełne prawo. Jeśli cały misterny plan ratowania jego zdrowia, a nawet życia, miał się opierać na opinii jednego psychologa, to... Każde z nich dokończyło sobie to zdanie na swój sposób. Każdemu z tych zakończeń było cholernie daleko do happy endu.

Nie zawiódł tylko Helmut. Jego wesołe merdanie ogonem przywitało ich po powrocie na Tymienieckiego, sprawiając, że cała trójka poczuła się lepiej.

– Pizza? – zapytał Kosma.

– Jasne, zamawiaj! – odpowiedziały dziewczęta.

Z tą włoską szynką, pamiętaj, chciał dopowiedzieć Helmut, ale nawet tak mądre wilczarze irlandzkie nie opanowały jeszcze tej umiejętności. Dlatego do samego końca pozostawał w niepewności; rozwiały ją dopiero zapachy, jakie pojawiły się w mieszkaniu pół godziny później za sprawą

dostawcy. Prosciutto di Parma z pizzerii d'Antonio poznały na końcu świata.

– Mam dwoje dużo młodszego rodzeństwa – powiedziała do Matyldy smukła szatynka, sprawnie zakładając pieluszkę jednemu z niemowląt.

Matylda przebierała drugą z dziewczynek i kątem oka przyglądała się kobiecie, której ruchów nie powstydziliby się wykwalifikowana pielęgniarka na oddziale położniczym. Przyjaciółka jej starszego syna, młodziutka studentka warszawskiego Uniwersytetu Muzycznego, okazała się właścicielką tajemniczego głosu i nową miłością Marka.

– Mama drugi raz wyszła za mąż. Pomagam jej przy maluchach, bo dużo pracuje. – Zapięła guziczki przy kaftaniku i delikatnie wzięła małą na ręce. Karmiąc drugie z niemowląt, Matylda z przyjemnością patrzyła, jak doskonale radzi sobie młoda kobieta.

Dziewczynki okazały się chyba zazdrosne o braci, bo nawet na moment nie pozwoliły odwrócić od siebie uwagi. Nie spały, domagając się pieśczoć i obecności. Matylda nie miała szansy usiąść przy stole, to odmierzając mleczny proszek, to przebierając i przewijając maluchy na zmianę. W efekcie goście nie goście cały wieczór przesiedzieli w pokoju dziewczynek, pomagając opanować ten jedyny w swoim rodzaju galimatias. W pokoju było głośno jak w ulu. Ale chyba po raz pierwszy od roku Matylda czuła się w jakiś sposób szczęśliwa, mając obok siebie całą tę gromadę. Chłopcy mieli dla swoich sióstr dużo ciepła i cierpliwości. Nigdy zresztą nie dali odczuć matce, że nie mają wspólnego ojca. Jeśli wpadali na Sadybę, po przywitaniu z dziadkami zawsze swoje pierwsze kroki kierowali do pokoju dziewczynek.

– Marek mówił mi, że pracuje pani dla mediolańskiego Arcimboldi. To niesamowite! – Ola nie kryła zachwyty.

– Pracowałam – sprostowała Matylda. – Przy przygotowaniu tkanin na

kostiumy do musicalu. Premiera odbyła się wiosną tego roku. Ale teatr nie zakończył współpracy z moją pracownią, to znaczy z atelier, do którego właśnie się wybieram. Pracownia dostała nowe zamówienia, a moja szefowa potrzebuje rąk do pracy – dokończyła, siadając na krześle z córeczką na kolanach.

– Ten teatr to moje marzenie... – Ola była myślami gdzieś daleko poza warszawskim pokojem.

– Wszystko przed tobą. – Matylda przyglądała jej się ciekawie.

– Zazdroszczę pani.

– To wypadkowa mojego zaangażowania, praktyki, ćwiczeń... Nic nie przychodzi samo. Maluję od lat i poświęcam temu bardzo dużo czasu. Konsekwencja i upór muszą kiedyś przynieść efekty.

Kołysały w ramionach maluchy, spacerując po pokoju.

– Pominęła pani talent.

Matylda, nic nie mówiąc, uśmiechnęła się do gościa i nie skomentowała komplementu.

– Talent, moja droga, można zmarnować na każdym etapie. Sam, w pojedynkę, jeszcze nie gwarantuje sukcesu...

Matylda zerkała czasami na starszego syna, który z boku przyglądał się obu paniom. Widok ich tak swobodnie rozmawiających najwyraźniej sprawiał mu dużą przyjemność. Matylda była jednak pewna, że to jej radość jest zdecydowanie większa. Była spokojniejsza, widząc, jaki zgrany tandem tworzą, a myśl o niedalekiej podróży prawie bezboleśnie przecierała sobie szlak w jej głowie. Nie tylko własnych rodziców zostawiała w dobrych rękach.

– Babcia wyjęła brownie. Daj mi ją. – Marcel wyciągnął ręce do matki, żeby podała mu siostrę. – Usiądź spokojnie i zjedz ten deser. Prawie nie tknęłaś kolacji, mamó – powiedział, naśladowując rodzicielski ton.

– Przy was też zapomniałam o jedzeniu...

– Obiecuj nam, że tam będziesz o sobie pamiętać.

Role się odwróciły. Czuła się dobrze z przeświadczeniem, że o nią jednak też ktoś się jeszcze troszczy, że spokojnie może zająć się swoją przyszłością i w razie czego ma dokąd wrócić.

Opinię dziewczyn znał doskonale; obydwie zgodnie twierdziły, że nic nie ryzykuje. Nawet jeśli nie przejdzie pomyślnie kwalifikacji szwajcarskich lekarzy, to po prostu wróci do Polski i podda się zabiegowi. Skoro podjął już decyzję o operacji, to dlaczego miałby nie skorzystać z niespodziewanej szansy?

Dla Kosmy nie było to jednak takie oczywiste. Jego wytrzymałość na ciosy była tak samo niska, jak odporność osłabionego przez chorobę organizmu. Przez chorobę i to, co sam sobie zafundował, próbując myśli o niej odsunąć jak najdalej. Czy będzie w stanie podnieść się po kolejnym przykrym doświadczeniu? Kiedyś zrobiłby to bez problemu, ale teraz?

Kaśka wyczuwała jego rozterki, wiedziała jednak, że najlepiej będzie, jeśli chwilowo zniknie. I tak zrobiła już wszystko, co w jej mocy. Klejmann nie był człowiekiem o złotym sercu, nie poszedł w ślady profesora Wilczura. Za wizyty w jego gabinecie trzeba było słono płacić, miejsca w programie lekowym również nie trzymał dla Kosmy bezinteresownie. Jej oszczędności mocno stopniały, ale nic nie naruszyło przekonania, że jest to byłemu mężowi po prostu winna. Teraz to on musiał podjąć decyzję, ona swoje zrobiła z nawiązką.

– Zadzwoń, kiedy coś postanowisz. Okej? – zapytała, kiedy skończyli pizzę, a Michalina sprzątała po posiłku.

– Oczywiście.

– Oczywiście, że co?

– Że dam ci znać.

– Niczym się nie martw, Kosma.

– Wiśta wio, łatwo powiedzieć... – odezwał się tekstem serialowego bohatera.

Zamknęła drzwi, posyłając mu pełne nadziei spojrzenie, które przynajmniej w zamyśle powinno podtrzymać go na duchu. Odpowiedział tym samym. Miał wrażenie, że teraz rozumieją się dużo lepiej, niż kiedy byli złączeni małżeńską przysięgą. Jakby pozbycie się obrączek zdjęło z nich jakiś ciężar. Może rzeczywiście tak było?

Zaszył się w gabinecie, zaprosiwszy do środka Helmuta. Pies ochoczo wmaszerował i natychmiast legł u jego stóp. Gdyby nie to, że czerwcowe słońce grzało w najlepsze, taka pieśczoła byłaby nawet przyjemna. Kosma nie miał jednak siły odsuwać przyjaciela. Może to jedna z ostatnich takich chwil, które spędzają razem?

Głupi jesteś..., spuentował w swoim stylu czworonóg i jeszcze mocniej przylgnął do pana. Zasnęli niemal równocześnie, jakby obydwaj wychodzili z założenia, że sen czasem oprócz odpoczynku przynosi też dobre rozwiązania.

Kosma ocknął się niecałą godzinę później; popołudniowa drzemka zregenerowała go w takim stopniu, że odzyskał przynajmniej część dawnej werwy. Teraz musiał ułożyć w głowie plan. Decyzję o wylocie do Genewy na dobrą sprawę podjął jeszcze w gabinecie Klejmana. Nie był głupi, domyślał się, że to jego ostatnia szansa. Dlatego zaczął od krótkiego esemesa do profesora: „Pojadę”. Chwilę później otrzymał równie lakoniczną odpowiedź: „Dobra decyzja!”. Okej, pomyślał, to mam już z głowy.

Równie szybko załatwił sprawę z Kaśką.

– Dziękuję ci za pomoc, wiem że się martwisz, ale... – urwał, bo lubił takie momenty w filmach.

– Nie pojedziesz, tak? – Dała się nabrać. Znowu!

– Pojadę, jak mógłbym odmówić!

– Ty popieprzony złamasie, prawie serce mi stanęło!

– A myślałem, że stanęło ci wtedy, kiedy sędzia ogłaszała nasz rozwód.

– Wtedy oszalało z radości, nie pamiętasz?

– Musiałem przegapić, ciesząc się powrotem swojej wolności.

– No tak...

– Dziękuję ci jeszcze raz. – Postanowił przerwać te żarty, które prędeż czy później musiałyby zahaczyć o bardziej drażliwe tematy. Nie chciał tego. Ani teraz, ani... kiedykolwiek indziej. Nie zasłużyła na to.

– Tylko tego nie spieprz.

– Mówisz jak nasza córka!

– Dziwisz się? Krew z krwi i tak dalej...

Rozłączyła się, zanim zdążył odpowiedzieć. Spojrzał na zegarek. Było później, niż przypuszczał. Na wyjazd do Warszawy nie ma się już co porywać, zjawi się tam jutro. Teraz jednak musiał wykonać jeszcze jeden telefon.

– Halo, policja?

– Kosma? Nie spodziewałam się, choć myślałam o tobie dzisiaj. – Ewa Lorenz odebrała po drugim dzwonku.

– Lubię, jak o mnie myślisz! Opowiadaj...

– Po co dzwonisz? Czego nie zrozumiałeś z ostatniego razu?

– Przybywam w pokoju, siostro. – Kosma wiedział, że ta rozmowa nie będzie łatwa. Dlatego wolałby przeprowadzić ją twarzą w twarz, ale nie mógł zwlekać. Ewa była jego przyjaciółką i towarzyszem niedoli.

– W pokoju? To może lepiej byś przybył do pokoju, bo Piotruś jest chory i przydałaby mi się zmiana.

– Coś poważnego? – Choroby dzieci zawsze wprawiały go w stan podenerwowania.

– Nie, ale mam już po uszy Strażaka Sama. I jeszcze ten Bob Budowniczy, co wszystko...

– Ewa, postaram się jutro zajrzeć, dziś już nie dam rady. Dzwonię, bo chcę cię zapytać o zdanie w ważnej dla mnie kwestii.

– Strzelaj. – Głos w słuchawce był zdecydowany. To przecież podkomisarz w stołecznej komendzie.

– Mam szansę zakwalifikować się do programu lekowego. Nie wyleczą mnie zupełnie, ale może uniknę operacji.

– I?

– Posłuchaj... Dziś rano chciałem zgłosić się do szpitala, bo podjąłem decyzję o operacji. Myślę, że także dzięki tobie. A później dostałem tę propozycję i... To może wszystko zmienić, wiesz?

– Wszystko? Nie sądzę. Chociaż... – Ewa była jakaś nieswoja, wyczuwał to.

– Co chcesz powiedzieć?

– Kosma, myślałam o tobie dziś nie bez powodu. Widziałam ją...

– Matyldę? – Wiedział doskonale, o kim mówi policjantka. Żadna inna osoba nie była na tyle ważna, by wspominać o niej właśnie teraz.

– Tak mi się zdaje. Chociaż może mi się coś przywidziało?

– Poznała cię? Coś mówiła?

– Nie, ani słowa. Ale patrzyła na mnie, zauważyłam to spojrzenie i...

No kurwa, to była ona, mój policyjny nos się nie myli.

– Jak to się dzieje, że ja nie wpadłem na nią ani razu, a ty bez problemu? Była sama?

– Sama? – Ewa zawahała się na chwilę.

– Sama, kurwa, sama! Czego nie rozumiesz w tym pytaniu? Sama czy z kimś?

– Kosma, ja nie powinnam... Ty powinieneś... – plątała się policjantka.

– Posłuchaj, to nie moja sprawa, nie wikłaj mnie w to dodatkowo. Wiesz, że to dla mnie ciężkie?

– Przepraszam, po prostu wariuję.

– Rozumiem, i wiesz co? Dobrze, że podjąłeś decyzję o leczeniu. Masz rację, to może wszystko zmienić.

– Naprawdę tak myślisz?

– Tak! Aha, ona nie była sama, ale skoro nie poinformowała cię o zmianach w swoim życiu, to ja nie zrobię tego za nią.

– Jakich zmianach?

– Za dużo tych pytań do mnie. Myśl teraz o sobie, to jest najważniejsze. Później będziesz musiał pomyśleć o innych.

– To facet? Powiedz, ma kogoś?

– Życzę ci wszystkiego, co najlepsze. Załatw, co masz do załatwienia. Odwiedź nas, kiedy będziesz chciał, obiecaj mi to. I... no kurwa, gratuluję!

– Chyba za wcześnie na gratulacje? – Kosma był coraz bardziej zdezorientowany, ale Ewa rozłączyła się i w słuchawce usłyszał już tylko sygnał.

– Rozumiesz coś z tego? – zapytał Helmuta, który z uwagą przysłuchiwał się tej rozmowie, ale pies uciekł wzrokiem i nie przejawiał chęci do pogawędki. – Cholera, muszę wziąć się w garść, gadam z psem.

Nieznoszący sprzeciwu ton rozpanoszył się w słuchawce na dobre. Takich rozmówców szczególnie nie znosiła. Jej irytacja rosła w miarę przebiegu wymiany zdań.

– Pani Witecka. Moglibyśmy sfinalizować tę transakcję nawet jutro; jesteśmy z żoną co do tego zupełnie zgodni, ale cena domu jest naszym zdaniem bardzo mocno wygórowana. Proponujemy obniżkę o dwieście trzydzieści tysięcy i dogadamy się od zaraz.

– Proszę ze mnie nie żartować, panie...

– Jóźwik!

– Panie Jóźwik. – Dziwaczne nazwisko na ułamek sekundy przystopowało Matyldę. – Jeśli mówiłam o możliwości negocjacji, to nie miałam na myśli wyprzedaży sezonowej.

– Dwieście! To głucha prowincja, proszę pani; do asfaltówki jest prawie dziesięć kilometrów! – grzmiało w słuchawce.

– Cztery, dla ścisłości. – Głos po drugiej stronie sprawiał, że cała jeżyła się w sobie. – A mniejszą ciszę znajdzie pan na górnym Mokotowie albo Bielanach. – Pozwoliła sobie na złośliwość.

Pomyślała, że temu mężczyźnie nie sprzeda domu nawet za podwójną cenę.

– To uczciwa cena za gruntownie wyremontowany dom z oryginalną architekturą i nietuzinkowym wnętrzem. – Nie wiedziała, po co jeszcze z nim dyskutuje, ale wrodzona grzeczność nie pozwoliła jej tak po prostu rzucić słuchawką. – I oboje wiemy, że to prawda – dokończyła.

– Będzie pani trudno sprzedać go za taką cenę.

– Nie jest pan jedynym chętnym. – Matyldzie odchodziła ochota na dalszą konwersację. – Za to jedynym, który ma zastrzeżenia w kwestii stosunku jakości do ceny.

– Moglibyśmy sfinalizować sprawę jutro.

– Przykro mi. – W ogóle nie było jej przykro. – Moja decyzja jest nieodwołalna. – O mały włos nie wtrąciła słowa „jakby”, bon mot z jednej ze swoich ulubionych polskich komedii. Chciała, żeby facet miał pewność, że nie ma ochoty więcej odbierać takich telefonów.

– Pani Witecka! Niech pani to jeszcze raz przemyśli. Sto osiemdziesiąt to moje ostatnie słowo. Jeszcze będę dzwonił do pani jutro.

– A może nie? – Westchnęła, bo najchętniej wysłałaby go na księżyc.

– Uszanowanie!

Z Bogiem, człowieku! – odpowiedziała mu w myślach, ale zanim zrewanżowała się nieszczerym „Do usłyszenia”, usłyszała w słuchawce tylko sygnał.

– Niedoczekanie twoje, pajacu! – powiedziała wcale nie cicho sama do siebie i odłożyła telefon na biurko. Zamknęła pocztę mailową, którą starannie przejrzała, kiedy dziewczynki w końcu ucichły, po czym opuściła klapę laptopa.

Przerobioną stodołę pokazała siedmiu osobom, a dokładniej mówiąc siedmiu parom. Wszyscy byli zdecydowani na kupno. Dziś od ostatnich dwóch małżeństw otrzymała wiadomości w sprawie finalnej transakcji. Zaczynał się więc taniec z pytaniem: „Kto da więcej”? Czasowanie w tym tańcu jednej parze na pewno nie będzie odpowiadało.

Z jednej strony cieszyła się, że miejsce, które stworzyła – stworzyli – budziło emocje na granicy pożądania. Z drugiej, kiedy pomyślała, że któregoś dnia pojedzie tam po prostu po raz ostatni... W niezrozumiały sposób ta myśl nie była w stanie znaleźć sobie żadnego wygodnego miejsca w jej świadomości. Gdziekolwiek próbowała się umościć, było jej niekomfortowo i nieprzyjemnie.

– Tu będzie kominek; duży, wysoki, tu dwa fotele, żebyśmy mogli sobie grzać stopy po zimowym spacerze. Tutaj regały z książkami; będziesz wybierała pozycje, a ja... – Kosma wymachiwał ramionami, omiatając wzrokiem puste ściany.

– Zgadzam się na wszystkie! – odpowiadała mu z głośnym śmiechem i przytulała się później do niego, żeby pocałunkami przypieczętować jego obietnice.

W każdym kącie tego domu, w każdym oknie widziała jego twarz; w każdej wielkiej belce – spojrzenie człowieka, któremu właśnie spełniają się marzenia.

O czym marzył, kiedy poznał diagnozę? Czy wtedy ma się jeszcze jakieś marzenia?

Z rozpędu wysłał jeszcze wiadomość do Eweliny. „Bede w Warszawie jutro przed południem. To jedyna okazja, bo wyjeżdżam na jakis czas”. Miał nadzieję, że dziewczynie uda się na szybko umówić spotkanie z ludźmi od gier. Nie chciał tracić tego kontaktu. Powoli godził się już ze świadomością, że nie będzie mógł pracować jako lektor, ale nie chciał też, żeby zapamiętano go jako gburę. Nie był zadufany w sobie, do każdego zlecenia czy propozycji podchodził w pełni profesjonalnie. I w każdej robocie dawał z siebie wszystko.

Ewelina odpisała po kwadransie, że wszystkim pasuje termin i proponują spotkanie w siedzibie firmy. „OK” – odpisał i odłożył telefon. Jutro będzie też musiał się spotkać z Edmundem Kiszczakiem, drugim po Bogu w telewizji NTV. To właśnie Kiszczak w ubiegłym roku wyłowił Kosmę w eterze, kiedy przejeżdżając przez Łódź, słuchał lokalnych rozgłośni. Ciepły, dojrzały męski głos od razu wpadł mu w ucho, a zaraz potem jego asystent zaproponował Kosmie wzięcie udziału w przesłuchaniach do nowego programu. Wtedy zawalił, ale Kiszczak nie odpuścił i w ten sposób Kosma trafił do największej prywatnej stacji telewizyjnej w kraju, gdzie z powodzeniem używał głosu w różnych produkcjach. Sporym sukcesem okazał się zwłaszcza cykl programów podróżniczych, gdzie Makarski wcielił się w rolę prowadzącego program; jego partnerem był Radek, zwany przez całą ekipę Rudym. Do niedawna rywalizowali ze sobą, ale wspólna praca zaowocowała na początku rozejmem, a później czymś w rodzaju kruchego porozumienia. Dyrektor programowy przyjął ten fakt z ulgą.

– Zgłaszamy wasz cykl do konkursu w Kanadzie. A w przyszłym sezonie pomyślimy o przeniesieniu formatu na główną antenę. – Kiszczak spoglądał

na siedzącego przed nim Kosmę i oczekiwał jakiejś reakcji. Zamiast spodziewanego entuzjazmu usłyszał pytanie.

– Przyszły sezon?

– To chyba oczywiste, jest zainteresowanie, są sponsorzy, musimy iść za ciosem.

– Panie dyrektorze... Edmund, muszę ci coś powiedzieć. – Kosma jakiś czas temu przeszedł na ty z Kiszczakiem, ale nie nadużywał tej zażyłości. Trzymali ją na mniej oficjalne okazje. Chyba nadeszła właśnie jedna z nich.

– No to mów, bo nie lubię takich wstępów.

– Choruję na raka krtani, Edmund. Może nie być drugiego sezonu w moim wykonaniu...

– Co ty pieprzysz? – Stateczny i dystyngowany dyrektor programowy NTV, którego nikt nie widział do tej pory zdenerwowanego, nawet gdy konkurencyjne stacje doganiały jego produkcje w wynikach oglądalności, tym razem nie krył emocji. – Dlaczego nie powiedziałeś wcześniej?

– Miałem nadzieję, że to błędna diagnoza... Nie wiem czemu, po prostu nie wiedziałem, co robić – wyjaśnił.

– Jak to co? Przyjść z tym do mnie! Znajdziemy ci zaraz najlepszego lekarza, stacja może w tym pomóc, mamy środki, kontakty...

– Nie trzeba, jestem pod dobrą opieką. Leczy mnie profesor Klejmann z Łodzi. Naprawdę dziękuję, przynajmniej na razie nie ma takiej potrzeby.

Kiszczak przyglądał mu się uważnie, ale więcej nie komentował. Znał to nazwisko i wiedział, że Kosma rzeczywiście jest w dobrych rękach.

– Co zaproponował? Jaka kuracja?

– Inwazyjna. Chce mi wyciąć sporą część krtani. Przestanę mówić. Jedzenie przez rurkę.

– Co ty na to?

– Uciekam przed tą decyzją. Nie mam tyle odwagi.

– Musisz się ratować!

– Nie muszę. Swoje już zrobiłem, mam zdrową, dorosłą i mądrą córkę.

Żona ma swoje życie, ja już nic nie muszę, Edmund.

– Przestań pieprzyć! Ile ty masz w ogóle lat?

– Przecież wiesz, że jestem po czterdziestce. W dawnych czasach byłbym najstarszy w osadzie.

– Chwilowo jesteś najstarszy w obsadzie. W obsadzie tego programu. I chcę, żeby tak zostało na kolejne sezony.

– Nie mogę ci tego obiecać. Mówię z coraz większym trudem.

Kosma poprawił się nieznacznie na fotelu, sięgnął po szkalnkę z wodą i upił spory łyk. Kiszczak obserwował go, bębniąc palcami po blacie.

– Właściwie... Jest jedna rzecz, którą możesz zrobić.

– Co takiego?

– Chciałem, żebyście zajrzeli tam właśnie w drugim sezonie. Nic nie stoi na przeszkodzie, żebyś pojechał tam sam, nawet zaraz.

Kosma uniósł się lekko i machnął ręką, wyraźnie zniecierpliwiony. Czy on go w ogóle słucha?

– Mówię ci, nie mam chwilowo głowy do telewizji.

Teraz to Kiszczak podniósł dłoń, uciszając swojego gościa.

– Pojedź na Podlasie. Jest tam niewielka miejscowość, Czeremcha.

Znajdziesz tam Paraskiewę.

– Parakogo? – *Kosma chciał już być gdzieś indziej. Z daleka od tych, którzy jak na zawołanie udzielali mu dobrych rad. A już na pewno nie chciał jechać na Podlasie.*

– Nie pajacuj, nie rozmawialibyśmy dzisiaj, gdybym ja sam nie trafił kiedyś do Paraskiewy. To szeptunka.

– Rozumiem... – *Kosma był już niemal zupełnie pewny, że staremu coś*

się odkleiło w głowie.

– Nie rozumiesz, ale to nie szkodzi. Zrozumiesz później.

– Edmund...

– Pamiętaj, to może być twoja ostatnia szansa. Kiedy już stracisz nadzieję, po prostu pojedź do Paraskiewy. A pracą się nie przejmuj, zawsze masz tu miejsce, należysz do zespołu. Nagroda z konkursu w całości pójdzie na twoje konto.

– Przestań, to niedorzeczne.

– To moja decyzja – powiedział stanowczym głosem Kiszczak i było wiadomo, że tak się stanie. Nikt w tej instytucji nie miał zwyczaju kwestionować jego decyzji.

Kosma pożegnał się i prawie natychmiast zapomniał o instrukcjach, jakie usłyszał od dyrektora. Do momentu, kiedy po jednej z alkoholowych podróży obudził się w apartamencie Huba i zrozumiał, że kwestia ostatniej szansy stała się paląca.

– Jak się nazywała ta miejscowość? – zapytał przepitym głosem, kiedy Edmund Kiszczak odebrał telefon. – Edmund, gdzie mam jechać?

Czuł się w obowiązku zajrzeć do starego choć na chwilę. Byli w kontakcie telefonicznym przez te wszystkie miesiące. Kiedy tylko Kosma czuł się lepiej, brał mniejsze zlecenia na lektorkę do programów w kanałach tematycznych. Nie wracali już do tej rozmowy. Postanowił, że odwiedzi Edmunda zaraz po wyjściu ze spotkania z komputerowcami. Opowie mu wszystko i przy okazji może dowie się, w czym szeptunka pomogła Kiszczakowi.

Jutro... zapowiadał się pracowity dzień!

Dopiero przed snem odczytała nieodebraną wiadomość. Od Konstantego. Uśmiechnęła się, zerkając na wyświetlacz. „Czy nasze jutrzejsze spotkanie jest ciągle aktualne?” Pamiętała o nim. Jak mogłaby

zapomnieć? Kostek; gdyby nie jego pomoc... Tamtego dnia na Mazurach nie zapomni chyba nigdy.

Od godziny nie mogła uspokoić jednej z dziewczynek. Małej ewidentnie coś dolegało; nie wiedziała tylko co i z minuty na minutę ogarniał ją coraz większy niepokój.

W siedlisku było nieprzyjemnie cicho. Znaczenie słów: „cisza przed burzą” było adekwatne do tego, co czuła w tym momencie. Patrzyła niespokojnie przez okno, jak granatowe niebo zmienia szybko kolor na coraz jaśniejszą, półprzejrystą szarość przecinaną błyskawicami, rozświetlającymi horyzont z coraz większą częstotliwością. Dudniło, a potem grzmiało prawie nieustannie. W końcu burza była na tyle blisko, że prawie równocześnie widziała błysk i zaraz po nim czuła drżenie podłogi od uderzenia pioruna gdzieś bardzo blisko. Xenia z Grzegorzem nie wrócili jeszcze z Giżycka.

Warsztaty w ten weekend się nie odbywały i dlatego Matyllda zdecydowała się wpaść do przyjaciół z maluchami. Od momentu, kiedy pojawiły się na świecie, trzymała się gabinetów pediatrycznych i matki, której pomoc, tak jak przy bliźniakach, była nieoceniona. W okolicy siedliska ruszała się rzadziej i tylko wtedy, kiedy dom Xeni nie był zupełnie pusty. Czuła się wtedy bezpieczniej i mogła z bliska doglądać remontu stodoły, a potem całej żmudnej wykończeniówki. Tak samo miało być i tym razem. Gdyby wiedziała, jak zakończy się dla niej ta eskapada, nie ruszałaby się ze stolicy.

Przechodząc w pewnym momencie obok lustra, spojrzała na swoją ponurą minę i zaraz potem na twarzyczkę córki. Poczowała dotkliwe uczucie strachu. Buzia małej była wyraźnie opuchnięta z jednej strony. Spore wybrzuszenie pod powierzchnią skóry zmieniło wyraz twarzy dziecka i chyba zaczynało rozlewać się również na powiekę. Przyczyna płaczu

dziewczynki była widoczna jak na dłoni. Miejsce po ugryzieniu przez jakiegoś owada, bo najprawdopodobniej opuchlizna pojawiła się w jego następstwie, musiało małą uciążliwie swędzieć albo po prostu mocno boleć. Bez namysłu cofnęła się do pokoju, który zwykle zajmowała podczas swojego pobytu w gościnnym siedlisku, i z niezbędnika dla niemowląt wyciągnęła elektroniczny termometr. Mały ekranik kilka sekund później wskazał prawie trzydzieści osiem stopni. Zawirowało jej w głowie. Niewiele myśląc, wzięła telefon do ręki. Wiatr chyba zaczął przybierać na sile, bo drzewa kołysały się miarowo raz w jedną, raz w drugą stronę, szumem świeżych liści potęgując hałas wściekłej nie wiadomo na co natury. Wybrała szybko numer Xeni. Czułaby się bezpieczniej, gdyby już wrócili. Mieli zrobić tylko zakupy na jutrzejszy obiad, na który zapowiedzieli się Witek, ich syn, ze swoją sympatią i kilkoro przyjaciół Grzegorza. Automatyczna sekretarka spokojnym głosem obwieściła Matyldzie, że z tej strony za szybko pomocy się nie doczeka. Telefon męża Xeni był zupełnie głuchy. Mała położyła główkę na ramieniu Matyldy i cicho popiskiwała. Matylda była świadoma tego, że zachowanie dziecka o tej porze jest zupełnie nienaturalne. Powinna zgłosić się z nią na najbliższy ostry dyżur. To było jasne jak słońce, którego dzisiaj na pewno już nie miała szansy zobaczyć.

W tym miejscu brak zasięgu podczas burzy był niestety zjawiskiem zupełnie normalnym. Naraz do Matyldy dotarło, że dopóki nawałnica nie osłabnie, może liczyć tylko na siebie. Trzymając cały czas dziecko na ręku, wrzuciła do torby ładowarkę. Sprawdziła, czy w zamkniętej przegródce są książeczki zdrowia maluchów, zmiana ciuszków i zapas pieluszek. Na starannie zastane łóżko rzuciła dwa ciepłe kombinezony. Jeśli opuchlizna rozszerzy się na okolice szyi, dziecko może mieć problemy z oddychaniem... Wystarczająco dużo naczytała się o takich przypadkach w prasie dla mam, żeby nie zdawać sobie sprawy z powagi sytuacji.

Spróbowała jeszcze raz połączyć się z przyjaciółmi. Bezskutecznie. Pewnie przeczekiwali burzę w jakimś suchym, miłym miejscu. Poczuli mrowienie we wszystkich stawach.

Ściana deszczu uderzyła w dom szybko i gwałtownie. Jej samochodu przez kilkanaście minut nie było prawie widać. Kiedy pomyślała, że muszą wyjść na te smagające strumienie zimnej wody, przeszedł ją dreszcz. Nie miała wyjścia. Dałaby wszystko, żeby być teraz w swoim warszawskim pokoju w domu rodziców, w pobliżu ich dziecięcej poradni, do której mogłaby dobiec nawet z dzieckiem na ręku.

Kiedy zapinała pasy bezpieczeństwa drugiej dziewczynce, była już zupełnie mokra. Uruchomiła silnik i gwałtownie ruszyła. Ujechała może trzy metry, kiedy auto zawirowało na błotnistym podłożu. Szybko skonstatowała, że przez podwórko przetaczały się całe strumienie brudnej wody. Włączyła wsteczny bieg, żeby ustawić samochód w kierunku wyjazdu. Kiedy próbowała ruszyć ponownie, auto pokonało zaledwie parę centymetrów. Czuła, jak koła buksują na mokrym podłożu. Kręciła kierownicą na wszystkie strony, żeby mogły chwycić chociaż fragment twardszego gruntu. Dwójka dzieci zaczęła płakać, a ulewa jak na złość nie zelżała nawet na chwilę. Nie widziała nic dalej niż na dwa metry. Spocone ręce zaczęły jej się ślizgać po kurczowo trzymanej kierownicy.

– Dalej... – mówiła do siebie i zaciskała zęby, jakby w ten sposób chciała zmusić auto do większego wysiłku. Jedyńka, wsteczny, znów jedynka... Czuła, że zaczyna dygotać, bardziej ze strachu niż z zimna, chociaż ociekała wodą jak szyba, przez którą patrzyła we wrogą przestrzeń. Samochód dosłownie tańczył na błocie; zupełnie nad nim nie panowała. Spojrzała przed siebie, oddychając szybko. W lusterku wstecznym zobaczyła, że opuchnięta dziewczynka przestała płakać i przymyka oczy. Matylda miała nadzieję, że mała jest po prostu zmęczona bólem...

Nasunęła kaptur bawełnianej bluzy na głowę i wzięwszy głęboki wdech, wypadła na zewnątrz. Lodowaty prysznic wcisnął jej kolejny haust powietrza do płuc. Pobiegła na tył samochodu, żeby zobaczyć, dlaczego nie może ruszyć. Koła prawie do połowy zanurzone były w gęstym błocie. Sama nie będzie w stanie go wypchnąć. Obejrzała się za czymś, co mogłaby podłożyć pod koła. Przecież nie może tak po prostu czekać... Wygrzebywała z mokrej ziemi co większe kamienie i wrzucała w wodę opływającą prawe tylne koło. Cała w błocie wróciła do środka i brudząc stacyjkę, jeszcze raz przekręciła kluczyk. Samochód wył i tańczył dalej. Ona czuła, że za chwilę też zacznie krzyczeć. Rozejrzała się desperacko wokół. Do drogi, po której cokolwiek jeździ, miała prawie cztery kilometry. I dwoje dzieci na tylnym siedzeniu... Żywiół trzymał ją w swoim uścisku jak w akcie ślepej furii. Przez oczy mokre od łez zobaczyła nagle przed sobą zapalone światła powoli zbliżającego się samochodu. Wypadła na zewnątrz i podniosła ramiona do góry.

– Matyllda! – Kostek przekrzykiwał deszcz.

– Nie mogę ruszyć! Muszę się dostać na ostry dyżur! – wołała, ciągnąc go do swojego samochodu.

– Co ci jest?! – Biegł postusznie za nią.

– Nie mnie, małej!

Szybko ocenił sytuację i tak samo jak ona wcześniej rozejrzał się po podwórku, po czym zniknął jej z oczu i pojawił się chwilę później z niewielkimi deskami w obu dłoniach. Podłożył je pod tylne koła i butem próbował wcisnąć je w błoto, jak mógł najgłębiej.

– Wsiadaj i spróbuj ruszyć! – zakomenderował, a sam przymierzył się, żeby pchnąć samochód. Po kilku próbach i podłożeniu dodatkowych desek auto ostrym ślizgiem chwyciło stały grunt.

– Przesiądź się, ja poprowadzę! – krzyknął do niej, zanim przeparkował

swoje auto, po czym rzucił na kolana Matyldy swoją torbę podróżną.

– Najbliżej mamy Giżycko. – Szczękała zębami, odwracając się do tyłu, żeby uspokoić dzieci.

– Przebierz się, jesteś cała mokra. W środku jest moja bluza dresowa. – Przetarł wierzchem dłoni ubłocony policzek i sprawnie wyprowadził auto na polną drogę.

– Dwa dni; musimy tu zostać dwa dni... Do momentu, kiedy mała będzie zupełnie bezpieczna – mówiła do niego już spokojniejsza godzinę później, kiedy siedząc na szpitalnym łóżku, gładziła kciukiem maleńką rączkę córki, ozdobioną wenflonem.

– Rozumiem. Skup się na niej – uspokajał. – Najważniejsze, że zdążyliśmy. A twoja córka będzie pod dobrą opieką.

Milczała chwilę, bo nie wiedziała, co ma powiedzieć.

– Dziękuję, Kostek... – wykrztusiła wreszcie, chociaż czuła, że to zdecydowanie za mało.

– Poradzimy sobie. Odpoczywaj... – poprosił i zakończył połączenie.

Nie była pewna, czy chodziło mu o nich dwoje, czy o jego i gospodarzy. Ale odebrała to jednoznacznie, być może dlatego, że bezpieczeństwo, jakie roztaczał wokół siebie, było czymś, czego jej dotkliwie brakowało i do czego podświadomie lgnęła w zupełnie naturalnym odruchu...

Nie widziała go od tamtej pory. Wymieniali się czasem esemesami, a dwa, może trzy razy rozmawiali przez telefon. Złapała się na tym, że będąc na Mazurach, czeka, aż się pojawi. Ale nie przyjeżdżał, chociaż – była tego zupełnie pewna – on też ucieszyłby się z jej obecności. Musiał jednak dopytywać o nią, bo wiedział o planowanym wyjeździe.

Czuła, że to nie będzie zwykłe pożegnanie. Konstanty nie był mężczyzną, który używa ważnych słów tylko po to, żeby zaraz o nich zapomnieć. Wiedział, jak trudno posklejać kawałki, na które rozpadło się

życie takich ludzi jak Matylda. Wiedział też, czego sam od tego życia oczekuje dla siebie. A jeśli poprosi, żeby została? Jaką da mu wtedy odpowiedź? Zasługiwał na szczerą.

A może chce jej tylko życzyć powodzenia?

Wyłączył telewizor i poprawił zagłówki na wielkiej sofie, którą cały wieczór okupował z Michaliną i Helmutem. Na pytanie córki o to, kto jest głodny, zareagował tylko pies, czujnie podnosząc głowę; Kosma zaprzeczył i przeciągnął się, rozkładając ręce. Popołudniowa drzemka dużo mu dała, czuł się wypoczęty i z chęcią dałby ujście rozpierającej go energii. Odkąd poukładał sobie nadchodzące wydarzenia w przejrzysty ciąg, był spokojniejszy i ufniej spoglądał w przyszłość. Zupełnie jakby mglista zapowiedź eksperymentalnej kuracji zmieniła w jeden dzień jego podejście do życia. Przede wszystkim czuł, że powinien tak się zachowywać od początku. Może nawet należało wtedy poprosić o pomoc Matyldę? Powiedzieć jej o wszystkim i przejść przez to razem? Czy nie na tym polega miłość? Na dzieleniu radości i trosk? Niby tak, ale to nie była zwyczajna troska, tylko koniec świata. A tego wolał jej oszczędzić. Wrócił do punktu wyjścia.

Michalina zniknęła w swoim pokoju, porwawszy z kuchni rogała. Kosma leżał, drapiąc psa i wsłuchując się w jego miarowy oddech. W kieszeni wciąż miał list do Matyldy; wszystko wskazywało na to, że nie tylko go nie dostanie, ale nawet na niego nie czeka. Przywołał w pamięci to, co opowiedziała mu Ewa. Ciągle nie mógł uwierzyć, że Matylda znalazła sobie kogoś na pocieszenie. Jak mogła? Czy to była jej recepta na pogodzenie się z zawodem, jaki jej sprawił? Na zasadzie klin klinem? On od momentu rozstania nie był z żadną kobietą. Jakby wraz z poznaniem diagnozy, a później opuszczeniem Matyldy, ta sfera aktywności przestała mieć dla niego jakiegokolwiek znaczenie. Raz czy dwa nadarzyła się okazja,

nie stronił przecież od towarzystwa, a już na pewno nie damskiego. Kiedy jednak zaczynało robić się interesująco, w jego głowie włączała się jakaś blokada.

– Co z tobą? – zapytała wtedy kobieta, która obiecywała sobie dużo więcej, niż był skłonny jej dać. Dziś już nawet nie pamięta jej imienia, może zresztą wcale go nie poznał? Bez skrępowania chwilę wcześniej zsunęła majtki i oparła się o umywalkę. Byli w toalecie w jednej z knajp, która na jakiś czas stała się jego przytułkiem. Oboje wypili już dość dużo. Patrzył na jej wypięty i obnażony tyłek, na jej wyciągniętą rękę, w której ścisnęła prezerwatywę. Podniósł wzrok, ich spojrzenia się spotkały. Przyglądała mu się w lustrze z rosnącym zdumieniem. Musiała zrozumieć, że podjął decyzję; sekundę później odsunął ją na bok i bez słowa wrócił do baru. Uregulował rachunek, zostawiając stanowczo za duży napiwek i dodatkową stówę.

– To na taksówkę dla tamtej pani – rzucił do barmana i wyszedł na zewnątrz. Nigdy więcej tam nie wrócił. Innych przygód już nie szukał. Zadowolili się snami o Matyldzie, które były tak intensywne, że po przebudzeniu potrzebował przynajmniej kwadransa, żeby wrócić do rzeczywistości. Biegł później do łazienki z mokrą plamą na spodenkach, zupełnie jak dojrzewający młokos.

W tych snach wciąż byli razem i nie żalowali sobie czułości. Czasem śniła mu się też Ewa. Budził się wtedy z poczuciem winy, jakby zdradzał Matyldę.

A teraz ona znalazła sobie kogoś! Ta myśl wzbudziła w nim żal i gniew. Gdzieś tam w głębi ducha liczył na to, że pozostanie mu... No właśnie, jaka? Czy naprawdę po tym, co jej zrobił, mógł oczekiwać, że będzie mu wierna? Niby dlaczego miałoby tak być? Skarcił się w myślach, po czym delikatnie odsunął Helmuta. Nie chciało mu się już leżeć, więc starając się

nie zbudzić psa, wstał z sofy i podszedł do półki z płytami. Przez chwilę szukał wzrokiem odpowiedniej okładki, po czym wyjął jedną z płyt Davida Bowiego. Wybór na ten wieczór mógł być tylko jeden; według wielu dziennikarzy to najlepsza kompozycja tego artysty z lat osiemdziesiątych, do tego z porywającą partią saksofonu.

W byciu samotnym jedną z najgorszych rzeczy jest to, że nie masz z kim zatańczyć, kiedy tego najbardziej potrzebujesz. Niewątpliwym plusem zaś jest to, że możesz słuchać muzyki tak głośno, jak tylko masz ochotę.

– Musisz mi wybaczyć! – powiedział do Helmuta, który czując pismo nosem, pognął do sypialni. W ślad za nim poleciały pierwsze dźwięki saksofonu Dona Wellera. A później był już tylko Bowie.

*I've nothing much to offer
There's nothing much to take
I'm an absolute beginner
But I'm absolutely sane
As long as we're together
The rest can go to hell*

I absolutely love you

But we're absolute beginners

*With eyes completely open
But nervous all the same⁶.*

⁶ David Bowie, *Absolute Beginners* (śl. Paul John Weller).

DZIEŃ CZWARTY

Na podróż do Warszawy wybrał białe materiałowe spodnie i miętową koszulę, w której natychmiast podwinął rękawy. Od rana było gorąco i nic nie zapowiadało zmiany pogody w najbliższym czasie. Ci, którzy wstrzelili się z urlopem w czerwiec, wygrali los na loterii; cała Polska i spora część Europy topiła się w słonecznych promieniach i wypatrywała cienia. Kosma szukał czegoś innego. Nie mógł odnaleźć swoich mokasynów i podejrzewał, że ma to niejaki związek z pełnym winy spojrzeniem Helmuta.

– To twoja sprawka, przyznaj się! – Od kwadransa wygrażał psu, co ten przyjmował ze stoickim spokojem. Od czasu do czasu przybierał jednak zboląły wyraz pyska, co miało pokazać, że łączy się w bólu ze swoim panem. Z posłania się jednak nie ruszył.

– Co się tak ciskasz? – zapytała Michalina, którą złorzeczenia ojca szczerze rozbawiły.

– Gnojek zeżarł mi buty, znów się bawi w szczeniaczka.

– Przestań, to stary pies...

– Może tak stary, że cofa się w rozwoju do etapu szczenięcia. Co, dziąsła cię swędzą, lubisz pogryźć bucik? – zwrócił się do Helmuta, a ten w odpowiedzi rozłożył się na grzbiecie i wyciągnął długie kończyny.

– Patrz, jeszcze się domaga masowania łap! – Kosmie powoli przechodził gniew.

– Włóż coś innego, ja w tym czasie spokojnie poszukam. Przecież nie mógł ci zjeść dwóch butów łącznie z podeszwami! – stwierdziła Michalina.

Hmmm, były skórzane, już chciał dodać Helmut, ale przezornie zwinął

się w kłębek.

Kosma machnął ręką i włożył białe tenisówki.

– Wrócisz dziś?

– Tak, jadę tylko na dwa szybkie spotkania i wracam. Będę pod wieczór, może nawet przedzej.

– Auta mi nie popsuj! Zjadłeś coś w ogóle? – zdążyła jeszcze krzyknąć, zanim zatrzasnął drzwi. – A my musimy porozmawiać. Nie będę cię wiecznie kryć! – Spojrzała oskarżycielsko na psa. Helmut psim zwyczajem zamknął oczy i udawał, że go tu nie ma. Zwykle pomagało, może dziś też się uda?

Kosma zaparkował przy Fabrycznym i zdążył jeszcze kupić bilet w dworcowej kasie. Podróż do stolicy samochodem była w tym wypadku bezsensowna; wszystkie sprawy miał do załatwienia w jednym miejscu, a z Centralnej obiecała go odebrać Ewelina. Odkąd trasę z Łodzi do Warszawy pociągi pokonywały w czasie krótszym niż dziewięćdziesiąt minut, ten środek lokomocji stał się kuszącą alternatywą.

Zajął miejsce w pustawym przedziale. Zaraz potem ruszyli. Chciał wykorzystać podróż na kilka zaległych rozmów telefonicznych, niestety jak na złość zasięg w telefonie pozostawiał wiele do życzenia, więc zrezygnowany odłożył komórkę.

Od dawna nie rozmawiał z rodzicami. Dawno też u nich nie był. Na dobrą sprawę nie był nawet pewien, czy mają świadomość zmian, które zaszły w jego życiu przez ostatni rok. Nie byli blisko, gdzieś tam się mijali w ostatnich latach, zajęci sobą.

– Każdy ma jakieś dziury w sercu – usłyszał od matki, kiedy kilka lat wcześniej próbował z nią porozmawiać o swoim małżeństwie. Zrozumiał wtedy, że odkąd wyfrunął z rodzinnego gniazda, nie może już liczyć na ciepło domowego ogniska. Dlatego święta spędzali osobno.

Nieprzypadkowo o swoim stanie opowiedział niemal wszystkim wokół, nie fatygując się nawet do Wrocławia, by odwiedzić staruszków.

Każdy ma jakieś dziury w sercu, powtórzył w myślach. Nie wszystkie trzeba zasypać za wszelką cenę.

Kiedy wysiadł na Centralnej, zrobił się nagle dziwnie pobudzony. Zmysły wyostrzyły mu się i mógłby przysiąc, że słyszy i czuje więcej niż zwykle. Rozglądał się wokół w poszukiwaniu czegoś znajomego. Sam nie wiedział, co go tak poruszyło. Dostrzegł kogoś? Nie, to nie to, pokręcił głową, ale nadal bacznie rozglądał się na boki. Zapach! Natychmiast wydłużył krok. To jej perfumy! Niemożliwe, żeby mogła tu być właśnie teraz. Ale nos nie kłamał, wyraźnie czuł woń Kenzo, zupełnie jak wtedy, kiedy w Żółtej Cizemce znalazł jej list.

– Matylda! – krzyknął bezwiednie, ale uzyskał tylko tyle, że stojący najbliżej spojrzeli na niego z zaciekawieniem, by sekundę później wrócić do przerwanych rozmów. Na peronie było zbyt dużo osób, by mógł ją wypatrzyć, zresztą to mogła być zupełnie inna kobieta. Stanął na palcach, tamując ruch. Ludzie cisnęli się i przepychali w stronę ruchomych schodów. Zdawało mu się, że widzi ją po drugiej stronie peronu, ale natychmiast się zmitygował. Najwyraźniej wyobraźnia płatała mu figla. Po prostu chciałby ją spotkać, i tyle. Uspokój się, pomyślał, są lepsze miejsca na pojednanie niż dworzec PKP.

Stanął karnie na stopniu, a ruchome schody wyniosły go poziom wyżej. Obrócił się jeszcze, jakby w ostatnim przypływie nadziei, że to jednak nie było przywidzenie.

– Matylda... – wyszeptał. Na górze już nie czuł jej perfum. Upadając na kamienną podłogę odnowionego dworca Warszawa Centralna, zdążył jeszcze pomyśleć, że to całkiem dobra śmierć. Umrze tak, jak chciał, z jej imieniem na ustach.

Matylda wstała bardzo wcześnie, zastanawiając się, kiedy w końcu zacznie normalnie sypiać. W takich momentach jak ten nawet leki na sen zdawały się zupełnie nie działać. Po pierwszym porannym karmieniu już nie zasnęła.

Poprzedniego wieczoru przeciągnęła żelazkiem lnianą sukienkę w odcieniu niebieskiego, na cienkich ramiączkach, i dobrała do niej cieliste sandaalki na niewielkiej szpilce.

„Ładnie ci w niebieskim...” – usłyszała głos Kosmy, jakby stał gdzieś obok niej. To on się uparł, żeby kupiła tę sukienkę, kiedy podczas spaceru wypatrzyła ją w oknie sklepowej witryny. Przyglądała dłońmi przód i skrzyżowała ręce na piersiach. Lubiła, kiedy stawał za nią z tyłu tak, że mogła przyłgnąć do niego plecami, i zamykał ją w swoich ramionach, wtulając brodę w zagłębienie jej obojczyka. Mogła poczuć wtedy jego ciepłe usta na swojej szyi i delikatny zapach perfum, który jeszcze długo potem krążył gdzieś wokół niej przy najmniejszym ruchu. Gdyby miała mu się dziś pokazać, to właśnie tak. Bez chwili wahania odrzuciła czerń, manifestując w ten sposób samej sobie gniew i niezgodę na całe to wymuszone przez los pożegnanie. Ten kolor w tym momencie był tak odległy od jej całego istnienia, jak tylko mogła sobie wyobrazić, a słowo „żałoba” – niemal jak trąd, do którego bała się nawet zbliżyć. W jej głowie, a potem w sercu, zrodził się nagle niemy bunt przeciwko miejscu, w jakie została – być może nawet nieświadomie – zepchnięta przez najbliższe otoczenie Kosmy. W dużej mierze również przez niego samego. Gdyby nie sposób, w jaki odsunął ją od siebie, w świadomości jego rodziny istniałaby najpewniej wciąż jako ktoś bardzo mu bliski. Ale była najdalej. Teraz i całe minione dwanaście miesięcy. Nie była jego żoną; tak naprawdę przez większość ich znajomości była zaledwie kochanką...

Objął ją w pasie i przyciągnął do siebie. Oboje czuli to samo,

bezdyskusyjną potrzebę bycia blisko. Matylda czuła jednak coś więcej; Kosma był spięty i o ile nie zdradzał tego zachowaniem, o tyle jego ciało mówiło jej aż nadto.

– Coś się stało, masz jakieś problemy? – zapytała.

W zasadzie mógł zasłonić się rozwodem, sprawa nie była przecież wciąż rozstrzygnięta, ale bardziej interesowało go to, jak łatwo Matylda jest w stanie rozszyfrować jego nastroje. Czytała w nim jak w otwartej książce. Milczał.

– Postuchaj, widzę, że coś się dzieje. Sam mi to mimowolnie pokazujesz...

– Ja? – przerwał jej gwałtownie. – Niby w jaki sposób?

– Chociażby napinając pewne partie mięśni! – Podniosła głos i jednocześnie zdumiała się, jak łatwo przechodzi od spokojnej rozmowy do gniewu. Ona też powinna jakoś zapanować nad emocjami.

– Zrobisz mi teraz wykład z teorii Lowena? – zapytał i bez zapowiedzi pocałował ją w usta. Zaskoczona poddała mu się bez wahania.

– O co chodzi z tym Lowenem? – zapytała, kiedy już stanęła pewniej na nogach i ruszyli dalej.

– Alexander miał na imię i był amerykańskim psychoterapeutą, który badał reakcje organizmu na pewne stany emocjonalne. Opracował terapię pracy z ciałem.

– I co? – Nie słyszała o niej i średnio ją teraz obchodziła, ale lubiła słuchać, jak opowiadał.

– Zaobserwował, że kiedy nie chcemy ujawniać jakichś emocji, to napinamy określone partie mięśni.

– Ja zaobserwowałam, że kiedy chcesz mi okazać swoje emocje, też napinasz pewien konkretny mięsień... Chodź tu i pokaż mi trochę napięcia!

– Objęła go za szyję i podciągnęła się do góry. Musiał przytrzymać ją za

pośladki, co zresztą zrobił chętnie.

– Wariatka... – wyszeptał, zanim tym razem ona zamknęła mu usta pocałunkiem.

– I co dalej z tym Lowenem? – wróciła po chwili do przerwane go wątku.

– Nic, w zasadzie ciekawe jest tylko to, że blokując okazywanie smutku, gniewu czy stresu, napinamy mięśnie; te napięcia stają się chroniczne i powodują bloki mięśniowe. Tak przynajmniej nazywał to Lowen. Mówił nawet o zbroi mięśniowej, która odgradza nas od niechcianych emocji. A to przekłada się na to, jak wyglądamy i jak się zachowujemy.

– Chciałabym, żebyś teraz przestał się zachowywać. Jesteś zdecydowanie zbyt napięty w niektórych partiach ciała. – Pociągnęła go w stronę zarośli.

– Tu? Zaraz będziemy w domu! – próbował oponować, ale bez przekonania.

– No co ty, ten cały Lowen pewnie by nie pochwalił długotrwałego napięcia. Chodź, zobaczymy, co da się z tym zrobić.

Poszli. Wciąż pamięta, co wtedy czuła. Kosma siedział oparty o brzozę. Bez skrepowania zsunęła mu spodnie i usiadła na nim okrakiem. Patrzyli sobie w oczy, kiedy poruszała się z początku wolno, później przyspieszając i znów zmniejszając tempo. Kochali się bez słowa; tylko raz, kiedy czuła, że są już blisko, zapytała, co go gryzie.

– Nic. Chciałbym po prostu być twoim mężem.

Mówiąc to, przyciągnął ją do siebie i wtulił się w jej piersi. Czuł, jak jej ciało zaciska się na jego członku; dyszała przez chwilę, a później przyszła kolej na niego.

– Teraz lepiej? – Leżała tuż obok, patrząc prosto w niebo.

– Teraz i na zawsze... – odpowiedział cicho.

U dawnych Słowian kolorem żałoby była biel. Do dziś w bieli celebruje się pochówki na niemal całym Wschodzie. W Tajlandii znaczenie żałobie

nadała nostalgiczność fioletu; w Iranie i Meksyku uczynił to właśnie niebieski. Miała prawo przyoblec się w którykolwiek z nich? Jeśli nie, to kto odebrał jej takie prawo i kiedy? A skoro tak, to wybierze ten, na którego widok śmiały mu się oczy! Bo tak chciała go zapamiętać.

Zrobiła przedziałek z boku, założyła włosy za ucho i błyszczącą wsuwką upięła grzywkę w łagodną falę. Cały czas patrzyła na siebie w lustrze, próbując w tak dobrze sobie znanym kształcie oczu zobaczyć, czy znajdzie w sobie tyle siły, żeby zmierzyć się z prawdą.

– Mamo? – Zajrzała do kuchni i zastała matkę pilnującą gorącego mleka w rondelku. – Wychodzę; wrócę maksymalnie szybko. Rozwiesiłam mokre tetrówki w pokoju. Zmienisz, kiedy wyschną? – dokończyła przyciszonym głosem.

– Tak, dziecko.

– Pani Wanda przyjdzie?

Często korzystały z pomocy sąsiadki państwa Radeckich. Pani Wanda była starsza od Matyldy niewiele ponad dziesięć lat. Dwóch dorosłych synów i córkę dawno puściła w świat. Cała trójka wylądowała za oceanem, więc własne dzieci i wnuki sąsiadka widywała niezmiernie rzadko. Za to chętnie pomagała przy dziewczynkach, wypełniając w ten sposób czas po śmierci męża.

– Zaraz powinna być. Załatw, co masz załatwić, i wracaj.

Pomachała matce ręką, nie tracąc czasu na dłuższe pożegnanie, i cicho zamknęła za sobą drzwi wejściowe.

Więc to dziś... Nigdy by nie przypuszczała, że jeszcze kiedyś będzie próbowała go odnaleźć. Teraz nie miało to znaczenia, czy powinna to robić, czy nie. Chciała. Tym razem nikt nie decydował za nią.

Wysiadając z metra pod Rotundą, której chwilowo nie było w ogóle, zrezygnowała z tramwaju na rzecz szybkiego spaceru do budynku dworca.

Powietrze w zamkniętych pomieszczeniach dziś wyjątkowo utrudniało jej oddychanie, i to nie ze względu na spory już o tej porze upał. Ktoś boleśnie ją potrącił, nie mówiąc nawet „Przepraszam”. Ramię zabolalo na tyle mocno, że łzy zapiekły ją pod powiekami. Poczula się jak poobijana kukła, a przecież ten ból mógł nie być dzisiaj jedynym...

Mnogość kafejek, barów szybkiej obsługi i sklepików, kuszących podróżnych bogatą ofertą i przytulnymi wnętrzami, nie zdołała zastąpić nieprzyjemnego dla Matyldy wrażenia, jakie stwarzał przetaczający się w różnych kierunkach tłum. Spojrzała szybko na elektroniczną tablicę i na hasło „Łódź”, a następnie, nie doczytawszy szczegółów połączenia, wbiegła na peron wskazany przez grzmiące megafony. Gęsty tłum wysypał się właśnie z pociągu, który chwilę wcześniej zatrzymał się niemożliwie głośno.

– Czy to pociąg do Łodzi? – chciała się jeszcze upewnić.

– Nie. Z Łodzi, proszę pani. – Właściciel głosu zniknął tak szybko, jak się pojawił.

Dopiero teraz spojrzała na wyświetlacz z nazwą stacji docelowej. Kraków, przeczytała. Pomyliła perony i rozkład przyjazdów z odjazdami. Odsunęła się najdalej, jak mogła od napierającej ludzkiej masy i skierowała się w stronę ruchomych schodów. Była rozkojarzona. Zawsze tak miała, kiedy myślała o tym, o czym aktualnie nie powinna. Zerknęła odruchowo przez ramię, bo zdawało jej się, że ktoś wypowiedział jej imię. Jakby... Boże, to było jakieś szaleństwo! Jak miała tam dotrzeć, jeśli już teraz jej mózg fundował jej omamy słuchowe...

Jakieś trzy nastolatki zaczęły głośno piszczeć na widok innych trzech z kolorowymi plecakami w rękach i ścisnąć się z okrzykami dzikiej radości, zagłuszając tok jej dziwacznych myśli. W pewnym momencie Matylda usłyszała kilka donośnych, krótkich krzyków. Obróciła się na ten dźwięk w

połowie drogi na górę. Na górnym podejściu przeciwległych ruchomych schodów zebrał się spory tłum, obserwując coś, a najpewniej kogoś, kto leżał na podłodze. Ktoś zapewne capnął kieszonkowca albo ktoś zemdłał. Ktokolwiek to był, miał szczęście, że zdarzyło mu się to właśnie tutaj. W takim miejscu zawsze znajdzie się ktoś, kto zareaguje.

– Którędy do przystanku tramwajowego?! – Na górze zaatakował ją pytaniem jakiś dryblas z trądzikiem.

– W prawo korytarzem do końca, potem w lewo i schodkami w dół. Dalej pan dopyta o konkretne wyjście, są cztery. Musi pan wiedzieć, w jakim kierunku chce pan jechać – tłumaczyła, ręką pokazując chłopakowi koniec korytarza.

„Dziękuję” utonęło w szumie tysięcy głosów i pisku hamujących pociągów. Tym razem dokładnie sprawdziła rozkład jazdy i wybrała właściwy peron. Ludzie umierają w takich dziwnych miejscach... Próbowała jeszcze zobaczyć, czy zbiegowisko przy ruchomych schodach się zmniejszyło. Stąd jednak nic nie mogła dojrzeć. Jej peron był za daleko.

Poczuła się nieswojo. Wzdłuż kręgosłupa dotknął ją język chłodu, chociaż skóra nie zdążyła jeszcze odetchnąć po szybkim spacerze. W takim miejscu samotność ma jeszcze inny wymiar. Bo to ona była obok niej. Ramię w ramię.

Żałoba to strata. A jednak nie straciła go zupełnie. Nawet nie trzymając się za rękę, dali śmierci podwójnego prztyczka w nos.

Zanim otworzył oczy, próbował się zorientować, gdzie jest i co się z nim dzieje. Jak przez mgłę słyszał, że ktoś woła go po imieniu. Czuł też, że czyjaś troskliwa ręka wsunęła mu pod głowę coś miękkiego. Po chwili zorientował się, że leży na własnej torbie. To było miłe uczucie i nie miał nic przeciwko temu, żeby nie otwierać oczu jeszcze przez jakiś czas. Najlepiej jakiś tydzień, może dwa. Tym bardziej, że ktoś przemawiał do

niego czule i że był to kobiecy głos, który już kiedyś słyszał. Matylda?

– A, to ty... – powiedział, kiedy już otworzył oczy i zlokalizował właścicielkę głosu. Rozczarowanie było tak wyczuwalne, że reakcja Eweliny mogła być tylko jedna.

– Tak, kurwa, to ja. A kogo się spodziewałeś? I co tu w ogóle odpieprzasz?

– Zakręciło mi się w głowie – odpowiedział słabym głosem, próbując się podnieść.

– Leż, już ktoś dzwonił po karetkę. Dobrze, że widziałam cię z daleka i zdążyłam na czas.

– Długo tu leżę?

– Wystarczająco, byśmy zostali uznani za konkurencję dworcowych żuli. Leż, mówię. Tych białych spodni dziś już nic nie uratuje.

– W dupie mam te spodnie. Zwijamy się stąd, już wszystko ze mną w porządku.

– Na pewno?

– Rano nic nie jadłem, jestem słaby, do tego ten upał. Chodź, muszę doprowadzić się do porządku. – Podniósł się z kolan i z dezaprobatą zerknął na swoje ubranie. Nie było tragicznie, ale po porannej nonszalanckiej elegancji nie było już śladu. Trudno, to tylko twórcy komputerowej nawalanki, pomyślał. Pewnie sami chodzą w bojówkach.

– Na pewno? – powtórzyła Ewelina, która wyglądała na mocno zaniepokojoną sceną, w której mimowolnie wzięła udział.

– Zacięłaś się? Na pewno, odwołaj karetkę.

Ruszyli w stronę wyjścia. Kosma kierował się do Złotych Tarasów. Ewelina połączyła się z dyspozytorką pogotowia i wyjaśniła, że pomoc medyczna nie jest już potrzebna.

– Miałem szczęście, że byłaś na miejscu. – Podziękował jej cmoknięciem

w policzek, kiedy usiedli przy kawie. Świadomie zrezygnował z earl grey na rzecz dużej flat white. W głowie ciągle jeszcze mu szumiało. Nie był pewien, czy upadając, nie zafundował sobie uderzenia czaszką o coś twardego. Pieprzyć to, w końcu i tak umiera.

– Posłuchaj, może lepiej przełożymy to spotkanie i odwiozę cię do domu?

– Do Łodzi? Masz tyle czasu? – Szczerze wątpił, by Ewelinie chciało się jechać taki kawał, więc dał jej szansę wycofania się.

– Nie mam, ale przecież nie puszczę cię samego. Zdrowo przywaliłeś.

– Zjem coś na szybko i lecimy do gamerów. Już jest okej, po prostu zakręciło mi się w głowie.

– Kosma... – zaczęła niepewnie.

– Przestań. Jestem poważnie chory i tak się czasami dzieje. Przykro mi, że byłeś tego świadkiem.

– Nie wygłupiaj się!

– Nie wygłupiam, mówię, jak jest. Wiele bym dał, żeby wrócić do czasów, kiedy bezkarnie obserwowałem twoje cycki i pochłaniało mnie to w całości.

– Ja też...

– Jadę do Szwajcarii na badania. Niedługo, może nawet za kilka dni. Chcę pozalać wszystko przed wyjazdem, bo nie wiem, kiedy i czy wrócę, rozumiesz?

– Tak, staram się. Pojedziesz sam?

– Chyba z jeszcze jednym pacjentem. Nie wiem, nie znam szczegółów.

– Jak ty się w ogóle czujesz?

– Chujowo, siostró. Ale dziękuję, że pytasz. Naprawdę bywało lepiej. Chyba przeholowałem, uciekając przed prawdą. I teraz mogę już się nie wyrobić w czasie...

– Wczoraj rozmawiałam z Matyldą – przerwała mu w pół zdania.

– Wczoraj? O czym? – W zamyśle miało to zabrzmieć, jakby wcale nie był tym zainteresowany. Wyszło jednak słabo. Jak to się działo, że tyle czasu nic – a potem nagle i Ewa, i Ewelina?

– Zaproponowała mi, żebym przejęła jej zlecenie. Boi się, że nie dotrzyma terminu.

– Widzisz? Ona też ma kłopot z czasem. Mój się po prostu kończy.

– Miałam wrażenie, że chce zapytać o ciebie. Wiesz, takie rzeczy się czuje.

– Ale nie zapytała. Może to i lepiej? – Kosma zamyślił się i patrzył gdzieś niewidzącym wzrokiem. – Jestem tylko cieniem z przeszłości.

– Zbieramy się, czy jeszcze coś zjesz? – zapytała Ewelina, spoglądając na zegarek.

– Straciłem apetyt. Idziemy!

Poszli, nie odzywając się do siebie przez całą drogę. Ona przypatrywała mu się ukradkiem, próbując zrozumieć gonitwę myśli, jaką najwyraźniej miał w głowie.

– Kosma, nie widziałam się z nią, ale przez telefon odniosłam wrażenie, że jest zmęczona. I przybita. Może mógłbyś się do niej...

– Nie mógłbym, siostrze. Właśnie tego bym nie mógł. A tylko tego chcę, od dawna...

Urwał, bo w kieszeni spodni odezwał się jego telefon. Spojrzał na wyświetlacz i odebrał natychmiast, posyłając jej przeproszające spojrzenie.

– Tak, panie profesorze? – Przez chwilę słuchał w milczeniu. – Dam radę, będę gotowy. Do usłyszenia.

Oparł się o samochód i westchnął. Karuzela ruszyła, teraz naprawdę miał już mało czasu. Wylot do Genewy zabukowali mu na niedzielę, to za trzy dni. Za trzy dni pozna, co przyniesie mu przyszłość.

Znalazła swoje miejsce w przedziale. Przy oknie. Lubiła miejsca przy

oknie. Podróże pociągiem też; dziś dużo przyjemniejsze dzięki estetycznym, czystym wagonom i zwykle sympatycznej drużynie konduktorskiej. Zawsze bawiło ją to określenie. Widziała wtedy w myślach rycerzy w pełnych zbrojach.

Nie wzięła ze sobą żadnej książki. I tak nie rozumiałaby ani jednego zdania. Ciężko opadła na fotel, jakby podjęła wcześniej duży wysiłek. Po raz kolejny poczuła ucisk w okolicy serca na myśl o celu podróży.

Ponad rok temu pokonywała tę samą trasę i chociaż wybrała się wówczas do Łodzi w interesach, myślała tylko o tym, że będzie mogła zobaczyć się z Kosmą. Nielicho wtedy zmarzli, spacerując po Bałutach śladami przedwojennej historii miasta. Policzki miała czerwone nie tylko od zimowego chłodu...

Chciała być przy nim, tak blisko jak wtedy. Pustka, której niczym nie była w stanie zapełnić, nie mieściła się w żadnym zadowalającym ją wytłumaczeniu. To poczucie bezcelowości kolejno mijających minut, godzin, dni... Czasami było tak dojmująco namacalne, że w ogłuszającym przerażeniu zastanawiała się, jak długo będzie mogła żyć w taki sposób. Ta niepokojąca przestrzeń rozrastała się teraz do rozmiarów, które paradoksalnie zaciskały ją w kleszczach lęku przed chwilami takimi jak ta. Ze wspomnieniami, które wciąż niosły ze sobą udrękę niezapomnienia.

Lato miało wreszcie swój czas i skrętnie go wykorzystywało. Odkrywało ramiona dziewczętom, połyskiwało w błyszczących do ust i na lśniącej skórze ud. Pachniały kwiaty, perfumy i świeżo parzona kawa z otwartych kawiarni. Zewsząd kolor podbity światłem tętnił chęcią do działania, smakowania, dotykania... Wciąż żyły w niej te pragnienia, ale zdawały się przytłumione jakąś półprzejrystą zasłoną. Wszystko było bledsze, cichsze, mijające w ledwo zauważalny, cielisty sposób.

Rozejrzała się wokół. Sporo miejsc było wolnych. No tak... Kto miał

dojechać do szkoły albo do pracy, najpewniej już to zrobił. Do szkoły! Zamknęła oczy i wstrzymała oddech. Też sobie wymyśliła godzinę podróży! Jeśli zamierzała zastać na Tymienieckiego Michalinę, to wybrała najgorszą porę z możliwych. Zemściło się na niej zapomnienie o dawno już niepilnowanym obowiązku szkolnym. Przecież to zwyczajowe godziny zajęć również na uczelniach! Zawsze miała jeszcze szansę trafić na jakieś okienko albo dzień zajęć popołudniowych. W ogóle o tym nie pomyślała. A przecież ten adres był jedynym, pod którym mogła kogokolwiek zapytać o Kosmę. Adres apteki, w której pracowała jego była żona, nigdy nie był jej do niczego potrzebny. Ani adres, ani ta znajomość. Nawet gdyby miały okazję się poznać, czy teraz ta kobieta zechciałaby powiedzieć jej cokolwiek o swoim mężu? Jej na pewno powiedział. Komuś przecież musiał. Może znów zbliżyli się do siebie, może po tylu latach tylko komuś, z kim tak długo dzieli się życie, ma się odwagę przyznać do wszystkiego, co bardziej już pokaleczyć nie może?

A może będą tam wszyscy troje? Przy obiedzie, przy kartach, przy kawie? A ona w swojej niebieskiej sukience stanie w drzwiach i... o co zapyta? Nie, wtedy przynajmniej nie będzie musiała pytać – o nic. Będzie wyglądała jak wywołany niechcący duch, na którego widok tylko pies merda ogonem...

Dość! Zaczynała przywoływać niepotrzebne wizje, które coraz bardziej wytrącały ją z równowagi.

Wtedy chciała, żeby pociąg był już na miejscu. Teraz mógłby ulec jakiejś awarii i postać trochę w polu.

Tak, odczuwała jakiś rodzaj lęku przed spojrzeniem w oczy tej kobiecie, która była i pozostanie dla Matyldy zawsze wyrzutem sumienia. Być może do rozwodu państwa Makarskich nigdy by nie doszło, gdyby ona – Matylda – nie pojawiła się nagle ze swoją spisana melancholią. Boże... jak bardzo

naiwny wydał jej się teraz ten smutek, który wtedy czuła i przelewała na papier. Wtedy jeszcze wszystko można było poskładać do kupy i jakoś żyć. Jakoś...

Nie oddałaby tych paru miesięcy z nim za całe lata. Czy to, że Kosma był ucieleśnieniem jej pragnień, miało w tej chwili dla jego byłej żony jakiegokolwiek znaczenie? Dlaczego miałyby cokolwiek Matyldzie ułatwiać? W imię czego? W imię tych paru chwil, które ośmieliła się ukraść z ich małżeństwa? Czuła, jak nieznośnie pali ją piętno kochanki, którego istnieniu nigdy już nie będzie mogła zaprzeczyć. Na kochankach zawsze wiesz się psy. Zawsze będą daleko w szeregu za żonami, dziećmi, teściami, wizytą z psem u weterynarza, wywiadówką czy Bóg wie czym jeszcze. Chociaż kochają tak samo, tak samo pragną, tak samo czekają, wierzą i ufają... Ale zawsze są tylko kochankami, choćby w końcu kiedyś tam okazały się nawet lepszymi żonami. Matyldzie było dane być jedynie tą pierwszą. Wzajemne obietnice złożyli przecież tylko sobie, a dziś nawet po tych obietnicach nie został nawet ślad. Może tylko jeden. Wierność. Wciąż był jedynym mężczyzną, którego pragnęła.

Komputerowców było trzech i zdecydowanie nie nosili bojówek. Mieli na sobie świetnie skrojone letnie garnitury i buty, na których widok Kosma poczuł mocne ukłucie zazdrości. Nie ma co kryć, czuć było *piniondz*, i Kosma przez chwilę zastanawiał się, czy wybrana przez niego profesja była tą właściwą. Jakby przyjechali tu wprost z Doliny Krzemowej, pomyślał i uśmiechnął się szeroko, zgodnie z amerykańskim zwyczajem.

– Nie szczerz się tak, to „warszawiaki, fajne chłopaki”, a nie nerdy z Google. – Ewelina postanowiła zawczasu przywołać go do porządku. Całkiem słusznie podejrzewała, że po zderzeniu z posadzką dworca Kosma może nie być w pełni sobą.

– A, kumam, dzięki za troskę. – Puścił do niej oko, jednocześnie

wyciągając rękę na powitanie. Prezentacja przebiegła szybko i sprawnie, w duchu stołeczno-łódzkiej przyjaźni. To jeszcze nie był czas, kiedy zaczęły opowiadać sobie o sympatiach futbolowych i najlepszych czasach polskiej piłki, kiedy Widzew gromił Legię, jak chciał.

Siedzieli w dość dużej, ale przytulnej sali konferencyjnej. Obok niej, w głębi budynku, zauważył open space, w którym przy biurkach siedziało kilkanaście osób. W większości w wieku jego córki. Ewelina opuściła salę i przysiadła przy stanowisku jednej z dziewcząt. A, stąd ten kontakt, pomyślał Kosma, bo wcześniej nawet nie zdążył jej zapytać, skąd właściwie się tu wziął. Od razu za to dowiedział się, po co.

– Wypuszczamy na rynek grę, która naszym nieskromnym zdaniem zakasuje trzecią część *Wiedźmina*. Chcemy, żeby pan był częścią projektu – odezwał się bez wstępu jeden z gospodarzy.

– Widzę, że nie lubicie panowie macania się pod stołem. – Kosma przez chwilę kontemplował fakturę materiałów, z których uszyte były garnitury jego rozmówców. Podniósł wzrok. – Niestety, nie będę w stanie sprostać panów wymaganiom.

– Panie Makarski...

– Kosma, proszę mówić do mnie Kosma – przerwał i poprawił się w fotelu. Siedzisko było takie, jak wszystko tutaj. Po prostu... na miejscu, wygodne i drogie. Rozmówcy skinęli z aprobatą głowami i po kolei powtórzyli swoje imiona. Bartek, Kuba i Jacek. Ich wciąż świeża znajomość właśnie weszła stopień wyżej.

– Jeśli to kwestia pieniędzy, to z pewnością znajdziemy rozwiązanie – odezwał się drugi z gospodarzy. Kosma domyślił się, że to właśnie jego podpis jest najbardziej pożądanym przy przelewach.

– Dziękuję jeszcze raz i proszę mi wierzyć, że nic mnie tak nie pociętało w ostatnim czasie, jak wasze zainteresowanie i idąca w ślad za

nim propozycja. Nie mam też wątpliwości, że byłbym ostatnią osobą, która mogłaby narzekać na waszą hojność...

– To w czym rzecz? – zapytał trzeci, wzruszając przy tym ramionami i szukając poparcia u kolegów. – Dogadajmy się i róbmy to!

– Na jakim jesteście etapie?

– Żebyśmy mogli omawiać szczegóły, musimy mieć pewność, że stworzymy zespół. Wszyscy! – powiedział Jacek.

– Na bardzo wstępnym... – dorzucił ostrożnie Bartek. – Dopiero zaczynamy, mamy zarys fabuły, a ponieważ badania fokusowe wyszły lepiej niż dobrze, ruszamy ze scenariuszem.

– Okej, to dla mnie istotna informacja, bo daje mi trochę czasu. Nie do namysłu, bo nie mam się tu nad czym namyślać! – Mówiąc to, Kosma powiódł wzrokiem po twarzach rozmówców. – Muszę jednak was ostrzec, że być może będziecie musieli poszukać kogoś innego.

– To byłaby dla nas ostateczność, ponieważ z badań wyszło nam, że przy tym produkcji twój głos wybrałoby ponad osiemdziesiąt sześć procent graczy.

– Serio, badacie takie rzeczy? – zapytał Kosma i zaraz pożałował. Kuba, Bartek i Jacek spojrzeli po sobie i z niedowierzaniem pokiwali głowami.

– To są milionowe inwestycje. Tu bada się wszystko. Zbadamy ci nawet próbkę moczu, jeśli będzie potrzeba! – powiedział Jacek i po jego głosie Kosma zorientował się, że to wcale nie jest żart. Postanowił grać w otwarte karty.

– Mam raka krtani, chłopaki. Za trzy dni przebadają mnie w Szwajcarii i być może zakwalifikują do programu lekowego. Jeśli lek zadziała, to będę mówił i nagram wam to. Ale jeśli nie...

– Jeśli nie? – odezwali się jednym głosem.

– Wtedy w gardło wsadzą mi rurę, będę chodził z wielką dziurą w

przełyku i nie nagram wam już nawet ostatniego pożegnania.

– Oż, kurczaczki... – zaklął pod nosem któryś z gospodarzy.

Pozostała dwójka również sprawiała wrażenie zbitych z tropu.

– Daj nam chwilę na przegadanie sprawy. To sytuacja, której nie braliśmy pod uwagę – poprosił Bartek. Podniósł się z fotela i skinął na kolegów. – Rozgość się, niedługo wrócimy.

Kosma nie wiedział, co robić. Propozycja przystąpienia do projektu była kusząca, ale rynek gier komputerowych był mu kompletnie obcy. Gdyby miał syna, to może by cokolwiek podłapał, ale Michalina na swoim laptopie układała tylko pasjansa. Pamiętał jedynie, że Andrzej Sapkowski, autor *Wiedźmina*, o którym wspominali jego gospodarze, zrzekł się praw do zysków z gry. Przy podpisywaniu umowy wolał otrzymać większą kwotę za samo udzielenie prawa do adaptacji tekstu. Zysków z przyszłego produktu się nie spodziewał, a kiedy gra powstała, było już po ptakach. Część, o której wspomniał jeden z chłopaków, *Dziki Gon*, okazała się sukcesem na skalę światową, a zyski ze sprzedaży poszły w miliony.

Czasem warto zaryzykować, pomyślał Kosma. Chciał być częścią tej maszyny i był gotów zrobić wszystko, by choroba mu tego nie zabrała. Poszukał wzrokiem Eweliny. Wpatrywała się w niego pytająco. Uniósł kciuk i się uśmiechnął. W tym samym momencie Wielka Trójka weszła do sali.

– Okej, zróbmy to razem – orzekł Kuba bez niepotrzebnego budowania napięcia. – Wierzymy, że wszystko się ułoży i będziesz mógł... no, sam wiesz.

– Chcesz omówić szczegóły teraz, czy wolisz dostać papiery na maila i poczytać w spokoju? – Jacek był chyba najbardziej zasadniczy z nich wszystkich.

– Lecimy z tematem, będę miał o czym myśleć podczas badań. – Kosma

uśmiechnął się słabo. – Co do kasy, to musicie dorzucić taki garniak.

Cała czwórka pochyliła się nad stołem, na którym Kosma dopiero teraz dostrzegł dokumenty z propozycją kontraktu. Szybko przerzucił kilka kartek i uśmiechnął się szeroko. Wiedział, że nawet jeśli nie dorzucą nic ekstra, i tak stać go będzie na niejeden szykowny garnitur. Jeśli tylko przeżyje...

Podawała taksówkarzowi adres i wtuliła się w oparcie fotela, z twarzą przy szybie. Ruch na ulicach był spory, ale taksówka – o dziwo – nie stanęła w żadnym korku, nawet światła zmieniały się jak jeden mąż na zielone, kiedy zbliżali się do kolejnych skrzyżowań. Miasto za szybą auta przyciągało ją o tyle, o ile kryło w sobie kroki, widoki i miejsca, które lubił Kosma. Dziś za nic nie poszłaby jego drogami i być może nigdy nie znajdzie dość siły, żeby to zrobić.

Stała po drugiej stronie ulicy i spojrzała w okna na ostatnim piętrze. Była zdenerwowana; do mocnych i szybkich uderzeń serca dołączył urywany oddech.

Czuła, że jeśli nie ruszy się z tego miejsca natychmiast, po prostu ucieknie. Przebiegła szybko przez ulicę w niedozwolonym miejscu i nie zatrzymując się, wbiegła na klatkę schodową przez otwarte drzwi. Zdyszana dotarła na samą górę i bez chwili namysłu nacisnęła dzwonek. Odsunęła się od drzwi, próbując jednocześnie opanować ucisk w skroniach, spowodowany niespodziewanym wysiłkiem i zwyczajnym strachem. Nie była pewna, czy coś nie zaszeleściło pod drzwiami. Wstrzymała oddech. Ale nie szczęknął zamek i żaden głos nie zapytał: „Kto tam?”. Za drzwiami jednak nie było zupełnie cicho; szuranie się powtórzyło. W pewnym momencie dołączyły do niego nieśmiałe pomruki. Dopiero teraz zrozumiała – w domu był pies. Zadzwoiła jeszcze dwukrotnie. Nadal jednak jedynym dźwiękiem, który dochodził z zamkniętego pomieszczenia, było – teraz

wreszcie dokładnie to rozpoznawała – stukanie psich pazurów o parkiet. Poczciwy Helmut nie czekał na nią... Popiskiwanie stało się wyraźniejsze i bardziej niecierpliwe. Miała już pewność, że nikt jej nie otworzy. Napięcie noszone od kilku dni zaczęło puszczać, uwalniając każdy mięsień jej ciała. To przecież nie tak miało być! Nie miała siły zostać tu ani chwili dłużej. Postanowiła, że zrobi jeszcze jedno podejście. Zeszła na dół, tym razem dużo wolniej, bo nogi odmawiały jej posłuszeństwa. Mogła pojechać w jeszcze jedno miejsce.

Dziekanat łódzkiej Akademii Muzycznej znajdował się na pierwszym piętrze okazałego gmachu. Bezbłędnie trafiła do niego labiryntem korytarzy, korzystając z życzliwości młodych ludzi, których sporo kręciło się po uczelnianych ścieżkach.

– Czy jest pani kimś z rodziny? – Kobieta za biurkiem zerknęła na moment na Matyldę.

– Nie, nie jestem rodziną – odpowiedziała zgodnie z prawdą.

– Nie mogę więc udzielić pani żadnych informacji dotyczących studenta.

Przykro mi.

Urzędowe „Przykro mi” nieprzyjemnie zapiekło Matyldę.

– To bardzo ważna sprawa osobista! – Nie dawała za wygraną.

– Nic na to nie poradzę. – Urzędniczka znów oderwała wzrok od stosu papierów na biurku. – Musi pani skontaktować się z tą osobą w inny sposób.

– Gdybym miała inną możliwość, nie byłoby mnie tutaj... – westchnęła Matyllda, dając do zrozumienia swojej rozmówczyni, że bardzo jej zależy na uzyskaniu odpowiedzi. Wyklócanie się o najprostsze nawet rzeczy nigdy nie było jej mocną stroną. Być może przekonałaby tę kobietę, opowiadając jej swoją historię, ale to „być może” skutecznie ją zastopowało.

– Może mi pani chociaż powiedzieć, czy jej grupa ma teraz jakieś

zajęcia? – Już kończąc to pytanie, wiedziała, że trafia w próżnię.

– Proszę pani! – Irytacja kobiety za biurkiem posłużyła Matyldzie za całą odpowiedź.

– Przepraszam.

Poczuła się jak skarcona uczennica, do której nie dotarł jeszcze temat zajęć.

Na korytarzu było ciemniej, ale zdecydowanie przyjemniej. Zagadnęła jakieś dwie dziewczyny z kolorowymi plecakami i pokręciła się po uczelnianych korytarzach, zaczepiając na chybił trafił mijanych na każdym kroku studentów. Nie miała dzisiaj szczęścia. Udało jej się wprawdzie spotkać kogoś, kto znał Michalinę, ale uzyskała również pewność, że dziewczyny dziś na uczelni w ogóle nie było. Poruszanie się w ten sposób po omacku nie miało dłużej żadnego sensu. Była okropnie zmęczona i głodna. Poddała się naturze i w końcu skierowała się do wyjścia.

Snop światła uderzył ją na ulicy niespodziewanie gwałtownie. Zapomniała zabrać ze sobą okulary przeciwsłoneczne i teraz czuła, jak ostre światło wyciska jej z oczu łzy. Zamknęła je na moment, opierając się o rozgrzaną ścianę budynku. Co ona tu robi?! W domu czekają na nią: dwójka maleńkich dzieci, na wpół spakowane walizki i zmęczona matka. A ona szuka igły w stogu siana, jakby jej znalezienie miało przewrócić jej świat do góry nogami. Czy niewystarczająco już stał na głowie? Miała wrażenie, że ten gorący poranek krzyczy do niej z całych sił: „Przestań się łudzić! To naprawdę koniec”. Miała dość. Z oczami wilgotnymi nie tylko od oślepiającego światła przeszła szybko na drugą stronę ulicy i przecznicę dalej znalazła postój taksówek. Chciała wrócić do domu i przepłakać to wszystko w swoim pokoju; z rodzicami za ścianą, gotowymi zawsze bez słowa zaakceptować każdy jej krok. Nigdy bardziej nie doceniła ich obecności w swoim życiu jak w tej chwili. Gdziekolwiek był w tym

momencie Kosma, nie było go przy niej. Jej życie toczyło się dalej, nawet jeśli dla niego nie miało to żadnego znaczenia.

Dla niej wciąż miało i jeszcze nie chciała z niego zrezygnować, nawet jeżeli przyszloby za nie płacić każdą możliwą walutą.

Ewelina została z nim do końca spotkania. Trochę powodowała nią ciekawość, dużo bardziej jednak niepokój o to, czy Kosma doszedł już do siebie. Miała wyrzuty sumienia, że tak łatwo uległa w kwestii odwołania ekipy pogotowia ratunkowego. Może jednak powinien zbadać go lekarz? Niby nic się nie stało, ale przecież nie był zdrowy. Kto wie, co działo się z jego organizmem? Trochę się martwiła, zwłaszcza że Kosma bagatelizował sprawę.

Usiedli w restauracji, która od wejścia nawet nie próbowała ukrywać, że ceny ma wygórowane i karmi nie byle kogo. Za ekwiwalent porządnego posiłku dla dwóch osób można by spokojnie wyżywić afrykańską wioskę. Przez tydzień. I to bez wina, którego wspaniała kolekcja piętrzyła się butelkową piramidą pod jedną ze ścian lokalu.

Z winem udałoby się najprawdopodobniej dodatkowo zaszczepić mieszkańców wioski na cały dostępny katalog chorób.

– Spokojnie, ja stawiam – powiedział Kosma, widząc jej zaniepokojone spojrzenie, kiedy studiowała menu. – Należy nam się coś od życia, nieprawda?

– Nie wyszłam jeszcze poza przekąski, a już czuję debet na koncie. – Ewelina była w dobrym humorze. – Okej, skoro robisz za fundatora, to szukamy dalej.

– Dobrze jest czasem opierniczyć coś na ciepło. – Kosma również zerknął do karty, ale odłożył ją po chwili. – Nigdy tu nie byłem, więc zdaje się na ciebie.

– Chyba raczej na kelnera, ja nie umiem wymówić nazw połowy dań z

menu. – Ewelina jeszcze przez chwilę próbowała zorientować się w specjałach proponowanych przez szefa kuchni, ale nazwy kolejnych potraw równie dobrze mogłyby być obcojęzycznymi obelgami. Wolała nie ryzykować.

Mimo jej obaw lokal okazał się serwować dobrą kuchnię, a miła obsługa rekompensowała rozbuchane ego właściciela tego miejsca. Kiedy zjedli, zamówili jeszcze kawę i słodki akcent wieńczący całość.

– Jesteś zadowolony? – zapytała, wbijając widelczyk w muffina, z którego natychmiast wąską stróżką wypłynęła gorąca czekolada. Pachniało migdałami, anyżem i miętą.

– Z umowy? Tak, jestem. Choć oboje zdajemy sobie sprawę, że to raczej gest dobrej woli z ich strony i zarazem działanie trochę na wyrost.

– Kosma, oni liczą na ciebie.

– Zrobię wszystko, żeby wypełnić kontrakt. Mam na to jakieś pół roku.

– Zdążysz?

– Są na to szanse. Porządnie to obgadaliśmy i obie strony mają świadomość, na czym stoją. Jeśli Szwajcarzy zaczną mnie leczyć, to nie ma pośpiechu, wszystko pójdzie gładko i zdążymy. Jeśli jednak wrócę do Polski z niczym, to... tego czasu może być za mało.

– I co wtedy?

– Wtedy, Ewelinko, będzie to jeden z moich najmniejszych problemów.

– Uśmiechnął się z przekąsem. – Jedz, niewykluczone, że to nasza... ostatnia wieczerza.

– Nawet tak nie mów, to niedorzeczne. – Popatrzyła na niego z ukosa.

– Przecież widziałaś, co się dziś stało. Nie jestem głupi, nie będę udawał, że nic się nie dzieje. Ale podjąłem jakieś kroki, będę się leczył.

– Co mam powiedzieć Matyldzie? Pewnie zobaczę się z nią na dniach. Chciałabym jej podziękować za to, co zrobiła.

– Matyldzie? – Kosma zastanowił się przez moment. Co miałyby jej powiedzieć? Przecież powiedzieli już sobie wszystko, a przynajmniej na tyle dużo, by zaczęła organizować sobie życie na nowo. Nie, nie ma sensu angażować w ten melodramat kolejnej osoby.

– Słyszysz mnie? Wspomnieć o tobie? – Ewelina chyba nie dostrzegała rozterek Kosmy.

– Nic jej nie mów, dla niej mnie już dawno nie ma. Nie jest sama, jakoś sobie dała radę. O to przecież mi chodziło, nie? – bardziej stwierdził, niż zapytał.

– Jak sobie chcesz. Zbieramy się? – Ewelina uporała się wreszcie z deserem i tylko wykwintne wnętrze lokalu powstrzymało ją od wylizania talerzyka. Belgijska czekolada była wyśmienita i warta swojej ceny.

– Tak, jeśli nie masz już na nic ochoty, to chodźmy.

– W sumie to miałabym na ciebie, ale jesteś albo tak stary, albo tak chory, że bliższy kontakt z wyzwoloną kobietą mógłby ci zaszkodzić.

Udał, że tego nie słyszy. Uregulował rachunek i ruszyli w stronę auta Eweliny.

– To wszystko jest takie nierealne... – odezwała się, kiedy siedzieli już w środku i zapinali pasy. – Twoja choroba, to, co się z wami porobiło, nawet ta pieprzona oferta na grę komputerową. To się dzieje tak szybko! Jak sobie z tym dajesz radę?

– Nie daję. Przynajmniej nie do końca. – Kosma nie lubił o tym rozmawiać. – Czasem po prostu zamykam oczy i udaję, że to się nie wydarzyło. Staram się za dużo nie myśleć.

– Da się tak żyć? – Spojrzała na niego uważnie.

– Sama widzisz... – Rozłożył ręce i zawiesił na chwilę głos. – Jestem, a jakby mnie nie było.

– Dlaczego jej to zrobiłeś?

– Właśnie po to, żeby to jej nie zjadało po kawałku.

– A ty? Pomyślałeś chociaż przez chwilę o sobie?

– Przy Matyldzie myślałem tylko o niej.

– To głupie, wiesz?

W zasadzie wiedział, ale przecież nie mógł przyznać jej racji.

– Przeciwnie, to najmądrzejsze, co zrobiłem w życiu. Może kiedyś to zrozumiesz. Jedź, nie chcę się spóźnić na pociąg.

– To głupie i ty dobrze o tym wiesz!

Nie odpowiedział. Odwrócił się w stronę okna i skupił uwagę na tym, co działo się na zewnątrz. Ewelina włączyła silnik, poprawiła lusterko i jeszcze raz spojrzała na Kosmę.

– Głupi i uparty.

Wrzuciła wsteczny i wyjechała z parkingu. Przez całą drogę nie odzywali się do siebie. Radiowa Trójka nadawała akurat jakiś koncert. Nikomu nie chciało się zmienić stacji, do końca podróży słuchali więc monotonnego wokalu Fiszka.

Ona mówi: problem, jaki masz,

Jest w twojej głowie gdzieś

(...)

Dziękuję za dłonie i

Dziękuję za palce, bo

Mogę dotykać i

Zapamiętać cię...

– Zapamiętać cię... – powtórzyła cicho Ewelina.

– Mówiłaś coś? – Kosma ocknął się z zadumy.

– Nie, nic. Zmykaj, nie będę cię przecież odprowadzać jak dziecko.

Nie lubił rozstań i pożegnań, dlatego pocałował ją w policzek i poszedł.

Zanim odjechała, usłyszał jeszcze końcówkę piosenki. Głos Fisza wkręcił mu się w głowę i został tam do samej Łodzi.

*Czasy niepewne są
Każdy wschód słońca i
Każde rozstanie jest
Jak zimny wiatr⁷*

Młody mężczyzna w przedziale, w którym miejscówkę miała i Matylda, kręcił się nerwowo na swoim miejscu.

– Niby wszystko jest okej, stary. Jest piękna, wpatrzona we mnie jak w obraz, chciałaby spędzać ze mną mega dużo czasu – mówił zaaferowany. – W łóżku też mam, co chcę, rozumiesz.

Patrzyła, jak wsypuje do dużego kubka dwie saszetki cukru i zamasyście mieszając napój plastikową łyżeczką, ciągnie dalej:

– Ale... nie wiem, jak ci to powiedzieć... Ona... ona mnie ogranicza.

– Przecież właśnie powiedziałeś, że jest zajebista? – W głosie mężczyzny siedzącego naprzeciwko brzmiało autentyczne zdumienie.

– Nie rozumiesz. Ja potrzebuję do tworzenia przestrzeni, wolności! – Chłopak zrobił w powietrzu ruch ręką, jakby dyrygował niewidzialną orkiestrą. – Nieskrępowanej niczym niezależności. Potrzebuję przyjść i wyjść, kiedy chcę – mówił bardziej do siebie niż do kolegi. – Nie mogę, słuchaj, malować przed zakupami, bo jestem jej wtedy potrzebny, albo tylko po południu, bo ona pracuje akurat na inną zmianę.

Rozmówca Niezależnego chyba pogubił się w potrzebach swojego przyjaciela, bo z większą ciekawością co jakiś czas zerkał na ludzi kręcących się między przedziałami.

– I co, i co? – zapytał w końcu w przestrzeń, mierząc od stóp do głów jakąś kobietę, która przepychała się z dużą walizką.

– Co? Przy niej, stary, jestem artystycznie zablokowany! – Mężczyzna kręcił głową, wpatrując się w kubek, jakby mówił do niego, a nie do kogoś, kto lepiej potrafi słuchać jego opowieści. – Czarna dziura niemocy twórczej wciąga mnie zawsze, kiedy słyszę: „Jerzyk, kim ja właściwie dla ciebie jestem?”.

Matylda, zdumiona i zdegustowana, odwróciła głowę od głośno rozmawiających mężczyzn. W jednej chwili z dusznego przedziału przeniosła się do zalanej słońcem stodoły.

Siedzieli pochyleni nad projektami wnętrza pod jedną ze ścian na parterze. Wokół walały się narzędzia, jakieś worki i kilka desek. Matylda rozłożyła na podłodze folię i zrobiła im miejsce. Przycupnęli, dotykając się niby przypadkiem. Tego dotyku było im ciągle za mało. Nie miało to w ogóle erotycznego podtekstu, przynajmniej nie stale. Po prostu i ona, i on musieli mieć w zasięgu ręki drugą osobę. Szukali się łapczywie i za każdym razem nagradzali uśmiechem szczęśliwy finał tych poszukiwań.

Zrobiło się jakoś podniośle, uroczyście. Zupełnie jak wtedy, kiedy w radiu puszczała Hallelujah Leonarda Cohena. Patrzyła na Kosmę i była pewna, że gdyby się teraz odezwał, zrobiłby to łamiącym się głosem. Zresztą ona też. Dlatego milczeli.

Na papierze po przeciwnej stronie mieli taflę szkła, przez które w ich zamysle wlewały się do środka sad i łąka tuż za nim. To był jego pomysł, chciał, by w domu było jasno i przestronnie. Dokładnie tak samo miał wyglądać jego gabinet na górze. Prosty wystrój, doświetlone wnętrza, ciepłe kolory.

– Nie mogę się doczekać, kiedy to wszystko się zmaterializuje. – Wskazał palcem szkic na podłodze. – Dawno nie czułem się tak podekscytowany.

– Ja też! – Matylda znów poszukała jego ręki.

– Byłem wczoraj w twojej pracowni; wypadałoby tam nieco podgonić.

Inaczej nie zdążysz...

– Spokojnie! – przerwała mu i dodała uspokajającym tonem: – Mam wszystko pod kontrolą. Pilnuję terminów i załatwiam te kwestie na bieżąco.

– Musimy pomyśleć o porządnym łączu internetowym, będzie mi potrzebne do pracy.

– Tutaj? Raczej zapomnij, nawet nasze komórki mają słaby zasięg. – Oparła się o ścianę i wyprostowała nogi. – Masz zamiar tu pracować? Założysz radio?

– Tak, będę taki mazurski Kosma o poranku, jak w Przystanku Alaska... – zażartował. Grany przez Johna Corbetta Chris o poranku, DJ, był jego ulubioną postacią z kultowego serialu. I szczerze mówiąc, najlepiej oddawał radiową osobowość Kosmy.

– Poważnie? – Matylda nie miała pojęcia, o czym on plecie; do tej pory nie poruszali jeszcze tematu aktywności zawodowej Kosmy po przeprowadzce do siedliska. Ale radio?

– Nie, to se ne vrati... – rozwiął jej wątpliwości Kosma. – To się już nie opłaca, nie w takim wymiarze. Pomyślimy o czymś innym. Tak czy inaczej, porządny internet musi być!

– Może zanim coś wymyślisz, po prostu zajmiesz się domem?

– Kocie, zajmę się wszystkim, czym trzeba, ale pamiętaj też, że w tym domu to ja noszę szelki i do mnie należy wyprawa na mamuta.

– I na tego mamuta potrzebujesz internetu?

– To przecież jasne! – zakończył dyskusję. – Chodź, obejrzymy poddasze. Mam wrażenie, że spartaczyli jedną ścianę.

Lubiła, kiedy przejmował inicjatywę. W każdej dziedzinie, niezależnie od tego, czy dotyczyło to polowania na mamuty, czy poprawek po ekipie budowlanej. Był jej facetem, o takim zawsze marzyła. Nawet wtedy, kiedy przez wiele lat zwyczajnie bała się marzyć.

Łzy pociekły jej dwoma gorącymi strumieniami. Miała gdzieś, czy ktoś ją w tej chwili obserwuje. Sztuka jest prawdą o świecie i o sobie. Jest prawdziwa, kiedy ma się czym karmić. Jeśli karmi się miłością, szybuje wyżej, widzi więcej, z szerszej perspektywy.

– Sztuka to wolność; wolność to emocje. Proszę przestać ograniczać swoją dziewczynę, może wtedy pojawią się te właściwe! – Nie obchodziło jej, czy facet zrozumiał. Minęła swoich osłupiałych sąsiadów i skierowała się do wyjścia.

Przy Kosmie miała skrzydła. Błyszczące i kompletne. A on dawał jej przestrzeń do lotu i wiatr na jej usługi. I nigdy nie był ograniczeniem, bo nie mogła nazwać barierą granic ich świata, z którego czerpała tak, jakby wreszcie odetchnęła pełną dawką tlenu.

– *Co cię pociąga w tym malowaniu?*

– *W tym? Czy w malowaniu w ogóle?*

Zapomniała oczyścić i zabezpieczyć narzędzia do woskowania przed wizytą Kosmy w siedlisku. Przed spacerem na plac budowy weszli więc jeszcze do pracowni starego malarza. W myślach wciąż nazywała ją właśnie w ten sposób.

– *Co cię pociąga w malarstwie?*

Kosma chodził wolno po pracowni, przyglądając się na zmianę różnym przedmiotom, których musieli używać wcześniej artyści, barwnym obrazom zajmującym teraz miejsce pod jedną ze ścian pomieszczenia i Matyldzie porządkującej swoje miejsce pracy.

– *Myślę, że nie jestem w stanie opisać tego do końca słowami – odpowiedziała mu po dłuższym namyśle. – To dużo więcej niż kolor, zapach farb czy odzwierciedlona rzeczywistość. To inny wymiar, pulsujący odmienną energią niż moje życie, ale do życia mi niezbędny.*

– *Słucham cię uważnie – zachęcił ją, kiedy znowu zamilkła.*

– Nie mogłabym nawet jednym tchem wymienić uczuć pojawiających się w mojej głowie, kiedy patrzę na obraz, który mnie porusza. I tych, kiedy sama stoję przed martwym płótnem, a potem biorę pędzle do ręki. To jakiś rodzaj uzależnienia. Od emocji i od inspiracji, które zostawiają ślad w mojej codzienności. Kontakt z kilkoma obrazami daje mi często więcej niż całe godziny spędzone nad historią sztuki.

– Często do niej sięgasz?

– Tak. Na tyle, na ile wystarcza mi wolnego czasu. Chociaż, muszę ci się przyznać, żałuję, że moja wiedza akademicka na ten temat jest zawstydzająco mała. Na tyle mała, że malarstwo, sztukę w ogóle, częściej odczuwam, niż rozumiem. Kiedy sama siadam do malowania, nie myślę o tym, czy to się komuś spodoba, czy nie. Moment pojawiania się farby, faktury pod moimi palcami, mogę porównać do podróży. Niektóre połączenia barw wywołują u mnie euforyczne doznania... i nie umiem tego do końca wytłumaczyć. Co ciekawe, nie zawsze są to barwy, którym przypisuje się działanie energetyzujące.

Wycierając małą ściereczką poplamiony woskiem canting, patrzyła na Kosmę, który przysunął sobie jedno z krzesel i usiadł po przeciwnej stronie stołu, niemal w całości zajętego przez rozpiętą na drewnianych ramach, częściowo zawoskowaną tkaninę.

– Niezmiennie na przykład wzruszają mnie i budzą we mnie wręcz tkliwość gałęzie Kwitnącego migdałowca van Gogha. Chociaż to tylko poskręcane drzewo z kwitnącymi na nim drobnymi kwiatami. Marzę o tym, żeby stanąć przed tym obrazem; blisko. Myślisz, że to rodzaj szaleństwa?

– Jeżeli można go oglądać w jakimś europejskim muzeum, nazwałabym to raczej ekscytującą wyprawą, jeśli już używamy podróźniczych porównań – odpowiedział jej spokojnie, jakby w pytaniu Matyldy nie było nic, co mogłoby go zaskoczyć.

– *Mówię raczej o próbie przelania na papier czy płótno wyobrażeń, ulotnych doznań i lęków za pomocą czegoś tak wyjątkowo realnego, jak kupka martwych przedmiotów. I w zasadzie tylko po to, żeby zaspokoić głód naszego wewnętrznego egoisty, który zadawała się tą próbą na chwilę i wciąż chce więcej, mocniej, pełniej!*

– *Domyślam się, o czym mówisz. – Patrzył na jej zaróżowione policzki. – Van Gogh przez całe życie walczył z wewnętrznym demonem, obsesją, która nie pozwalała mu normalnie żyć, zmuszając go do chorobliwego wręcz dążenia do stania się prawdziwym malarzem. Podobno ta obsesja spowodowała i przyspieszyła jego chorobę psychiczną.*

– *Myślę inaczej. – Mocno postawiła kropkę po drugim słowie. – Uważam, że to dzięki chorobie, wyniszczającej, to prawda, ale właśnie dzięki niej, nieustannie malarsko się rozwijał. Szukał w barwach harmonii, którą odbierała mu choroba. Im silniej go dręczyła, tym bardziej uciekał w malarstwo.*

– *To fakt, że niedługo przed śmiercią namalował swoje najlepsze obrazy.*

– *Ja bym powiedziała, że najbardziej niezwykle. Spójrz. – Poprawiła się na swoim krześle. – Gdyby nie miał w sobie pragnienia zrozumienia, co dzieje się z jego życiem, nigdy niczego by nie szukał. Wbrew pozorom był silniejszy niż przeciętny człowiek. – Spojrzała na Kosmę błyszczącymi oczami. – Wytykany palcami, wyśmiewany i obrzucany obelgami... tworzył. Niezrażony i uparty.*

– *To nas w nim pociąga?*

– *Ta determinacja? Myślę, że ona również. Zazdrościmy jej innym, sami bojąc się z niej korzystać, żeby nie być posądzonym o śmieszność czy megalomanię. Po prostu boimy się być kimś innym niż wszyscy, czyli kimś niezrozumianym.*

– *A przecież tego nikt z nas nie chce...*

– Proces twórczy ma w sobie coś z narkotycznego działania. Ja nie potrafię się od niego uwolnić. Nie przeraża cię ten rodzaj mojej psychozy?

Odłożyła oczyszczone narzędzie, przykryła je czystą ściereczką i wytarła ręce w listek ręcznika papierowego. Oparła łokcie na stole i położyła brodę na splecionych dłoniach. Przyglądała się Kosmie w oczekiwaniu na odpowiedź.

– Nie, absolutnie. I lubię podróże, zwłaszcza w nieznanne.

Uśmiechnął się i zanucił: Podróżą każda miłość jest...

– Za dużo każda miłość chce...⁸ – dośpiewała ściszym głosem.

– Jak sztuka.

– To... interesująca podróż. Nie sądzisz?

Zdawało mu się, że przysnął tylko na kilka chwil, ale kiedy otworzył wreszcie oczy, pociąg wjeżdżał już na peron łódzkiego dworca.

Najwyraźniej jednostajny stukot kół zadziałał lepiej niż tabletki nasenna. A może po prostu dały mu się we znaki skumulowane wydarzenia całego dnia?

Było wczesne popołudnie. Kosma poprawił włosy, obciągnął koszulę i ruszył do wyjścia. Trochę ciążyło mu to, że nie zajrzał nawet na chwilę do Ewy Lorenz, ale po ich ostatniej rozmowie telefonicznej nie bardzo wiedział, jak by zareagowała, widząc go w drzwiach. Przecież nie wyjeżdżam na zawsze, jeszcze będzie czas na pożegnania, usprawiedliwił się przed samym sobą. Ciągle nie mógł zrozumieć, czego dokładnie gratulowała mu policjantka, ale tak naprawdę skupiał się na tej najważniejszej dla niego informacji: Matylda nie była sama! Skąd wziąć siły, by o nią powalczyć? Gdyby tak mógł pożyć jeszcze trochę...

Volvo stało na parkingu, nagrzane od czerwcowego słońca i obłożone ulotkami. Zza wycieraczek uśmiechały się do niego blond Kotki, rude Agaty i Isabelle; mógłby przysiąc, że zauważył nawet ofertę całkiem łysej

dominy. Zgarnął kolorowe wizytówki i rzucił w bok, nie trudząc się szukaniem kosza. Odpalił silnik i skierował auto w stronę apteki Kaśki. Powinna niebawem zamykać interes. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że nie poinformował jej o terminie wyjazdu. Najwyraźniej nie zrobił tego też Klejmann, w przeciwnym wypadku już by się do niego odezwała. Czuł, że będzie chciała polecieć tam razem z nim, co z jednej strony nawet go ucieszyło. Dobrze mieć przy sobie kogoś... No właśnie, kogo? Kogoś bliskiego? Nie powinien myśleć w ten sposób; rozwiedli się i ich stała obecność na swoich orbitach z pewnością nie ułatwiała nowego rozdania. On spróbował, z wiadomym skutkiem. Ona po przygodzie z Panem Zgagą, jak przekornie nazywał jej nowego partnera Kosma, raczej nie przejawiała ochoty na zawieranie znajomości z facetami.

– Jeszcze nie teraz! Zwłaszcza nie teraz! – doprecyzowała kiedyś odpowiedź na pytanie Michaliny, wymownie wskazując przy tym głową trzeźwiejącego w salonie ojca. Kosma właśnie wrócił po trzydniowej nieobecności. Wiedziały, że znowu pił, on sam nawet nie próbował tego kryć. Po zwyczajowej awanturze wyrzuciły go z kuchni i koily nerwy przy kawie.

– Ale myślisz o tym? – drążyła dziewczyna. Jej też zależało, żeby ta rodzina, choć już rozbita, mogła swobodnie funkcjonować w nowych realiach.

– Nie wiem, czy mi to potrzebne, mam spokój i żadnych skarpet do prania.

– Jesteś niczego sobie, nie powinnaś siedzieć sama w czterech kątach.

– To może przeniesiesz się do mnie? – zapytała Kaśka z nadzieją w głosie.

– Nie teraz. Przecież wiesz, że nie mogę. – Tym razem to Michalina kiwnęła głową w stronę salonu. – Ktoś musi czuwać tutaj.

Kosma zdawał sobie sprawę, że ostatnie miesiące były jednym wielkim pasmem niedopuszczalnych ekscesów, z których wiele nie powinno mieć miejsca, nawet gdyby był zdrowy. Dług, który zaciągnął u byłej żony i córki, był jak wyrzut sumienia. Te wszystkie nieprzespane noce, urwane telefony, obrzygane taksówki będzie im spłacał latami. Ale teraz po raz pierwszy miał na to ochotę. Obudziła się w nim chęć zrehabilitowania się i zadośćuczynienia. Coraz mniej bał się przyszłości. To jeszcze nie koniec, powtarzał każdego ranka, patrząc w lustro. Odkąd przestał pić, pojechał do Czeremchy, i wreszcie odkąd pojawiła się oferta ze Szwajcarii, naprawdę w to wierzył.

– To jeszcze nie koniec! – powtórzył, stając w drzwiach apteki.

– Przeciwnie, zaraz kończymy. Potrzebujesz czegoś? – Kaśka porządkowała leki na półkach, przy okienku było tylko kilku klientów, obsługiwanych przez jej pracownicę.

Głową wskazała mu przejście na zaplecze.

– Co robisz po pracy? – zapytał, cmoknąwszy ją w policzek na powitanie. Miał ochotę ją przytulić, ale powstrzymał się w ostatniej chwili. Nie to miejsce i nie ten czas, pomyślał.

– Masz jakąś propozycję? – zapytała niby bez zainteresowania, ale znał ją dobrze i wiedział, że w środku podskakuje jak Osioł ze Shreka: „Mnie wybierz, wybierz mnie!”.

– Jeśli nie masz nic lepszego do roboty, to chciałbym, żebyśmy gdzieś usiedli na mieście. Jesteś głodna?

– Nie, zamówiliśmy coś lekkiego i jestem najedzona. Ale kawę wypiję chętnie. Albo wino. Stało się coś?

– Dzwonił Klejmann. Za trzy dni wylatuję. – Nie owijał w bawełnę.

Prawie klasnęła w dłonie z radości, zaraz jednak pohamowała entuzjazm – termin wskazany przez lekarza nie pozostawiał wiele czasu

na przygotowania. A dodatkowo wymagał od Kosmy ogromnej samodyscypliny.

– O w mordę, to dość szybko. Jesteś w stanie to zrobić? – Spojrzała na niego badawczo.

– O co konkretnie pytasz?

– Pytam konkretnie o to, czy nie spieprzysz w ostatniej chwili i nie znajdziemy cię trzeźwiejącego w jakimś zapchlonym miejscu.

– Nie chodzę w zapchlone miejsca...

– Oj, tak się tylko mówi. Nawet porządnie pokłócić się nie dasz!

– Przecież nie chcemy się kłócić – zaproponował.

– W sumie masz rację. Okej, zaraz będę wolna. – Uśmiechnęła się do niego i wróciła na salę. W samą porę, by zamknąć drzwi za ostatnim klientem.

– Kończymy? – zapytała jedna z pracownic.

– Tak, pani magister... – odpowiedziała z roztargnieniem Kaśka i pomachała pozostałym. – Zróbcie, co trzeba, ja muszę dziś wcześniej wyjść.

– Widzimy, widzimy – odpowiedziały ze śmiechem dziewczęta, ale Kaśka już nie słyszała.

Trzy dni, myślała gorączkowo. On nie może tam jechać sam...

– Ty nie możesz tam jechać sam, Kosma! – zaatakowała, kiedy tylko zamknął za nią drzwi samochodu. Skoro zdecydowała się na wino, swoje auto zostawiła przy aptece. Przy okazji zyskała w ten sposób trochę więcej czasu na perswazję.

– Przestań, nie jestem dzieckiem. – Spróbował lekkiego oporu.

– Kurwa, jesteś gorszy niż dziecko. Ty sam tam nie polecisz!

– Kasiu, przecież to się odbywa poza nami. Myślisz, że na dwa dni przed wylotem da się jeszcze zdobyć bilet? W czerwcu? Nawet jeśli, to za jakieś chore pieniądze.

– A dla ciebie jakoś zdobyli!

– Nie dla mnie, tylko dla zakwalifikowanych.

– Pozwolisz, że sama się o tym przekonam? – Nie przestawała go atakować.

– Jasne, przecież nie jest to żaden powód do sporów. – Kosma zaparkował na górnym parkingu Manufaktury. Obok pysznił się nowy hotel z przeszklonym basenem na najwyższej kondygnacji. Uśmiechnął się na wspomnienie jednej z nielicznych nocy, jakie spędził w Łodzi z Matyldą. Ze względu na Michalinę wybrali nocleg poza domem, właśnie w tym miejscu.

– *Masz kostium?* – zapytał, kiedy uchyliła drzwi swojego samochodu i uśmiechnęła się na jego widok. Musiał tu czekać już jakiś czas, co zdradzała znudzona poza Helmuta, wylegującego się obok.

– *Jaki kostium? Taki do kąpeli? I w ogóle co to za powitanie bez serdeczności?*

Pocałował ją zatem jak przystało i powtórzył pytanie.

– *Nie mam, nie podróżuję po kraju z kostiumem. Co to za pomysł?* – Matylda nie była pewna, czy to nie jeden z jego kolejnych żartów.

– *Przenocujemy dziś w centrum. Mają tam basen pod samym niebem i choć nie umiem pływać, to pomyślałem...*

– *Głuptasie, nie mam kostiumu. Nie szkoda ci czasu na bieganie po sklepach i wybieranie odpowiedniego?*

– *No wiesz, mogłabyś przymierzać, ja bym asystował i w ogóle był gdzieś blisko...* – *kusił, ale bardziej pro forma, bo zdał sobie sprawę, że rzeczywiście byłaby to strata czasu. Nie widzieli się dość długo i jeśli Matylda była przynajmniej w połowie tak stęskniona, jak on, to...*

– *Nie ma sensu tracić czasu na pływanie?* – *dokończył głośno.*

– *Tak właśnie uważam.* – *Uśmiechnęła się filuternie. I miała rację,*

naprawdę wykorzystali ten czas w lepszy sposób.

– Co się tak szczerzysz? Co tam już uknułeś? – Kaśka przywołała go do porządku.

– Nic, coś mi się przypomniało. Nieważne...

– Będziesz jadł?

– Może jakąś przystawkę, nie mam apetytu.

– To chodźmy do hiszpańskiej, mają tam nową kartę win. – Kaśka ruszyła przodem. Posłusznie podążył za nią. Drogę znał doskonale, więc nie przeszkadzało mu to myśleć o czymś innym. Gdyby tak zjawiła się tu raz jeszcze...

Furtka nie zdążyła się zatrzasnąć, zanim dobiegła do drzwi wejściowych. Już na ulicy słyszała niemowlęta. Rzuciła torebkę na półkę pod lustrem i szybko weszła do biblioteki, bo stamtąd dochodził płacz. Jedną córeczką zajmowała się pani Wanda, drugą matka Matyldy karmiła w sypialni dziewczynek.

– Hej, już jestem! – zameldowała się zdyszana. – Szybciej się nie dało...

– Dajemy sobie radę, ale chyba brakuje im ciebie, bo czuwają prawie cały czas.

– Dziękuję, pani Wando, jest pani aniołem! – Pocałowała sąsiadkę w policzek.

– Cisza tu teraz będzie... – Pani Wanda pokiwała głową, patrząc na niemowlę, które głośno domagało się uwagi.

– Odpochnie pani wreszcie od nas. Eksploatujemy panią tak często.

– Ach, dziecko... – Pani Wanda była widać innego zdania.

– Może trochę pośpi. – Matka Matyldy zajrzała do pokoju, nie wchodząc dalej. – Jadłaś coś? – zapytała córkę.

Prawie nie czuła głodu przez te kilka godzin. W takim napięciu i tak niewiele by przełknęła.

– Chodź, pierogi są jeszcze ciepłe, z serem. Zjesz i możemy je wykapać, póki Wandzia jest.

– Dobrze, mamó – rzuciła Matylda w przestrzeń, bo matka już zniknęła w kuchni. Przystała na propozycję z prawdziwą ulgą, bo dopiero teraz poczuła w dwójnasób cały ciężar tej wyprawy. – Wejdę tylko pod prysznic...

Mimo upału nie włączyła chłodnej wody. Ciepły strumień spokojnie zmywał z niej kurz i stres całego poranka. W odpływie dawno zniknęły już resztki szamponu i żelu do mycia, a ona wciąż stała pod strugami wody, mając nadzieję, że zrozumie sens tych kilku godzin chociaż w niewielkim stopniu. Te zamknięte dziś drzwi łódzkiego loftu sprawiły, że pękała w niej ostatnia nitka, która trzymała ją jeszcze w ich rzeczywistości, w rzeczywistości ich obydwójga: ze swoimi książkami, które układali na przemian na półkach, i z psim nosem przy stopach. Poczowała, że chce się poddać, tu i teraz. Że dalej... dalej ktoś inny będzie musiał zająć się całą resztą.

Znalazła się w tym samym punkcie co przed rokiem. Zrozumiała, że wszystko, co robiła do tej pory, było tylko jednym wielkim oczekiwaniem na coś. Teraz przynajmniej wiedziała na co. Nie miała się od czego odbić. Poczowała, jak cała katorżnicza robota, którą wykonała przez ten koszmarne rok, idzie na marne. Jakby płynęła długo resztką sił w potwornym bólu, żeby tylko wytrzymać jeszcze chwilę, byle do brzegu. A kiedy wreszcie stopy dotknęły piasku, jedna fala zepchnęła ją jeszcze dalej, niż była na początku.

Myślała, że to, co działo się z jej ciałem i w jej głowie, ustabilizuje się jakoś po porodzie. Doświadczyła w ciąży chyba wszystkich możliwych niewygód, które spędzają sen z powiek przyszłym matkom. Pojawienie się na świecie dziewczynek zniwelowało tylko jedną z nich: dodatkowe kilogramy. Reszta została, na co dzień i od święta. O ile do bólu brzucha i

braku apetytu mogła się z trudem przyzwyczaić, pilnując lżejszej diety i małych porcji jedzenia, o tyle powracających jak bumerang uciążliwych zawrotów głowy i mdłości nie była w stanie spokojnie zaakceptować. Koniec ciąży żadnej z tych dolegliwości nie zlikwidował, ale – co z niepokojem zauważyła – mocno nasilił. Wcale nierzadko zdarzały się takie dni, kiedy w ogóle nie wstawała z łóżka. Problem sprawiało jej nawet karmienie dzieci czy samodzielna wycieczka do toalety. Nie kojarzyła tych objawów z żadnymi, jakie miewała wcześniej. Mimo prawidłowej morfologii czuła się permanentnie osłabiona i wyczerpana z jakiegokolwiek energii. Przy dzieciach pracowała jak automat, trochę jak na zasilaniu awaryjnym, które zdołała uruchomić w ostatniej chwili. Bała się myśleć, co się stanie, kiedy i te podzespoły ulegną uszkodzeniu... Zmiany pogody doprowadzały ją do szału fizycznie i psychicznie. W wietrzne deszczowe dni ledwo trzymała się na nogach, a niepokój, który jej towarzyszył, nabierał monstrualnych rozmiarów, szczególnie wieczorami, gdy próbowała zasnąć. Po rozwiązaniu przeszedł w irracjonalny lęk w ciągu dnia i strach nie wiadomo przed czym w nocy. Koszmary i mroczne senne wizje wybudzały ją coraz częściej z płytkiego snu, oblepiając nieprzyjemnym uczuciem przytłaczającej ciemności. Nierzadko zdawało jej się, że ta ciemność potrzebuje tylko chwili, żeby się w jakiś sposób zmaterializować i skoczyć jej do gardła. Tylko ranki zdawały się znośne. Wieczorami znów stawała się niespokojna i dziwnie pobudzona, jakby w oczekiwaniu na coś, co mogłoby zburzyć ten spokój na słowo honoru.

Nie była w stanie tak jak dawniej malować ani czytać. Nawet wtedy, kiedy miała chwilę oddechu przy maluchach i kiedy obowiązki kucharki i zaopatrzeniowca przejmowała jej matka, z dużą pomocą wpatzonego we wnuczki ojca. Pędzle nie wymagały od niej wysiłku umysłowego. Malując, pozwalała płynąć myślom swobodnie tam, gdzie chcą, delektując się

kombinacjami barw, bawiąc wspomnieniami albo planując kolejny dzień. Teraz cała niepewność jutra, męczące wspomnienia i uczuciowa pustka tworzyły niemożliwy do usystematyzowania patchworkowy wzór.

Jakkolwiek próbowałaby go ułożyć, kształty nie zgrywały się ze sobą, ale co i rusz któryś z elementów burzył układany codziennie od nowa obraz fragmentem, który nie pasował do niczego. Zwiększał tylko stopień trudności tego zadania i coraz częściej Matylda dochodziła do wniosku, że w ogóle nie potrafi go wykonać. Karmione tą nieudolnością bezsilność i frustracja rosły w siłę, wprost proporcjonalnie do jej pragnienia, żeby wreszcie przejąć nad nimi kontrolę.

Z czytaniem było jeszcze gorzej. Wyrazy, zdania, rozdziały zwiększały gonitwę myśli, im więcej miały w sobie treści i niejednoznaczności. Coraz częściej wydawało jej się, że otwierając książkę, otwiera jakieś drzwi, które pozwalają wtłoczyć przez swoje podwoje całą zawartość jej świadomości w sobie tylko wiadomym celu. To też ją irytowało, to, że cisza jej nie uspokaja, że nawał obowiązków nie mobilizuje, ale przeraża i dezorganizuje. Codziennosc rozpadała się jej jak przemoczona do cna gazeta. Całymi dniami mogłaby tylko przewijać, karmić i tulić na zmianę dziewczynki. Te czynności nigdy jej się nie nudziły, chociaż nawet pomoc pani Wandy i matki nie uchroniła jej przed wieczornym wyczerpaniem do granic możliwości. Gdyby nie ta podwójna pachnąca mobilizacja, w ogóle nie widziałaby sensu wstawania z łóżka. Zatapiała się w ich uśmiechach i gaworzeniu jak w przyjemnej mgie zapomnienia rzeczy, które potrafią tylko ranić. Ale nawet wtedy nie udawała przed sobą, że nie są wszystkim, czego potrzebuje od życia...

Domyślała się, co mogło się z nią dzieć, ale wizyta u psychiatry była ostatnią rzeczą, jaką brała pod uwagę. O depresji wiedziała z różnych źródeł wystarczająco dużo, żeby mieć świadomość, że prochy to

ostateczność. Pobudzała więc wydzielanie serotoniny wszystkimi możliwymi sposobami, jakie przychodziły jej do głowy i o jakich udało jej się wyczytać w internecie czy książkach zgłębiających ten problem. Celowo nie unikała ludzi i rozmów, które zmuszały ją do kontrolowania swoich emocji i do skupiania się na rzeczywistości wokół. Robiła wszystko, żeby myśleć jak najmniej. Zagłuszała w ten sposób tęsknotę i tłumiała ból, tkwiące w niej jak uciążliwa drzazga. Pomagało na chwilę. Czasami w ogóle.

Oglądała świat przez zakurzoną szybę i jakby nie swoimi oczami. Dźwięki i słowa docierały do niej z dziwnym opóźnieniem. Nie bardzo obchodziły ją zatroskane oblicza bliskich, a po jakimś czasie zobojętniała prawie na wszystko. Za to śmiech, czyjeś zwykłe sprawy czy ładną pogodę odbierała jako złośliwość losu, który w ten sposób drwił z niej i z tego, co ją do granic wypełniało. Samotność ją bolała. Dotkliwie wdzierała się w każdy fragment jej ciała, próbując wyrzucić z niej tę pokaleczoną miłość, która broniła się przed tym wciąż tak samo mocno.

Chyba ostatnim etapem tego spadania było to, że przestała słuchać muzyki. Ze strachu przed wspomnieniami, które budziły się wtedy w najmniej spodziewanych momentach, wywołując nowe lawiny rozpacz, spod których wygrzebywała się z coraz większym trudem. Wyjaławiała w ten sposób swoją przestrzeń; świadomie spłycała jej odczuwanie, byle tylko przez kilka chwil mieć odrobinę nadziei na jutro, na które będzie chciała czekać.

W końcu nawet dzieci nie były w stanie wydobyć jej z katatonii zimnego smutku, który zaczęła nosić jak drugą skórę. Prawie przestała sypiać. Kilka godzin urywanego snu w tygodniu w żaden sposób nie regenerowało organizmu. Odczuwała chwilową ulgę tylko wtedy, kiedy myślała, że sama może to wszystko zakończyć, że tylko ona decyduje, jak długo będzie w

stanie to wytrzymać. Że śmierć jest jedyną furtką, przez którą nikt nie zabroni jej przejść.

Za każdym razem długo płakała, kiedy znów i znów osaczała ją myśl, że gdyby na opakowaniach tabletek nasennych było napisane, ile sztuk stanowi dawkę śmiertelną, odmierzyłaby ją skrupulatnie. Żeby nie zrobić pomyłki.

Jego brak tworzył szczelinę w jej istnieniu, przez którą sączyła się resztką jej oddechu. Jak długo to potrwa...? Uświadomiła sobie właśnie, że nie zasklepi jej niczym.

Ciepły prysznic pobudził laktację. Wypływające z piersi mleko mieszało się z wodą i znikало chwilę później. Jej organizm nie przyjął jeszcze do wiadomości, że niedawno była zmuszona zaprzestać naturalnego karmienia. Wszystkie trzy mocno przeżyły tę konieczność. Wciąż jednak miała w sobie tę odrobinę życia...

Kiedy tylko usiedli, Kaśka natychmiast sięgnęła po smartfona, by sprawdzić możliwość rezerwacji biletu na wspólny lot z Kosmą. Wyniki wyszukiwania chyba nie wprawiły jej w dobry nastrój, bo patrzyła spode łba to na niego, to na wyświetlacz. Wino w jej kieliszku znikало w tempie proporcjonalnym do stopnia irytacji.

– Szlag by to... – syknęła pod nosem, co natychmiast poprawiło humor Kosmie. Wciąż bił się z myślami i chyba jednak wolałby być tam sam.

– Mówiłem ci, że niewiele da się zrobić, trwa sezon. – Spokojnie pił kawę i obserwował jej bezowocne poszukiwania.

– Pojadę autem! – zawołała z entuzjazmem.

– Kaśka, w niczym mi tam nie pomożesz... – spróbował jeszcze perswazji.

– Nie chcę ci pomagać, tylko dopilnować, żebyś czegoś nie wywinął.

– Nie traktuj mnie jak dziecka. – Najwyraźniej zapomniał, że ten

argument padł już tego popołudnia.

– Już ustaliliśmy, że jesteś gorszy niż dziecko. Powiedz wprost: nie chcesz, żebym jechała?

– To nie tak, że nie chcę. Za dużo z tym zachodu. Polecę, zbadają mnie i wracam za kilka dni. To nie zabieg, nie będę hospitalizowany, to tylko wywiad medyczny.

– I nagle się do niego przekonałeś? – Nie wierzyła w jego metamorfozę. Zmiana nastawienia nastąpiła za szybko. Wolałaby mieć go tam na oku.

– Jeśli się upierasz, możecie po mnie przyjechać. To jakieś tysiąc pięćset kilometrów, z Michaliną zrobicie to w jeden dzień.

– To dobry pomysł... – Wskazała kelnerowi pusty kieliszek po winie.

– Poszukam wam noclegu i wrócimy spokojnie, podziwiając widoki. – Jemu może ten pomysł nie wydawał się do końca dobry, ale z pewnością był jakiś. I uwalniał go od jej towarzystwa. Jeśli jakiś szwajcarski konował ma badać jego psychikę, to musi się skoncentrować. Od tego badania zbyt dużo zależało.

– Okej, jutro załatwię to z dziewczynami w aptece. To co, jedziemy do domu? – zapytała.

– Do domu? – Kosma wydawał się zdezorientowany.

– No, przecież musimy ustalić szczegóły z Michaliną! Helo! ona jeszcze się uczy! Może będzie musiała zmienić swoje plany?

– Jasne! Dokończ kieliszek i będziemy się zbierać. – Mówiąc to, rozsiadł się wygodniej w fotelu i sięgnął po swoją filiżankę. Kawy zostało na dwa łyki, akurat tyle, by posłużyła za alibi i pozwoliła mu przez chwilę nie zajmować się byłą żoną.

Był już w tym miejscu z Matyldą, wtedy kiedy nocowali w hotelu kilkaset metrów dalej. Gdy odebrali już klucze do pokoju i nacieszyli się sobą, konsumując wszystkie telefoniczne obietnice, padła propozycja, by na

kolację zjeść coś wyjątkowego. Kosma zauważył, że na zewnątrz mogą kierować się nosem – zapachy z kilkudziesięciu restauracji zlokalizowanych w Manufakturze z pewnością będą odpowiednią rekomendacją. Przyznała mu rację i ruszyła do łazienki. Chwilę później patrzył, jak wychodzi spod prysznic i ubiera się powoli, jakby prowokowała go lub drażniła się z nim.

– Wspaniale wyglądasz... – Podszedł do niej i pomógł zapiąć pasek przy sandale. Pocałował ją przy tym w kostkę, co przyjęła z cichym westchnieniem.

– Pośpiesz się, zgłodniałam – poprosiła, a on posłusznie pomaszerował pod natrysk. Szybka kąpiel przywróciła mu siły. Ubrał się i po chwili był gotów do wyjścia. Teraz i on nabrał ochoty na przekąszenie czegoś dobrego.

– Matylda? – W pokoju nie było nikogo. Rozejrzał się zdezorientowany, szukając jakiejś wskazówki. Wyjrzał na korytarz, ale nigdzie jej nie było. Pewnie czeka przed budynkiem, pomyślał. Wrócił do pokoju po telefon i pieniądze i dopiero wtedy dostrzegł kartkę wsuniętą do portfela.

Jeśli mnie kochasz, to mnie znajdziesz.

Jasne, uśmiechnął się w duchu, kilkanaście tysięcy ludzi, jakieś sto knajp, a ja będę szukał Kopciuszka!

Ruszył na dziedziniec centrum, które zaadaptowało na swoje potrzeby dawną fabrykę Poznańskiego. Historia tego miejsca była wyjątkowa. Wszystko zaczęło się w 1851 roku, kiedy Leonia Hertz wniosła w posagu swojemu mężowi wart 750 rubli sklep z towarami łokciowymi. Izrael Kajmanowicz Poznański miał już własną manufakturę tkanin krajowych, ale teraz interesy nabrały oczekiwanego rozmachu. Do tego stopnia, że kilka lat później Poznański miał już 50 warsztatów tkackich i zatrudniał 75 osób. Po dwóch dekadach kupował pierwsze parcele w mieście. W 1900 roku jego majątek szacowano na jedenaście milionów rubli, co czyniło z niego jednego z najzamożniejszych przemysłowców w Królestwie Polskim.

Trwało to do wybuchu II wojny światowej. Z owoców pracy Izraela korzystała jego liczna rodzina, aż przyszedł Niemiec, zabrał, co się dało, i nakazał produkcję wojskowych mundurów.

W ten sposób upadło imperium Poznańskiego. Po wojnie zakłady, jak wszystko w tamtym czasie, znacjonalizowano. Radziły sobie jeszcze jakoś w latach pięćdziesiątych XX wieku, aż przyszedł kryzys. W 2006 roku w zdewastowanych budynkach pofabrycznych uruchomiono nowoczesny kompleks handlowo-rozrywkowy. Dziewięćdziesiąt tysięcy metrów odrestaurowanych wewnątrz. I gdzieś tam ukryła się Matyllda.

Wyszedł z hotelu i natychmiast uderzył go gwar tego miejsca. Nie musiał szukać długo; afisze na boksach reklamowych informowały o wieczorze z salsa. Znał jej wielką miłość do tańca, więc nie namyślając się, ruszył w kierunku restauracji o hiszpańskojęzycznej nazwie. Przystanął przy wejściu, zaglądając przez witrynę. W środku było dużo ludzi, stoliki ściśnięto maksymalnie po jednej stronie, tak by wygospodarować jak najwięcej miejsca do tańca. Matyllda siedziała przy jednym z nich, ale z daleka widział, że na siedzenie nie ma wcale ochoty. Z wypiekami na twarzy przysłuchiwała się latynoskim rytmom, którymi bębniły wielkie głośniki ukryte w rogach sali. Na parkiecie odbywało się coś w rodzaju przyspieszonego kursu tańca, w którym brało udział – jak szybko obliczył – dwanaście osób.

– Fuck – zaklął i pchnął drzwi. Latynoskie wygibasy to była ostatnia rzecz, jaką by wymyślił na dzisiejszy wieczór.

– To zemsta za pomysł z basenem? – zapytał, siadając przy Matyldzie.

– Powiedzmy... Jesteś gotów?

– Ja? Chyba oszalałaś! Nigdy w życiu! – Kosma nawet przez sekundę nie zastanawiał się nad odpowiedzią.

– Kazalesz mi się pluskać w podniebnym akwarium, a teraz nie chcesz w

rewanżu potupać na parkiecie?

– Chciałbym tylko uściślić, że jedyne pluskanie, na jakie cię namówiłem, odbyło się w naszej łazience... – Kosma naprawdę nie miał ochoty ruszać biodrami. A przynajmniej nie w ten sposób i nie w tym miejscu.

– Nie bądź nudziarzem i chodź. – Wstając, nie pozostawiła mu wyboru. Niechętnie ruszył za nią; jak na złość poprowadziła go w sam środek tanecznego szaleństwa.

– Znasz kroki? Czujesz to? – Musiała prawie krzyknąć, by jej głos przebił się przez muzykę i komentarze pozostałych tancerzy.

Nikt z obecnych nie umiał tańczyć salsy, za to w teorii każdy ruszał się jak Travolta. Czy tam inny Maserak. Kosma dołączył do grupy i po kilku minutach z zadowoleniem zauważył, że robi postępy. Ściślej rzecz ujmując, przestał jej deptać po stopach, nie strącał też zastawy z najbliższych stolików. Odniósł swój pierwszy taneczny sukces.

– Widzisz, to proste! – Matylda była w swoim żywiole. Uwielbiał obserwować ją w takich momentach, nawet jeśli musiał przy tym wykonywać komiczne ruchy, podpatrzone w teledyskach. Zapomnieli o jedzeniu. Zapomnieli o całym świecie. Zapom...

– Kosma! – Głos Kaśki nie pozostawiał wątpliwości, że nie miał kontaktu z bazą przez dobrych kilka minut.

– Jestem, jestem. Martwię się tym wyjazdem – wyłgał się najłatwiej, jak można było.

– Przecież mówiłeś, że to prosta sprawa! Jedziesz i wracasz. To może jednak pojedę z tobą? – zapytała z nadzieją.

– Ze mną? Tak, na Tymienieckiego! Chodź, robi się późno.

Zamknęła drugą walizkę i obydwie ustawiła w rogu pokoju. Niewiele, jak na pobyt dłuższy niż dwa tygodnie. Zdecydowała się na mocno okrojona zawartość. Maluchy wyrosną ze wszystkiego z prędkością światła, resztę

może przecież dokupić na miejscu. Łagodny i wyjątkowo ciepły klimat po południowej stronie Alp na szczęście nie wymuszał na niej ciągnięcia ze sobą góry ciepłych rzeczy. I tak podobno sporo już tam na nią czekało. Grono przyjaciół Violi, słysząc, kto zamieszka u niej w najbliższym czasie, skrzyknęło się solidarnie i pomogło malarce przygotować na przyjazd Matyldy tę część domu, w której miała zamieszkać z dziećmi. Czekały więc tam już na nią łóżeczka i używane ubranka, które udało się zebrać wśród zaprzyjaźnionych mam nieplanujących więcej pociech.

Sama Viola czekała na Matyldę jak na prawdziwą córkę. Swoich dzieci nie dochowała się nigdy. Matylda nie miała odwagi pytać, jak to się stało. Do Mantui po raz pierwszy przyjechała, kiedy odkryła romans Wiktora. To był czas, kiedy nie dostrzegała niczego poza swoimi emocjami.

Być może dlatego Viola z takim oddaniem poświęciła się sztuce, a potem zajęciom edukacyjnym. Z dużym zaangażowaniem łączyła w nich całą swoją miłość do tworzenia z uwagą dla uczniów, dla których starała się być kimś więcej niż tylko instruktorem barwienia tkanin. Stwarzając w willi ciepłą, domową atmosferę, rekompensowała sobie brak prawdziwej rodziny. Lepszego miejsca na nowy start Matylda nie mogła sobie wymarzyć. Okolica starych winnic, praca w zasięgu ręki i ktoś, kto w każdej chwili jest gotów służyć pomocą. To wszystko składało się na bezpieczny obraz przyszłości.

Uniosła na moment klapę laptopa. Na poczcie miała kilka nieodebranych wiadomości. Przez ułamek sekundy błysnęła jej myśl, że przeoczyła moment, kiedy przestała wypatrywać tej jednej... Jak to się stało, kiedy? Może wtedy, kiedy instynkt kazał jej myśleć tylko o sobie?

W niewielkiej poczekalni siedziały tylko trzy osoby. Nie była umówiona na określoną godzinę. Pierwsze wolne terminy zaplanowanych wizyt były dostępne dopiero za kilka tygodni. Kiedy jednak w trakcie rozmowy

telefonicznej, na którą zdecydowała się w pierwszej kolejności, powiedziała, że nie czuje się na siłach, żeby tak długo czekać, poproszono ją o jak najszybsze pojawienie się i oczekiwanie na jakąś lukę w wyznaczonych wizytach. Uspokajała się powoli, czując, że to najlepsze, co mogła dla siebie zrobić. Przyglądała się ludziom wchodzącym do gabinetu i z niego wychodzącym. Nic w ich zachowaniu nie wskazywało na to, że byli w jakiś sposób zmuszeni, żeby tu przyjść. Spokojnie umawiali kolejne terminy wizyt, czasami robił to za nich ktoś inny, kto im towarzyszył. Duży plakat informacyjny wiszący na ścianie jasnego korytarza podawał w podpunktach kilkanaście objawów depresji i zachęcał do kontaktu z lekarzem specjalistą, jeśli ktoś rozpozna u siebie któryś z symptomów choroby. Przeczytała plakat bardzo uważnie. Miała wszystkie. Miała też pewność, że to był ostatni moment, kiedy powinna się tu zjawić.

– Co panią do mnie sprowadza? – zapytał mężczyzna w okolicach sześćdziesiątki. Odłożył na bok długopis, którym coś szybko zanotował, i spojrzał na nią z uwagą.

Spokój bijący z twarzy lekarza i ładne jasne pomieszczenie ozdobione tapetą w kwiatowy wzór sprawiły, że poczuła się pewniej i na właściwym miejscu.

– Podejrzewam u siebie depresję. – Kiedy wyartykułowała to słowo, kamień spadł jej z serca. Odważyła się powiedzieć to głośno, nie tylko przed sobą. – Czuję, że doszłam do ściany i nie mam już siły walczyć... – Ostatnie słowo prawie uwięzło jej w gardle.

– Rozumiem. Proszę opowiedzieć wszystko po kolei. Jakie ma pani objawy i jaki mają wpływ na pani codzienność – poprosił.

Odetchnęła głęboko i zrelacjonowała wszystko, nie pomijając żadnego z punktów zwrotnych z ostatnich ośmiu miesięcy ani problemów ze zdrowiem, które – jak podejrzewała – mogły mieć związek z jej fatalną kondycją

psychiczną.

– Czy miewa pani myśli samobójcze? – padło pytanie, którego się spodziewała.

– Jeszcze nikomu tego nie mówiłam, doktorze, i nie mam odwagi nikomu tego powiedzieć, ale jeśli nie targnęłam się na swoje życie do tej pory, to tylko i wyłącznie ze zwykłego strachu. Że mi się nie uda. Tylko dlatego – zakończyła swoją opowieść. – Czuję, że ten gabinet to moja ostatnia deska ratunku. Składam się z tysięcy kawałków. I nie mam już siły ich składać. Jeśli rozumie pan, co mam na myśli. – Czowała, że policzki ma zaczerwienione z emocji.

Splotła dłonie na kolanach, poprawiła się na krześle i czekała na odpowiedź. Wiedziała, że lekarz widzi błyszczące w jej oczach łzy, ale nie przytknęła ich. Przed nim nie musiała udawać. Zdawała sobie sprawę, że im więcej teraz ukryje, tym trudniej będzie zdiagnozować jej faktyczny stan. Musiała odpowiedzieć jeszcze na długą listę szczegółowych pytań dotyczących jej stosunków rodzinnych, sytuacji materialnej i planów na przyszłość. Odpowiadała na wszystkie z rozmysłem i uczciwie.

Opuściła gabinet półtorej godziny później z wypiekami na twarzy i plikiem recept. Zrobiła pierwszy krok... Poczowała, że jeśli jest dla niej jakaś szansa, to trafia jej się właśnie teraz. Chciała ją wykorzystać. Dopiero kilka tygodni później zrozumiała, jak blisko była krawędzi.

Miał tylko nadzieję, że nie wsiądą na niego we dwie. Taka flota zjednoczonych sił mogłaby wprowadzić sporo zamieszania do jego planu samodzielnej wyprawy do Genewy. Chociaż – czy naprawdę miał jakiś plan? Może po prostu starał się nie sprzeciwić biegowi wydarzeń i swobodnie płynął z nurtem? Na dobrą sprawę wszystkie decyzje zapadały gdzieś poza nim; jemu wystarczyło być pod ręką i odpowiadać na pytania. Chyba nic w tym trudnego?

Próbował się nie skupiać na paplaninie Kaśki, która przez całą drogę odczytywała z telefonu coraz to nowe informacje o „jego” szwajcarskiej klinice. Wyglądało to wszystko bardzo profesjonalnie, schludnie i tak... po szwajcarsku. Zauważył lekką nerwowość w jej zachowaniu, ale złożył to na karb perspektywy podróży autem przez pół Europy. Nie pomylił się.

– Wezmę samochód od ojca – powiedziała znienacka, a jemu pozostało tylko pokiwać głową z pełną aprobatą. Nowy nissan murano teścia z pewnością spisze się na takiej trasie lepiej niż jej mała honda.

– Nie lubisz jeździć na automacie – zauważył jednak przytomnie, ale zdawała się nie słuchać. Liczyła w myślach i dalej sprawdzała coś na ekranie telefonu.

– Psa zawieziemy do hotelu, znalazłam taką ofertę...

– Sama się zawieź do hotelu! – przerwał jej z błyskiem w oku. – Ten pies nie będzie się błąkał po obcych miejscach. Zawieziesz go do matki!

– Dobrze, już dobrze – rzuciła przeproszającym tonem.

– Jak mogłaś w ogóle to zaproponować? – Spojrzał na nią z wyrzutem.

– „Czy jest jeszcze coś, co nie spotyka się z akceptacją Waszej Wysokości?” – Ten cytat z filmu zawsze wywoływał u nich uśmiech na twarzy. *Mocna kawa wcale nie jest taka zła* był w ich domu pozycją kultową.

– Okej, wybaczam – skwitował wspaniałomyślnie, głównie dlatego, że zajechali już przed dom i nie chciał sprzeczki przenosić do środka.

W mieszkaniu było cicho, jedynie z salonu dobiegał telewizyjny dialog.

– *Gdzie byłeś w nocy?*

– *To już tak dawno, nie pamiętam.*

– *Przyjdiesz do mnie dziś wieczorem?*

– *Nie mam aż tak dalekich planów.*

Oboje bezbłędnie rozpoznali wymianę zdań Ricka i Yvonne z filmu *Casablanca*. Drugiej kultowej produkcji mającej swoje stałe miejsce na ich półce z filmami. Tym razem jednak Kosma w ogóle się nie uśmiechnął. Wręcz przeciwnie, jakby poszarżał i skurczył się w sobie. Po cichu wycofał się do swojego gabinetu, a Kaśka odprowadziła go nic nierozumiejącym wzrokiem.

– Stało się coś? – zdążyła zapytać, ale zniknął za drzwiami bez słowa.

Co miał powiedzieć? Że podejmuje walkę, a świat na każdym kroku pokazuje mu „fucka”? W tym filmie główną rolę miał zagrać Clark Gable, tak przynajmniej chciała autorka powieści, na której podstawie napisano scenariusz. Ale zgodnie z życzeniem producentów roli Richarda podjął się Humphrey Bogart. Zrobił to tak wyśmienie, że dziś na *Casablancę* patrzy się jak na film jednego aktora. Aktora, który zmarł piętnaście lat później. Na raka krtani. Mimo trwającej blisko pół doby operacji lekarze byli bezsilni. Bogartowi usunięto cały przelyk, a nawet zebro. Wytrzymał jeszcze trochę, otoczony przyjaciółmi. Zmarł, będąc już za życia ikoną kina. Pieprzony rak krtani!

– Nie chcę jeszcze umierać... – Kosma stanął przy oknie, tym samym, przez które kiedyś spoglądała Matylda. To były jedne z niewielu jej odwiedzin w domu przy Tymienieckiego. Oddałby wszystko, żeby móc stanąć z nią tu jeszcze raz. Choć na kilka minut. I przeprosić za wszystko.

Z pokoju zajętego przez dziewczyny doleciał urywek kolejnego dialogu. Rick Blane był niepoprawnym romantykiem, Ilsa Lund jego wielką miłością. Ale świat miał inne plany.

– *A co z nami?*

– *Zawsze będziemy mieli Paryż. Straciliśmy go, zanim*

przyjechałaś do Casablanki. Wczoraj go odzyskaliśmy.

– Gdy mówiłam, że cię nie opuszczę.

– I nie opuścisz mnie nigdy. Ale i ja mam coś do zrobienia. Gdy wyjadę, nie możesz jechać ze mną. Nie możesz pomóc mi w pracy. Nie jestem szlachetny. Ale problemy trojga osób są niczym wobec ogromu cierpienia tego świata. Kiedyś to zrozumiesz. Teraz... Twoje zdrowie, mała⁹.

Kosma płakał, słuchając, i bał się tego, co miało nadejść wkrótce. Był zły na Michalinę: nie mogła wybrać gorzej. Nie dziś, nie teraz, kiedy wracał do pionu. To nie był odpowiedni film na ten wieczór.

Siedział przez chwilę bez ruchu, zastanawiając się, czy w tak kruchej kondycji psychicznej poradzi sobie z przeprawą ze szwajcarskim psychologiem. Postanowił wziąć się w garść, a już na pewno nie obarczać tym dziewcząt. Nie dlatego, że wstydził się swojej słabości. Po prostu wiedział, że obserwują każdy jego ruch, wyłapują słowa i gesty. Były wyczułone, chciałyby go uchronić przed nim samym.

– Pieprzyć to! – zaklął i zamknął się w łazience, żeby przemyć twarz. Nie minęło kilka sekund, a już słyszał pukanie do drzwi.

– Żyjesz? – Michalina najwyraźniej ruszyła się sprzed telewizora. – Robię coś do picia, chcesz czegoś?

– Herbatę, poproszę o ciepłą herbatę – powiedział do swego odbicia w lustrze i otworzył drzwi.

Pies przyglądał mu się uważnie. Helmuta nie da się tak łatwo oszukać. Rozumiał więcej niż oni wszyscy razem. Kosma pogłaskał go po głowie, ale to nie pomogło. Zwierzę wpatrywało się w niego intensywnie, jakby chciało mu coś przekazać.

– No co? – zapytał, kucając przy nim. – Masz mi coś do powiedzenia?

Ja nie, durniu, ale ta, co tu dziś była, chyba tak... Helmut po raz kolejny złapał się na tym, że jego próby porozumienia się z właścicielem nie zawsze trafiają na podatny grunt.

– Miśka, co się dzieje z tym psem? – krzyknął Kosma w stronę kuchni.

– Nie wiem, kręci się i wariuje, odkąd wróciłam – padło w odpowiedzi.

Zrezygnowany Helmut podążył za panem do salonu. Co więcej mógł zrobić? Nawet głośnym szczekaniem nic by tu nie wskórał. Ludzie tak mało rozumieją...

Przystawiała je do piersi zawsze, kiedy miały na to ochotę. Wprawdzie już niedługo po porodzie była zmuszona przejść na sztuczne karmienie z czysto logistycznych powodów, ale maluchy nie odrzuciły jej piersi w ogóle, więc dokarmiała je z przyjemnością. Tym bardziej, że natura obdarzyła ją hojnie pokarmem dla jej spotęgowanego, głodnego szczęścia. Wszystkie trzy uwielbiały te chwile. Najczęściej w ten właśnie sposób je uspokajała, zastępując im smoczek, który wzmagał ich zniecierpliwienie zamiast przynosić oczekiwaną błogość. Błogo natomiast robiło się Matyldzie, kiedy czuła na swoim ciele ciepło dziecięcych ust i rączek. Mogła całymi godzinami przyglądać się ich twarzyczkom, które na widok jej oczu rozjaśniały się w bezzębny, zniewalającym uśmiechu. Były wtedy jak naczynia połączone. Miłość w pełnym wymiarze przemieszczała się między nimi w dotyku, w oddechach i wzajemnym ciepłe ciał.

Powrót do sztucznego karmienia wystawił na próbę cierpliwość zarówno jej, jak i dzieci. Tu wygrywała w przedbiegach...

W buziach dziewczynek dopatrywała się rysów Kosmy, jego dużych łagodnych oczu i pełnych ust. W jakiś metafizyczny sposób była wtedy blisko niego. Dla tych dwóch małych istot, tak jak kiedyś dla niego, zrobiłaby wszystko.

Kochała go za nic i za wszystko. Całkowicie i po prostu. Zanim poznała

Kosmę, dzięki korespondencji intrygował ją przez wiele miesięcy, od pierwszych słów, które skreślił dla niej na papierze w kratkę jako odpowiedź na list zgubiony przez nią w jednej z warszawskich kafejek. Odpisał, chociaż doskonale wiedział, że nie on był adresatem... Wiedziała, że coś się wydarzy między nimi, od pierwszych zdań. Kiedy w końcu się poznali w najbardziej nieoczekiwany sposób, jaki tylko mogła sobie wyobrazić, nie rozczarował jej niczym. Zadurzyła się w ciągu paru godzin, a niewiele później wypełniał jej myśli i niespełnione pragnienia. Byli całością. Kompletną i kompatybilną. Kiedy zrozumiała wreszcie pobudki jego wielkiej mistyfikacji, zrozumiała też, czemu on wciąż jest hemoglobina w jej życiowym krwiobiegu.

Kiedy wszedł do salonu, w telewizorze było już zupełnie co innego. *Casablancę* zastąpił serwis informacyjny lokalnej stacji; jej szefowie zaczęli przed laty od handlu narzędziami, a dziś opletli całą Łódź światłowodem. Kosma lubił ich wiadomości, głównie za to, że starali się być blisko mieszkańca. Z równym zaangażowaniem co najważniejsze wydarzenia polityczne w mieście prezentowali uroczystości w przedszkolu czy spotkanie w osiedlowej bibliotece.

Z wdzięcznością spojrział na Kaśkę, która musiała domyślić się powodu jego chwilowej frustracji i teraz przyglądała mu się z ulgą, stojąc w przejściu na taras.

– Już dobrze? – zapytała bezgłośnie, a on potwierdził nieznacznym kiwnięciem głowy. Ten język gestów, półsłówek, potwierdzeń i negacji mieli opanowany jak każde małżeństwo z długim stażem. Przez te wszystkie lata nauczyli się nim posługiwać z wielką wprawą, wielokrotnie prowadząc takie nieme dyskusje w obecności córki lub rodziców. Rozumieli się bez słów równie dobrze, a może nawet lepiej, niż wypowiadając okrągłe zdania. Kosmie przyszło nawet do głowy, że gdyby jakiś czas temu nie

powiedział jednak na głos, co czuje, może dziś nadal byłoby małżeństwem.

Kilka dni po tym, jak zobaczył ją na zapleczu apteki z przedstawicielem znanej firmy farmaceutycznej, spróbował jakoś to poukładać. Nie naprawić, po prostu przesunąć klocki, które przez jej nagi biust całowany przez Pana Zgagę wypadły ze swoich miejsc. Wtedy wyszedł bez słowa, może dlatego, że Michalina czekała w aucie i nie chciał robić scen przy córce. Teraz poczuł, że nadszedł moment na poważną rozmowę. Na swój sposób kochał żonę i nie mogła tego zmienić dwuznaczna sytuacja, w jakiej ją zastał. Cholera, to nie była dwuznaczna sytuacja, poprawił się w myślach. To było całkiem jednoznaczne miętoszenie cyców jego kobiety. Był oczywiście zazdrosny, ale nie winił jej. Sam wielokrotnie szukał tego miodu w innych ulach, dlaczego miałby jej zabraniać? Bolała go tylko forma tego czynu, jego bohater, miejsce i konsekwencje.

A konsekwencje były takie, że podjęli decyzję o rozwodzie. Jak najszybciej. Nie wiedział, czy tego chce, czy to dobre i przede wszystkim – jak w każdym domu, gdzie przez to przechodzono – bał się o córkę.

– Nigdy do tego nie wracajmy, proszę cię – zaczął ostrożnie, bo Kaśka była wtedy jeszcze w fazie jestem teraz, kurwa, królową życia.

– Co masz na myśli?

– No właśnie to. Żebyśmy już do tego nie wracali.

– To znaczy, że chcesz, żebym wróciła? – zapytała, a on nie mógł wyłapać, czy w jej głosie słyszał nutkę nadziei, czy pogłębiającej się irytacji. Niedobrze!

– Nie, chcę tylko, żeby to, co się stało, nie kładło się cieniem na naszych relacjach. Rozumiem cię i przepraszam.

– Bawisz się w polskich biskupów z ubiegłego wieku? Wybaczamy i prosimy o wybaczenie? Okej, niech ci będzie. Ale musisz wiedzieć, że...

– Że co? – przerwał jej, bo był to odpowiedni moment na przerwanie. Za

dobrze ją znał. – Że wcale nie czujesz się winna i mam za swoje? Jasne. Ale to nie wymaże całego małżeństwa, dlatego dziś proszę: nigdy do tego nie wracajmy.

– Czy ty mnie w ogóle kochałeś? Kiedykolwiek? Czy cokolwiek dla ciebie znaczyłam?

– Wciąż znaczyś, Kasiu. I tak, kochałem cię.

– Ale?

– Musi być jakieś ale? – Przerzucił pytanie na nią. Milczała.

Siedzieli w samochodzie pod jej nowym mieszkaniem. Kaśka otworzyła drzwi i odpaliła papierosa. Spojrzał na nią z wyrzutem; sam od jakiegoś czasu ograniczał palenie. Uciążliwy kaszel nie dawał mu spokoju, fajki tylko pogłębiały objawy.

– Jeśli upierasz się przy jakimś ale, to może powiem tylko tyle, że w pewnym momencie przestałaś mnie inspirować – powiedział cicho i natychmiast pożałował.

– Co, kurwa?

– Przestałaś mnie...

– Słyszałam, co powiedziałeś, kutafonie! Po tylu latach Jaśnie Pan mówi o braku inspiracji. Prałam twoje ciuchy i zarabiałam na wakacje, gnoju.

– Gwoli ścisłości: ubrania prałam sobie sam! – powiedział i drugi raz pożałował, że jednak nie ugryzł się w język. Trzasnęła drzwiami tak mocno, że inżynierowie z fabryki volvo musieli momentalnie puchnąć z dumy. Huk był spory, ale nie zrobiła żadnej szkody karoserii. A on na własnej skórze przekonał się o trafności starej prawdy o milczeniu i złości.

Michalina weszła do salonu, niosąc dzbanek z parującą herbatą i filiżanki, które były w rodzinie od lat. Domyśliła się, że powód spotkania w takim gronie i o takiej porze musi być wyjątkowy. Zapach herbaty earl

grey szybko rozszedł się po pomieszczeniu, wprawiając Kosmę w lepszy humor.

– Dziękuję! – powiedział, pomagając jej ustawić wszystko na stoliku. Zapadł w głęboki fotel i przyglądał się im z uśmiechem. Kaśka zamknęła drzwi na taras i klapnęła na podłodze. Ręcznie tkany przez tybetańskich mnichów wełniany dywan, na który wzięli kiedyś kredyt, zapewniał komfort i przyjemną miękkość. W zasadzie nie wiedziała, czemu nie uparła się, by go zabrać do siebie.

– Coś się stało? – Michalina lubiła trzymać rękę na pulsie. A w tym wypadku coś ją najwyraźniej omijało.

– Tata wylatuje za trzy dni na badania.

– I jest pomysł, żebyś z mamą przyjechała po mnie! Wrócimy autem. – Kosma wolał uprzedzić tym razem pomysł córki, by lecieć razem z nim.

– Kiedy? – Dziewczyna niespecjalnie zapaliła się do tego projektu, ale też nie wyczuwało się w jej głosie wielkiej rezerwy.

– Nie wiemy, ile to potrwa – wyjaśnił Kosma. – Postaram się to ustalić jeszcze przed wylotem, ale jak dotąd Klejmann nie ma pojęcia, na ile dni mnie wzywają.

– Bierzemy auto od dziadków?

– Jasne, już o tym pomyślałam – odpowiedziała tym razem Kaśka. – Helmutka zostawimy u nich.

Chyba cię..., a zresztą niech będzie! – pomyślał ten ostatni i leniwie machnął ogonem na zgodę. Dobrze pamiętał, że starsi państwo może nie przepadają za bieganiem po parku, ale przysmaków mu nie szczędzą. Za trzy dni, mówiłeś? – Nadstawił uszu, zainteresowany tematem.

– Masz coś jeszcze do zrobienia na uczelni? – Kosma jako wzorowy rodzic nie mógł nie zadać tego pytania.

– Nie, w zasadzie pchnęłam większość w zerówkach, zostawiam jeden

egzamin na po wakacjach.

– To mądre?

Spojrzała na niego z politowaniem.

– Tak, nie marudź... A właśnie, ciekawa rzecz, ktoś mnie dzisiaj szukał na uczelni.

– Kto? W jakiej sprawie?

– Nic nie wiem, dzwoniła koleżanka. Jakaś kobieta o mnie pytała.

– Kobieta? Może z jakiegoś klubu? – Kaśka posłodziła swoją herbatę i upiła duży łyk. – Znowu chcę, żebyś grała na tych wariackich imprezach?

– Oj, mamuś! – jęknęła dziewczyna, ale nie wróciła do tematu.

Za to dwóch panów spojrzeło po sobie i w oczach obu pojawiły się błyski. Jeden dodatkowo pomachał ogonem. Drugi, z uwagi na brak ogona, ograniczył się do westchnienia. Matylda? Czy to w ogóle możliwe?

Zupełnie odpłynęła na ogrodowym fotelu. Z płytkiej drzemki wyrwał ją dzwonek do drzwi. Uprzedziła matkę, że jeszcze będzie miała gościa. Zanim zdążyła położyć małą, która zdążyła zasnąć w jej ramionach, do pokoju wszedł Konstanty.

– Jeszcze trochę i zapomnę, że istnieją kawiarnie... – Uśmiechnęła się do niego i podeszła z córką do jednego z łóżeczek. – Cieszę się, że cię widzę. – Naprawdę się cieszyła na jego widok. – Usiądź, proszę, na zewnątrz, już do ciebie idę.

Kostek przyglądał się przez chwilę, jak Matylda układa dziecko w łóżeczku, i cicho przeszedł przez otwarte drzwi na taras.

– Tu jest o wiele przyjemniej niż w kawiarni. – Usadowił się już wygodnie w fotelu, kiedy Matylda dołączyła do niego z otwartą butelką schłodzonego wina.

– Dzisiaj chciałam dać już matce spokój. Obydwie mniej się stresujemy, jeśli nie muszę wychodzić z domu.

Poderwał się z fotela i wziął od niej butelkę. Napełnił oba kieliszki i podał Matyldzie jeden z nich. Upiła tylko mały łyk i zamieniła kieliszek na szklanekę z lemoniadą cytrynową.

– Przepraszam, że tak późną porą, ale wcześniej byśmy nie porozmawiali.

– Dla mnie to żaden problem, jeśli ty nie jesteś zmęczona.

Trwała wymiana uprzejmości.

– Zdążyłam się przyzwyczaić do permanentnego zmęczenia. Jeszcze jakieś... dziesięć lat i może zacznę się wysypiać! – zaśmiała się Matylda.

– Doskonale sobie radzisz. – Jego oczy mówiły: zazdroszczę ci tego ciężaru.

– Muszę...

– Spakowana?

– Tak.

Przyglądała mu się z ciekawością. Musiał być do niedawna gdzieś poza miastem, bo był ładnie opalony. Ciemnozielona, idealnie wyprasowana koszula kontrastowała z delikatną opalenizną. Ach, prawda... Xenia wspominała, że poprzedni weekend w siedlisku był znów pełen gości. Zapewne Konstanty był jednym z nich. Przez chwilę znów była w mazurskim ogrodzie swoich przyjaciół.

– *Ktoś mnie kiedyś zapytał, obserwując z boku moje małżeństwo, czy jest jeszcze coś, o czym marzę.*

Nie uszło jej uwadze, że Xenia i Grzegorz dyskretnie wycofali się do swoich zajęć, zostawiając ją i Kostka samych w ogrodzie nabierającym jesiennych rumieńców.

– *Co mu odpowiedziałaś?*

Przez dłuższy czas Matylda milczała. Kiedy zerknęła na Konstantego, w jednej chwili zgubiła wątek. Patrzył na nią z taką uwagą, że nagle poczuła

się zaopiekowana i... bardzo kobieca. Zadrżała wewnętrznie na myśl, że jednak nie pozbyła się tęsknoty za tym uczuciem. Rozlało się w niej ciepłą falą, powodując, że po raz pierwszy tak wyraźnie dostrzegła, jak jest przystojny, we wszystkich szczegółach twarzy i zadbanej sylwetki. Musiał podobać się kobietom. Tak zewnętrznie, jak i dzięki sile charakteru. I nie miała wątpliwości, kto teraz podoba się jemu...

Po raz pierwszy też chwyciła się skrawka nadziei, że samotność w końcu wyprowadzi się z jej życia.

– I co mu odpowiedziałaś? – Ponowił pytanie i uśmiechnął się delikatnie, trafnie odczytując jej zmieszanie.

– Wiesz, że długo szukałam w głowie odpowiedzi? – Odnalazła wreszcie zgubioną myśl. – Byłam wtedy taka dumna z tych wszystkich darów losu! Wiesz, że było mi wtedy żal mojego rozmówcy, że to nie on złapał Boga za nogi? Było mi go żal. Rozumiesz?

Pokręciła głową z niedowierzaniem i na chwilę przeniosta wzrok na przyżółcone wczesną jesienią pola.

– Jak kruchy musiał być fundament mojego małżeństwa i co nim tak naprawdę było, że niemal w parę chwil odwróciłam się plecami do tego całego szczęścia, bez żalu, prawie nie oglądając się za siebie... A potem otworzyłam drzwi do pokoju, gdzie wszystko było na swoim miejscu. Nowe cele, dążenia, których potrzebowałam jak tlenu; a przecież wcześniej byłam pewna, że powietrze, którym oddycham, ma skład doskonały. Miałam wszystko, a w zasięgu ręki już tylko cuda... – Spoważniała. – A dzisiaj przepycham się z poczuciem winy, że chciałam za dużo, i z przerażeniem, że za jakiś czas nie będę potrafiła się nawet śmiać. Już nawet boję się marzyć. – Zwiesiła głowę. – Nic nie jest w stanie zastąpić miłości. Nic. – Powróciła smutnym wzrokiem do twarzy Kostka.

Wypowiadanie takich słów przy kimś, kto w jednej chwili stracił

wszystko, co kochał, nie było najmądrzejszym posunięciem; przyszło jej to do głowy, zanim przebrzmiało ostatnie zdanie. Pragnęła to jednak z siebie uwolnić, jakby wypuszczenie tych kilku słów miało mieć moc sprawczą, dać mistyczny znak światu, że ona wciąż jeszcze czeka.

– Ja jeszcze się nie poddałem. – Patrzył jej prosto w oczy. – Jeszcze nie.

Pewność w jego głosie wyzwoliła w niej niezwykłą czułość; łzy wezbrały pod powiekami. Milczała i nie odwracając wzroku, pozwoliła emocjom wziąć swoje ciało we władanie.

– Wezmę więc z ciebie przykład...

Nie wycierała łez, które grubymi, gorącymi kroplami spłynęły po policzkach i spadły na pled chroniący ją przed pierwszym jesiennym chłodem.

Konstanty wstał, strącił zażółcony liść z koca i okrył nim szczelniej Matyldę.

– Teraz lepiej. – Odrobinę za długo poprawiał okrycie w okolicach jej talii. – Robi się chłodno. – Uśmiechnął się do niej ciepło. – Chyba pachnie grzybami duszonymi na maśle; wracamy? Jesteś głodna?

– Bardzo!

– To dobrze. To bardzo dobrze.

Podał jej rękę i pomógł wstać z fotela. Dałaby głowę, że ma na myśli coś więcej niż zwykły głód.

Konstanty trzymał kieliszek w obu dłoniach i patrzył na Matyldę. Jej wzrok przykuły jego długie, zadbane palce. Przyszło jej do głowy, że skóra jego dłoni musi być wyjątkowo miękka. Przez większość dnia dotyka w końcu tylko klawiszy fortepianu. A może jeszcze czegoś albo kogoś? Miała nadzieję, że jej gość nie umie czytać w myślach, i zastanawiała się, co jemu chodzi teraz po głowie.

– Chciałem się z tobą pożegnać.

Pragnęła szybko dodać, że ona też nie zamierzała wyjechać bez pożegnania, ale nie wyartykułowała tego. Ukrywanie swoich emocji ze strachu przed kolejnym zranieniem było skutkiem ubocznym ostatnich dwunastu miesięcy. Zdawała sobie sprawę, że może być postrzegana jako ktoś bez głębszych uczuć, zimny i zamknięty w sobie. Ale nic nie mogła poradzić na to, że jej wylewność już dawno ustąpiła miejsca chłodnej powściągliwości w gestach i słowach, które stanowiły dla niej tarczę obronną przed ludzką ciekawością. Próbowała się w ten sposób ukryć możliwie jak najskuteczniej.

– W takich momentach nie jestem już tak pewna swoich decyzji...

Podniósł na nią wzrok. Wyraźnie zobaczyła w jego oczach napięcie i nieme pytanie.

– A gdybym cię poprosił, żebyś je zmieniła? – Był pewien tego, co mówi. Zobaczyła w tym spojrzeniu wszystko, czego kobieta potrzebuje od mężczyzny, żeby mu zaufać. Patrzyli na siebie, milcząc. Ważyła w głowie każde ze słów, które miały posłużyć za odpowiedź. Nie czekał długo z tym pytaniem. Nie chciał czekać. Pragnął szczerej odpowiedzi.

– Dlaczego mnie o to pytasz? – Chciała mieć pewność, że myślą o tym samym.

– Chciałbym, żebyś dała mi szansę. – Nie uciekał wzrokiem. – Żebyś dała ją sobie.

– Kostek...

Nie wiedziała, że tak ją to poruszy. Spodziewała się samego pytania, ale pewność, z jaką zostało zadane, sprawiła, że całą niejednoznaczność ludzkich wyborów zobaczyła w ostrzejszym świetle. „Tak” czy „nie” nie było wszystkim, co w takich momentach zdawało egzamin dojrzałości. Obok tych słów były jeszcze dziesiątki innych, które definiowały właściwą odpowiedź. Tyle że dla używających ich ludzi słowo „właściwa” mogło

oznaczać coś zupełnie innego. On oczekiwał jednej. Dla niej jednej nie było.

– Właśnie daję sobie szansę. Każdy dzień to być może moja nowa szansa. Nie wiem, nikt tego nie wie, czy znajdę ją tu, czy tam. Mając nadzieję, że po nią sięgam, już ją sobie daję. – Wciągnęła powietrze do płuc. – Dać ją tobie...? – zawiesiła na chwilę głos. – Samo to, że mnie o to prosisz, to cień mojej szansy. Że jeszcze wszystko może się wydarzyć. To dużo więcej niż nadzieja, Kostek.

Nie przerywał jej. Wciąż trzymał kieliszek z winem, siedząc w tej samej pozycji, co na początku ich rozmowy. Matylda przerwała na moment, bo zdawało jej się, że z pokoju dochodzi kwilenie dziewczynek.

Jak miała mu wytłumaczyć, że gdyby im się nie udało, być może zamknie mu ostatnie drzwi, za którymi czekają go szczerłość i ufność, na jaką zasługuje. Tę myśl zostawiła tylko dla siebie.

– Jesteś dla mnie kimś szczególnym. Gdybym... nie była w tej sytuacji, w jakiej jestem, sama zabiegałabym o twoją uwagę. Z wielu względów. Jesteśmy wystarczająco dorośli, żeby tu ich wszystkich nie wyliczać, nie ma takiej potrzeby. To, że rozmawiamy właśnie w taki sposób, świadczy o tym, że jest ich wystarczająco dużo. Żeby dać sobie szansę.

Odetchnęła, a Konstanty oparł się o fotel, nie spuszczać z niej oczu.

– Ale musisz o czymś wiedzieć. Być może się domyślasz... – zaczęła.

– Chciałbym dać ci tyle czasu na odpowiedź, ile potrzebujesz. Pragnę tylko, żebyś wiedziała, że zależy mi na tobie. Wyjątkowo mocno. Że o przyszłości z kobietą myślę dopiero drugi raz. Właśnie teraz.

– Dlatego jestem ci winna prawdę o sobie. Cokolwiek między nami się jeszcze wydarzy.

Deska serów i świeżych owoców, które przygotowała dla nich, leżała nietknięta na okrągłym stoliku obok zatkanej korkiem butelki.

– Biorę wiele rzeczy pod uwagę, Kostek. Myślałam o tym naprawdę

dużo. – Zrobiła długą pauzę. – Musiałbyś wychowywać nie swoje dzieci. Nie wiem, jak byśmy sobie z tym poradzieli. Nie wiem, czy byłabym w stanie zastąpić ci rodzinę, którą straciłeś... – Ściszyła nieco głos, obawiając się, że tym ostatnim zdaniem rozjątrzy jakąś ranę, o której być może próbował zapomnieć. – Nie wiem, czy uniosłabym to, dźwigając swoją przeszłość. Dla nas obydwójga minął czas na uplastycznianie siebie dla tej drugiej osoby. Musielibyśmy zaakceptować siebie nawzajem z tym, co mamy dziś. Nie zapominając o tym, że powinniśmy od siebie też wymagać... Gdzie jest granica między wymaganiem codziennej uczciwości, a gdzie zaczyna się postawa roszczeniowa, bo przecież ja mam gorzej niż inni, więc należy mi się więcej... ? Rozumiesz mnie?

– Tak, oczywiście.

Milczała przez jakiś czas, na wypadek gdyby chciał jeszcze coś dodać.

– Boję się odrzucenia. – Hałas, który robiły ptaki w ogrodzie, nie zdołał zagłuszyć w niej napięcia. – Ty na nie też nie zasługujesz. Ja... nie przetrwałabym. Nie miałabym siły. Gdy tylko zebrać to wszystko do kupy, już może człowieka oblecieć strach.

– Myślisz, że się tego boję... – przerwał jej milczenie.

– Nie twój strach mam na myśli.

Nie przerywał jej, jakby w ten sposób dawał jej do zrozumienia, że to, o czym mówi, nie mija się z prawdą.

– A przecież to jeszcze nie wszystko! – Skurczyła się w sobie, jakby słowa, które miała za chwilę wypowiedzieć, mogły zamknąć im drogę do siebie, chociaż składały się tylko na prawdę. – Wciąż kocham ojca tych dzieci. Ciągłe zajmuje w moim sercu niezwykle istotne miejsce. Chociaż nie ma go przy nas. I choćbym nie wiem jak chciała o nim zapomnieć, jest to zwyczajnie niemożliwe. Nie wiem, czy kiedykolwiek będzie możliwe. I nie wiem, czy chcę zapomnieć. Niewiele więc tu miejsca na coś jeszcze, dla

kogoś... Może ze strachu, może z bólu. Być może w każdym kolejnym spotkaniem mężczyźnie będę szukać tego, co miał on, porównywać go do niego; czekać, aż ten ktoś stanie się kimś innym. Kimś, kogo ciągle mam przed oczami. Powinnam dostrzegać ciebie i twoje pragnienia. Dzielić się sobą, a nie kazać ci czekać, kiedy wreszcie zobaczę tylko ciebie. I pokocham. Bo tak to powinno wyglądać.

Zapachniało wiatrem i owocami.

– Nie zasługujesz na to, żeby być kimś zamiast. – Uśmiechnęła się delikatnie. – Zasługujesz na wszystko, co w życiu najlepsze. A wszystko, co ja mogę ci teraz dać, to przyjaźń, uczciwa i szczerą. Może się zdarzyć, że nigdy cię nie pokocham. A udawanie żadnemu z nas nie wyszłoby na zdrowie... Nie tego chcemy.

Patrzyła mu prosto w oczy, milknąc na moment.

– Tak. Jestem samotna. – Wolno założyła kosmyk włosów za ucho. – Bardzo. Często wydaje mi się, że bardziej już nie można i że kolejnego takiego dnia najzwyczajniej w świecie nie przetrzymam. Mamy pewność, że wspólna samotność nie byłaby gorsza od tej, którą oswajamy w pojedynkę? Być może mam tę szansę, jak mówisz, tylko jedną. Dziś. Być może nie będzie ich więcej. Być może kiedy zmienię zdanie, ktoś inny będzie się delectował twoją obecnością... – Denerwowała się, ale nie chciała niczego pominąć. – Gdyby dzisiaj on stanął tu, przede mną, i powiedział: „Chodź”, poszłabym. Nieważne, w jakim miejscu byłabym i z kim. Poszłabym za nim, nie oglądając się za siebie...

Wstała i popatrzyła przez chwilę na ogród. Splotła ręce na brzuchu i odwróciła z powrotem twarz do swojego rozmówcy.

– Nie chcę uczynić cię substytutem miłości. I sama też nie chcę być takowym dla nikogo.

Dostrzegł, że zaczęła swobodniej oddychać, kiedy wypowiedziała

ostatnie słowa.

– Właśnie dlatego chciałbym, żebyś to była ty. – Nie kazał jej długo czekać na odpowiedź.

– To jest jeden z najtrudniejszych momentów w moim życiu. Może im więcej takich teraz, tym później będzie łatwiej?

– Ja w to ciągle wierzę. – Mówiąc to, uśmiechnął się do niej. – Chciałbym utrzymać z tobą kontakt, jeśli pozwolisz. – Nie rezygnował.

– Jeżeli to, co powiedziałam, nie zraziło cię do mnie...

– Nie, Matylda, nie zraziło. Wręcz przeciwnie, jeśli mam być szczery.

Ogród ściemniał i uciszył się trochę, zrobiło się też przyjemnie chłodno. Patrzyli na siebie bez słowa. Nie chciała, żeby wychodził, ale bała się, by ze zwykłego egoistycznego strachu nie zmienić swoich postanowień i nie zagmatwać wszystkiego bardziej niż do tej pory.

– Nie myśl sobie, że jeśli zaszyjesz się na drugim krańcu Europy, to znikniesz mi z oczu.

– Mam nadzieję, że tak się nie stanie. – Nie była pewna, czy nie powinna od razu spalić za sobą mostów.

– Ja również...

Ile razy przyjdzie jej jeszcze podejmować decyzje, które będą niosły ze sobą konsekwencje nie do przewidzenia? Samodzielność, niezależność... zbyt blisko im do zwykłej samotności. Z wyboru, z konieczności, w końcu z uczciwości...

Tej nocy musiała wziąć coś na sen.

⁷ Fisz, Emade, *Tworzywo Sztuczne*, *Ślady* (sł. Bartek Waglewski).

⁸ Alicja Majewska, *Podróżą każda miłość jest* (sł. Jonasz Kofta).

⁹ Urywki dialogów z filmu *Casablanca*, reż. Michael Curtiz.

DZIEŃ PIĄTY

Czy to w ogóle możliwe? Nie tylko zasypiał poprzedniego dnia z tą myślą, ale też była pierwszą refleksją tuż po przebudzeniu. Siedzieli jeszcze kilka godzin, ustalając wszystkie szczegóły, sprawdzając trasy, ceny paliwa i noclegów. Tuż przed zamknięciem najbliższej pizzerii Michalina zamówiła jeszcze familijną z boczkiem, co wprowadziło wszystkich w osłupienie. Oprócz Helmutka, który taki wybór skwitował aprobującym machaniem ogona. Do tematu poszukiwań Michaliny przez nieznaną już nie wracali.

Kosma pół nocy przewracał się niespokojnie, niepewny, czy to wina tłustej i późnej kolacji, czy podejrzenia, jakie zasiała w jego głowie opowieść córki.

Na dobrą sprawę to nie mogła być Matylda! Po co miałyby szukać Michaliny, i to na uczelni, na której nigdy nie była i z którą nic jej nie łączyło? Gdyby chodziło o niego, to przecież najzwyczajniej w świecie by zadzwoniła. Sprawdził pocztę w komórce, ale nie miał żadnych nieodsłuchanych komunikatów. Nie było też nieodebranego połączenia. Więc to nie mogła być Matylda i Kaśka miała rację – ktoś poszukiwał Michaliny z zupełnie innego powodu. Śpij już, nie wariuj, poradził sam sobie i odłożył telefon. Dawniej odsłuchiwał jeszcze stare wiadomości, jakie mu czasem zostawiała, kiedy nie mógł odebrać, ale teraz nie zostało już po nich śladu.

„Jesteś tam? Czy ty w ogóle jeszcze coś? Do mnie? Cokolwiek? Opowiem

ci, jak minął mi dzień...”

Albo:

„To ja, Matylda. Zjadłeś coś ciepłego? Dbasz o siebie? Mam wrażenie, że nie myślisz dziś o mnie! Gdybyś tu był, mogłabym się chociaż przytulić...”

Czasem zdawało mu się, że specjalnie do niego dzwoni, wiedząc doskonale, że nie będzie w stanie akurat w tym momencie porozmawiać. Wykorzystywała każdą sekundę, jaką operator przeznaczał na pojedynczy komunikat. Nigdy ich nie kasował, znikwały same, kiedy kończył się czas przechowywania wiadomości. Dziś nie zostało po nich już nic. Oddałby wszystko, żeby zadzwoniła jeszcze raz.

Rano wstał bez ociągania. Był niewyspany, ale musiał się trochę ogarnąć przed wyjazdem. Nie planował na ten dzień nic wielkiego, przeznaczając go na zakupy i pakowanie. Nie chciał zostawiać wszystkiego na ostatnią chwilę, a czekała ich jeszcze wspólna wyprawa do byłych teściów. Kaśka poprosiła go o to wczoraj, kiedy odwoził ją do domu. Nie chciała zostać na noc, choć nalegał na to razem z córką. Wymówiła się brakiem kosmetyków i bielizny na zmianę. Wiedział, że to ściema; po prostu szumiało jej w głowie po hiszpańskim winie i bała się, by wieczór nie rozwinął się za bardzo. Może gdyby nie było Michaliny, zostałyby z nim i sprawdziła, co się stanie dalej. Jednak przy córce nie zdecydowała się na takie rozwiązanie. Kosma nie oponował za długo, posłusznie włożył buty i zaprowadził ją do auta. Temat seksu między nimi nie istniał. Czuł, że miałyby na to dziś ochotę, sam też potrzebował bliskości kobiety. Ale w tej sytuacji byłaby to tylko namiastka tego, o czym chciwie myślał, więc spasował.

– Pojeźdź ze mną do ojca – poprosiła, kiedy zaparkował na jej ulicy. Było już grubo po północy, światła paliły się tylko w pojedynczych oknach.

Wysiedli i ruszyli w stronę wejścia.

– Jasne, po pracy? – zgodził się bez wahania.

– Tak, przyjadę po ciebie. Rodzice się martwią, posiedzimy chwilę i ich uspokoimy.

Patrzył, jak otwiera drzwi i znika w budynku, uśmiechając się przelotnie na pożegnanie. Wracał do domu, czując w żołądku powiększający się ucisk. Nie był pewien, czy to z powodu pizzy, czy lęku. Bał się, że obawy wszystkich wokół wcale nie są takie bezpodstawne. Też potrzebował z kimś posiedzieć i się uspokoić. I jedno było pewne – gdyby mógł decydować, mimo całej sympatii, teściowie nie byłiby jego pierwszym wyborem.

Kiedy wrócił, Michalina już spała, Helmut zaanektował jego łóżko i posunął się tylko tyle, by Kosma nie mógł mu zarzucić, że całkowicie odmawia współpracy. Przemęczył się jakoś do rana, obiecując sobie, że krótka drzemka w ciągu dnia załatwi sprawę niewyspania.

Tymczasem na drzemkę się jednak nie zanosilo. Kiedy ogolony i wykąpany wrócił do sypialni, na telefonie miał nieodebrane połączenie. Ten numer Matylda wstukała mu do komórki dawno temu, na wszelki wypadek. Jednak akurat tej rozmowy wcale się nie spodziewał. Siedział chwilę bez ruchu, zbierając siły, i dopiero wtedy wybrał numer. Od razu też zrozumiał, że bezpieczny porządek dnia właśnie uległ zakłóceniu.

Po pierwszym porannym karmieniu już się nie kładła. Miała wprawdzie sporo do zrobienia, ale też nie lubiła się z czymkolwiek spieszyć, słysząc jednocześnie płaczące dzieci. Podelektowały się więc wzajemnie swoją obecnością, wszystkie trzy.

Weekend zamierzała spędzić w domu z rodzicami. Zostało im już tak naprawdę niewiele czasu. Nie chciała go tracić na spacerów gdzie indziej niż po spokojnym ogrodzie rodziców, który miała w zasięgu ręki i – można by

rzec – na własność, co dla większości warszawiaków było luksusem.

Dziś czuła się trochę jak w święta w czasach dzieciństwa, które celebrowali zawsze wspólnym późnym śniadaniem, siedząc długo przy stole w piżamach jeszcze ciepłych od snu i ciesząc się swoim towarzystwem. Bez pośpiechu i bez niepotrzebnej nerwówki, od której gromadnie stronili, pilnując sprawiedliwego podziału obowiązków. Dzisiaj też nie zamierzała się nigdzie spieszyć, a zebrane przez te dwa dni niezachwiane poczucie bezpieczeństwa, zyskane w rodzicielskim domu, zabrać ze sobą jako nadbagaż. Za ten nie dopłacała, ale rodzicom nigdy nie będzie w stanie się odwdzięczyć za pomoc, jaką znalazła pod ich dachem, i za akceptację sposobu, w jaki zdecydowała się dalej żyć.

– Może kawy, tato?

Zaproponowała, żeby zjedli razem w salonie. Bujaczki z maluchami ustawiła na podłodze. W ten sposób wzajemnie mieli się na oku. Wstała z głębokiego fotela, który przysunęła bliżej dzieci. Ona też nabrała ochoty na nieduże espresso i kawałek truskawkowej tarty, której zapach zdążył już zawładnąć całą kuchnią i przyjemnie wdzierał się do pokoju.

– Tato? – zapytała głośniejszym głosem. Wyrwała go z zamyślenia. Trzymał na kolanach jedną z dziewczynek. Patrzyła, jak dziecko i dziadek wzajemnie się sobie przyglądają, każde zajęte swoimi myślami.

– Kawy...? Nie, nie, córeczko – odpowiedział, uśmiechając się do małej.
– Herbatę poproszę.

Kiedy weszła do kuchni, matka kładła na dużą paterę ciasto pokrojone na kawałki.

– Kawę zaparzyłam – powiedziała pani Radecka prosto w truskawkowy stożek.

– Poproszę z mlekiem – zareagowała Matylda. – Zabiorę!

Wzięła ze stołu ciasto i powtórzyła matce zamówienie ojca.

– Kawę zupełnie przestał pić – westchnęła gospodyni w odpowiedzi. – Tak się boi o to serce; nawet z mlekiem nie chce.

– Nie wydaje ci się, że ostatnio jakoś osłabł? – Matylda zatrzymała się w drzwiach kuchni.

– Dziecko... Co ci będę mówić. Gdyby się może tak wszystkim nie przejmował, ale znasz go...

Matylda rzeczywiście dobrze знаła swojego ojca. To o nią się martwił. Dusił w sobie niepokój. Nie mówił o nim tylko dlatego, żeby nie wbijać jej w poczucie winy. Chciał, żeby była szczęśliwa, a jedyne, co tak naprawdę mógł teraz zrobić, to w milczeniu pozwolić jej tego swojego szczęścia poszukać na własną rękę. W jakiś sposób czuła się jednak winna, widząc jego zgarbione plecy i zaciśnięte usta, tak rzadko układające się w uśmiech. Byli wyjątkowymi rodzicami. Całą sobą czuła ich mądrą miłość, powściągliwą wtedy, kiedy było to konieczne. Tak jak teraz. Ich serca krzyczały: „Zostań!”, ale usta mówiły: „Zrób, jak uważasz, my tu jesteśmy, gdybyś zechciała wrócić; gdybyś musiała wrócić”. Była im wdzięczna, że nigdy nie usłyszała od nich, że zrobiła coś głupiego i na pewno będzie żałować. Po prostu byli, kochali ją i sprawiali, że szła przez życie prosto i pewnie, mając z kim się nim podzielić. Przy nich była zupełnie bezpieczna.

„Bezpieczna” nie oznaczało jednak „spełniona”. Zwyciężał instykt, któremu postanowiła zaufać. Jeśli ją zawiedzie, zastanowi się później. Jeśli nie... Uśmiechnęła się do swoich myśli.

– Mamo... kocham was, wiesz przecież. Czuję, że tak trzeba.

– Wiem, dziecko, wiem, ale jestem tylko matką...

– Mamuś. – Matylda postawiła talerz z ciastem z powrotem na stole i przytuliła ją mocno. – Ale obiecuję ci! – Głos zaczął jej się łamać, ale przełknęła ślinę i opanowała wzruszenie, żeby ojciec zaraz nie zobaczył jej łez. – Nie zamierzam się tam męczyć. Jeśli cokolwiek mnie zaniepokoi,

wracam. Dobrze?

Matka brzegiem fartucha wycierała mokre oczy.

– Muszę spróbować, mamó. Muszę się przekonać, rozumiesz?

– Zawsze taka sama... Rozumiem, córuś. Ale nie dziw się matce, że chce mieć dziecko blisko siebie.

– Tam jest tak pięknie, cicho, możecie część roku spędzić na południu, kiedy tutaj będą największe śloty. Albo mróz. To tylko dwie godziny lotu. Dłużej jedziemy do cioci Ireny nad morze! – Ze szklistymi oczami przypomniała matce coroczne wyprawy do młodszej siostry ojca w okolice Mielna.

– Masz rację, tak jest... Jak ten świat się skurczył.

– Kocham cię, mamó. – Właśnie w tym momencie poczuła silny ucisk oczekiwania.

– Wystygnie, zanieś. – Matka zdecydowanym ruchem ostatni raz otarła łzy i podała Matyldzie filiżankę z parującą herbatą. – Ech...

– Usiądź z nami, mamó. Viola przysłała zdjęcia, obejrzymy razem – rzuciła jeszcze przez ramię Matylda i skierowała się do salonu. Przed owocową przyjemnością musiała jeszcze zapchać brzuszki dwóm innym łakomczuchom, które głośno przypominały jej o swoich preferencjach smakowych.

Zamknęła pocztę, a potem laptopa.

– I co? – Spojrzała na matkę pytającym wzrokiem.

– Bądź tylko szczęśliwa, dziecko. Nie spodziewałam się, że tak tam na ciebie czekają.

– Czekają, mamó.

– Gdybym wiedziała, że będziesz chciała tam wyjechać, sama bym ją poprosiła, żeby zaopiekowała się tobą i dziewczynkami. – Pani Radecka zatroskana kiwała głową.

– Zrobi to i bez twojej prośby, mamó, bo jest podobna do ciebie...

Pani Radecka i Viola Mancini miały okazję poznać się kilka miesięcy wcześniej w wyjątkowo zaskakujących okolicznościach.

– Martwisz się już trochę mniej? – Matylda patrzyła na matkę.

– Trochę mniej...

Miała nadzieję, że ojciec podziela zdanie żony. Przyglądał się zdjęciom z nie mniejszą uwagą niż one, to kręcąc głową z zadowoleniem, to kiwając nią w geście pogodzenia się z tym, na co patrzył.

Viola sfotografowała co najmniej pół swojej willi, a dokładniej tę jej część, w której miała zamieszkać Matylda z dziećmi. Matylda poznała, że na fotografiach znalazły się prywatne pokoje Włoszki na najwyższej kondygnacji, z dużymi oknami skierowanymi na trzy bardziej nasłonecznione strony świata, oddzielone od pozostałej części domu niewielkim patio z mnóstwem bujnej zieleni oraz dużą jasną kuchnią. Dzięki nim warsztatowy hałas pracowni i pokoi gościnnych nie miał do nich dostępu. W większym pokoju urządzono sypialnię dla niej i dziewczynek, z zabawkami, poduszkami i kocykami w cukierkowych kolorach. Łóżko dla Matyldy, kute w misterne kwiatowe wzory, pamiętające chyba jeszcze dziewiętnasty wiek, zamiast poduszek w dziecięcych kolorach zasypane było poduchami we wszystkich odcieniach żółci i dojrzałej pomarańczy. Pokój wręcz tonął w ciepłych barwach, wzmacnianych dodatkowo przez światło słoneczne. Równie ciekawie prezentowało się drugie pomieszczenie, oddzielone od sypialni przestronną wygodną łazienką z wielkimi lustrami w fantazyjnych ramach i lekko przyżółconym marmurem. Już pierwszy rzut oka wystarczył, żeby myśleć o nim jak o miejscu, gdzie będzie można odpoczywać, kiedy tylko pojawi się ku temu możliwość. W niewielkim saloniku przeznaczonym tylko na potrzeby Matyldy było wszystko, co trzeba. A nawet więcej, niż było trzeba.

Matylda dopatrzyła się na fotografiach całego księgozbioru malarki, który ta widocznie zdecydowała się oddać w posiadanie nowej lokatorce, przynajmniej na jakiś czas. Mieszkanie niezaprzeczalnie miało południowy charakter, ze wszystkimi detalami tworzącymi artystyczną całość.

Tak, miała nadzieję odnaleźć tam taką samą harmonię, jaką widziała, patrząc teraz na zdjęcie pokoju, który za moment na dłużej niż chwilę stanie się kawałkiem jej nowego świata.

– Dla multimamy, Violu, to szaleństwo graniczące z obłądem!

– Nie wyobrażam sobie, że będziemy to oglądać bez ciebie.

– Arcimboldi to niestety nie Roma... Tam na pewno bym dotarła, nawet jeśli miałabym walczyć z nawałem pokarmu – wzdychała Matylda.

Od kilku dni linia między Warszawą a Mantuą była rozgrzana do czerwoności. Premiera Oline, ich musicalu w Arcimboldi, była przewidziana na ostatni tydzień marca. Dla Violi i jej zdolnej ekipy zarezerwowano miejsca w pierwszych rzędach, ze specjalnym zaproszeniem na popremierowy bankiet w reprezentacyjnych salach teatru. Z obowiązkową lampką szampana i zapewne pierwszymi wywiadami na gorąco. Podpisując roczny kontrakt na współpracę z pracownią pani Mancini, Matylda nie przypuszczała, że premiera tego wydarzenia ją ominie, i to dlatego, że sama o tym zdecyduje. Ale kilkugodzinna opieka nad trzymiesięcznymi bliźniętami była o niebo trudniejsza niż podróż przez pół Europy. Owszem, było to wykonalne, ale jako odpowiedzialna matka...

Jej artystyczna dusza miała zupełnie inne zdanie. Nikt z zespołu Violi nie zamierzał przepuścić takiej okazji do spotkania z kieliszkami w dłoniach zamiast pędzli czy igieł. Zazdrościła im jak diabli. Ale od Arcimboldi dzieliło ją parę tysięcy kilometrów i nieskończona ilość zmian pieluch. A jednak zerknęła na połączenia lotnicze z Mediolanem. Gdyby udało jej się zarezerwować bilet odpowiednio wcześniej, wylądowałyby w

stolicy światowej mody niedługo przed spektaklem... Taksówka z lotniska załatwiłaby resztę i jeśli nie zdarzyłoby się nic nieprzewidzianego, na swoim miejscu w strefie VIP byłaby na długo przed trzecim dzwonkiem.

– Korzystam z przywilejów i zaglądam na próby kostiumowe. – W głosie malarki było słyhać ekscytację i radość. – W połączeniu z oświetleniem scenicznym wszystko stwarza magiczne wrażenie! Kolory zdają się bardziej nasycone, a przy tym świetle mieniają się w niezwykły sposób. Muszę przyznać – Viola zaczerpnęła głośno powietrza – że nie spodziewałam się aż takiego wizualnego efektu. Przyjeźdź, droga eM!

Matylda oczyma wyobraźni widziała wibrujące barwy obrazu, który słowami tworzyła malarka. Jako artyści uczestniczący w tej wielkiej muzycznej produkcji, mieli prawo do zapoznania się wcześniej z muzyczną stroną spektaklu. Ale zgodnie doszli do wniosku, że poczekają na finał z przysłowiową wisienką na torcie w postaci ruchu, dźwięku i barw splecionych w jeden żyjący organizm.

Jak sprawna grupa spiskowa działali również Marco z panią Mancini. Matylda zdziwiłaby się, gdyby przystojny Włoch nie przyłożył ręki do kuszenia koleżanki po fachu. Zresztą przez krótką chwilę zapomnienia byli kimś więcej niż tylko kolegami z pracy... Nie mieli sobie za złe tego momentu uniesienia, ale zgodnie i bez żalu przekuli go na wyjątkową artystyczno-kulinarną przyjaźń, która w takiej postaci dostarczała im samych pozytywnych emocji. To właśnie Marco zaskoczył Matyldę zaangażowaniem w ściągnięcie jej na premierę. Obiecał odebrać ją z lotniska, a po spektaklu i toastach odstawić z powrotem na nocny powrotny lot do Warszawy. Na dobrą sprawę nie byłoby jej w domu zaledwie pół doby...

To mogłoby się udać, jeśli dziewczynki zgodnym chórem, nie mniej przykuwającym uwagę niż ten z Oline, nie zakrzyczałyby tej szalonej

eskapady.

I udało się! Gdy wsiadała do samolotu, pod włochatą czapką miała pokryte brokatem włosy, pod zimowym płaszczem wieczorową sukienkę, Absolutely Blooming Diora zamiast dodatkowego swetra i szminkę z dokumentami w torebce na łańcuszku zamiast bagażu podręcznego. Wyglądała zjawiskowo w eleganckim makijażu i błyszczących szpilkach, bez walizki i kogoś przy boku. Kogoś, kto – tak zapewne myślała większość jej współtowarzyszy podróży – będzie na nią czekał na płycie włoskiego lotniska. Wielki mały duet nie przysporzył tego wieczoru dodatkowych i nieprzewidzianych atrakcji dziadkom i pani Wandzie, która wtedy przysłała w sukurs z pełnym oddaniem. Samolot wylądował o czasie, a Matylda wraz z pierwszym dzwonkiem pozwoliła sobie zdjąć z ramion zimowy płaszcz zadowolonemu z siebie Marcowi, który misję dostarczenia do teatru wyjątkowej przesyłki wykonał rzetelnie i w zaplanowanym terminie; ku radości pracowni Violi, niecierpliwie czekającej w foyer najpierw na nią, a potem na pierwsze dźwięki uwertury.

Historia pełnej wdzięku, urodziwej florenckiej kwiaciarki, która traci cały swój skromny majątek, żeby ratować życie jedynej córki, miała niespotykaną oprawę sceniczną i budziła zachwyt nie tylko pierwszych rzędów. W przedstawieniu połączono tradycyjny musicalowy sposób narracji z pomysłowymi efektami specjalnymi w postaci filmowych animacji i ruchomych części sceny oraz scenografii, które pojęciu ruch sceniczny nadały zupełnie nowe znaczenie. Przyglądając się dziesiątkom tancerzy i śpiewającym aktorom, Matylda zrozumiała cały zachwyt, który słyszała w głosie swojej pracodawczyni od tylu tygodni. Ich tkaniny, dodatkowo wzbogacone o połyskujące elementy, na ciałach musicalowych postaci w niezwykle sposób wzmacniały odbiór widowiska nacechowanego niesamowitą ekspresją i sceniczną prawdą. Strona muzyczna

przedstawienia, tylko po włosku, z jej charakterystycznym romantycznym, ognistym oddźwiękiem, dopełniała całości.

Matylda była zachwycona rozmachem spektaklu, jego jakością i siłą przekazu uniwersalnych wartości.

Kilka godzin później, po ucieczce z szumnego przyjęcia jak w bajce o Kopciuszku, zasypiała otulona zapachem Diora, dziecięcej oliwki, z nieprzebrzmiałą jeszcze burzą oklasków w uszach i małym szczęściem pod poduszką, dla którego nie tylko we śnie znalazło się miejsce. A rozparło się na dobre, kiedy następnego dnia okazało się, że włoski sukces można oblać i na polskiej ziemi. Złapała się za głowę, kiedy część zespołu Violi z jego szefową na czele wylądowała w Warszawie kolejnym samolotem, przybywszy rejsiem z góry ukartowanym i z zakontraktowanym pierwszym wiosennym ogniskiem w siedlisku Xeni. Wtedy po raz pierwszy w życiu śpiewała włoskie kołysanki i piła szampana pod mazurski kociótek.

Kaśka chciała być w aptece jeszcze przed otwarciem. Wczoraj wyszła przecież bez uporządkowania papierów, a nie lubiła biurowej roboty przerzucać na pracownice. „Moje dziewczyny”, tak nazywała je w myślach. Przez kilka ostatnich lat rzeczywiście zdążyły się zżyć i tworzyły zgraną ekipę. Kaśka była dobrą szefową, umiejętnie też dobierała współpracowników. W aptece wszystko musiało być na swoim miejscu, nie tolerowała bałaganiarstwa. Sama dużo wymagała od siebie. To do niej należało złożenie zamówienia i uzupełnianie niedoborów na magazynowych półkach. Lubiała mieć wszystko pod kontrolą. To skutkowało także tym, że była pierwszą linią obrony w starciu z przedstawicielami koncernów farmaceutycznych. Zwykle ich naciski odpierała bez zastanowienia, ale też bez satysfakcji. Wiedziała, jak prowadzić swój biznes, i nie potrzebowała nadmiernego wsparcia z zewnątrz. Zdawała sobie jednak sprawę z tego, że w handlu liczy się

przede wszystkim opakowanie towaru. I że w tym akurat aspekcie musi zaufać fachowcom. Wybierała zawsze tylko te firmy, co do których miała mocne przekonanie, że ich leki naprawdę leczą. To samo tyczyło się ich przedstawicieli; na dobrą kawę na zapleczu apteki mogli liczyć tylko ci, którzy nie próbowali jej nawijać makaronu na uszy.

Umiała czytać ludzi. Tak jej się przynajmniej wydawało. A jednak z Panem Zgagą, jak nazywał jej kochanka Kosma, pomyliła się na całej linii. Zaczęło się wcześniej, niż domyślał się jej były mąż; tak naprawdę spotykała się z nim już niemal rok przed wpadką. Kiedy myślała o tym teraz, nie mogła sobie wybaczyć, jaka była głupia. Pytanie: „Co ja w nim widziałam?” przez długi czas krążyło po jej głowie jak refren w popularnej piosence. Zwariowała po prostu, czując do obcego, dużo młodszego faceta czysto zwierzęce pożądanie. Był wysoki i wysportowany, ale nie przez wielogodzinne zabiegi na siłowni, tylko tak zwyczajnie – miał to sam z siebie. Filmowa biel zębów, gęste włosy, ładny profil i szerokie bary. Pociągał ją fizycznie i bezczelnie to wykorzystywał. Pewnie nie tylko w jej przypadku, czego dowodził sposób, w jaki pożegnał ją po wszystkim.

Przez chwilę po rozwodzie z Kosmą myślała, żeby ułożyć sobie z tym człowiekiem życie. Dziś, po niemal roku, śmiała się z tych planów, a poprzednie rozterki wracały już tylko jako wyrzut sumienia. Nawet nie potrzebowała tego odchorować. Może kiedyś, kiedy była młodsza, takie rozstanie czy nawet porzucenie przez kochankę wymagałoby pomocy z zewnątrz. Teraz była jednak dużo silniejsza i bogatsza o życiowe doświadczenie. Całą sprawę załatwiło kilka butelek wina w kolejne weekendy przesiedziane przed telewizorem. To nie miało wpływu na rozwód, może jedynie przyspieszyło samą decyzję. Kosma nigdy nie był jej wierny. Wiedziała o tym i nie próbowała tego zmienić. Miała dziecko i swój interes, mąż dbał o nią, poza tym wiedli ciekawe życie. Mieli o czym

rozmawiać, w łóżku osiągała błogie zaspokojenie, więc nie narzekała. Kiedy sięgnęła po zakazany owoc, nie zastanawiała się nad konsekwencjami. Krzysztof miał naprawdę piękne ciało, z którego skorzystała jak z urządzenia w fitness clubie. Wykupiła karnet na rok, przedłużyła na kolejny, ale to wszystko. Jediną różnicą było to, że oprócz kalorii i kilogramów straciła też rodzinę. A raczej jej namiastkę, bo wiedziała, że Kosma potrzebuje czegoś więcej. Ona mogłaby jeszcze latami tak trwać w zawieszeniu. Zdecydowali, że na tym koniec. Po kilkunastu miesiącach dobrego seksu zakończyła związek z Panem Zgagą. Po dwóch dekadach, chwilę później, zakończyła swoje małżeństwo.

O tym pierwszym już niemal nie pamiętała. To drugie ciągle jej o sobie przypominało. Czasem boleśnie, jak w przypadku choroby Kosmy. Wiedziała, że sam sobie nie poradzi. Był samodzielny, i w zasadzie wszystko przychodziło mu z łatwością. Ale w jej odczuciu był też za mało ambitny, by sięgać po dużo więcej. A w obliczu walki o życie stawał się bezradny. I jednocześnie niebezpieczny przez swoje dążenie do autodestrukcji. Musiała mu pomóc. W końcu byli rodziną, i nie zmieni tego żadne orzeczenie sądu.

Przejrzała faktury i raport przygotowany przez którąś z dziewczyn. Przed wyjazdem będzie musiała zamówić kilka brakujących pozycji, zwłaszcza kremy do opalania i żele łagodzące oparzenia. Popularność rozmaitych specyfików w aptece podlegała zmianom wynikającym z kalendarza. Jesienią najczęściej pytano o coś na przeziębienie. Latem królowały balsamy i filtry do skóry. Muszę uzupełnić asortyment, pomyślała i sięgnęła po laptopa.

„Cześć, zdążycie przed południem?” – napisała w mailu do hurtowni farmaceutycznej, która obsługiwała jej aptekę. „To będzie spore zamówienie...”

Nie czekał długo na połączenie, zupełnie jakby ten ktoś po drugiej stronie wiedział, że zaraz zadzwoni. Wystarczyło jedno, może dwa piknięcia w słuchawce i odebrał, a Kosma mógł wreszcie nabrać powietrza. Bał się tej rozmowy i nie był na nią przygotowany. Przez chwilę myślał, że stało się coś złego i ten telefon ma mu to zakomunikować.

– Dzwoniłeś... – rzucił.

– Już dawno powinienem – odpowiedział po chwili Wiktor. – Ale nie chciałem się wtrącać.

– To może niech tak zostanie? Rozłączę się i udamy, że to się nigdy nie wydarzyło? – Sam nie wierzył w to, co mówi. Jeśli były mąż Matyldy zadał sobie tyle trudu, żeby do niego zatelefonować, powód musiał być istotny. Nie da się tego zbyć byle czym.

– Powinniśmy się spotkać, nie sądzisz? – Wiktor właśnie go w tym utwierdził. Ta rozmowa go nie ominie.

– Wybrałeś kiepski moment, przyjacielu.

– Nie jestem twoim przyjacielem.

– Co nie zmienia faktu, że moment jest wyjątkowo nietrafiony. – Kosmie nie spodobał się ton, jakiego używał rozmówca, ale postanowił przynajmniej zachować pozory. – Szykuję się do podróży i nie mam za wiele czasu.

– Nie zajmę ci go dużo.

– Stało się coś? – Wiedział, że nie. Nawet Wiktor nie trzymałby go w niewiedzy tak długo. Powód musiał być inny.

– Oprócz tego, że rozjebałeś mi życie? Nie, to nie stało się nic.

– Posłuchaj, chętnie bym z tobą powymieniał poglądy i poustalał, kto jest czemu winien. Ale wiesz, wyjeżdżam...

– Spieprzyłeś, co się dało spieprzyć, i teraz uciekasz?

– O czym ty mówisz? I po co w ogóle dzwonisz? Jesteś pijany? Matylda

wie?

– Nie wie i nie musi wiedzieć, jeśli mogę cię o to prosić. To przyjacielska prośba.

– To jednak jesteśmy przyjaciółmi? – Kosma mimowolnie uśmiechnął się pod nosem.

– Kurwa, nie! Nie jesteśmy. To taki zwrot, jak ślepa furia czy ostateczne rozwiązanie.

– Interesujący dobór porównań. Przypadkowy?

– Pieprz się!

– Okej, uznajmy, że wstępne, grzecznościowe trącanie się fujarami mamy za sobą. Mogę coś dla ciebie zrobić? – Kosma wolał nie eskalować konfliktu; na dobrą sprawę nie znał tego człowieka. Wiedział tylko tyle, ile opowiadała mu Matylda. A i tego nie było wiele, bo mieli ciekawsze tematy do rozmów. Podobno rozwiedli się bez kłótni i każde poszło swoją drogą. Więc po co dzwonił?

– Możesz. Skoro wyjeżdżasz, to może postanowiłbyś tu już nie wracać?

– Mówisz albo się rozłączam. Nie mam całego dnia na pierdolenie o Szopenie.

– Fuj, co za język. Co ona w tobie widziała?

– W kontaktach z damami przejawiam większą ogładę. Nie zmieniaj tematu!

Po drugiej stronie zapadła cisza i przez chwilę słyhać było jedynie oddech rozmówcy. Kosma postanowił go nie ponaglać.

– Mam z tobą problem, bo ona wciąż cię kocha, a ja... – odezwał się wreszcie Wiktor. – Widzisz, ja nadal kocham ją. W tym równaniu powinieneś być wyrzucony poza nawias.

– Tak się chyba stało, nie sądzisz?

– To znaczy?

– To znaczy, że usunąłem się w cień. Choruję i nie chciałem jej tym obarczać.

– Co ty pieprzysz?

– Mam raka, kolego. I niewielkie szanse na wyleczenie. Wyjeżdżam właśnie w tej sprawie. Więc jeśli nie masz nic przeciwko... – urwał, zmęczony tą rozmową. Wiktor był ostatnią osobą, której chciał opowiadać o swoim stanie. Albo tłumaczyć się z podjętych decyzji. Zwłaszcza teraz. Taką rozmowę, nawet ze zwyczajowym daniem sobie po pysku, powinni odbyć dawno temu. Dziś jaki to miało sens?

– O niczym nie wiesz, co? – wyrwało go z zamyślenia pytanie Wiktora.

– O czym mam niby wiedzieć?

– Nie, już nic. Nieważne.

– Chodzi o to, że nie jest już sama? – Tym razem on postawił pytanie.

Zadał je, choć bał się odpowiedzi.

– Nie jest sama? Tak, właściwie chodziło mi właśnie o to. Nie jest sama.

– Znasz go?

– Czy go znam? Cholera, ty naprawdę nic nie rozumiesz!

– Może mnie oświecisz?

– O nie, to już nie moja brocha. Życzę ci zdro..., niczego ci nie życzę, bo mam cię w dupie. Cześć! – Wiktor pożegnał się, zanim Kosma zdążył zareagować.

Ze złości cisnął telefon w kąt pokoju. Powinien zignorować to nieodebrane połączenie, ale nie! Musiał oddzwonić! I co mu z tego przyszło? Nie mógł uwierzyć, że facet zadał sobie tyle trudu, by poinformować go, że Matylda ma już kogoś innego. To musiała być dla niego chwila wyjątkowego triumfu. Zaklął i zaczął się ubierać.

Jedna rozmowa nie może wytrącić mnie z równowagi aż w takim stopniu, pomyślał.

Rozmowa nie, ale to, w czym go utwierdziła, już tak! Matylda najwyraźniej wyleczyła się z niego. A skoro tak, to czy jego próba walki z chorobą ma jakiś sens? Dwa różne stany chorobowe i dwie kompletnie odmienne kuracje. Któraś z nich musi okazać się skuteczniejsza.

Zbliżała się trzynasta. Kiedy tylko mogła, o tej porze w każdy piątek wychodziła z domu. Nie zawsze jednak było to możliwe. Odkąd została matką po raz drugi, wychodne mogła sobie zafundować niezmiernie rzadko. Ten dzień nie należał do wyjątków. Chociaż jakimś cudem maluchy zgodnie zasnęły bez większych grymasów i wyglądało na to, że przez najbliższą godzinę będzie w domu błoga cisza, nie zdecydowała się na chwilową ucieczkę. Nigdy nie zaprzyjaźniła się z tą dziwną porą, ale w jakiś sposób za każdym razem oswajała się z drzeniem ciała, kiedy zegar wskazywał kwadrans przed pierwszą. Nie tylko dla Matyldy trzynasta w piątek była szczególnie istotna. *Kraj-obrazy* były przecież jednym z ulubionych cykli podróżniczych ojca. A prowadzącym był Kosma.

Kiedy po raz pierwszy usłyszała go w rodzicielskim salonie, o mały włos nie dostała zawału. Skończyło się tylko na rozbiciu w drobny mak filiżanki z rodowej porcelany. Nie dało się jej uratować, rozsypała się na wiele kawałków. A matka Matyldy na ten widok pobladła podobnie jak wtedy, kiedy dowiedziała się, że zostanie podwójną babką i że w pakiecie dostanie możliwość opieki nad pociechami w zastępstwie ich taty – obieżyświata. Co ciekawe, jej bladość w obydwu przypadkach spowodował ten sam mężczyzna, z czego na szczęście zupełnie nie zdawała sobie sprawy, bo inaczej wezwanie pogotowia byłoby na pewno konieczne, a potłuczona porcelana – najmniejszym problemem.

– Jego nie lubię!

Słyszały to z matką co piątek. Niezmiennie od jesieni ubiegłego roku, od kiedy cykl programów podróżniczych był nadawany w telewizji. Komentarz

pana Radeckiego, niezmiennie krzywdzący uśmiechniętego rudzielca współprowadzącego *Kraj-obrazy*, za każdym razem bawił Matyldę, która podzielała zdanie ojca z zupełnie innego powodu, a matkę prowokował do odpowiedzi. Ta zaś równie niezmiennie wprawiała Matyldę w osłupienie, ponieważ co tydzień odpowiedź była dokładnie taka sama.

– Bo jesteś uprzedzony! Rudy też człowiek. Pij, bo wystygnie! – Ta prośba padała w chwilę po przewidywalnym komentarzu.

– Aj, matka. – Radecki siorbał głośno gorącą herbatę i uspokajał się zupełnie dopiero wtedy, kiedy na małym ekranie pojawiał się drugi prowadzący. Kosma.

Dziś schemat rozmowy rodziców nie różnił się dużo od zwyczajnej wymiany uwag na temat męskich gwiazd małego ekranu. Matylda usiadła w taki sposób, żeby ojciec z matką mogli oglądać program, nie patrząc na nią. Nigdy nie zdążyła przedstawić im Kosmy. Nie zdawali sobie sprawy, że tak lubiany przez nich prezenter to ktoś, kto na dobrą sprawę zabrał im kilka lat życia...

– Ten to co innego!

Matylda czasami miała wrażenie, że miejsca, o których opowiada program, interesują ojca mniej niż jego twarze. A ona? Melodyjny, ciepły głos, który wędrował od płatków jej uszu przez dekolt, brzuch i uda aż po końce palców dłoni, kiedy zamykała oczy, udając, że program wyjątkowo ją nuży... Kiedy nie udawało jej się wyjść w porę z domu, kołysał ją głosem całe pięćdziesiąt minut. Chociaż blok reklamowy w trakcie programu zawsze trwał identyczną liczbę minut, raz złorzeczyła, że jest niemiłosiernie długi, innym razem prosiła Boga, żeby w ogóle się nie kończył. Zmieniał się tylko rodzaj emocji, ich siła – nigdy.

Nigdy też nie pamiętała nazwy regionu czy miasta, które panowie mieli odwiedzić w kolejnym odcinku. Wystarczyło, że ojciec bezbłędnie je

zapamiętywał.

W 1881 roku jeden z największych łódzkich przemysłowców bawełnianych podjął decyzję o budowie przy ulicy Milionowej szpitala dla pięciotysięcznej załogi swoich fabryk. Nazywał się Karol Scheibler, a do tego kroku namówił go imiennik, doktor Karol Jonscher.

Dziewiętnastowieczna Łódź potrzebowała takich ludzi, społeczników z wizją rozwoju miasta w zgodzie z nowoczesnymi trendami. Ówczesny Szpital św. Anny, dziś noszący nazwisko swego pomysłodawcy, miał bieżącą wodę, zarówno zimną, jak i ciepłą, oraz elektryczność. Dysponował pracownią rentgenowską, a jego personel wkrótce otoczył opieką robotników nie tylko z fabryki Scheiblera, ale i z innych łódzkich tkalni. Sam Karol Jonscher współtworzył jeszcze w podłódzkiej wsi Kochanówka szpital dla nerwowo i psychicznie chorych, przez długie lata wyznaczający kierunek w polskiej psychiatrii, oraz pierwszy w Polsce szpital pediatryczny, któremu nadano imię Anny Marii – na pamiątkę zmarłej córki fundatorów, rodziny Herbstów. Dla Jonschera służba innym była powołaniem.

Prawie sto lat później w wymyślonej przez niego placówce wylądował Kosma. I choć zdania były podzielone, bo Michalina uważała, że postępowanie ojca jest dziecinne i powinni zawieźć go na pediatrię, a Kaśka upierała się, by choć trochę czasu spędził u „czubków”, to załoga karetki zdecydowała o transporcie chorego na najbliższy SOR. A najbliżej było na Milionową.

Koło południa przy jego łóżku pojawił się Klejmann, który wcześniej odbył krótką rozmowę z lekarzem opiekującym się salą, w której położono Kosmę. Sam Makarski niewiele pamiętał, nie za bardzo chciał też odpowiadać na pytania żony i córki. Znalazła go Kaśka, która odbębniwszy obowiązki w aptece, podjechała na Tymienieckiego, gdzie miała się spotkać

z Michaliną. Chciały razem wyskoczyć na babskie zakupy, żeby uzupełnić przy okazji garderobę ojca, gdyby okazało się, że czegoś potrzebuje. Kosmę zastała na podłodze w sypialni. Już na parkingu czuła, że coś musiało się wydarzyć. Helmut nigdy nie czekał tak głośno: najwyraźniej chciał sprowadzić pomoc. Michalina wpadła do domu chwilę później. Teraz stały w towarzystwie profesora nad łóżkiem pacjenta, w oczekiwaniu na wyjaśnienia. Ale Kosma milczał.

– Rozmawiałem z lekarzem, wstępna diagnostyka nie wykryła nic niepokojącego – przerwał przedłużającą się ciszę Klejmann.

Kosma kiwnął głową, ale wciąż nic nie mówił. Może i diagnostyka nic nie wykazała, ale on sam nie czuł się dobrze. Upadając, musiał o coś zahaczyć, bo ból rozchodził się po całym organizmie. Poza tym był osłabiony.

– Co robimy? – Kaśka jak zwykle przejęła inicjatywę. W tym akurat wypadku Kosma był jej wdzięczny.

– Zdaniem lekarza prowadzącego powinien tu zostać na obserwacji, może nawet do samego wylotu. – Profesor obrócił się lekko w jej kierunku. – Ja też nie miałbym nic przeciwko temu, żeby pacjent nie komplikował sytuacji, przebywając, hmmm... na wolności.

– Nic z tego! – wykrzyknął Kosma, a przynajmniej spróbował, bo głos miał słaby i zanikający. – Wychodzę dzisiaj.

– Mówiłeś coś? – zapytała Michalina.

Nie mógł im powiedzieć, że przez ostatni tydzień tych zasłabnięć zdarzyło się stanowczo za dużo. I że wewnątrz telepał się ze strachu, ale ani myślał spędzić nocy w szpitalu. Coś jednak powiedzieć musiał.

– Zjadłbym jajko na miękko – wyszeptał.

Cała trójka spojrzała po sobie porozumiewawczo, a Kaśka dodatkowo pokiwała głową. Wszystko wskazywało na to, że jej pomysł z osadzeniem

Kosmy w Kochanówce nie był wcale nedorzeczny.

Ciepło kominka przyjemnie rozleniwiało, wypełniając pokój żywicznie pachnącym powietrzem. Siedziały na fotelach, przysunęły je tylko bliżej źródła ciepła. Ciche pomruki buzującego wokół brzoźowych polan ognia i trzaski pękającego pod wpływem temperatury drewna mieszały się z cichą muzyką z kuchennego radia, ściszonego chwilę wcześniej, kiedy Matylda układała dzieci do snu. Teraz nie czuły już potrzeby, żeby je regulować.

Ostrzejsza niż w mieście wiosna w siedlisku wciąż jeszcze zmuszała jego mieszkańców do spędzania większej części dnia w przytulnych wnętrzach. Matylda nie miała ochoty na wino. Zmęczenie całego dnia w połączeniu z nawet niewielką dawką alkoholu mogło mieć opłakane skutki. Zbyt duża ilość procentów zresztą nigdy jej nie służyła. Bardziej przeszkadzała, niż pomagała się zrelaksować czy po prostu przyjemnie zakończyć dzień. Musiała być w formie. Teraz także w nocy. A podjęte leczenie ostatecznie postawiło kropkę nad i. Herbata z miodem, imbirem i plasterkiem pomarańczy odpowiadała jej zdecydowanie bardziej. Mogła ją pić bez ograniczeń, co robiła z dużą przyjemnością; podwójną, jeśli nic i nikt jej w tym nie przeszkadzało. Upiła łyk pachnącego płynu, przyłożyła głowę do wysokiego oparcia fotela i przymknęła oczy.

Wstuchiwały się w trzaskającą ciepłą ciszę, każda zatopiona w swoich myślach. Przy Xeni taka cisza jej nie krępowała. Była rozluźniająca i krzepiąco uspokajająca przez samą tylko obecność kogoś, kto akceptował ją bez masek i przybieranych póz.

– O czym myślisz, Matyldo?

Westchnęła cicho i drgnęła na swoim fotelu. Pytanie Xeni wyrwało ją z oceanu myśli, z których starała się wyłuskać te najprzyjemniejsze dla siebie. Przypominało to trochę wyszukiwanie kryształków cukru pośród ziaren maku. Miało ten sam stopień trudności, chociaż z uwagi na kontrastowe

kolory drobinek nie było zupełnie niemożliwe.

– Wciąż mam nadzieję, że będę szczęśliwa. Chociaż bardzo, bardzo małą.

– Będiesz, bo na to zasługujesz. – Szczera odpowiedź Xenii grzała jak kominek.

– Każdy na to zasługuje, a jednak nie każdy jest...

Matylda patrzyła w ogień szeroko otwartymi oczami.

– Nie możesz tak myśleć.

– To samo przychodzi.

Ich oddechy ginęły w szumie złotopomarańczowych polan.

– Myślisz, że można kiedyś przestać tego pragnąć?

Patrzyły w ogień, jakby tam miały znaleźć odpowiedź.

– Nie wiem... Czasami wydaje mi się, że jestem tego bardzo bliska. Żeby już niczego od życia nie oczekiwać.

Przez długą chwilę obydwie trawiły ostatnie słowa Matyldy.

– Jak się czujesz? Jest w tobie jakaś zmiana. – Xenia nie odrywała oczu od drgającego światła, pozornie nie czekając na odpowiedź. – Jesteś inna.

– To leki. To zasługa leków, Xeniu. – Matylda odwróciła głowę do przyjaciółki. – Dzięki nim nawet moja rozpacz ma łagodne oblicze.

Xenia była jedyną osobą, której powiedziała o podjętym leczeniu. Nie przyznała się nawet rodzicom. Bała się, że tego mogą już nie udźwignąć. Wiktor i chłopcy nie musieli wiedzieć, Ewie nie miała potrzeby mówić. Reszta nie była w stanie jej pomóc. To ona, Matylda, musiała dostosować się do rzeczywistości, a nie rzeczywistość do niej. Coraz lepiej zdawała sobie z tego sprawę. Przed Xenią też mogła ukryć prawdę o sobie. Mogła. Ze strachu przed brakiem zrozumienia i odrzuceniem. W stosunku do przyjaciółki nie miała jednak takich obaw. Nawet przez chwilę nie zawahała się, żeby powiedzieć jej, z czym przyszło jej się zmierzyć. Czym

byłaby ich przyjaźń, gdyby poddała się temu strachowi? Czy wtedy w ogóle mogłaby tak nazywać tę ich relację? Potrzebowała tej przyjaźni i kogoś, komu mogłaby zaufać, znowu...

– Jesteś pewna, że musisz je brać? – Teraz Xenia z uwagą przyjrzała się Matyldzie.

– Nie, nie jestem. Może czas sam załatwiłby sprawę. A może nie, Xeniu.

– Matylda głośno wciągnęła powietrze do płuc. – Teraz jednak na pewno widzę, w jakim stanie byłam. Widzę tę różnicę. Nie zdawałam sobie sprawy, że było ze mną tak źle – dokończyła, ścisząc głos.

– Chcę tylko powiedzieć, że to chemia i że jeśli można inaczej...

– Wiem, myślałam o tym samym setki razy. O tym inaczej.

– Przecież działasz jak doskonale naoliwiona maszyna! – Zmarszczone brwi Xeni zdradzały zdumioną ciekawość.

– Dobrze to ujęłaś. Jak maszyna. – Przed oczami Matyldy przesuwwały się w kosmicznym tempie obrazy spraw, którymi była zajęta przez ostatnie miesiące. – A działaniem zagłuszałam cały chaos w środku.

– Myślałam, że jeśli tak dobrze funkcjonujesz, to dajesz radę.

– Też tak myślałam. I byłam tak zajęta tym myśleniem, że prawie mi umknęło, że może mnie wykończyć zwykła bezsenność, jeśli wcześniej sama... – Nie była w stanie powiedzieć tego na głos.

– Naprawdę o tym myślałaś? – To pytanie Xenia zadała po długiej ciszy.

Matylda nie od razu jej odpowiedziała. Musiała mieć chwilę, żeby zebrać siły i powiedzieć to jeszcze raz. Tym razem nie sobie, nie lekarzowi. Żeby raz na zawsze to z siebie wyrzucić i móc już do tego nigdy nie wracać.

– Tak. – Zamilkła na chwilę. – Wystarczająco często, żeby mieć dość takich myśli. Rządziły każdym moim kolejnym dniem.

– Przecież to wszystko siedzi w głowie...

– Wiem, co masz na myśli: pozytywne myślenie, szukanie

alternatywnych rozwiązań, skupianie się na tym, co działa budująco – przerwała jej Matyllda bez zniecierpliwienia. – Próbowałam wszystkiego... Organizm to wielkie laboratorium. Nie musiałam nawet mieć skomplikowanej chemicznej wiedzy, żeby poczuć, że zaczynam się rozklejać jak stara książka. Nie panowałam już nad niczym. Ani nad ciałem, ani nad myślami. – Oddychała szybciej. – Jedna ja patrzyła na drugą, jak ta rozpada się na kawałki.

– Aż trudno w to uwierzyć...

– Trudno. Trudno nawet to wytłumaczyć.

– Myślałam, że to Kostek, że... coś się między wami wydarzyło. Nie chciałam go pytać. – Xenia przygryzała wargę z zakłopotaniem. – To on pytał o ciebie, zrobiłaś na nim wrażenie.

– On na mnie też, muszę przyznać. Ale to nie on. Jeszcze nie teraz. Może nigdy. – Matyllda zrobiła dłuższą pauzę. Czuli, jak delikatnie zaczynają drzeć jej dłonie. – Mężczyzna jako perfekcyjnie działający neuroprzebiegacz? – rzuciła pytanie w rozgrzaną przestrzeń. – Z chemicznego punktu widzenia ma to sens. Ale to nie Kostek. – Wciągnęła powietrze przez nos. – Nareszcie mogę racjonalnie myśleć, planować, koordynować. Bez panicznego lęku, wściekłej rozpacz i tego smutku, który zamykał mi oczy na wszystko. Na wszystko, Xenia. – Przerwała na moment, przyglądając się ogniowi. – Teraz przynajmniej nie uciekam od życia, tylko je dźwigam, pomagając sobie rękami i nogami. I głową! – Zaśmiała się po raz pierwszy od początku tej rozmowy. – Ale ciągle czuję ból jego nieobecności. Jest dużo mniejszy, ale jest. I jest częścią mnie, jak to, co nadal czuję do Kosmy. Nie wyrzucę go z siebie, bo tego nie chcę; nawet, jeśli byłoby to możliwe.

Przyjaciółka przyglądała się uważnie Matyldzie, zapominając o lampce wina, którą trzymała w ręku.

– Wiem, że to chemia, Xeniu. Ale wolę tę chęć do życia, nawet chemicznie

podsycają, niż śmierć za paznokciami. Nie chcę jej czuć nigdy więcej. Rozumiesz? – Odwróciła oczy od ognia.

– To takie...

– Przerazające, prawda? – Matylda mówiła spokojnie, jakby te słowa miały mniejszy kaliber. – Ale ja jeszcze chcę żyć! Najlepiej, jak potrafię. Nie chcę, żeby zniszczyła mnie miłość, która była dla mnie wszystkim i która wciąż wszystkim jest. Pociągnę ten wózek dalej, choćbym miała go ciągnąć razem z moim doktorkiem. Ufam mu bardziej niż wcześniej sobie.

Wstała na moment, żeby sprawdzić, czy któreś z niemowląt jej nie potrzebuje. Ale nic nie mąciło ciszy ani w jednym, ani w drugim pomieszczeniu.

– Czuję, że mam jeszcze szansę...

– Jednak jesteś silna. – Xenia kręciła głową.

– Czasami i mnie się już tak wydaje. Bardziej wtedy, kiedy mam cię blisko. – Matylda uśmiechnęła się do przyjaciółki.

Xenia odwzajemniła uśmiech i upiła łyk wina.

– Będiesz go szukać? – Xenia przerwała w końcu dłuższe milczenie. – Kiedyś? Dziewczynki kiedyś zaczną pytać...

– Nie wiem, co musiałoby się stać, żeby mnie do tego zmusić. Nie wiem.

– Przepraszam, nie powinnam pytać.

– Nie przepraszaj. – Było jej lżej, kiedy mogła komuś wreszcie o tym opowiedzieć. – Niczego w życiu tak nie pragnę, jak tego, żeby go zobaczyć. Ale nie po to, żeby znów odszedł. Wtedy żadna z tych cholernych pigułek nie będzie wystarczająco skuteczna. Nie jestem głupia, żeby aż tak przeceniać ich siłę. Ale w końcu jeszcze tak niedawno nie doceniałam pomysłowości życia, więc po cichu liczę na to, że jeszcze mnie zaskoczy.

– Naprawdę działają.

– Działają...

Tak, chwilami znów miała odwagę marzyć, licząc na to, że w kolejce do pozytywnych zaskoczeń nie znajdzie się na szarym końcu. O sile swoich raczkujących pragnień, które w tej chwili kształtem przypominały zaledwie pobożne życzenia, miała się przekonać, zanim na własnych nogach staną jej szczęścia, śpiące teraz spokojnie za ścianą.

Kiedy już zostawili go samego, mógł w spokoju zająć się tym, co lubił najbardziej – rozważaniem, co by było, gdyby... Przez chwilę poczuł się jak bohater filmu Kieślowskiego z jedną z najlepszych kreacji Bogusława Lindy. Oglądał go wielokrotnie.

Przypadek...

Co by było, gdyby Kiszczak, przejeżdżając przed dwoma laty przez Łódź, włączył inną stację? Kosma nie pojechałby wtedy do Warszawy, nie wziął udziału w castingu, nie trafił do Żółtej Cizemki. List Matyldy leżałby bezpiecznie pod stołem, a jej życie nie zmieniłoby się ani trochę. Byłaby szczęśliwa u boku męża? Czy on sam rozwiódłby się z Kaśką? Niewykluczone, obojgu chodziło to po głowie, a składając sobie życzenia na nowy rok, bali się powiedzieć to, co myśleli naprawdę. Nie, żeby od razu mieli na to nadzieję, ale że nie zmartwią się, jeśli to już ostatni Sylwester w takim gronie... Nie chciał uwierzyć, że jego życiem aż tak kieruje przypadek, że nie ma w nim żadnej głębszej myśli, boskiego planu, czegokolwiek, do czego mógłby się odwołać. A przecież nie on pierwszy, nie ostatni, pomyślał, wierząc się na szpitalnym łóżku. Gdyby Adolfa Hitlera przyjęto do Akademii Sztuk Pięknych w Wiedniu, historia XX wieku wyglądałaby inaczej. Mielibyśmy kolejnego malarza, a nie wojnę i Holocaust.

W sali był chwilowo sam, sąsiednie łóżko nie zostało zagospodarowane. Pasowało mu to; nie potrzebował ani wścibskich pytań, ani udawanej zyczliwości. Chciał po prostu przeczekać do wylotu w jako takim spokoju. Z

tego też powodu zgodził się zostać w szpitalu, doskonale zdając sobie sprawę, że w domu będzie pod ciągłą obserwacją.

Poza tym naprawdę się wystraszył porannego epizodu. Nie wiedział, czy jest po prostu w tak kruchej kondycji fizycznej, czy to rozmowa z Wiktorem wytrąciła go z równowagi. Na pewno mocno przeżył otrzymaną wiadomość. Wiktor nie musiał mówić nic więcej, wszystko stawało się jasne. Będzie musiał się pogodzić z tym, że Matylda ułożyła sobie życie bez niego. Wychodził z tej historii pokiereszowany, ale wciąż żywy. Tylko co to za życie?

Odpalił przeglądarkę w telefonie; sieć działała w szpitalnym budynku bardzo słabo, a zdjęcia ładowały się przeraźliwie długo. Zniechęcony, chciał już zrezygnować, ale zalogował się jeszcze na pocztę, bardziej w poczuciu obowiązku niż z rzeczywistej potrzeby. Nie spodziewał się żadnych istotnych wiadomości, najpilniejsze sprawy pozałatwiał już dawno. Te naprawdę ważne miał przecież dopiero przed sobą.

W skrzynce znalazł informację od agenta nieruchomości. Facet najwyraźniej poważnie podchodził do zlecenia, bo odzywał się co jakiś czas.

Kosma kilka miesięcy wcześniej pytał o nieruchomości na Mazurach. W konkretnym miejscu. W tej okolicy, gdzie mieli zamieszkać z Matyldą. Nie wiedział do końca, po co to robi. Przecież to głupota, próbował przekonać sam siebie. I zaraz po tym zadzwonił do agencji, a ta obiecała wyszukać coś interesującego. Nie spieszył się, przebierał w ofertach. Na wiele z nich nie mógłby sobie pozwolić, niektóre domy były za daleko. Czekał.

Dziś nawet ucieszył się z maila – zdąży im jeszcze podziękować za pomoc i poprosi o zaprzestanie poszukiwań. W nadesłanym liście były dwie oferty. Ta, która otworzyła się pierwsza, przedstawiała ich stodołę. Patrzył jak zahipnotyzowany w wyświetlacz, na którym stopniowo ukazywały się kolejne pomieszczenia w budynku, który wymyślił od podstaw. Wielki

living room, otwarta kuchnia, następnie schody na górę, która kryła sypialnie i jego gabinet. Nie mógł uwierzyć, że dokończyła budowę! Mało tego, zrobiła wszystko tak, jak to zaplanowali. Stare drewno czesane na odpowiednią głębokość, ciemny marmur, szkło i metal tworzyły niesamowitą atmosferę, a dodatki sprawiały, że wnętrze było przytulne i jednocześnie miało klasę.

Zrobiła to, pomyślał.

Nie spodziewała się już dzisiaj żadnego telefonu, ale machinalnie zerknęła na wyświetlacz, kiedy kręciła się między łóżeczkami. Godzinę spokoju miała już dawno za sobą i wyglądało na to, że długo nie będzie kolejnej. Wiktor. Trzy nieodebrane połączenia. Prawda, wyciszyła wcześniej telefon. Dzwonił najpewniej w sprawie niedzielnego wyjazdu. Obiecał, że z chłopcami odwiezie ją na lotnisko. Przynajmniej do momentu startu nie będzie zdana tylko na siebie w podwójnym ogniu podróżniczych niespodzianek, na które, szczerze mówiąc, nie miała wielkiej ochoty, a dokładniej – wcale. I nie chciała wsiadać do samolotu bez rodziny za plecami, jakakolwiek by ona była. Wiktor sam zaofiarował pomoc, a ona się nie opierała. Z rodzicami wolała pożegnać się w domu i zaoszczędzić im wzruszeń, kiedy będzie musiała zniknąć w lotniskowym korytarzu. Sama też nie wiedziała, jak to zniesie. W jakiejś części ciągle była tylko dzieckiem, które czuje się bezpieczniej, mając ojca i matkę na wyciągnięcie ręki. Szczególnie matkę, która zawsze z miłością i zrozumieniem podchodziła do wszystkiego, co aktualnie przeżywała jej jedyna córka.

Wybrała numer byłego męża i czekała na połączenie. Wiktor nie odpowiadał. Spróbowała jeszcze dwukrotnie. Z tym samym skutkiem. Za ostatnim razem odczekała podwójną liczbę sygnałów, po czym odłożyła telefon na stolik. Zawsze oddzwaniał, więc wystarczyło po prostu trochę poczekać. Miała nadzieję, że nie chodziło o najbliższą niedzielę, bo zostało

jej niewiele czasu, żeby zorganizować kogoś innego na ten moment.

Jej telefon milczał kolejną godzinę, której upływu prawie nie dostrzegła. Kiedy miała szansę przez chwilę zastanowić się nad tym, że za kilka dni proces organizacyjny będzie zaczynała od początku, przeszedł ją lekki dreszcz. Znów będzie musiała komuś zaufać, komuś coś od nowa tłumaczyć, pokazywać, sprawdzać... Tutaj miała już to wszystko za sobą.

Wybierając numer byłego męża po raz szósty z rzędu, czuła już wyraźny niepokój. Wiktor zwykle nie sypiał po południu, nie była to też jego pora na wyjścia do kina. Zresztą nawet gdyby, nie pozwoliliby jej czekać tak długo i napisaliby cokolwiek. Nie zamierzała go jednak rozliczać z godzin, kiedy nie odbierał telefonów. Od dawna miał już w końcu swoje życie, do czego zresztą się przyczyniła, i nie mogła mieć o to do niego pretensji. Mógł robić cokolwiek, niekoniecznie sam. Już dawno powinna się do tego przyzwyczać, chociaż kiedy zdarzało jej się o nim myśleć, wciąż widziała go samego przy lampce wina w ich dawnym salonie. Jednym razem było jej żal byłego męża; wracało wtedy poczucie winy, od którego nie zdołała się zupełnie uwolnić, a innym razem sama pragnęła spędzić z nim trochę czasu, nawet w milczeniu, ale gdzieś, gdzie mogła czuć jego obecność. Raczej jednak tylko z czysto egoistycznych pobudek; odpychała w ten sposób od siebie samotność, która czasami chwytala ją za gardło tak mocno, że chęć jej zduszenia była silniejsza niż wszystko inne.

Tak mogliby się jednak tylko bardziej ranić. Bo nie o chwilową obecność przecież im chodziło. Na chwilową obecność na pewno mógł liczyć ktoś inny. Nigdy nie zapomniała tego poczucia ostatecznego odrzucenia, kiedy przypadkiem zobaczyła go z inną kobietą. Nie znała jej, ale też nie na nią patrzyła. Patrzyła na niego. Czuła zazdrość, do której już nie miała prawa i na którą już nawet nie mogła odpowiedzieć. Ale była w niej i w swoim egoizmie kazała jej zapominać, że w rozwodzie uczestniczyli obydwójce i że

przecież tak niewiele się różnią w odczuwaniu samotności i dążeniu do szczęścia. Dlaczego tak ją to dziwiło, że ktoś inny chce mu je dać? Tamtego wieczoru po raz pierwszy tak mocno uderzyła ją myśl, że i ona go skrzywdziła, że też jest winna i że on może przeżywać dokładnie to samo. Długo nie mogła otrząsnąć się z tamtych myśli. Ile trzeba będzie czasu, żeby te ich dwadzieścia pięć lat zdjąć wreszcie z półki spraw niedokończonych? I czy ich zapomnienie to najlepsze wyjście, jeśli takowe jest w ogóle możliwe?

Była skłonna w końcu pojechać na drugi koniec Warszawy, żeby pod jakimkolwiek pretekstem upewnić się, że nic mu nie jest. Zanim zdołała to logistycznie rozpracować, jej telefon rozświetlił się dobrze znanym numerem.

– Wiktor! Niepokoiłam się. – Starła się mówić spokojnie i bez pretensji w głosie.

W odpowiedzi usłyszała mocno niezrozumiały bełkot, z którego wyłowiła kilka wyraźnych słów świadczących o tym, że nic mu nie jest i że jest zwyczajnie pijany. Tego się nie spodziewała, bo upijał się wyjątkowo rzadko, nawet przez cały czas trwania ich małżeństwa, ale wolała już słyszeć taki jego głos niż kogoś z komisariatu albo służb ratunkowych.

– Wszystko w porządku? Nie potrzebujesz niczego? – Próbowała ocenić sytuację.

– Matylda! – huknął jej w ucho. – Dlaczego?

– Co dlaczego?

Jednak byłoby lepiej, żeby zadzwoniła później.

– Dlaczego nie powiedziałaś? Jemu!

– Komu? Czego? Wiktor! Jesteś pijany. Zadzwonię wieczorem. Albo jutro, dobrze?

– Po co.

– Bo jesteś pijany, bo...

– Po co tam jedziesz!

To było pierwsze zdanie, które zrozumiała w całości.

– Wiktor... – Ręce jej opadły.

– On, on ma cię gdzieś! Rozumiesz?

– Zadzwoń jutro. – Zaczynała czuć więcej niż irytację.

– On...

– Jego już nie ma.

– Jest! – Wiktor nie dawał za wygraną.

– W twojej głowie. Tylko w twojej głowie! Ale to już twój problem. Nie zaczynajmy od nowa, Wiktor.

– Zostań...

Jego kilku kolejnych słów nie rozumiała w ogóle.

– Nie musisz. Nie musisz wyjeżdżać!

– Nie muszę. Ale chcę. – Musiała zakończyć tę rozmowę, z której przynajmniej jedna strona nic nie zapamięta. – Chcę.

Rozłączyła się. Lewą ręką przeciągnęła po spoconym czole. Może i chciała, ale czy robiła dobrze, nie miała zielonego pojęcia. Jej cały misterny plan składał się jak kiepskiej jakości tekturowe pudełko. Nowy rozdział w jej życiu... Nie miał łatwego początku. Tak czy inaczej, te wcześniejsze, nawet jeśli zaczytane do znudzenia, będą częścią kolejnych, czy będzie jej się to podobało, czy nie.

Nawet nie tknął obiadu roznoszonego przez salową. Pobrząkiwanie talerzami ułożonymi na wózku i stukanie chochlą w pojemnik z zupą słychać było już z daleka. Pacjenci karnie wychodzili przed salę i ustawiali się, oczekując na swoją kolej. Kosma nie ruszył się z miejsca.

– Pan tu nowy? – zapytała kobieta z dezaprobatą w głosie, stając w progu.

– Nowy – odpowiedział niepewnie.

– Ale może pan wstawać? Lekarz nie zabronił? – drażyla, machając chochlą jak nunczako.

Kuźwa, co to ma być? Zemsta salowej ninja? Kosma zorientował się, że pytania kobiety mają konkretny cel, więc grzecznie usiadł na łóżku.

– Nie jestem głodny, dziękuję.

– Poleży pan trochę dłużej, to zgłodnieje. – Odwróciła się na pięcie i pomaszerowała dalej. Wózek skrzypiał, talerze brzęczały, a całości dopełniał nieznośny zapach garkuchni. Ogórkowa.

Nie miał ochoty na jedzenie. Znów ten cholerny przypadek, pomyślał. Gdybym nie zajrzał do poczty właśnie teraz, nic bym nie wiedział! Dlaczego ona chce sprzedać ten dom? Przecież ma tam pracownię, odpowiednie warunki, na miejscu jest Xenia!

Nie rozumiał, po co włożyła tyle starań, tak wiele zabiegów, żeby urządzić wszystko w zgodzie z ich planami, a teraz... Przecież...

– Powinniśmy byli się poznać dwadzieścia lat temu.

– Byłam już mężatką.

Siedzieli na chybotliwym pomoście, tym samym, na którym Matylda poprzedniego lata ukradkiem czytała pierwsze listy od Kosmy. Było chłodno. Promienie wiosennego słońca nieśmiało ogrzewały im wychłodzone policzki. Patrząc na niego, zastanawiała się, czy kiedykolwiek będzie w stanie się nim znudzić. Chłoneła go całą sobą jak wszystko wokół. I nie miała dość. Wszystko było na swoim miejscu.

– Minąłbyś mnie.

Kosma siedział naprzeciwko niej w taki sposób, żeby móc jej się przyglądać. Lubiała, kiedy na nią patrzył. Była wtedy jeszcze bliżej niego.

– Czemu tak mówisz? – zapytał z ciekawością.

– Nie patrzyłabym w twoją stronę – odpowiedziała po chwili. – Byłam

na progu dorosłego życia, uczyłam się wszystkiego, siebie też, chociaż z tego najmniej zdawałam sobie sprawę. Byłam kimś innym.

Przez chwilę w powietrzu było słychać tylko głośny szum wiatru w nagich gałęziach drzew rosnących nieopodal.

– Na pewno jednak byłam odpowiedzialną matką. I miałam rodzinną misję do spełnienia. Wierzyłam w to, wiesz? – Spojrzała mu w oczy, mrużąc swoje od słońca.

– W wasze małżeństwo?

– Tak. Wierzyłam w to, że jesteśmy parą jedną na milion. Że naszej miłości nic nigdy nie złamie.

Czuła, jak przenika ją wzrokiem. Każde na swój sposób próbowało zrozumieć słowa, których tłumaczenia zwykle się nie potrzebuje.

– Kiedy zauważyłaś, że jest inaczej? – dopytywał.

– Nie dostrzegłam tej granicy. Nie pamiętam. Myślę, że nie zdawałam sobie sprawy, że dojrzewam. Że krok po kroku niezauważalnie ją przekraczam, wybiegając marzeniami w zakłete rewiry, potem myślami, spojrzeniami, w końcu... Rozwój, poszukiwanie siebie, instynkt zlały się w jedno. Więcej czułam, niż myślałam. Celowo zresztą. – Westchnęła. – Myślenie mnie hamowało, bo miało w sobie logikę i moralny alfabet. A mnie to przeszkadzało. Nie lubiliśmy się... Być może, gdybyś poznał mnie wtedy, nie stałabym się dla ciebie nikim ważnym.

– Może dojrzewalibyśmy oboje.

Patrzył na nią z taką czułością, że niemal słyszała, jak jej serce przyspiesza.

– Może. A może znudzilibyśmy się czekaniem na to uczucie niezachwianej pewności? – Przeniosła wzrok na jezioro. – Gubiłam się jak ślepiec. Wydawało mi się, że kiedy będę więcej czytać, więcej wiedzieć, bywać, podróżować, to wszystko zrozumiem. A rozumiałam coraz mniej.

Wiesz, że tak naprawdę nie potrafiłam powiedzieć, czego mi brakuje? – Pytając, odwróciła się twarzą do Kosmy i przysunęła trochę bliżej.

– Bo nie wiedziałaś, czego szukasz.

– Otóż to. – Zrobiła krótką pauzę. – Małego kluczyka pasującego do wszystkich drzwi... To nie byłby nasz czas.

– Pewnie masz rację.

– Wiesz, co myślę? – Matylda dotknęła dłoni Kosmy. – Że ta pewność nie przychodzi tylko z czasem.

– Co masz na myśli?

– Raczej kogoś. Tę właściwą osobę, która ją obudzi. Dopiero wtedy wszystko układa się w logiczną całość; i w zasadzie od tego momentu wszystko powinno zacząć się od początku.

Nie była pewna, czy jej słucha, czy tylko skupia się na jej dotyku.

– Popęd seksualny powinien być lepiej zsynchronizowany z emocjonalnym dojrzewaniem. Nie sądzisz? – Uśmiechnęła się do niego delikatnie.

– Natura jest doskonała, nie zamierzam wchodzić z nią w dyskusję. Zamiast to podważać, wolę robić inne rzeczy. Najlepiej z tobą.

– Jakie? – Przekrzywiła głowę.

– Zamieszkałbym z tobą w tej stodole.

– Na tej kupie kamieni?! – zastanawiała się głośno, czy żartuje.

– I desek. Tak. Zamieszkałbym tam z tobą. Czemu się śmiejesz? – Nie mógł jej rozgryźć. – Cisza, spokój, dzika przyroda i my – wyliczał. – Dla siebie. Cały boży dzień.

Nawet nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo tego chciała.

– Uważasz, że to niemożliwe? – Patrzył jej prosto w oczy. – Jeszcze we mnie nie wierzysz... Co robić, co robić?

– Bądź. A uwierzę we wszystko – mówiła spokojnie. – Tylko bądź, dla

mnie, ze mną, przy mnie. Tego tylko chcę.

– Nie minąłbym cię, Matylda. A nawet jeśli, twoich oczu wypatrywałbym później wszędzie. Żeby sprawdzić, do kogo należą.

Przewijała, karmiła i nosiła dziewczynki od dobrej godziny. Nie czuła ich ciężaru na rękach – chociaż z każdym dniem zdrowo przybierały na wadze, ku radości jej i szczęśliwych dziadków – ani też ciężaru nieustannej opieki nad nimi. Wręcz przeciwnie. Nawet fizyczne zmęczenie, które było nieodłącznym elementem tej codzienności, udawało jej się jakoś okiełznać i zasymilować się z nim na tyle zgrabnie, że to niespodziewane macierzyństwo dawało jej tyle samo przyjemności, co niezwyklego spełnienia.

Teraz też, zatapiając się w ich dziecięcym gaworzeniu, próbowała się uspokoić po dziwnym telefonie od Wiktora. Niepotrzebnie zbudził emocje, o których chciałyby zapomnieć, którym specjalnie podała coś na sen w maksymalnie zwielokrotnionej dawce. Czego oczekiwał? Że będą tworzyć nową rodzinę i udawać, że prawdziwy ojciec tej dwójki nie istnieje, że jest tylko wytworem ich wyobraźni, którą będą naginać pod siebie tak, jak będzie im wygodnie? Tego nie da się już poskładać, Wiktor. Prawie słyszała swoje myśli. Jej były mąż też je kiedyś usłyszy. Tylko musi tego chcieć.

Natarczywy dzwonek do drzwi wyrwał ją gwałtownie z zamyślenia. Jeśli to Wiktor... Miała już dość nerwów w tym tygodniu, zarówno dla siebie, jak i dla rodziców. Podeszła do drzwi z duszą na ramieniu i z jednym z niemowląt na rękach.

– Pani Matylda Witecka. – Wysoki i chudy jak tyczka pracownik poczty przeczytał jej nazwisko z kartki przyklepionej do podłużnej paczki w kształcie długiej tuby.

– To ja, ale niczego nie zamawiałam – odpowiedziała zaskoczona.

Mężczyzna przeczytał również nazwisko i adres nadawcy. Była nim Xenia. Żegnając się z przyjaciółką kilka dni temu, nie mówiła ani słowa o żadnej przesyłce. Czyżby Matylda zapomniała zabrać coś z siedliska?

– To do mnie, mamie – odpowiedziała na nieme pytanie pani Radeckiej, której głowa wyłoniła się na chwilę zza drzwi łazienki.

Z otwarciem paczki musiała poczekać kolejną godzinę, bo koncert życzeń bliźniąt trwał w najlepsze. W końcu udało jej się odwrócić uwagę maluchów od własnej osoby. Potrzebowała dosłownie chwili, żeby zaspokoić swoją ciekawość. W środku sztywnej tuby tkwił rulon opakowany dokładnie białym papierem z przyklejoną do niego niezamkniętą kopertą. Podpis przyjaciółki w liście nie pozostawiał wątpliwości co do nadawcy prezentu.

„Pomyślałam, że Ci się spodoba” – pisała Xenia. „Wyjęłam go z ramy, żebyś mogła zabrać go ze sobą. Jako bagaż podręczny i moje życzenie, żebyś, gdziekolwiek Cię nogi poniosą, mogła znaleźć furtkę do lepszego jutra. Taką jak ta. Ze wschodzącym słońcem. Dla Ciebie. Będę tęsknić”.

Usunęła papierową ochronę i rozwinęła płótno. Przedstawiało zalaną słońcem ogrodową furtkę obrośniętą bujną roślinnością. Trzymała w ręku obraz, który dokładnie rok temu kupiła dla nich, do ich nowego domu. Obraz, który był obietnicą i nadzieją w jednym. Miała powiesić go na ścianie, kiedy zakończy się remont stodoły. Pragnęła zrobić Kosmie niespodziankę, prezent, tak na dobry początek. Nie zdążyła mu go nawet pokazać. Tego samego dnia, kiedy wystawiła dom na sprzedaż, sprzedała też to płótno do jednej z warszawskich galerii sztuki. Zaproponowany przez Matyldę ułamek ceny, którą sama zapłaciła za obraz, skusił właściciela sklepu i skrócił czas sfinalizowania transakcji do minimum. Ciężar tych kilku dodatkowych banknotów w portfelu czuła potem mocniej, niż się spodziewała. Uspokoila się dopiero wtedy, kiedy na pobliskim placu

Konstytucji wsunęła pieniądze w dłonie wysuszonej staruszki, która przy ruchliwym przejściu dla pieszych próbowała sprzedać kilka małych bukietów konwalii i stokrotek.

Teraz wrócił do niej. Jak chichot losu, policzek od życia, który pali żywym ogniem.

To Ty rozdajesz karty! Bierz je sobie wszystkie! – krzyczała w myślach, z całych sił rzucając z wściekłością płótnem o ścianę. Tyle tylko mogła zrobić. Dokładnie tyle, co nic. Ciśnięty obraz strącił ze stołu koszyczek pełen leków. Jego zawartość rozsypała się głośno po podłodze w całym pokoju. Wśród nich było pięć pełnych opakowań silnych środków nasennych, z których tylko jedno – już zużyte w niewielkiej części – wykupiła na receptę od swojego psychiatry, pozostałe zaś udało jej się wyzłapać w innych gabinetach, kłamiąc, że zgubiła pełne opakowanie albo receptę. W ten sposób weszła w posiadanie dawki gwarantującej sen, który wtedy wydawał jej się lekiem na wszystko.

Omijając cały farmakologiczny bałagan, podniosła z podłogi tylko ciemne buteleczki z tabletkami nasennymi. Drżącymi dłońmi otworzyła wszystkie po kolei i wysypała ich zawartość do plastikowego pojemniczka zabezpieczającego smoczek butelki do karmienia niemowląt. Duże niebieskie tabletki wypełniły pudełeczko po sam brzeg. Puste buteleczki wrzuciła do kosza na śmieci, który trzymała pod biurkiem. Błękitny święty spokój...

Spojrzała na maluchy w łódeczkach. Trzymając w jednej dłoni pojemniczek z tabletkami, poszła do toalety. Podniosła klapę sedesu i nagle znieruchomiała z ręką uniesioną nad lustrem wody. Stała tak dobrych parę minut, jakby ktoś obcy zablokował jej wszystkie funkcje życiowe. Nie była w stanie wykonać żadnego ruchu, albo raczej biła się z myślami, który zrobić najpierw. Trzęsła się cała, jakby miała gorączkę.

Miała wrażenie, że wszystkie elektrony atomów jej ciała, wybite nagle ze swoich orbit, obijają się o siebie coraz mocniej i szybciej w jakiejś chaotycznej panice, która z każdą chwilą coraz silniej wprowadza ją w stan obezwładniającej niezgody na to, co działo się z jej ciałem i umysłem.

– Matyllda? – Pytanie matki było jak głos z zaświatów. – Słyszysz, córeczko?

– Tak, mam, chwila... – odpowiedziała nieswoim głosem. Słyszała maluchy; nie dało się ich nie słyszeć. Płacz dzieci zdawał się kompletnie nierzeczywisty, zupełnie jakby pojawił się tam, gdzie nie powinien. Ale był. Pozwoliła, żeby zagłuszył wszystko inne. Przechyliła pojemniczek i całą jego zawartość wysypała do wody. Nacisnęła przycisk spłuczki i wyszła z łazienki, dokładnie zamykając za sobą drzwi.

Nie było go stać na ten dom. Kosma nie miał ani tyle gotówki, ani czasu na załatwianie kredytu. Zresztą po co mu on, skoro jej nie będzie w pobliżu? To nie tak miało wyglądać! Ona miała tam mieszkać, a on powinien osiąść gdzieś w pobliżu i mieć ją na oku. I pozwolić czasowi zrobić resztę. Mogli spokojnie czekać na happy end. Teraz wszystko diabli wzięli...

– Ta oferta, dom ze stodoły... – zapytał, kiedy już dodzwonił się do biura nieruchomości i wymienili z agentem zwyczajowe uprzejmości. – Wiecie coś więcej?

– Co konkretnie?

– Dlaczego właściciele sprzedają? To chyba nowy obiekt?

– Z tego co wiemy, właścicielką jest kobieta nie stąd, wyjeżdża z kraju i chce sprzedać nieruchomość jak najszybciej. To znakomita oferta. Widzę, że coś pana w końcu zainteresowało.

– Wyjeżdża z kraju? A dokąd? – Kosma dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że agent nieruchomości nie może mieć wiedzy o planach życiowych

jego wielkiej miłości. Ale pytanie już padło.

– Nie mam najmniejszego pojęcia. Wiem tylko, że zainteresowanie posiadłością jest spore i odbywa się teraz coś w rodzaju licytacji. Jeśli jest pan zainteresowany, powinniśmy działać szybko.

– Potrzebuję... – Kosma zawahał się. Właściwie to czego potrzebował? Czasu, pieniędzy, woli walki? Matylda wyjeżdża z kraju, z kimś. Czego mu więcej jeszcze trzeba do podjęcia decyzji? – Nie, nie jestem zainteresowany. Dziękuję za pomoc, proszę już nie przysyłać mi ofert.

– Ale... – Głos po drugiej stronie był wyraźnie zdezorientowany.

– Dziękuję, do widzenia! – Kosma powiedział to bardzo cicho i rozłączył się. Najwyższa pora, żeby pożegnać przypadek. Musi wziąć sprawy w swoje ręce, pomyślał. Dwa dni do odlotu, badania, kuracja i szansa na nowe życie. Nowy ja, uśmiechnął się słabo. Nowy ja, sam, ale żywy...

DZIEŃ SZÓSTY

Obudził ją rozsadzający głowę ból. Poprzedniego wieczoru całe napięcie tego tygodnia sięgnęło zenitu. Bez pigułki przeciwbólowej każdy najmniejszy ruch będzie ją przyprawiał o mdłości uniemożliwiające wykonywanie codziennych obowiązków. Niewielki hałas ptaków za oknem oznaczał, że do pory śniadania jest jeszcze bardzo daleko. Cały dom pogrążony był w głębokim śnie.

W kuchni naląła do czajnika świeżej wody i uruchomiła urządzenie. Cicho wyszła do ogrodu i zanim woda zdążyła zabulgotać, była z powrotem z garścią gałązek świeżej melisy i mięty cytrynowej. Opłukała zioła nad zlewem i zalała liście wrzątkiem. Lek przeciwbólowy na pusty żołądek nie był dobrym pomysłem. Jedna niewielka grzanka z masłem i konfiturą truskawkową to było wszystko, co w tej chwili była w stanie przełknąć, ale powinno wystarczyć, żeby niepotrzebnie nie podrażniać lekami przewodu pokarmowego. W oczekiwaniu na działanie tabletki przygotowała świeże porcje mleka dla dziewczynek, pieluszki i dwa komplety czystych ubranek. Gdyby nie fakt, że tak silne bóle głowy wiązały się u niej zwykle z ogromnym napięciem i przedłużającym się stresem, pomyślałaby, że dzieje się z nią coś naprawdę niedobrego. Tym razem nie zamierzała ulec panice. To, co działo się w jej głowie od początku tygodnia, kogoś zupełnie zdrowego rozłożyłoby na czynniki pierwsze.

W ciągu kolejnej godziny ból jednak zamiast zmaleć, nasilił się. Ostatecznie skończyła w łazience, obejmując spoconymi rękami brzegi sedesu i gwałtownie wymiotując.

Spuściła wodę i oparła się plecami o ścianę pomieszczenia. Przeszył ją nieprzyjemny dreszcz, kiedy wilgotna od potu skóra zetknęła się z zimnymi płytkami. Uspokajała oddech, wciągając głęboko powietrze. Drżenie powoli ustępowało miejsca uldze, która pojawiła się gdzieś w okolicy brzucha i zataczając kręgi, obejmowała w posiadanie pozostałe części jej ciała, zmęczone bolesnymi torsjami.

Jak długo jeszcze to potrwa?! Ile trzeba będzie czasu, żeby każde wspomnienie o nim od nowa nie rozrywało jej serca na strzępy? Czy doczeka się kiedyś takiego dnia, kiedy na dźwięk jego imienia nie drgnie żaden mięsień jej ciała, nie zwilgotnieją oczy; kiedy w końcu w rzeczywistości bez niego zazna wreszcie zdrowego snu? A jeśli to nie zmieni się nigdy? Jeśli każdego wieczoru strach będzie miał nad nią władzę absolutną?

Przypomniała sobie Józefinę Szelińską. Postać tej kobiety zapadła jej głęboko w pamięć, a jej życie i miłość, którą nosiła w sobie cicho przez całe życie, poruszyły Matyldę do głębi. Była jedyną kobietą w życiu Brunona Schulza, autora zagadkowych *Sklepów cynamonowych*, który nazywał swoją narzeczoną opiekunką, muzą. Bruno i Juna, jak mówił do wybranki pisarz, nigdy się nie pobrali. Józefina nigdy nie zrozumiała, dlaczego tak się stało, i nigdy się z tym nie pogodziła, chociaż to właśnie ona zdecydowała o rozstaniu po swojej nieudanej próbie samobójczej, która dla Schulza na zawsze pozostała tematem tabu. Jak bardzo wniknął w jej świat, jak mocno ona chciała być obecna w jego myślach i życiu, że później nie związała się już z żadnym innym mężczyzną? I nigdy nie udźwignęła samotności. Odebrała sobie życie pół wieku po tragicznej śmierci narzeczonego. Samotna miłość zdolna zaledwie do oddychania. Wierność nagrodzona cierpieniem nie do zniesienia...

Matylda była Juną – życie i śmierć trzymała mocno za ręce, aż zbielała

jej skóra dłoni.

*rzeczy się psują – zęby, splotczki, kompy, związki, pralki
uwierz, też za każdym razem mam mniej sił do walki
znów poszerza swe zakola strefa dyskomfortu
a ja tonę w wątpliwościach, zamiast pewnie wbić do portu¹⁰.*

Małe radio tranzystorowe, które wyżebrał na dyżurce u pielęgniarek, rzeziło bardziej niż pacjent w sali obok. Z trudem rozróżniał słowa wyrzucane przez Bisza jakby od niechcienia, jak wypluwa się pestki słonecznika, kiedy zalega się w letnie popołudnie na skąpanej w słońcu ławce. Gdyby Kosma nie znał tej piosenki, musiałby się mocno wysilić, żeby zrozumieć sens poszczególnych wyrazów. Ale znał ją na pamięć, jak wszystkie inne, które bezpośrednio odnosiły się do jego sytuacji. Tak, tonął w wątpliwościach. Tak, miał coraz mniej sił do walki.

– Bisz i Radex? Szanuję! Z tego wychodzi, że nie jesteś jeszcze taki stary! – Michalina stała w drzwiach, przyglądając mu się z uśmiechem. Trochę niepewnym, bo trudno było przewidzieć, w jakim humorze zastanie ojca po nocy w szpitalu.

Przysiadła na krześle obok łóżka, a Kosma ściszył odbiornik.

– Wszystko w porządku? – zapytała kontrolnie.

Przewrócił tylko oczami, ale zaraz po tym uśmiechnął się lekko i przygarnął ją do siebie.

– Wiesz, że cię kocham, prawda? – To pytanie zawsze zadawał cichym głosem, prawie tak niskim jak ten, który stosował w pracy. Śmiali się wtedy, bo odpowiadała, imitując jego tembr, co było komiczne i rozczulające zarazem. Dziś zapytał normalnie, a ona zrozumiała, że to nie czas na żarty.

– Przestań. Wiem, do czego zmierzasz. Ojciec, nie dzieje się nic złego.

Za kilka dni będziemy się cieszyć...

– Okej, nie było pytania. Gdzie twoja matka?

– Przyjdzie później, coś tam ci jeszcze kupuje przed wylotem.

Próbowaliśmy cię spakować wczoraj i doszliśmy do wniosku, że potrzeba zrobić szybkie zakupy.

– Wszystko było naszykowane. Zresztą chcę stąd dziś wyjść.

– Po co?

– Chociażby po to, żeby pożegnać się z psem! – Nie miał zamiaru poddawać się tak łatwo, a już na pewno bez walki zgodzić się na kolejną noc z sąsiadem rzeżącym w sali obok.

– Nie cuduj, pies będzie na lotnisku. Pożegnacie się w odpowiednim czasie. Zresztą, jak chcesz, to mogę zadzwonić z domu i pogadasz sobie przez telefon.

– Córko, mam raka, ale to nie znaczy, że zwariowałem.

– Tak? Musiałam coś pomylić. A Klejmann mówił, że...

Rzucił w nią poduszką, ale uchyliła się w porę.

– Sprzedaje dom, którego budowę zaczęliśmy rok temu – odezwał się po chwili.

– Nie rozumiem?

– Matylda. Chciałem, żebyśmy tam zamieszkali. Ty, Helmut, ja i ona.

Mówiłem ci, pamiętasz?

Coś tam pamiętała, ale jak przez mgłę. Głównie dlatego, że nigdy na poważnie nie brała pod uwagę wyprowadzki z Łodzi. Jeszcze nie teraz. Pewnie nigdy.

– Może sprzedaje, bo chce zamknąć pewien rozdział? – zapytała ostrożnie.

– Też tak myślę.

– Nie myśl o tym.

– Ale myślę...

– Posłuchaj, może to ona była u mnie na uczelni?

– Niby po co?

– Może... Sama nie wiem, chciała coś przekazać? Coś, co tam zostawiłeś, a ona nie chciała wyrzucać. Kobiety są sentymentalne, sam wiesz najlepiej.

– To nie mogła być ona.

– Nikt inny nie przychodzi mi do głowy. No dobra, jesteś głodny?

Przyniosłam świeże marchewki.

Spojrzał na nią z wyrzutem i nawet nie skomentował. A jeśli to rzeczywiście była Matylda?

Nie spodziewała się takiego obrotu sprawy. Jej oferta sprzedaży stodoły wciąż budziła zainteresowanie. Mimo iż dwa dni temu znacznie podniosła cenę nieruchomości, telefon w tej sprawie wciąż nie milkł. Nowa kwota padła na licytacyjnym placu boju, na którym zostały już tylko trzy pary. Amator okazjonalnych wyprzedaży w końcu spasował, z czego była wyjątkowo zadowolona, bo temu mężczyźnie nie zamierzała ułatwiać dosłownie niczego.

Wciąż myślała o stodole jak o swoim domu. Był jej w jakiś sposób bliższy niż dom rodziców czy mieszkanie, w którym spędziła ponad dwadzieścia lat z Wiktorem. Ciągle jeszcze nie dopuszczała do siebie myśli, że ktoś inny niż ona sama będzie cieszył się z chwil w tym magicznym miejscu. Pocieszał ją tylko fakt, że zdrowe, spokojne dzieciństwo dziewczynek jest warte takiej właśnie ceny. Na szczęście to nie ona musiała się zastanawiać, ile może wydać, chociaż wysokość ostatecznej sumy za dom nie była dla niej w tej chwili najważniejsza.

Rodzice Matyldy mieli dziś zaplanowaną wizytę u stomatologa. Pani Wanda obiecała przyjść jej z pomocą dopiero za godzinę. Dochodziło

południe, a ona wciąż nie zmieniła jeszcze piżamy na jakiś wygodny domowy ciuch. Dosłownie miotała się między przewijakiem, telefonem a zlewem pełnym brudnych butelek po mleku. Dwukrotnie była zmuszona przerwać rozmowę telefoniczną, którą dzieci skutecznie jej uniemożliwiały.

Jej telefon odezwał się znowu. Spojrzała na wyświetlacz, rozpoznając numer jednego z najbardziej zainteresowanych transakcją. Mężczyzna w białej koszuli, jak nazwała w myślach jednego z najwytrwalej negocjujących, poznanego w poniedziałkowe popołudnie na Mazurach, i jego żona budzili jej sympatię od samego początku. Takich ludzi mogłaby mieć za sąsiadów. Wszystko jednak wskazywało na to, że to Xenia i jej mąż będą się cieszyć towarzystwem państwa Małeckich.

– Proszę wybaczyć, jestem dzisiaj sama z dziećmi – wytłumaczyła się szybko.

– Nie ma problemu – usłyszała uprzejmy głos w słuchawce.

– Możemy kontynuować.

– Pani Matyldo. Powiem krótko. Uśmiech mojej żony jest dla mnie bezcenny. Dla niej to miejsce jest wyjątkowe. To słowo jednak nie oddaje w pełni jego charakteru. Proszę mi wierzyć.

Wierzyła.

– W zupełności podzielam jej zdanie. Przejdę więc do konkretów, jeśli pani pozwoli.

– Słucham – zachęciła.

– Proponujemy z żoną podniesienie aktualnej ceny o siedemdziesiąt tysięcy – ciągnął mężczyzna zdecydowanym tonem.

Wyglądało na to, że negocjacje właśnie weszły w decydującą fazę, a gdy wziąć pod uwagę twardych graczy w niej uczestniczących, ich efekt mógł być dla Matyldy dużo więcej niż zadowalający. Od początku tygodnia cena za dom zmieniła się na jej korzyść dwukrotnie. Tak naprawdę na tym

etapie proponowano jej więcej, niż nieruchomość naprawdę była warta. Teraz gra szła już tylko o to do końca nie sprecyzowane coś, co wywindowałoby cenę stodoły w spokojną przyszłość jej i dzieci.

– To jest pierwsza część naszej propozycji.

– Tak? – Matylda zmrużyła oczy w oczekiwaniu na ciąg dalszy.

– Druga to dodatkowe trzydzieści tysięcy z prośbą o wyeliminowanie pozostałych negocjujących.

– Nie lubi pan konkurencji. – Nie kryła zaskoczenia.

– Chcemy tam zamieszkać, pani Matyldo. – W głosie mężczyzny słychać było więcej niż zwykłą szybką decyzję.

– Doskonale pana rozumiem... – Uśmiechnęła się smutno, patrząc gdzieś przed siebie. Miała nadzieję, że nie było tego smutku słychać. – Zaskoczył mnie pan, muszę przyznać.

– Proszę to sobie przemyśleć. Dodam tylko, że jesteśmy gotowi podpisać umowę i wpłacić zaliczkę jeszcze dziś. Jesteśmy przygotowani.

Rzeczywiście, Matylda miała wrażenie, że państwo Małeccy na taką właśnie okazję czekali od dawna.

– I jeśli to możliwe, jeszcze przed pani wyjazdem. Chcielibyśmy mieć pewność, że oddaje pani swoje dziecko w nasze ręce.

Poczuła bolesne ukłucie w okolicy serca.

– Proszę dać mi trochę czasu, jestem z tym miejscem wyjątkowo związana... – Nie mijała się z prawdą.

– Rozumiem. Zanim odda się pani kwestii bilansu wszystkich za i przeciw, proszę mi jeszcze powiedzieć, czy tej ikony, która zdobi północną ścianę w salonie, nie zechciałaby pani również sprzedać? Moja żona nie mogła oderwać od niej oczu. Czy to pani praca?

Przez chwilę milczała. Poczuła pod powiekami napływające łzy.

– Nie. To dzieło nieżyjącego już ojca mojej serdecznej przyjaciółki.

Matka Boża Korsuńska. – Westchnęła. – Czyli Umilenie. Taką nosi nazwę ten wizerunek Matki Boskiej.

Wybrała ją ze względu na dominujące zieleń, żółcie i złoto. Każdy z kolorów na tym kawałku starego drewna miał swoje znaczenie. Te dwa dla niej najważniejsze – zielony i żółty – oznaczały odpowiednio nowe życie i prawdę...

– Ta ikona miała być właśnie w tym domu, więc nie wyobrażam sobie, że mogłabym zabrać ją w inne miejsce.

– Doskonale. Tym bardziej nalegam na szybką decyzję, korzystną, mam nadzieję, dla obydwu stron.

Jeśli miała sprzedać dom, to właśnie tej parze.

– Oddzwonię do państwa w takim razie jeszcze dziś, jeśli nie wydarzy się nic nieprzewidzianego. – Dopiero teraz poczuła, jak palą ją policzki. Dotknęła palcem czerwonej słuchawki na ekranie aparatu i wolno wypuściła powietrze, z wyraźną ulgą, ale i z jakimś poczuciem nieodwracalnej zmiany, za którą nie do końca była odpowiedzialna.

Znała ojca jak mało kto. Zdawała sobie sprawę, że choć odpowiada na jej pytania, wolno przeżuwa młode marchewki i stara się skupiać na niej, to myślami jest gdzie indziej.

– Mam jej poszukać? – zapytała w końcu, bo nie było sensu dłużej bawić się w kotka i myszkę.

– Tak. Nie wiem. Nie! – Plątał się w decyzjach, choć prędkość, z jaką odpowiedział, była zastanawiająca. Cały czas musiał rozważać w głowie różne scenariusze.

– Daj mi numer do niej, po prostu zadzwonię.

– Oszalałaś? Zadzwonisz i co?

– Nie wiem, powiem, że chcę kupić nowy obraz. Jeśli to była ona, to na pewno o tym wspomni. Jeśli nie, sprawa się wyjaśni i będziesz

spokojniejszy.

– Nie chcę, to zły pomysł. Nie mogę cię wciągać w swoje sprawy.

– Daj mi ten numer i będzie po sprawie! – nalegała.

– Nie mam, skasowałem w nerwach, wczoraj.

To była prawda, usunął jej numer zaraz po rozmowie z agentem od nieruchomości. Taki impuls.

– Jesteś kretynem, tato.

– Do usług... – odpowiedział zrezygnowany.

– Na szczęście masz mnie! – puściła do niego oko i podniosła się z miejsca. – Spróbuję coś z tym zrobić.

– Nie kombinuj, to nie ma już znaczenia – próbował oponować, ale Michalina nie słuchała.

– Aha, właśnie widzę, jak to nie ma już znaczenia... – usłyszał jeszcze, jak mruczy pod nosem, zostawiając go w szpitalnej sali.

Dobrze ją znał, więc wiedział, że nie odpuści. Była tak konsekwentna, jak jej matka. One po prostu działały, kiedy on szukał odpowiedzi w piosenkach. I co ci, matole, przyszło z tych piosenek? Jaką mądrość teraz zacytujesz?

Odwrócił się do ściany i spróbował zasnąć. Jeszcze tylko jeden dzień. Wytrzymaj jeszcze jeden dzień...

Wystawiła spakowane walizki do przedpokoju. Wsunęła do szafy porozrzucaną garderobę, pozbierała śmieci i obficie podlała kwiaty, które w domu rodziców stanowiły w pewien sposób przedłużenie ogrodu. Matka dbała o nie w szczególny sposób. Jej samej nigdy nie udało się wyhodować tak bujnych, zdrowych okazów.

Rozejrzała się po wielkim pokoju. Nie chciała zostawiać matce niepotrzebnego bałaganu. Przysunęła sobie krzesło do szafy, wspięła się na nie i ściągnęła z góry kartonowe pudło, do którego zamierzała schować

dziecięce zabawki. Ciągnięcie dodatkowego grzechoczącego, piszczącego i dzwoniącego ciężaru przez pół Europy było zupełnie niepotrzebnym utrudnieniem. Tutaj przecież też musi coś zostać, kiedy zjawią się tu znowu, za jakiś czas.

Kiedy kładła karton na biurku, jej wzrok padł na wystający zza szafy brzeg dużej teczki na rysunki. Co miała z nią zrobić...?

– Poczekaj! Muszę zobaczyć je z bliska! – pociągnęła zaskoczonych Kosmę za rękaw i nacisnęła klamkę drzwi do rajy dla plastyków. W takich sklepach spędzała równie dużo czasu co w księgarniach czy w sklepach z tkaninami. Tutaj była po raz pierwszy. Gdyby Łódź znała tak dobrze, jak stolicę, właściciel tego przybytku znałby ją pewnie z imienia. Kazała podać sobie komplet ładnie opakowanych pędzli do akwareli, które przykuły jej uwagę w witrynie sklepu. Wyjęła kilka najcieńszych i dotknęła ich włosia, potem przesunęła palcami po białych drewnianych trzonkach.

– To ręcznie wykonane pędzle najwyższej jakości, z ogona czerwonego sobola – zachęcił młody mężczyzna za ladą.

– Kolinsky – powtórzyła za sklepikarzem Matylda. – Proszę je zapakować. I jeszcze trzydzieści arkuszy papieru do akwareli. Ten rozmiar proszę. – Wskazała sprzedawcy właściwy stosik chropowatych kartek.

– Dobry wybór.

– Mam słabość do akwareli. A pan dobre ceny.

Mężczyzna uśmiechnął się życzliwie i zabrał do pakowania towaru w szary papier i firmowe torebki.

– Prawdziwy raj...

Chwilę później, rozmarzona, rzuciła jeszcze przez ramię spojrzenie na kolorową wystawę sklepu, w którym przed chwilą zostawiła sporą część zawartości swojego portfela.

– Wyglądałaś jak dziewczynka w sklepie z zabawkami! – Kosma patrzył

na nią rozbawiony.

– Mhmmm... Jednak te drobiazgi budzą moje większe pożądanie niż kiedyś lalki; nawet w strojach wróżek. Ale tym razem ja coś wyczaruję. Dla nas!

Siedzieli potem w kucki na dywanie w mieszkaniu Kosmy, pijąc wino, zagryzając je orzeszkami i zastanawiając się na głos nad rozplanowaniem przestrzeni w stodole. Matylda na arkuszach rozłożonych na podłodze szkicowała meble, dodatki i roślinność; Kosma podpowiadał fakturę ścian i detali. Bawiła się kolorami, korzystając z bogatej palety akwarelowych kwadracików, mieszając ze sobą barwy najpierw na podręcznej palecie, potem przenosząc te właściwe na arkusz papieru.

Na początku chciała namalować dla niego obraz. Szybko zmieniła zdanie. To byłoby zbyt proste. Chciała spróbować czegoś bardziej spektakularnego. Przyszło jej do głowy coś na kształt przestrzennego dzieła sztuki. Potraktowała stodołę jak płótno, z prawdziwą głębią, gdzie każdy detal miał swoje miejsce i znaczenie; dokładnie przemyślana przestrzeń budząca emocje, przyciągająca, intrygująca, emanująca wyjątkową energią, od której dzień po dniu będą się uzależniać.

– To miejsce przez większość dnia będzie dobrze oświetlone, więc ten kolor jeszcze zyska na intensywności; za to tutaj, w tym zacienionym miejscu, proponuję mocniejszy.

– Będzie doskonałe na nasze zdjęcia – powiedział Kosma, patrząc na szkic Matyldy.

– Nasze...? – Poczowała przyjemne drżenie w okolicy serca.

– Tak; nie będą tu blaknąć od światła.

– Nie mamy jeszcze naszych zdjęć. – Teraz ona spojrzała na rysunek, a potem prosto w oczy rozmówcy.

– Wszystko przed nami! Matylda...

Założył jej za ucho opadający kosmyk włosów.

– Obejrzałem drewno z rozbiórki. Uważam, że jest jeszcze w dobrym stanie. Co ty na to, żeby wykorzystać je w domu?

– Jaki masz pomysł?

– Myślę, że można zrobić z niego solidny stół, regały albo szafki pod umywalki w łazienkach. Spodoba ci się.

– Z pewnością. – W pełni podzielała entuzjazm Kosmy. – Będzie też taniej, jeśli sam znajdziesz na to czas – zauważyła.

– To ma być nasz dom, Matyldo. Nie zapominaj. A ja zamierzam być w nim prawdziwym gospodarzem. Tu popraw! – Dotknął palcem wskazującym fragmentu rysunku.

– Tutaj?

– Stół musi być duży. Będę tam przecież karmił ciebie i naszych częstych gości.

– W blacie zrobimy płytkie wyżłobienie i wypełnimy je mozaiką z resztek kafłowego pieca. Znalazłam ich cały stos na podwórku. – Odłożyła pędzelek, żeby wziąć kilka orzechów z miseczki. Włożyła je sobie do ust i zaczęła głośno rozgryzać.

– Oryginalnie! – Pochwalił pomysł, kiwając głową z uznaniem. – I tanio!

Śmiali się, karmili i całowali na zmianę. Słuchała go z bijącym sercem, patrzyła, jak marszczy brwi i kręci się na swoim miejscu, kiedy zastanawia się nad ich wspólną kuchnią, łazienką, sypialnią... Kiedy dobrnęli do tej ostatniej i naszkicowała na papierze zarys łóżka, spojrzał na nią bez słowa, wyjął jej kieliszek z dłoni i przyciągnął ją do siebie.

– W tym pomieszczeniu ty zajmiesz się tkaninami – zakomenderował jej prosto do ucha. – A ja całą resztą.

– Nie mam nic przeciwko temu. Dostłownie nic... – zgodziła się z

błyskiem w oku.

Odwracając kolejne kartki, prawie słyszała ich wspólny śmiech, przekomarzania i pierwsze klótnie na niby. Zrealizowała ich pomysły jeden do jednego. Dokładnie tak, jak chciał. I dokładnie tak, jak to sobie wymarzyła. Ich wspólny dom w ulubionych odcieniach nocy i dni. Jak udało się jej samej dobrać z tym do końca? Chyba tylko dlatego, że mu to obiecała. I może jeszcze, żeby sobie udowodnić, że raz danych obietnic potrafi dotrzymać. Tej dotrzymała, tyle że przyjemnością jej ostatecznego kształtu będzie cieszył się ktoś inny...

Jedna z dziewczynek gwałtownie zanosła się płaczem. Matylda poderwała się znad kolorowych arkuszy i chwilę później tuliła niemowlę, które równie szybko uspokajało się w jej ramionach.

Chciała wreszcie zapuścić gdzieś korzenie. Jeśli nie dla siebie, to dla córek. Teraz już nic nie mogło jej w tym przeszkodzić. Dla nich miała jeszcze mnóstwo niewypowiedzianych obietnic. I zamierzała je spełnić. Wszystkie.

Michalina miała do wyboru: jechać w ciemno do Warszawy i próbować odnaleźć Matyldę w SenSualu albo skontaktować się z nią telefonicznie. Wybrała to drugie rozwiązanie, głównie dlatego, że nie chciała tracić czasu. Wyszukanie numeru w internecie nie było żadnym kłopotem. SenSual miał rozbudowaną stronę, przedstawiającą chyba cały asortyment, w tym i obrazy właścicielki. Poświęciła kilka minut na przejrzenie wystawionej na sprzedaż kolekcji. Rzeczywiście, pomyślała, do sześciopłamka mogłaby spokojnie dobrać kilka innych wizerunków motyli. Pewnie kiedyś nadarzy się jeszcze okazja...

Choć nie podano bezpośredniego numeru do Matyldy, to na stronie widniały aż dwa numery do sklepu. Pod pierwszym usłyszała sygnał faksu, pod drugim po kilku sygnałach odezwała się kobieta.

– SenSual, w czym mogę pomóc?

To nie była Matylda.

– Halo? – Głos wydawał się lekko zniecierpliwiony.

– Przepraszam, szukam pani Witeckiej. Jest dziś w sklepie?

– Nie, niestety. Coś przekazać?

– W zasadzie nie, chciałam z nią osobiście porozmawiać.

– To będzie trudne, szefowa wyjeżdża za granicę.

– Da mi pani jej numer komórkowy?

– Nie mogę, ale chętnie zapiszę i przekażę informację, kiedy tylko będę z nią rozmawiała.

Michalina zawahała się przez chwilę. Właściwie to co miałaby jej powiedzieć?

– Proszę przekazać, że jeśli to ona szukała mnie w Łodzi, to chętnie z nią rozmawiam. To powinno wystarczyć, dziękuję.

Odłożyła słuchawkę, zanim kobieta po drugiej stronie zdążyła zapytać o coś jeszcze. Nic więcej nie mogła zrobić. Matyldy nie było w SenSualu. Ojciec będzie musiał to jakoś przeżyć. Tylko jak i kiedy powiedzieć mu, że misja się nie powiodła? Zakląła szpetnie. Małe dzieci, mały kłopot, duzi rodzice i masz przerąbane. Życie!

Chodziła po pokoju z jednym z niemowląt na rękach. Wtulała twarz w pachnącą skórę dziecka, jakby niewidzialna zasłona zapachu miała ją ochronić przed jutrem. Czuła, jak z każdą godziną przybiera na sile rozedrganie ciała. Poddawała się zupełnie instynktowi i intuicji. Chciała wierzyć, że jej wewnętrzny kompas tym razem zadziała bez zarzutu.

Drażnił ją dźwięk grającego głośno telewizora za ścianą, uliczny hałas docierający przez otwarte okna i rozmowy rodziców z panią Wandą, która prawie od samego rana przejęła lwią część jej matczynych obowiązków. Matyldzie wszystko dzisiaj leciało z rąk. Miała wrażenie, że myśli wolniej i

przygląda się samej sobie z boku. Nie rozpoznawała w sobie osoby, którą stała się przez ostatnie kilkanaście miesięcy. Nie było już ani tej tryskającej dowcipem, zalotnej i zawsze uśmiechniętej kobiety, której zazdrościli mężowi koledzy, ani tej rozkwitającej na nowo Matyldy, która, odkrywszy w sobie jeszcze wczoraj nieznane pokłady niespożytej energii, chciała ruszyć z posad bryłę świata...

Jeszcze tak niedawno żonglowała dwoma sercami, próbując pozostać ze sobą w zgodzie. Za tę szczerość zapłaciła małżeńską wygodą, umożliwiającą jej czerpanie ze wszystkich sfer życia pełnymi garściami. Wernisaże, malarskie plenery i podróże przeplatała koncertami, wyjściami do kina oraz wieczorami w teatrze. Wrażeniami dzieliła się później z gronem przyjaciół męża, od których obydwójce byli niemal uzależnieni, jakby sami niewiele mieli sobie do powiedzenia. Zrozumiała tę prawidłowość dopiero przy Kosmie. Odtąd nie musiała już mieć słuchaczy i obserwatorów, żeby ich obecność i wzrok skierowany tylko na nią wypełniały jakiś niezrozumiały rodzaj jałowej pustki, której prawie przez cały okres trwania swojego małżeństwa nie potrafiła zdefiniować. Nie umiała jej nazwać, bo do końca nie zdawała sobie sprawy z jej istnienia. Czuła zaledwie instynktownie ten drobny dysonans w ich na pozór idealnym związku. Kilka dni w towarzystwie Kosmy zmiotło ten ład i porządek w jednej chwili, jakby cały ich świat, budowany przez ponad dwie dekady, stał na pokruszonych fundamentach i miał ściany z wiórowej płyty.

A teraz nie miała nawet i tego.

Ze świata proszonych kolacji, prezentów bez okazji i bukietów ulubionych kwiatów, nawet jeśli ten świat świetnie obydwójce reżyserowali, jednocześnie grając w nim swoje życiowe role, sama otworzyła sobie drzwi do miejsca, gdzie gros czasu spędzała tylko w swoim towarzystwie. Aż do

tego momentu nie do końca rozumiała znaczenie słów „cisza”, „chłód”, „pustka”. A przecież chciała jedynie zrzucić maskę, która uwierała tak mocno, że rany przestawały się goić.

Może jednak była to zwyczajna kara od życia? Może niedoceniane szczęście drugi raz nie wraca pod ten sam dach; wyproszone raz za próg, niepielęgnowane i niedostatecznie otaczane opieką, zranione i dumne, nie zapuka już do tych samych drzwi? Jeśli nie chciała go takim, jakim je Pan Bóg stworzył, poszło gdzie indziej... Ale czy gdyby nawet usłyszała, że zamierza odejść, uwierzyłyaby?

Czasami chciała zadzwonić do Wiktora. Kiedy bolał ją ząb i wymiotowała na kolanach w łazience, bo po doustnych środkach przeciwbólowych miała rozstrój żołądka, a innych w domu nie miała; kiedy sama siadała do obiadu, kiedy zimna cisza nieprzespanej nocy kończyła się takim samym porankiem, brodawki obrzmiałych od mleka piersi pękały jej do krwi, a przeszywający ból podczas karmienia docierał do wszystkich zakończeń nerwowych. Albo kiedy tęskniła za niespiesznymi spacerami, czytaniem w łóżku, świątecznymi zakupami, czekaniem, które w końcu zawsze będzie nagrodzone, i kiedy chciała mu powiedzieć, że już rozumie, że wie, co to znaczy, kiedy ktoś odchodzi. To wszystko chciała mu wykrzyczeć, wypłakać, wytłumaczyć. W takie dni nie musiała chować dumy w kieszeni. Zupełnie o niej zapominała. Na długie godziny znikają też gdzieś pewność siebie i jakakolwiek motywacja. Otaczało ją tylko pragnienie wypełnienia ciszy wokół siebie czymś oddechem, kogoś, kto dobrze ją zna, kto zechce chociaż z nią pomilczeć. Byleby to milczenie było wspólne. Z telefonem mokrym od łez i gorącym od zaciśniętej dłoni zasypiała nad ranem płytkim snem, dzień po dniu walcząc z chęcią zrzucenia na ramiona byłego męża ciężaru, który utrudniał jej każdy krok.

Prośba o wybaczenie kołatała się w jej głowie tak samo często, jak myśl

o tym, że kolejnego dnia po prostu nie udźwignie. W najgorszych momentach pojawiała się myśl o totalnej pomyłce, za którą właśnie płaci. Ogarniało ją wtedy przerażenie, że jeśli nie potrafi rozpoznać tego, na czym w życiu najbardziej jej zależy, to wszystko, co ją czeka, będzie nieczytelne i obce – a wszystko przez jej upośledzoną zdolność odróżniania prawdy od mistyfikacji, którą odgrywać będzie przed nią życie – aktor największego formatu.

Miała wreszcie swoje życie bez maski. Płacąc za nie, zrobiła na koncie poważny debet. A jednak wciąż cierpiała głód, którego nawet najkorzystniej oprocentowany kredyt nie będzie w stanie zaspokoić.

Dzisiaj jeszcze jeden numer telefonu odszukała bezbłędnie w pamięci. Ekran dotykowy rozjaśnił się kolorowymi kwadracikami aplikacji. Drżącą dłonią rozwinęła listę kontaktów.

Pani Radecka kilkanaście minut później zastała córkę wpatrującą się martwym wzrokiem w ekran urządzenia.

– Wszystko w porządku, córuś?

– Tak, mamó. – Matylda spojrzała na matkę znad trzymanego w rękę aparatu.

– Przyszli ci państwo, z którymi byłaś umówiona. – Głos matki zdradzał nutę niepokoju i zniecierpliwienia jednocześnie.

– Nie słyszałam dzwonka, przepraszam. Poproś ich do salonu.

– To coś ważnego? – Pani Radecka rzuciła wymowne spojrzenie na telefon Matyldy. – Powiem, żeby poczekali jeszcze chwilę.

– Nie ma takiej potrzeby.

Tak, dokładnie tak uważała. Nie było takiej potrzeby.

– Już idę. – Odetchnęła głęboko.

Gwar rozmowy w pokoju obok zmusił ją do skupienia się na „tu i teraz”.

– Pani Wando? Mamó? Potrzynam małą, póki nie płacze. – Mówiąc to,

weszła do salonu.

– Jeszcze jedno!? – Uśmiech pani Małeckiej był pełen niedowierzania.

– Cieszę się, że państwa widzę. – Matylda szczerze odwzajemniła uśmiech.

Goście podnieśli się na jej widok z głębokich foteli.

– Pozwolą państwo, że jeszcze ktoś będzie uczestniczył w tym ważnym momencie...

¹⁰ Bisz & Radex, *Nie obrażaj się* (sł. Bisz Jaruszewski).

DZIEŃ SIÓDMY

Mów do mnie.

W myślach prosiłam cię o to tysiące razy.

Nadal do ciebie mówię. Codziennie. Złorzeczę ci, krzyczę, pytam, wyśmiewam, użalam się, żebrzę o jedną chwilę, opowiadam, wspominam, błagam o litość...

Pokłóciłam się nawet z Bogiem! Obraziłam się na Niego, bo nie chciałam uwierzyć w swoją pomyłkę. Nie mieściło mi się to w głowie. I nie zmieściło. Nie przeprosiłam... I nawet nie pytam, czy ma jeszcze do mnie cierpliwość.

Więc to jednak nie była pomyłka. Powiedz mi, że nie... Powiedz mi!

Każda komórka mojego ciała wije się z bólu. Cierpię od lodowatej pustki, którą po sobie zostawiłeś. Przyhołubiłam ten ból jak chorego kota, który nie chce odejść spod drzwi. Nauczyłam się żyć z nim pod jednym dachem, chociaż ostrzy sobie pazury na mojej skórze.

Razem z uczuciem do ciebie pojawił się strach. Wierny i stały, brzydki towarzysz mojej miłości. Lęk przed kolejnym dniem bez ciebie. Trwał przy mnie tak samo uparcie, jak moja pewność, że to właśnie ty. Bałeś się? Za siebie i za mnie? To jedno nie przyszło mi do głowy... Dopiero teraz rozumiem. Rozumiem. Jak więc mogłabym mieć ci za złe twój strach? Musiałabym samej sobie zaprzeczyć, próbując wmówić sobie, że nigdy cię nie było! Ale ty byłeś! Jak nikt nigdy wcześniej.

Kiedy myślę o tym, co zrobiłem, chcę wierzyć, że to było mądre. Ale to nie była przemyślana decyzja. Przecież wiesz, że gdybym zaczął się

zastanawiać, rozważać wszystkie za i przeciw, postąpiłbym inaczej. Życiowa mądrość pozwala jednak podejmować decyzje w mgnieniu oka, i ja tak zrobiłem. Zostawiłem cię na tyle wcześniej, że nie miałaś prawa się zorientować, co się dzieje z moim chorym gardłem. Nie ma dnia, bym tego nie żałował. Ten żal miesza się ze strachem. Świadomość nieuchronności pozbawia mnie sił. Gdybyś widziała mnie teraz, nie poznałabyś mnie. Jest mnie mniej. Bez ciebie nie ma mnie prawie wcale. To moje bycie jest bez sensu, jestem tylko dzięki sile rozpędu. Paradoksalnie mówię teraz do ciebie więcej niż wtedy... Jesteś przy mnie cały czas, nic tego nie zmieni. Nie ma decyzji, którą bym podjął, nie zapytawszy cię o zdanie. Czasem łapię się na tym, że te pytania wypowiadam na głos. Helmut to rozumie, wiesz?

Aż do Pizy prawie nie otworzyła ust. Patrzył na jej dłonie, trzymające mocno kierownicę, i na zaciśnięte usta, udając, że kontempluje krajobraz. Dopiero w jakąś godzinę od wyjazdu za rogatki stolicy zorientował się, że nie włączyła radia. Zamyśleni, w ogóle tego nie odnotowali.

Właśnie kończyła swoje małżeństwo. Nie mógł liczyć na to, że dwadzieścia pięć lat w ramionach innego mężczyzny nie pozostawi w niej żadnego śladu.

– Zatrzymaj się, proszę. – Kosma przerwał ciężką ciszę.

– Źle się czujesz? – Spojrzała na niego zaniepokojona.

– Nie. Ale zjedź gdzieś na chwilę.

– Jeszcze kawał drogi przed nami. W prognozie ostrzegali przed popołudniowymi burzami na Mazurach – przypomniała, szukając jednocześnie wzrokiem jakiegoś bezpiecznego miejsca, gdzie mogłaby stanąć.

– Poprowadzę, jeśli zaczniesz lać. Nie boję się burz.

Spojrzała na Kosmę pytającym wzrokiem i włączyła migacz. Wjechała w

jakąś polną drogę. Kiedy wysiedli, uderzył ich zapach wilgotnej ziemi i igliwia z pobliskiego lasu. Oparła się o bok auta, zamknęła oczy i wciągnęła głośno świeże powietrze. Zakręciło jej się w głowie. Kosma stanął naprzeciw niej.

– Spaliłam za sobą mosty, Kosma – tłumaczyła mu swoje milczenie. – Rozpadły się w pył.

Nie odpowiadał przez kilka minut, odgarniając jej włosy, którymi wiatr uparcie zasłaniał jej oczy. Dotknął delikatnie kciukiem jej pełnych ust. Przygryzła wargi, żeby nie czuć łaskotania.

– Jestem świadom tego, jak długo byłaś jego żoną i jak wiele będzie was zawsze łączyć.

Stał tak blisko, że zapach jego perfum zdominował powietrze wokół nich.

– Te lata zawsze będą należały do ciebie i do niego – mówił cicho, ale wyraźnie. – Nie do mnie.

– Nie mogę się pozbyć poczucia winy...

– Byłoby mniejsze, gdybyś nadal oszukiwała jego i siebie? Coś się skończyło między wami, Matyllda.

– Przez chwilę poczułam się kompletnie naga i bezbronna.

– Wierzę ci. – Podszedł jeszcze bliżej. – Kiedy mój świat trafił szlag, też grunt osunął mi się spod nóg. Chociaż nie bez mojego udziału, muszę przyznać. Ale dzięki tobie cały ten Armagedon mijam jak burzę z boku. Twojej też uciekniemy. Prowadzę szybko, ale bezpiecznie. Wierzysz mi?

Patrzyła mu w oczy, szukając potwierdzenia jego słów.

– To, co teraz czuję, przegrywa z pragnieniem stworzenia wszystkiego od nowa, z tobą. – Uśmiechnęła się słabo.

– I tego się trzymajmy! Tego „razem”. Rozumiesz?

– Mam wrażenie, jakbym dopiero teraz była dorosła i za każdy krok

odpowiadała sama – mówiła bardziej do siebie niż do Kosmy.

– Może tak właśnie jest. – Dotknął dłonią jej chłodnej szyi. – Ale to nie znaczy, że ma być gorzej. Zamierzam cię o tym przekonać. W każdy możliwy sposób. Żebyś nie musiała już więcej palić za sobą tych cholernych mostów. Zaufaj mi tylko.

– Ufam ci. – Odwróciła głowę i pocałowała wewnątrz jego dłoni.

– Znalazłem cię, Matyllda! Nic nie jest w stanie tego zmienić.

Objął ją w pasie i przyciągnął mocno do siebie.

– Ja też chcę mieć swoje dni z tobą. Dużo takich dni. Nie wytrę gumką naszych przeszłości. Ale mogę sprawić, że z niecierpliwością będziesz czekała na każde jutro.

– Czekam...

– Wiem. Teraz ja poprowadzę.

Nie była pewna, czy właśnie użył przerośni.

– Mhmmm... – Wyjęła rękę z kieszeni i przesunęła nimi po koszuli Kosmy w okolicach mostka.

– Zbudujemy dom i posadzimy dużo drzew. Będę polował, a ty będziesz dokładała do ognia. Będziemy czekać na wnuki i na starość. Będzie fajnie...

– Nawet jeśli moja skóra zrobi się cienka jak pergamin, a ja będę siwa jak gołąbek? – Przekrzywiła głowę.

– Szczególnie wtedy – odpowiedział gdzieś w okolicę jej ucha.

– Jestem głodna...

– Mam dwie kanapki, śmietankowego pawelka i herbatę w termosie – zareagował błyskawicznie.

– Ciebie! – dokończyła.

– Jedźmy więc. Trzeba napalić w piecu.

– Dobrze, Kosma.

Powieliałam nasz świat dziesiątki razy. Rozciągnęłam go do granic, do których tylko zdołałam dotrzeć. Z kadrów naszych nocy i dni wyłuskiwałam drobiny słów i gestów, które posłużyły mi za kanwę kolejnych. Do przeczekania, do wymilczenia, do oddychania.

Tamtego lata, kiedy zaczęły kwitnąć róże po rowach i ogrodach, chodziłam po polach, szukając kwitnących krzewów, jakby od tego, czy uda mi się zebrać garść płatków, zależało moje przetrwanie. Chciałam skosztować różanych konfitur, do których porównałeś mój smak... Ale nie było w tym nic romantycznego. Rozpaczliwe poszukiwanie twoich śladów. Wszędzie. Nawet tam, gdzie na pewno ich być nie mogło. Jesienią pod zachodnimi oknami posadziłam krzewy róży damasceńskiej. Dla ich wyjątkowej urody i intensywnego zapachu. Ponoć ta róża jest najlepsza na konfitury albo gulkand.

Czasami pojawiałeś się nagle, bez uprzedzenia. Wtedy twoja obecność uderzała mocniej niż moje serce.

Jedną z naszych wakacyjnych uczennic była młoda dziewczyna, Żydówka z Izraela. Przyjechała do Polski ze swoją babką, której rodzinę przez całą wojnę ukrywali w piwnicy polscy sąsiedzi; ulicę dalej od bram getta. Któregoś dnia wzięła do ręki album z reprodukcjami Pissarra, ten, który udało nam się kupić na Piotrkowskiej, pamiętasz? W środku był wiersz od ciebie. Najpierw czytała go w milczeniu, potem zaczęła deklamować na głos w języku, którego nie słyszałam nigdy wcześniej. Jeszcze później na moją prośbę nauczyła mnie mówić go w ten właśnie sposób. Teraz umiem wyrecytować go w jidysz... Wykaligrafowała mi go jeszcze po hebrajsku na kawałku papieru. Wsunęłam go między kartki książki, którą mi rekomendowałeś. Z wieloma innymi „od ciebie” stanęła w mojej – twojej bibliotece. Ich tytuły i treści to nieprzebrzmiała rozmowa z tobą. Słowami są smaki, zapachy, spojrzenia i dotyk, i to, co mieliśmy

odkrywać razem. Ciągłe odkrywam cię na nowo. I wciąż czuję niedosyt.

Opowiem ci, co działo się ze mną wtedy, gdy odnalazłem twój list, chcesz?

Wszystko wtedy stało się jasne, choć tak naprawdę to było szaleństwo. Nie miało prawa się udać, a jednak! Byłaś dokładnie taka, jak chciałem. Powinienem bać się marzyć, bo od tego momentu spełniały się wszystkie zachcianki. Przynajmniej do czasu.

Matylda...

Odkrywałem świat przy tobie. Jakbym zaczynał od zera, każdy wspólny krok, dzień czy noc, śmiech i płacz. Znowu zrozumiałem, ile radości dają pocałunki. Dziś wiem, że mogłem być bardziej zachłanny. Gdybym mógł cofnąć czas... chciałbym mieć z tobą dziecko. Nie, dwójkę albo więcej. Rozkoszną gromadę bachorów; starzelibyśmy się, patrząc, jak dorastają, stają się samodzielne, mądrzejsze od nas. Co powiedziałaabyś na taki plan?

Przepraszam, nie powinienem o to pytać. Wiem, że nie jesteś sama. Może kiedyś się z tym pogodzę, ale prędzej umrę za chwil kilka niepokodzony. Ta ogromna niesprawiedliwość losu jest nie do wytrzymania. Słyszysz mnie, Matylda?

Złamała mnie ta miłość w jakiś dziwny sposób.

Serce stężało mi od bólu. Pokryło się twardym pancerzem, przez który trudno się przebić nawet najbliższym. Chucham i dmucham na tę cząstkę miłości, którą mam jeszcze dla świata i ludzi. Jeszcze się tli. Kiedy się od nich odwracam, krztusi się dymem jak świeczka zamykana pod szklanym kloszem.

Świat mnie przyciąga i odpycha, uszczęśliwia i rani, daje nadzieję i zaraz potem ją odbiera. Chwytam się życia jak tonący brzytwy. Miłość stała się dla mnie udręką i jedynym, co mnie trzyma przy życiu.

Tęsknota... Uśpiła moje ciało i zmysły. Bo fakturę mojej skóry i zapach

świeżo umytych włosów wciąż mam tylko dla ciebie. Chociaż długo nie zdawałam sobie z tego sprawy. Erotyzm stał się baśnią z tysiąca i jednej nocy. Podniecającą, piękną, ale nierealną. Dla mnie samej. Pełen namiętności skarbiec nie ma blasku, nie kusi, nie jest obiektem pożądania. Nie oglądam go z tobą, więc nie wyciągam do niego rąk. Za to obracam w palcach perły łez naszych córek i diamenty ich roześmianych oczu. Wyjątkowy skarb, musisz przyznać. I jedyny, który można pomnożyć, dając tylko siebie. Na niczym mi nie zbywa.

Mam się czym dzielić...

Muszę się zbierać, wołają mnie. Jestem dla wszystkich ciężarem, paczką do przewiezienia. Wszystko jest już ustalone. Zapakują mnie dziś w samolot i polecę szukać szczęścia. Miałem nadzieję, że to szczęście podzielę z tobą na pół, jak wszystko inne wcześniej. Naprawdę we mnie zwątpiłaś... Uwierzyłaś, że mógłbym zrobić coś tak niedorzecznego, jak przestać cię kochać... I wybrać inną?

Nikommu tego nie mówiłem, ale nie chcę tam jechać. Już nie. Wczoraj dowiedziałem się, że planujesz sprzedać nasz dom. Zabolało.

Przepraszam, plotę bzdury. Straciłem prawo, by mówić takie rzeczy. Jeszcze tylko powiem, że kocham cię jak dawniej.

Muszę lecieć, Matylda. Przynajmniej tak mi powtarzają: „Musisz lecieć, Kosma!”.

– Gdzie ojciec? – Widok samych bliźniaków spowodował, że zeszywniała.

– Wszystko okej, spóźni się trochę – rzucił Marek, który pierwszy wszedł do domu. – Musiał jeszcze coś załatwić.

– Dzisiaj?! – Nie wiedziała, czy już może się uspokoić, czy na wszelki wypadek nie chować jeszcze arsenału pretensji.

– Wszystko w porządku, córeczko?

Matka Matyldy była niezawodna. Pojawiła się nagle przy drzwiach, cicho jak cień.

– Wiktor będzie później, mamó.

– Spóźni się? Przecież...

– Pół godziny maks. – Marcel pojawił się zaraz za bratem.

– Hej... – Marek przywitał się z Matyldą i wziął z rąk matki trące piąstkami oczy dziecko. – Chodź tu do mnie, mała. – Uśmiechnął się do dziewczynki z braterską czułością.

– To cały bagaż, mamó? – Marcel taksował wzrokiem zastawiony korytarz.

– To mało?! Jeśli Viola po mnie nie wyjedzie...

– Zaparzyłam świeżą herbatę! – zachęciła już z kuchni pani Radecka. W korytarzu nagle zrobił się tłok.

– Dzień dobry, pani Wando. Cześć, dziadku! – zawołał Marcel w głąb salonu. – Najpierw bagaże, babciu.

Wiktor nie odezwał się od ich ostatniej rozmowy, jeśli nie liczyć lakonicznej esemesowej odpowiedzi, jakiej udzielił byłej żonie na pytanie o obiecaną pomoc w niedzielnej odprawie. Sama też nie czuła się na siłach, żeby wyjaśniać jego zaskakujące zachowanie. Wystarczyło, że domyślała się jego przyczyny. Jej przyszłość była niepokojącym znakiem zapytania, ale nie zamierzała wchodzić jeszcze raz do tej samej wody tylko po to, żeby przed nią uciekać. Sklejanie ich rozbitego małżeństwa na siłę i ze strachu nie miało nic wspólnego z poniesieniem konsekwencji za rozlane mleko. Każde musiało zrobić z nim porządek, ale każde z osobna. W jej mniemaniu ta kwestia nie podlegała już dyskusji. Jeśli Wiktor myślał inaczej, było już za późno, żeby toczyć wojnę na argumenty. Dwa najmocniejsze z nich domagały się właśnie jej zdwojonej uwagi, zupełnie jakby przeczuwały, że zwrócony posiłek czy przetrzymana pieluszka to

dzisiaj dla ich matki nie jedyny powód do zdenerwowania.

– Oj!

Na niezabezpieczonej w porę sukience pani Wandy rozkwitał szybko mokry kwiat gwałtownie ulanego mleka.

– Nie brakuje nam dzisiaj atrakcji... – Matylda położyła na ramieniu sąsiadki świeżą tetrową pieluszkę i podała pani Wandzie czyste niemowlę. Mijając korytarz w drodze do przewijaka, rzuciła do jednego z bliźniaków:

– Potem dokładnie przymocuj, proszę cię.

– Oczywiście – odpowiedział Marcel, chwytając od razu dwa dziecięce foteliki.

Przewijała i przebierała córkę, prawie na nią nie patrząc. Te same ruchy wykonywane setki razy nie przeszkadzały jej myśleć o czymś zupełnie innym. Dziewczynka, zadowolona z nagłej nagiej wolności, gaworzyła do siebie i do matki, próbując dosięgnąć stopą do swoich ust. Matylda wtuliła twarz w ciepły, pachnący brzusek i przez chwilę pozwoliła dziecku bawić się swoimi włosami. Chowala się jeszcze na moment w ten sposób przed spojrzeniami rodziców, pełnymi dziś niepokoju i smutku, błyszczącymi od łez, których nawet nie próbowali przed nią ukrywać. Dzieciom chyba najbardziej udzielał się jej niepokój, którego usilnie starała się po sobie nie pokazywać. Ojciec teraz nie wypuszczał z rąk jednej z wnuczek; mała marudziła od samego rana. Przemierzał z nią pokój za pokojem, pozwalając dziecku dotykać wszystkiego, co uznał za bezpieczne dla malucha. Rozmawiali dziś niewiele, unikając swojego wzroku i dusząc niespokojne myśli, każde po swojemu.

– Mamuś, Wiktor jest. – Chodząca od okna do okna Matylda odsunęła firankę w momencie, kiedy jej były mąż chwycił za klamkę ogrodowej furtki.

– Już...? – Pani Radecka zadała to pytanie zawiedzionym tonem, jakby

nieobecność jej byłego zięcia gwarantowała rezygnację córki z wieczornej wyprawy. Zamiast do kuchni podreptała do sypialni dziewczynek, asystując córce podczas ubierania niemowląt i ukradkiem ocierając łyż brzegiem fartucha...

Leciał do Szwajcarii, więc wszystko odbywało się z precyzją pochodzących z tego kraju czasomierzy. Transport medyczny zgodnie uznali za niepotrzebny zbytek, ale Klejmann tylko rozłożył ręce.

– Monitorują stan pacjenta od momentu przyjęcia zgłoszenia, więc orzekli, że tak będzie lepiej. Nic nie poradzę, pakuj się na wózek! – zakomenderował tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Sanitariusz wprawnym ruchem rozłożył podnóżki, więc Kosmie nie pozostało nic innego, jak tylko zasiąść i pozwolić dowieźć się do karetki. Miał tylko nadzieję, że nie będą jechali na sygnale...

Kaśka i Michalina pojechały drugim autem. Profesor pożegnał całą grupę, wydając jeszcze krótkie instrukcje na czas przelotu. Kosma kiwał głową, odnotowując w pamięci personalia lekarza prowadzącego badania i nazwę ulicy, przy której znajdowała się klinika.

– Bezpiecznego lotu! I proszę rozważnie korzystać tam z komórki, szwajcarskie stawki są dla nas nie do przyjęcia! – zakończył, po czym zniknął w korytarzu.

Ambulans ruszył. Kosma prawie leżał, wygodnie rozparty na wózku. Sanitariusz usadowił się obok kierowcy, od obu oddzielała go przegroda z pleksiglasu. Przez chwilę kołatała mu w głowie myśl, że gdyby na światłach otworzył tylne drzwi i wyskoczył, mogliby się nie zorientować. Ale w ten sposób pogrzebałby szanse na zakwalifikowanie do kuracji. Na taki numer nie przymknie oka żaden psychiatra.

Zamiast planować drogi ucieczki, wyjął telefon i wybrał numer Wiktora. Był rozżalony nie tylko wcześniejszą rozmową, ale też informacją

o planach Matyldy. Naprawdę nie chciał, żeby sprzedawała ich dom. W myślach wciąż go tak nazywał. Ich dom.

Wiktor nie odbierał. A to kutafon, pomyślał. W sumie nie ma mu się co dziwić, ja też bym nie odbierał, doszedł do wniosku, ale ponowił próbę jeszcze kilkukrotnie. Bez efektu.

I kij ci w oko, złamasie, podsumował swoje starania, po czym skupił się na drodze. Trasę do Warszawy przemierzał prawie tak wygodnie, jak w swoim wielkim samochodzie.

Dobrze zrobiła, decydując się na pożegnanie z rodzicami jeszcze w domu. Ilość wzruszeń zwyczajnie ją przerastała.

Ojciec ścisnął jej ręce tak mocno, że poczuła dotkliwy ból; matka nie mogła opanować łez. Matylda niemal siłą musiała uwolnić się z jej ramion, pachnących ciastem, buraczkami na słodko i rosołem. Gdyby nie głośny płacz dziewczynek, pożegnanie przeciągałoby się w nieskończoność. Maluchy wyjątkowo głośno wyrażały swoje niezadowolenie z niezrozumiałego napięcia i hałasu.

Kiedy zapięła pasy bezpieczeństwa, czuła, jak wraca jej ból głowy, potęgowany płaczem zniecierpliwionych niemowląt.

– Jedź, proszę cię... – odezwała się do Wiktora, wzięwszy głęboki wdech.

Wstała przed Kosmą. Wystarczyło jej te kilka godzin snu. Złapała się na tym, że przy nim nigdy nie spała zbyt długo, chociaż uważała się za śpiocha do potęgi. Kiedy miała go na wyciągnięcie ręki, cały czas czuła się w jakiś sposób pobudzona; wibracje jej ciała w jego obecności nie ustawały, zmieniały jedynie swoją częstotliwość zależnie od tego, w jaki sposób akurat spędzali czas. Ten stan był dla niej równie przyjemny, co ciepło erotycznej energii, której gęsty splot czuła wciąż blisko ciała, ilekroć Kosma jej dotykał albo po prostu był gdzieś obok. Wiedziała, że to zasługa feromonów i paru

innych chemicznych cząsteczek, których wysoki jeszcze poziom dostarczał im w ten sposób zmysłowych atrakcji. Ta wiedza jednak w niczym nie burzyła jej poczucia błogości i spełnienia, które ten stan zapewniał. Chłonęła go zachłannie, delektując się nim jak mleczną czekoladą najwyższej jakości. I wciąż nie miała dość...

W kuchni pachniało karmelizowanym cukrem i wanilią. Zdążyła wyjąć z piekarnika garść owsianych ciasteczek i zaparzyć kawę. Za oknem oprószone świeżą zielenią, półnagie jeszcze drzewa stały w bezruchu w przejrzystym powietrzu, pozwalając słońcu wyciskać ze swoich szarych grzbietów życiodajne soki. Uchyliła lekko okno. Na wsi wiosenna świeżość miała w sobie dużo więcej treści.

Kiedy weszła z tacą do ich teraz wspólnego pokoju, Kosma już nie spał. Przywitał ją szerokim uśmiechem.

– Pachnie aż tutaj – zauważył.

– Specjalnie dla ciebie. – Zdjęła z tacy mały talerzyk z ciasteczkami. – Ale znalazłam tylko biały cukier. Myszkowałeś! – Z udawaną złością skomentowała rozgardiasz, jaki zrobił na stole.

– Stała przy ścianie. Byłem ciekawy.

Wsparała sobie do filizanki jedną tyżeczkę cukru i usiadła na fotelu, obejmując dłońmi parujące naczynie.

– Są twoje, prawda? – zapytał.

– Tak.

Kosma przeglądał dużą teczkę Matyldy z projektami letnich i koktajlowych sukienek, do których wracała co jakiś czas od kilku lat. Nie miała do końca pomysłu na całość kolekcji. Bywały dni, kiedy otwierała teczkę, ostrzyła ołówki i po jałowej godzinie chowała wszystko z powrotem. Nie chciała robić nic na siłę. Ograniczyła się więc tylko do form i opisu rodzaju tkanin. Grafika i kolor wciąż tkwiły gdzieś głęboko, niewidzialne

dla jej wyobraźni.

– Xenia podsunęła mi ten pomysł. Autorska kolekcja: mój projekt, jej wykonanie i wspólny marketing. Długo nie mogłam znaleźć wspólnego mianownika – opowiadała, zerkając na barwne kartki.

– Są kompletne.

– Teraz tak. – Upiła kilka łyków gorącego płynu. – Skończyłam je niedawno. A konkretnie tydzień temu. Znalazłam! – Uśmiechnęła się zagadkowo.

Dla Kosmy to Matylda ciągle była zagadką. Chociaż w tej chwili był prawie zupełnie pewien, że wie, o czym mówi siedząca przed nim kobieta z dłońmi pachnącymi kruchym ciastem.

– Są odważne. Bardzo kobiece i zmysłowe – oceniał starannie. – Nie miałbym nic przeciwko temu, żeby tak wyglądała polska ulica. I jestem pewien, że reszta facetów miałaby takie samo zdanie.

– Zależało mi na tym, żeby połączyć klasykę i ponadczasową elegancję z jakimś elektryzującym pierwiastkiem nowoczesności i dzisiejszej szeroko rozumianej wolności. Coś na zasadzie... – Szukała w głowie odpowiedniego porównania. – Żeby kobieta u boku mężczyzny nie stanowiła li tylko pięknego kwiatu w butonierce. Jeśli wiesz, co mam na myśli.

– Mhmm... Pędzlem malowana licentia poetica. Ale kupuję to! Pokazywałaś to komuś?

– Jeszcze nie. – Imponował jej entuzjazm Kosmy. – W kwestii tego, co tworzę, nigdy mi się nie śpieszy. To mi się zawsze opłaca. Co nagle, to po diable. Przyjdzie i na to czas.

– Zaskakujesz mnie...

Wciąż przewracał wolno i ostrożnie duże barwne arkusze z dopracowanymi szczegółami rysunku i obszernymi opisami kolekcji. W końcu złożył kartki jedna na drugą i starannie zamknął teczkę. Kręcił

głową z niedowierzaniem i ciągle się uśmiechał. W taki sposób, jakby obnażyła przed nim nie tylko swój talent, ale też część swojego umysłu, który podniecał go równie mocno, co każdy centymetr jej ciała.

– Pamiętasz Marzyciela? – Wstała z fotela i usiadła obok niego na kanapie. Odłożyła filiżankę na stoliczek i podkurczyła nogi, moszcząc się wygodnie obok Kosmy. – Dramaturg, którego wypala od środka pustynia twórcza. To najgorsze, co się może trafić artyście. Pustka i biała kartka, która nie ma nic do powiedzenia. Wszystko się zmienia, kiedy poznaje śmiertelnie chorą kobietę wychowującą samotnie gromadkę dzieci. Tego, co się rodzi między tym dwojgiem, nie da się ująć w żadne ramy. Obydwoje są tym zadziwieni, oszołomieni, zakłopotani... Nie dotykają się, nie dzielą ze sobą nocy, nie mówią słów, które uznajemy za miłosne wyznania. Ale znajdują w sobie ten swój świat, w którym najchętniej zostaliby razem na dłużej.

Milczała dłuższą chwilę.

– Potrzebny był mu ten drugi ktoś, kto poruszy w nim tę cząstkę istnienia, która potrafi spleść wszystko w jakąś jedność. I w tej jedności odnaleźć wreszcie swoje miejsce. Jako twórca, człowiek i sprawny trybik wielkiej społecznej maszyny.

Przyglądał jej się uważnie.

– Jesteś brakującym ogniwem w mojej teorii kolorów...

– Inspiruję cię malarsko? – droczył się z nią, chociaż doskonale zdawał sobie sprawę z puenty jej opowieści.

–...życia. – dokończyła. – I wiem, co chcesz zaśpiewać! – Zaśmiała się głośno, zamykając mu tym zdaniem usta, które otworzył chwilę wcześniej, żeby jakąś własną klamrą spiąć i schować dla siebie to, co dostał od niej tego ranka.

– Siedzisz w mojej głowie!

Śmiał się sam do siebie, nucąc w myślach szlagwort starego przeboju.

Przytuliła się do niego, chrupiąc mu w ucho owsianym ciasteczkiem i gubiąc okruchy między poduszkami na kanapie.

Mocno pocierała dwoma palcami gładką powierzchnię złotego motyla i czuła, jak słowa nocnej rozmowy z matką rezonują w jej głowie wspólnie ze stresem i miłością wystawioną na próbę. Prawie nie słyszała cichnącego powoli płaczu dziewczynek.

– To na szczęście.

– Mamuś... – Matylda otworzyła ostrożnie małe pudełeczko na biżuterię.

– Jest śliczna. W środku błysnęła drobnym splotem cieniutka złota bransoletka z zawieszka w kształcie małego motyla.

– Nie trzeba było, mamo.

Kładły się wyjątkowo późno. Do późna w nocy okupowały kuchnię, rozmawiając o wszystkim i o niczym, wykorzystując kulinarny poligon nowych przepisów jako zastonę dymną przed emocjami szybko zbliżającej się niedzieli, na którą każda z nich czekała ze skrajnie różnymi uczuciami.

– My z ojcem, dziecko...

– Wiem, mamo – odezwała się Matylda, kiedy matka nagle ucichła. – Nie mogłam sobie wymarzyć lepszych rodziców. Wiesz? – Spojrzała pani Radeckiej głęboko w oczy. Głos łamał jej się raz za razem. – Nie martw się, proszę... – Nic innego nie przychodziło jej teraz do głowy oprócz tej wyświechtanej formułki.

– Dzwon często...

– Obiecuję. Codziennie.

Wiktor najwyraźniej zbierał się w sobie, żeby jej coś powiedzieć, widząc, jak niespokojnie oddycha i mocno zaciska usta, ale zdążył tylko nabrać powietrza, kiedy odezwał się jego telefon. Dźwięk wydał się Matyldzie kompletnie nienaturalny w małej przestrzeni auta. Jak mógł tak sobie

najzwyczajniej w świecie dzwonić, kiedy ona własnymi rękami przewracała swój świat do góry nogami? A raczej zamierzała przemierzyć ten świat uzbrojona tylko w talent, strzępki nadziei i miłość najbliższych. Czy to wystarczy, żeby znowu przyszła jej dobra karta?

Wiktor zignorował natarczywca, a kiedy telefon odezwał się po raz trzeci, odrzucił połączenie po drugim sygnale.

– Dziś nie ma korków.

– Mamy zapas czasu, nie spiesz się...

Kątem oka zerknęła na byłego męża. Był spięty. Doskonale знаła to zmarszczone czoło i płaski tembr głosu. Nawet nie przyszło jej do głowy, żeby kazać mu się tłumaczyć z niedawnego zachowania. Była już mocno zmęczona tym dniem i nie chciała tracić czasu, jaki im jeszcze wspólnie pozostał, na jakiegokolwiek wymówki, do których i tak przecież nie miała już prawa. Miała do niego i kilka pytań. Ale tylko w głowie. Znała na nie przecież odpowiedź. Milczała więc, nie znajdując słów na ciężką ciszę, która umościła się gdzieś między tablicą rozdzielczą, drążkiem zmiany biegów a jej dłońmi, ściskającymi kurczowo torebkę z dokumentami i nowym adresem...

– Odzywaj się.

– Dobrze. – Spojrzała na Wiktora i poczuła mrowienie pod powiekami.

– To nieznośnie frustrujące, ale nie pozbyłem się jeszcze lęku o ciebie – mówił, patrząc uważnie przed siebie.

– Ja o ciebie też – odpowiedziała zgodnie z prawdą. – Wieloletnie związki chyba już tak mają. – Ściszyła głos. – Taka miłość przez zasiedzenie...

Uśmiechnął się słabo na ten jej słodko-gorzki żart.

– Nie dociera to do mnie.

– Ja od dawna oglądam siebie z boku.

Przemilczeli dwa kolejne skrzyżowania.

– Dlaczego nigdy mu nie powiedziałaś? – wyrzucił w końcu z siebie.

Dobrze wiedziała, że pyta o bliźniaczki. Spojrzała w okno po swojej stronie. Długo milczała.

– Potrzebuję miłości, nie jałmużny.

– Nie szukałaś go?

– Nie chcę o tym mówić – ucięła. – Przepraszam cię, ale mój umysł nie jest zdolny sklasyfikować tego, co się dzieje w moim życiu. Staram się myśleć tylko o tym, co jestem w stanie zrozumieć. Reszta musi poczekać. Nie wiem, jak długo, ale musi.

– A gdyby...

– Zwolnij trochę. – Spojrzała na niego smutno. Nie mógł być pewien, czy chodzi jej o prędkość, z jaką prowadził, czy szybkość zadawanych pytań.

– Musi mi wystarczyć to, co jest. Po prostu musi – dokończyła.

– Zadzwoń zaraz, kiedy wylądujesz, okej? – poprosił po dłuższej pauzie.

– Zadzwonię... – odpowiedziała spokojnie i obróciła się do tyłu. Maluchy siedziały cicho, chociaż żadne nie spało.

Dobrze, może pośpią w samolocie, pomyślała.

– Dziękuję ci za dzisiaj.

– Nie mógłbym inaczej.

– Fajnie... – Westchnęła. – Nie będzie mnie żegnał nikt bliższy. –

Odwróciła twarz do Wiktora.

– Zależy mi na tym, żebyś była szczęśliwa – powiedział pewnym głosem. – Gdybyś zmieniła zdanie... – Wyprostował ręce na kierownicy.

– Będę pamiętać – odpowiedziała poważnie.

Do skrętu na lotnisko rozmawiali już tylko o rodzicach i technicznej stronie jej warszawskiej nieobecności. Podczas wjazdu na teren portu lotniczego telefon Wiktora zadzwonił po raz kolejny. Tym razem odrzucił

połączenie z wyraźną złością. Zauważyła ten gest, ale nie skomentowała go słowem. Jego prywatne życie od dawna nie było już jej sprawą. Chłopcy czekali na nich przed wjazdem na parking. Warszawscy taksówkarze, jak widać, nie tracili cennego czasu. Wiktor sprawnie lawirował na zatłoczonej przestrzeni. Chwilę później bliźniaki pomagały matce wypinać maluchy z fotelików. Marek zarzucił sobie na ramię podręczną torbę Matyldy i wziął ostrożnie na ręce jedną z sióstr. Telefon Wiktora rozdzwonił się ponownie.

– Stańcie w kolejce do odprawy bagażowej – zakomenderował. – Zamknę samochód i pójde po wózek na walizki.

Był wyraźnie poirytowany i mocno czymś zdenerwowany. Nie miała możliwości wyczytać więcej z jego twarzy, zmuszona skupić się na córeczkach.

– Chodźmy. – Zarejestrowała tylko zacięte usta byłego męża i ostre spojrzenie wbite w ekran trzymanego w ręku telefonu, po czym ruszyła za synami w kierunku wejścia na lotnisko.

Chwilę trwało, zanim odszukali właściwą kolejkę. Parę minut później dołączył do nich Wiktor z bagażami i złożoną spacerówką. Lotniskowy szum i mnogość nowych bodźców zaniepokoiły dziewczynki. Zaczęły popiskiwać niespokojnie i układać usta w znajomą podkówkę. Kolejka na ich widok zafalowała przyjaźnie. Szybko zaproponowano im przejście na przód kolorowego ogonka. Uśmiechając się w podziękowaniu, skrzętnie skorzystali z propozycji. Matylda miała nadzieję, że obsługa samolotu okaże się dla niej równie pomocna i życzliwa, jak ta przy odprawie. Samymi ciepłymi uśmiechami nie uspokoi ani nie nakarmi niemowląt, które w nowym otoczeniu na pewno pokażą swoją ciemniejszą stronę.

Uściskała chłopców, nie bardzo wiedząc, co im powiedzieć.

– Dbajcie o siebie wzajemnie i nie zapominajcie o dziadkach – wykrztusiła wreszcie.

– Możesz na nas liczyć. Kocham cię, mamó. – Marek jeszcze raz ucałował ją w policzek.

– Ja was też. Bardzo mocno. – Zmierziła im włosy jak kiedyś. Tym razem żaden się na nią nie zachnął.

– O ojcu też nie zapominajcie... – przypomniała im jeszcze ze łzami w oczach.

– Się wie, mamuś! – odpowiedział Marcel.

Poczekali, aż bliźniaki znikną w wyjściu i dopiero później ruszyli do bramek kontrolnych. Chcieli, żeby Wiktor mógł zostać z Matyldą i dziećmi w hali odlotów aż do chwili wejścia rodziny na pokład samolotu, ale nie było o tym mowy.

– Środki ostrożności. – Kobieta zawiadująca ruchem wzruszyła ramionami i zasugerowała, żeby pasażerka skorzystała z pomocy lotniskowych stewardów.

– Za tą linią mogą przebywać tylko osoby posiadające ważny bilet. Przykro mi. – Naprawdę wyglądała, jakby odmowa sprawiła jej niemal fizyczny ból. – Za to personel lotniska jest do pani usług, jeśli tylko życzy sobie pani pomocy.

Matylda spojrzała na pozostające pod opieką Wiktora bagaże i zrezygnowana skinęła głową.

– Życzę sobie, oczywiście.

Pożegnanie z byłym mężem miało wyglądać inaczej, ale zmiana scenariusza wymusiła ograniczenie się do kilku zdawkowych zdań. Chciała mu podziękować za pomoc i powiedzieć coś ciepłego; nie zdążyła, a i on chyba odetchnął z ulgą z powodu zmiany planów.

– Proszę, uważaj na siebie i dzieci. – Na chwilę przytrzymał jej rękę, po czym odwrócił się i odszedł.

Matylda rozejrzała się wokół i dostrzegła czekającego już dyskretnie

stewarda, który najwyraźniej nie chciał zakłócać rodzinnej – jak mu się wydawało – sceny. Teraz jednak podszedł do nich ze służbowym uśmiechem.

– Potrzebuje pani pomocy?

– Bardzo! – Matylda odprowadziła wzrokiem Wiktora, po czym poprosiła mężczyznę o rozłożenie spacerówki. Po małej ekwilibrystyce przy ciasnych bramkach mogła w końcu odetchnąć bez dodatkowego tłumu odprowadzających. Spokojniejszą dziewczynkę usadziła wygodnie w rozłożonym wózku, drugą musiała wziąć na ręce. Mała nie przestawała płakać i rozglądać się ze strachem wokoło.

– Pan Kosma Makarski, powtarzam, pan Kosma Makarski proszony do wyjścia numer siedem. – Lotniskowe głośniki odezwały się kolejnym komunikatem dla pasażerów.

Matylda nadstawiła uszu.

– Słyszał pan? – Spojrzała spłoszona na swojego towarzysza.

Ten wzruszył ramionami, jakby usłyszany komunikat wcale go nie zaintrygował. Matylda zdenerwowana rozejrzała się wokół. Wahała się tylko przez chwilę.

– Niech pan tu poczeka! – zarządziła, po czym podeszła do pary pracowników lotniska, która przy wejściu zamkniętego jeszcze lotniskowego rękawa przeglądała jakieś pliki papierów.

– Przepraszam, Matylda Witecka – przedstawiła się szybko. – To wejście na lot do Verony, zgadza się?

– Tak, proszę pani. Tablica nad nami wskazuje numer i godzinę lotu. – Zagadnięta kobieta wskazała na włączony ekran nad ich głowami. – W czym mogę pani pomóc?

– Jestem pasażerką tego lotu, razem z córkami. – Matylda starała się tłumaczyć spokojnie. – Ile mamy czasu do rozpoczęcia procedury

boardingowej?

– Coś się stało? – Kobieta podniosła wzrok znad dokumentów i uważniej przyjrzała się pasażerce.

Matylda zaprzeczyła ruchem głowy. To najwyraźniej wystarczyło, bo kobieta zerknęła na zegarek i uśmiechnęła się przyjaźnie.

– Zostało kilka minut, za chwilę uzyskacie państwo możliwość wejścia na pokład samolotu.

Komunikat z nazwiskiem Kosmy został powtórzony jeszcze raz. Słyszając go, Matylda czuła się coraz bardziej zdezorientowana. Wróciła do czekającego kilka kroków dalej stewarda.

– Proszę popilnować bagażu, zaraz wrócę – zdecydowała.

– Spokojnie, będę tu czekał. Nie odleczę bez pani – spróbował jeszcze zażartować.

– To już wiem.

Reszty chciała dowiedzieć się sama. Z dzieckiem na ręce ruszyła przed siebie, popychając wózek z drugim maleństwem. Szybko znalazła otwarty korytarz z dużą siódmką nad skrzydłami drzwi. Hol dla pasażerów świecił pustką. Wyglądało na to, że ci ostatni sadowią się już wygodnie na pokładzie samolotu. Numer lotu i cel podróży wyświetlony na migającym delikatnie ekranie nic jej nie mówił. W pewnym momencie spojrzała w głąb przejścia, gdzie właśnie pojawiły się dwie kobiety. Jedna z nich, w jasnych szortach i z rozpuszczonymi ciemnymi włosami, wyglądająca na nastolatkę, pchała przed sobą wózek inwalidzki. Dziewczyna nagle odwróciła się, spojrzała na zdziwioną Matyldę i gwałtownie się zatrzymała. Musiała coś powiedzieć, na tyle głośno, że towarzysząca jej kobieta podążyła wzrokiem w tym samym co ona kierunku. W młodej dziewczynie Matylda natychmiast rozpoznała Michalinę. Od czubka głowy do pięt przeszył ją silny prąd, jakby dotknęła czegoś pod napięciem.

Znieruchomiała. Nogi zmiękły jej w kosmicznym tempie, a serceomal nie przebiło klatki piersiowej. Nie musiała widzieć twarzy, żeby zorientować się, kto siedzi na wózku. Jego pasażer długo nie trzymał jej w niepewności. Odwrócił głowę w stronę Matyldy jako ostatni.

– Kosma... – wyszeptała bezdźwięcznie.

Stała bez ruchu, pozwalając niemowlęciu ciągnąć się za włosy. Zabawa sprawiała dziecku taką przyjemność, że piszczało głośno z zadowolenia, wypełniając w ten sposób ciszę pustej hali. Nie potrafiła ruszyć się z miejsca i zupełnie nie wiedziała, co ma teraz ze sobą zrobić. Na twarzy Kosmy malowały się chyba wszystkie znane jej emocje. Zobaczyła, jak próbuje się podnieść, opierając dłonie i przedramiona na oparciach fotela, i jak chwilę później opada ciężko na wózek, oddychając z trudem.

Całe emocjonalne tsunami, które przetaczało się przez nią przez ostatnie dwanaście miesięcy, uderzyło w nią jeszcze raz, z siłą, która zdawała się zatrzymywać jej wszystkie życiowe funkcje. Tuliła do siebie dziecko, nie mogąc jednocześnie oderwać wzroku od spojrzenia Kosmy, pełnego pytań i błyskawicznie zmieniających się uczuć. Nie wiedziała, które z nich trzyma na uwięzi wzrok drugiego. Tyle smutku i radości jednocześnie jeszcze nigdy nie widziała w jego oczach. Resztę jego emocji rejestrowała już tylko sercem.

– Panie Makarski! – Głos mężczyzny z obsługi lotu spowodował, że Kosma wzdrygnął się na fotelu. – Proszę do wyjścia!

Na krótki moment wzrok Kosmy powędrował w kierunku wylotu korytarza, skąd dochodziło jeszcze ponaglące echo, a chwilę później zatrzymał się na niemowlęciu trzymanym na rękach Matyldy, po czym ześlizgnął się na drugie, spokojnie drzemiące w spacerówce. Nieme pytanie na jego twarzy było tak wyraźne, że niemal je usłyszała. Spojrzała z czułością na dziewczynki i tym samym spojrzeniem obdarzyła oniemiałego

Kosmę. Mała po raz kolejny boleśnie pociągnęła matkę za włosy. Dwa słone strumienie płynęły jej po policzkach, łagodząc ból dziecięcej pieśczoły i obnażając cały ogrom uczuć, których nie potrafiła już przed nikim ukryć. I nawet nie próbowała.

– Zaczekaj na mnie, Matyldo... – odczytała z ruchu jego warg.

Radosny pisk dziecka nałożył się na ponaglący komunikat na końcu korytarza. Było jej gorąco i duszno, jakby ktoś nagle w całym wielkim pomieszczeniu odciął tlen.

– Zaczekam! – krzyknęła jeszcze, zanim drzwi do wyjścia na płytę lotniska zatrzasnęły się na dobre. – Słyszysz? Zaczekam!

Na dobrą sprawę nie pamiętała prawie nic z tego, co wydarzyło się później. Wróciła na swoje miejsce i usiadła na skraju ławki. Steward przyglądał jej się bacznie, ale nawet nie próbował zagaić rozmowy.

Ciszę przerwała kobieta w mundurze, która pochyliła się nad Matyldą, by zaprosić ją na pokład.

– Tak, tak, już się zbieram – odpowiedziała i wyprostowała się wolno. Z torebki wyjęła jeszcze mały notes, wydarła z niego kartkę i napisała: „Halszka i Różanka”.

Złożoną wpół podała stewardowi, z szybką instrukcją, komu ma ją przekazać. Jeśli los poda jej rękę, chciała, żeby i Kosma dostał coś dla siebie...

Obsługa pomogła jej zająć miejsce i usadzić dziewczynki. Sam lot przebiegł bez problemów; cieszyła się, że córki grzecznie śpią, mogła rozmyślać i analizować to, co wydarzyło się w Warszawie. Kiedy lądowali, wiedziała już, co powinna teraz zrobić.

Zanim jeszcze pojawiły się komunikaty o możliwości odpięcia pasów, sięgnęła po telefon i wybrała zapisany niedawno numer.

– To ja, przepraszam, ale nie sprzedam państwu tego domu. Nie

sprzedam za żadne pieniądze. Jest szansa, że jeszcze będę w nim szczęśliwa.

Rozłączyła się i spojrzała na córki. Halszka i Różanka przebudziły się i z uwagą słuchały jej głosu, jakby wszystko rozumiały.

– Zaczekamy...

OD AUTORÓW

Jednym z najczęstszych pytań zadawanych przez czytelników *Napisz do mnie* było: czy Kosma przeżyje? Właśnie dotarło do nas, że sytuacja powtórzy się i teraz, że to samo pytanie zadawać nam będziecie przez kolejne miesiące...

Kosma. Cóż, lubimy go nie mniej niż Wy i przyznajemy, że trzeci, finałowy tom tej opowieści bez niego po prostu nie ma sensu! Chyba że... nie wykorzysta swojej szansy.

Ale nie uprzedzajmy faktów, wszystko wyjaśni się w przyszłym roku.

Siedem miesięcy po naszym debiucie otrzymujecie *Zaczekaj na mnie* – drugą część prawdziwej historii pięknej miłości. I choć jest to książka inna niż jej starsza siostra, to włożyliśmy w nią te same emocje i nadzieje.

Pisząc *Zaczekaj na mnie*, posiłkowaliśmy się informacjami z wielu źródeł – oprócz wymienionych bezpośrednio w tekście korzystaliśmy też z Wikipedii, internetowych forów i portali specjalistycznych. Na przykład rozmowa Matyldy z ginekologiem o ciąży wielopłodowej powstała na podstawie fragmentów artykułu Agnieszki Roszkowskiej zamieszczonego w miesięczniku „M jak Mama” (numer z 5 października 2012 r.), dywagacje o kolorach żałoby zainspirował artykuł ze strony eioba.pl (ewfor, *Kolory żałoby*, <http://www.eioba.pl/a/49z3/kolory-zaloby>; dostęp: 23 maja 2018 r.), a portal zwrotnikraka.pl pozwolił nam poznać przebieg choroby, która dopadła Kosmę.

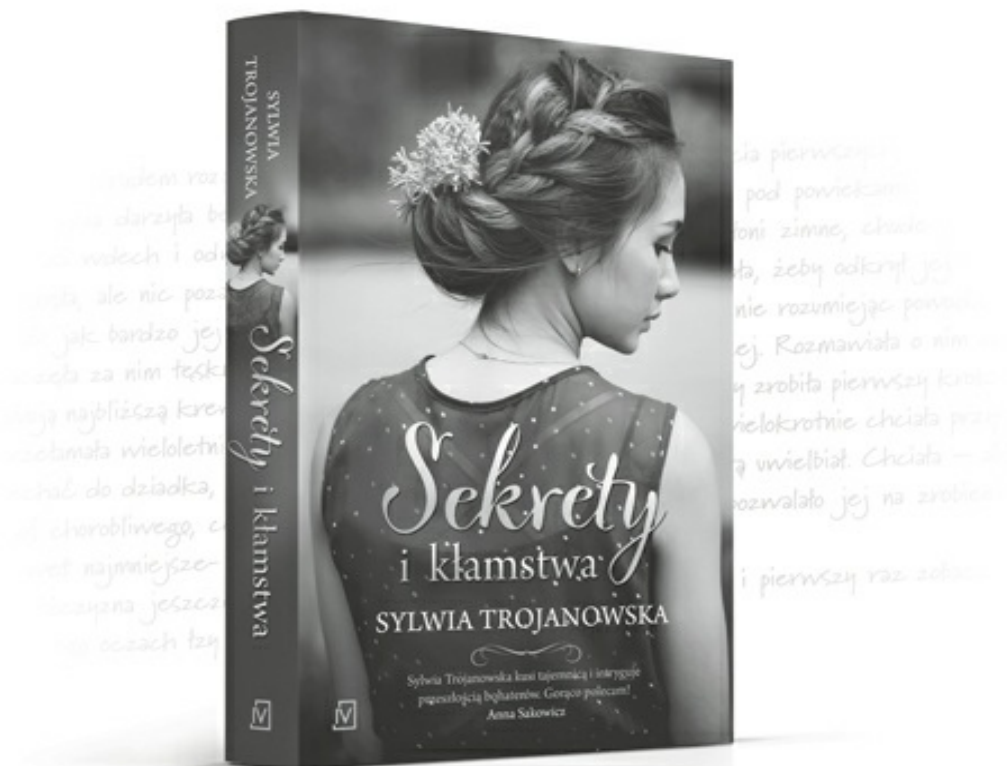
Swój fachowy wkład wnieśli też dwaj lekarze – nieocenioną pomoc z zakresu ginekologii zaoferował Mariusz Mańkowski, Dariusz Dudarewicz

pomógł zaś zbudować psychologiczny portret Matyldy. Panowie,
dziękujemy!

Słowa uznania należą się także całej społeczności zaangażowanej w internetową promocję literatury, zwłaszcza tworzonej w języku polskim. Wasze blogi oraz recenzje są częścią składową sukcesu pisanych przez nas książek. Joanno, Weroniko, Karolino, Małgorzato, Aleksandro, Lidio, Paulo, Beato, Agnieszko, Zuzanno, Beniu i Dario – wszystko, co chcielibyśmy Wam powiedzieć, zawiera się w jednym słowie: dziękujemy.

Czytelników zapraszamy do kontaktu z nami poprzez profil na Facebooku (@napiszdomnieofficial), a także do odwiedzenia naszych stron: www.napiszdomnie.pl oraz www.zaczekajnamnie.pl.

Lidia Liszewska, Robert Kornacki
maj 2018



Sylwia Trojanowska odkrywa tajemnice, o których nikt już nie pamięta. *Sekrety i kłamstwa* to mieszanka emocji, uśmiechu i wzruszeń zapisanych w pożółkłym rodzinnym albumie.

Magdalena po latach wraca do rodzinnego domu, żeby pogodzić się z najważniejszą osobą jej dzieciństwa – charyzmatycznym i apodyktycznym dziadkiem. Ludwikowi zależy na tym, by ukochana wnuczka z nim zamieszkała, lecz ona stawia warunek – chce w końcu poznać jego skrzętnie skrywaną przeszłość.

W opowieściach Ludwika losy rodziny splecą się z burzliwą historią Szczecina z czasów drugiej wojny światowej. Jaką tajemnicę chronił przed światem? Magdalena, wędrując po śladach z przeszłości, odwiedza miejsca znane z młodości i na nowo buduje relacje z dawnymi sąsiadami. Czy w rodzinnym mieście czeka na nią również miłość?



Pierwszy wspólny rok na Kwiatowej dobiega końca...
Zajrzyj do swoich ukochanych przyjaciółek i przekonaj się,
jak potoczą się ich historie.

Wioletta jest pewna, że jej małżeństwo się rozpada. Mimo kryzysu i nadmiaru matczynych obowiązków kobieta chce aktywnie spędzać czas. Tylko czy znajdzie go wystarczająco dużo, by realizować nową pasję? Co wyniknie z jej spontanicznego pomysłu?

Lato wypełnione jest przygotowaniem do ślubu Malwiny, lecz radosne oczekiwanie przysłania jej rodzinna intryga. Jaki sekret skrywa tajemnicza ciotka?

Róża stara się przygotować do nowej roli. W trudnych chwilach wspiera ją przyjaciel. Może dzięki niemu Róża ponownie uwierzy, że szczęście jest jej pisane?

Karolina Wilczyńska przekonuje nas, że miłość zwycięża wszelkie nieporozumienia, by wydać swoje owoce. Lecz piękny finał nie musi oznaczać końca bajki – czasami w życiu to dopiero nowy początek...



**Gabriela Gargaś – czarodziejka kobiecych uczuć –
zaprasza do urokliwego pensjonatu w Bieszczadach,
gdzie wszystko może się zdarzyć...**

W małym bieszczadzkiem miasteczku czas płynie leniwie. W ogrodzie przy Różanym Pensjonacie rozkwitają róże, a serce Michaliny tęskni za mężczyzną, którego pokochała pewnego zimowego wieczoru. Jej wybranek jednak odwiedza ją zdecydowanie zbyt rzadko, przez co ich miłość zostaje wystawiona na próbę.

Sielską atmosferę zburzy przybycie tajemniczego Przemka, który spróbuje oczarować Michalinę i skraść jej serce. Czy uda mu się sprawić, że dziewczyna zapomni o ukochanym?

W malowniczej scenerii goście pensjonatu przeżyją niezapomniane chwile, a ich los się odmieni i dostaną od życia drugą szansę.

Kontynuacja *Wieczoru takiego jak ten* to prezent dla wszystkich czytelniczek powieści Gabrieli Gargaś.